

A. PILIPIUK

SZEWICZ Z LICHTENRADE



fabryka słów
2010-2011

A. PILIPIUK

SZEW Z LICHTENRADE



fabryka słów

A. PILIPIUK

— SZEWIC —
Z LICHTENRADE

Ilustracje
Dismas

fabryka słów

Lublin 2012

Spis treści

Karta tytułowa

Światy Pilipiuka

Wunderwaffe

Traktat o higienie

Ślady stóp w wykopie

Parowóz

Ludzie, którzy wiedzą

W okularze stereoskopu

Sekret Wyspy Niedźwiedziej

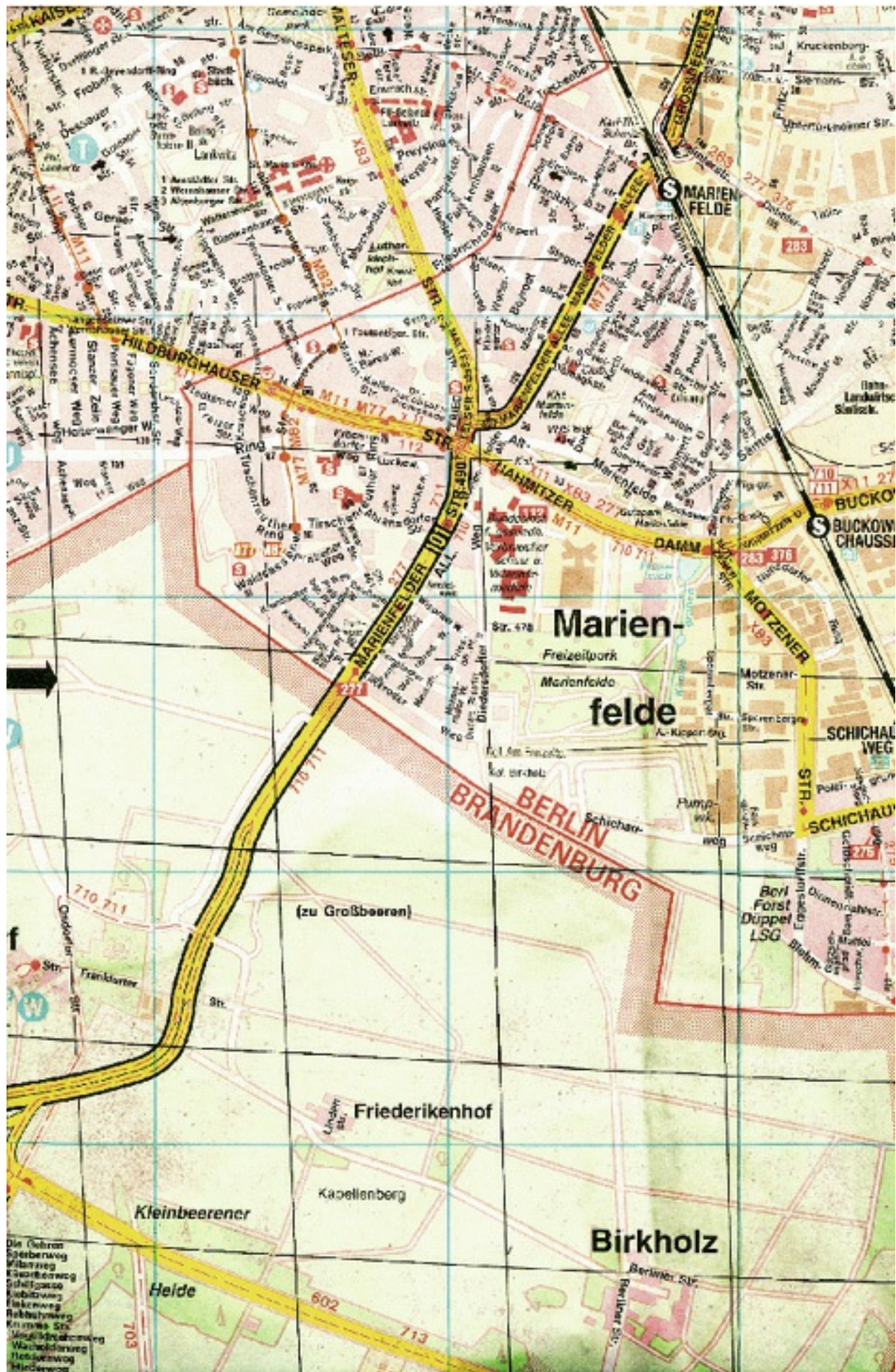
„Yeti ciągną na zachód”

Świątynia

Szewc z Lichtenrade

Andrzej Pilipiuk

Karta redakcyjna

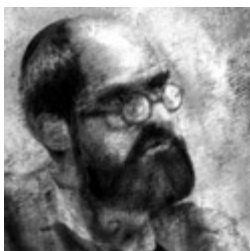


Die Oebren
Steinweg
Finkenweg
Klosterweg
Schiffgasse
Kiebitzweg
Finkenweg
Hohenzollern
Königs Str.
Mühlgrabenweg
Waldgrabenweg
Hohenzollern
Hohenzollern

Światy Pilipiuka

1. 2586 kroków
2. Czerwona gorączka
3. Rzeźnik drzew
4. Aparatus
5. Szewc z Lichtenrade

Wunderwaffe



Ponury ryk silników rozbrzmiewał nad Berlinem. Z daleka dobiegł głuchy huk eksplodującej bomby, a po chwili kolejny. Nalot...

– Szybciej! – adiutant wodza przynaglił Heinza do szybszego biegu. Wpadli między budynki Kancelarii.

Ryk narastał, bomby padały to bliżej, to dalej. Niebo przecięły smugi reflektorów, rozszczękały się zenitówki. Gdzieś na wschodzie pojawił się klucz nisko lecących samolotów.

– Ruskie czy Anglicy? – wysapał pytanie młody esesman.

– Kto ich tam wie, poza tym jakie to ma znaczenie? – wzruszył ramionami przewodnik. – Ostatni wysiłek!

Przebiegli otwartą przestrzeń dziedzińca i po wąskich betonowych schodkach zbiegli w bezpieczny półmrok głębokich schronów. Otworzyły się grube stalowe wrota, potem kolejne. Korytarze noszące jeszcze ślady szalunków ciągnęły się w nieskończoność. Zstępowali coraz niżej i niżej, w głąb ziemi. Wreszcie stanęli przed zwykłymi, dębowymi drzwiami. Przewodnik zapukał.

– Wejść – dobiegło ze środka.

Adiutant nacisnął klamkę i przepuścił Heinza przodem, sam jednak pozostał na zewnątrz. Młody esesman wszedł do gabinetu. Obok biurka stał Adolf Hitler. Towarzyszył mu starszy mężczyzna w białym fartuchu laboratoryjnym.

– Heil Hitler! – Przybysz wyrzucił dłoń w salucie.

– Cieszę się, że was widzę, Heinz – powiedział wódz. – To profesor... Może lepiej bez nazwisk – zreflektował się. – Nie domyślcie się zapewne, w jakim celu was wezwałem...

– Melduję, że nie!

– Znacie, Heinz, sytuację na froncie?

– Nasza waleczna armia odpiera...

– Gównu tam odpiera – przerwał mu wódz. – Tu możemy pomówić szczerze. Prawda jest taka, że wojnę już przegraliśmy.

Oficer poczuł zimny pot na karku.

– Nasza armia... – wyjąkał.

– Ta banda nieudaczników od niemal roku znajduje się stale w odwrocie. Jedziemy już na resztkach rezerw. Na całym okupowanym obszarze ludzie wykręcają klamki z drzwi, by zapewnić przemysłowi miedź i brąz na zapalniki. To jednak ciągle za mało. Produkcja stali nie pokrywa podstawowych potrzeb. Sytuacja z paliwem jest tragiczna. Zasoby ludzkie... – Urwał, a po twarzy przebiegł mu nerwowy tik. – Możemy prowadzić wojnę może jeszcze rok, a i to pod warunkiem, że alianci nie otworzą drugiego frontu.

– A nasza wunderwaffe? – Heinz z trudem pokonał skurcz gardła. – Zdalnie sterowane rakiety? Pociski V3? Bomba atomowa, nad którą pracuje Oppenheimer?

Spojrzał z nadzieją na naukowca, ale ten tylko bezradnie rozłożył ręce.

– Bomba ciągle jeszcze jest tylko na deskach kreślarskich – westchnął Führer. – Mamy mało pierwiastków, tych... no...

– Rozszczepialnych – odpowiedział profesor.

– Prawdopodobnie w ciągu najbliższych trzech lat nie zbudujemy broni atomowej. A to oznacza, że nie zbudujemy jej nigdy, bo za dwa lata będzie już po nas. Resztę cudownych broni mamy na razie w fazie modeli lub co najwyżej prototypów.

– Wodzu, jeśli mogę oddać życie za Rzeszę...

– Po to was wezwałem. Możecie. – Hitler uśmiechnął się przyjaźnie. – I nawet niekoniecznie trzeba będzie oddawać życie. Nakreśliłem sytuację, byście właściwie zrozumieli wagę swojej misji.

– Jeśli tylko da się odwrócić tę... – Zawiesił głos, obawiając się wypowiedzieć fatalne słowo.

– ...klęskę – dokończył za niego wódz. – Szanse nie są duże, ale jeśli misja się powiedzie, tę wojnę jeszcze wygramy. Nasz pomysł sprowadza się... Zresztą niech pan to zreferuje, profesorze.

– Nie zostaliśmy tak zupełnie na lodzie, a i w dziedzinie cudownych broni mamy pewne wyniki. Dotąd nie miały zastosowania militarne, ale geniusz naszego wodza...

– Do rzeczy! – uciął Hitler.

– Od dawna przeczuwano, że obok naszego świata istnieją także rzeczywistości równoległe. Alternatywne – odezwał się uczoney. – Światy podobne do naszego, jednak niedostępne, oddzielone fałdami wielowymiarowej czasoprzestrzeni.

Heinz nic z tego nie zrozumiał, ale uprzejmie słuchał.

– To jakby sąsiedni pokój w tym samym budynku – wtrącił się Hitler. – Nasz świat to komórka w pszczelim plastrze, a obok znajduje się wiele podobnych. I w nich też żyją ludzie, istnieje Berlin...

– To zdumiewające – szepnął Heinz, choć nadal nie bardzo rozumiał, o czym mowa.

– W tej chwili zdołaliśmy potwierdzić doświadczalnie istnienie około ośmiuset

tych światów. Opracowaliśmy też metodę przedostania się do nich.

– Użył pan słowa „alternatywne”. Czy nasza historia potoczyła się w nich inaczej?

– Przynajmniej w niektórych. Wyszukaliśmy bratni świat nazistowski, w którym rozwój techniki wydaje się wyprzedzać nasz o jakieś dwie dekady – odezwał się Hitler.

– Udacie się tam, Heinz, i poprosicie o pomoc. Sami wiecie, jak szybko rozwijają się systemy uzbrojenia. Mamy szansę zaskoczyć ruskich bronią, którą może wymyślilibyśmy za dwadzieścia lat.

Sens słów wodza dotarł do niego po chwili.

– To niesamowite – wykrztusił.

– Wydaje mi się, że moje badania są absolutnie pionierskie – odezwał się uczoney. – Nasi bracia najwyraźniej nie wpadli na tę koncepcję, bo już by nas odwiedzili...

– Zatem nie ma tam aparatury umożliwiającej powrót. Jak sprowadzę posiłki? – zapytał Heinz trzeźwo.

– Tu jest niezbędna dokumentacja techniczna naszego odkrycia – wyjaśnił profesor, wręczając mu rolkę mikrofilmu. – Przekażecie ją uczoneym z tamtej rzeczywistości. Centralne laboratorium Wehrmachtu lub inna podobna instytucja będzie w stanie w ciągu najdalej trzech miesięcy zbudować odpowiedni teleport. Dzięki temu wrócicie do domu, a oni będą mogli nam przesłać broń atomową, nowoczesne czołgi, samoloty i co tam jeszcze ciekawego wymyślili.

– Tak jest! Jak wygląda świat, do którego mam się udać?

Na twarzy wodza i konsultanta naukowego nieoczekiwanie odmalowała się głęboka troska.

– Tak dokładnie nie wiemy – przyznał wreszcie profesor. – Bardzo trudno uzyskać obrazy ze światów-cieni. Wiemy tylko jedno: to z pewnością bratnie nam państwo nazistowskie.

Wyjął odbitkę niezbyt wyraźnej fotografii... Przedstawiała wielką swastykę na postumencie. W tle majaczyły jakieś budynki.

– To Brama Brandenburska, ale widziana od strony parku – zidentyfikował obiekt młody agent. – A te pojazdy to chyba samochody. Faktycznie wyglądają o wiele nowocześniejsze niż nasze!

– Brawo – pochwalił Hitler. – A zatem udacie się, żołnierzu, do innego świata, dotrzecie do mnie lub – głos trochę mu się załamał – do tego, kto pełni tam funkcję Führera Rzeszy. Przekażecie mu naszą prośbę o pomoc i w ciągu trzech miesięcy wrócicie na czele posiłków.

– Tak jest.

– Od powodzenia waszej misji zależy los kraju. Jeśli się wam powiedzie... Zostaniecie odznaczeni nowym orderem, najwyższym odznaczeniem Rzeszy, które zostanie zaprojektowane specjalnie na tę okazję.

– Nie zawiodę! – Heinz wyrzucił dłoń w salucie.

- Przygotujcie się, start za godzinę – głos wodza stwardniał, gdy wydawał rozkazy.
- A to weźcie na wszelki wypadek... – Konsultant wskazał stolik.

Na blacie leżał luger, stosik złotych amerykańskich dwudziestodolarówek i podrobiony brazylijski paszport dyplomatyczny.

*

Wiosna w Berlinie była zaskakująco ciepła. Przez rozeschniętą framugę okna wpadały powiewy pachnącego bzem wiatru. Dolfio otworzył oczy. Zielone cienie długo nie chciały ustąpić. Ból głowy oszałamiał. Tanie francuskie wino wypite wieczorem sponiewierało go straszliwie... Wzrok malarza spoczął na splekanym suficie. Powoli wygrzebał się z barłogu. Wypił z czajnika parę łyków zatechłej wody.

Sąsiednie łóżko było puste. Hermann wyruszył już w swoją codzienną trasę. Malarz odetchnął z ulgą. Współlokator przez kilka ostatnich dni nie zdołał użebrać środków na kolejną działkę morfiny. Na głodzie stawał się agresywny i nieobliczalny...

Naciągnął spodnie. W kieszeni brzęczały nieliczne drobniaki. Wysypał je na dłoń. Pół marki drobnymi i srebrna rosyjska ćwierćrublówka. Na obiad w garkuchni wystarczy. Założył pocerowane skarpetki. Wzwał sandały. Przez dłuższą chwilę walczył z pokusą, by odpuścić sobie ten dzień, poleżeć jeszcze w łóżku. Przemógł się tytanicznym wysiłkiem woli.

- Trzeba – powiedział twardo.

Zza szafy wyciągnął stare sztalugi o nóżkach pogryzionych przez szczury. Zabrał kasetkę z resztkami rozeschniętych farb i pędzlami. Miał zagruntowane dwa podobrazia i jedną zaczęta pracę. Wziął też kilka gotowych akwarelek. Może ktoś się skusi? Obwiązał wszystko sznurkiem. Wymknął się na korytarz i najciszej jak potrafił ruszył do wyjścia. Nie udało się przemknąć. Administrator, tkwiący w swojej kanciapie, oczywiście go usłyszał. Uniósł głowę znad lady. Okulary w drucianej oprawce błysnęły złowrogo.

– Schickelgruber? – warknął, nawijając pejs na palec wskazujący. – Co z czynszem? Zalegacie za zeszły tydzień.

„Oby cię pokręciło, parszywy, spasiony wyzyskiwaczu” – pomyślał artysta.

– Ureguluję niebawem wszystko – bąknął.

– Niebawem to ja wypieprzę te twoje graty oknem i tak się skończy. I powiedz swojemu ciotowatemu kumpłowi, że może i jest bohaterem wojennym, ale skoro tę wojnę przegraliśmy, to ma płacić jak każdy. Jak do piątku nie ureguluje zaległości, zrobimy się bardzo niemili!

„Też jestem bohaterem” – pomyślał ponuro malarz, szarpiąc się ze zdezelowanymi drzwiami. „Gdy ja zdychałem na dnies okopu zatruty chlorem, ten żydek dekował się na tyłach...”

Wreszcie pokonał opór zawiasów i wytoczył się ze swoim majdanem na ulicę.

*

Heinz zmaterializował się w jakiejś komórce. Po przeskoku między światami czuł przez chwilę mocne zawroty głowy, ale zaraz wszystko wróciło do normy.

– Ale karuzela – mruknął.

Pchnął ostrożnie rozklekotane drzwi i wyjrzał przez szparę. Na podwórku pejsaty Żyd w ciemnym chałacie pucował szczotką maskę wielkiego, czarnego samochodu.

– Fiuu... Ale bryka. – Młody esesman wręcz nie mógł oderwać oczu od pojazdu. – Tylko czemu właściciel powierzył mycie tak cennego auta jakiemuś parszywemu untermenschowi? Poza tym wszyscy oni dawno już powinni zostać zlikwidowani... Jakim cudem ten się uchował?

Żyd odstawił wiaderko i szczotkę, po czym z zadowoloną miną rozsiadł się wygodnie za kierownicą. Przez chwilę bawił się kluczykami, a potem odpalił silnik.

Na ten widok Heinza ogarnęła zimna wściekłość. Kopnął drzwi szopy i wyskoczył z ukrycia jak z procy. Jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki, chwycił profanatora za kark i wyciągnął go z wnętrza limuzyny.

– Ty parszywy niewolniku! – ryknął. – Za dużo sobie pozwalasz! Gdzie twoja opaska!? Zaraz wezwę gestapo, oni cię nauczą...

W tym momencie umilkł, bo Żyd dał mu w zęby.

– Jak śmiałeś podnieść rękę na oficera SS! – wykrztusił przybysz i zaraz ponownie dostał w gębę, tym razem znacznie mocniej.

Zobaczył wszystkie gwiazdy. Zatoczył się, potknął i klapnął w błoto. Trzasnęły drzwi i z wnętrza kamienicy wyszli kolejni dwaj Żydzi, młodszy i lepiej zbudowany.

– Panie Grossman, co się stało? – zapytał wyższy.

– Aj waj, ażeby to ja wiedział? Jakiś cudak się do mnie czepił, za kołnierz szarpał, coś bełkotał...

Wszyscy trzej stanęli nad powalonym Heinzem.

– No, popatrz pan tylko na jego uniform. – Niższy kontemplował mundur Niemca. – Co też to takiego? Czy to portier z knajpy zakładu pogrzebowego?

– Aj wej mir! A może to jest jakiś kominiarz? Oni się tak na czarno ubierają.

– No, gdzieżby tam kominiarz, co ty gadasz, Mosze, toż oni cylindry noszą, a ten ma furażerkę z jakimś ptaszydłem. – Żyd wdeptał czapkę Heinza w kałużę.

Ten, widząc godło Rzeszy tonące w błocie, chciał rzucić się na ratunek, lecz gdy tylko spróbował się poderwać, właściciel auta boleśnie kopnął go w żebra.

– To i na portiera nie wygląda. Wariat pewnie, co chce wojaka udawać – zawyrokował.

– Panie Grossman, to może policję wezwiemy?

– Mój drogi Icek, a na co zaraz policję fatygować? Toż widać, że to jakiś nienormalny. Nakopcie mu we dupę i niech się wynosi z mojego podwórza.

Heinz próbował sięgnąć po lugera, ale celny kopniak w łokieć pozbawił go czucia w ręce.

– No, to do roboty – mruknął Icek.

Dwaj młodzi zabrali się do rzeczy szybko i z wprawą. Skakali po Niemcu podkutymi buciorami. Pracowali równo, mocno i z zapalem. Esesman najpierw próbował się bronić, a potem już tylko osłaniał twarz. Sam nie wiedział, jak znalazł się na ulicy. Tu wreszcie dali mu spokój.

– Miałeś szczęście, frajerze, że pan Dawid był w dobrym humorze – warknął Mosze. – Ale pokaż się tu raz jeszcze, to połamiemy ręce i nogi! To porządna kamienica!

– I nie zapomnij, twoja czapka. – Icek naciągnął Heinzowi ubłoconą furażerkę na oczy i kopnął go raz jeszcze na pożegnanie.

Esesman nie odpowiedział, kuśtykając, ukrył się za rogiem. Na skwerku ujrzał niewielką fontannę. Dowłókł się do niej. Przemył twarz zimną wodą. Obmacał żebra.

– Coś jest nie tak – wymamrotał. – Ale... po kolei. Najwyraźniej państwo jest tu tak silne, że poskromiło i twórczo wykorzystano Semitów bez konieczności ich likwidacji. Nie, to bzdura, przecież Żydzi zawsze spiskują i tutejsze władze nazistowskie z pewnością dawno przejrzały ich brudną grę. Może zatem udają tylko, pozwalają, by żydki żyli w poczuciu bezpieczeństwa, a tymczasem kręci się już na nich powróż. No nic, dotrę do tutejszego Führera, złożę raport i ci trzej pojedą do Auschwitz, zanim zdążą pierdnąć... Swoją drogą, zachowałem się idiotycznie. Wypełniam tak ważną misję na zlecenie samego Adolfa, a mogłem głupio zginąć z rąk takich trzech... – tu miotnął kilka wulgarnych określeń i od razu poczuł się lepiej.

Otrzeptał mundur i ostrożnie sczyścił wodą co większe plamy. Przepłukał zbezczeszczone nakrycie głowy. Przejrzał się w lustrze pobliskiej sadzawki.

– Najważniejsze ustalić, gdzie jestem – wymamrotał skołowany. – Bo dowództwo znajduje się pewnie w śródmieściu...

Wydobył z kieszeni plan Berlina i rozejrzał się wokoło. Kamieniczki, mała cerkiewka, za nią dziwny nowoczesny budynek wysoki na co najmniej dziesięć pięter o elewacji wykonanej ze szklanych tafli. Niemiec nie rozpoznawał kompletnie nic.

– Grigorij Rasputin Strasse – odczytał tabliczkę na najbliższym budynku.

To nazwisko coś mu mówiło, ale nie mógł sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach je poznał.

– Dobra, muszę odszukać centrum miasta. Tam zorientuję się w sytuacji i zaplanuję dalsze działania. – Wziął się w garść.

*

Śmietnik w zaułku przy Brusilow Strasse wyglądał bardzo zachęcająco. Hermann Goering podchodził do niego ostrożnie jak do nieprzyjacielskiego wartownika. Starając się nie narobić hałasu, podniósł pokrywę. Hakiem z pręta zbrojeniowego zaczął przewracać zawartość. Wśród obierek z kartofli błysnęła zielenią butelka. Wyłowił ją i rutynowym ruchem opuszki palca sprawdził, czy szyjka lub denko nie są wyszczerbione. Była cała. Odłożył ją do wózka, pomiędzy sześć innych.

– Butelki zazwyczaj występują stadnie – powtórzył menelskie przysłowie.

Pochylił się bardziej i faktycznie dostrzegł drugą. Ta nie miała denka, ale trzecia, zakopana tuż obok w kartoflanych obierkach była znowu cała.

– Browar Haberbusch i Schiele, Warszawa – zidentyfikował i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Za te płacono w skupie dwa razy lepiej. Zanurzył się jeszcze głębiej, prawie stracił równowagę, ale złapał szyjki jednocześnie trzech kolejnych flaszek.

– No i proszę – mruknął. – Wiedziałem, że warto tu pogrzebać. Niby żydowski dom, a takie niekoszerne trunki pijają... Tylko cholery zgrywają takich ortodoksów.

Zapakował łupy na wózek.

– Piąty dzień – wymamrotał, ocierając pot z czoła. – Piąty dzień bez morfiny. Twardy jestem... Ale nie będę już ćpał. Jeszcze cztery dni do terminu. Zbiorę pieniądze na czynsz.

Wyciągnął z kieszeni portfel i trzęsącymi się palcami przeliczył monety. Brakowało już tylko dwu rubli. Gdyby udało się wygrzebać i zataskać do skupu dwieście butelek po piwie... Od rana zebrał piętnaście, w tym pięć polskich.

– To razem jak dwadzieścia. Uda się – postanowił twardo.

Kolejny śmietnik wyglądał jeszcze bardziej zachęcająco, ale Hermann się zawahał. Ciec tego domu bardzo nie lubił kloszardów. Atletycznie zbudowany Żyd, podobno były bokser, miał pięści jak bochny... Goering już dwa razy dostał od niego solidny łomot.

– Nasze ulice, ale ich kamienice – westchnął gorzko. – Trzeba zrobić szybki skok i chodu – podjął męską decyzję.

Uchylił klapę kontenera i ujrzał prawdziwy skarb. Na stosie odpadków leżało co najmniej siedem butelek po koszernej śliwowicy. Sięgnął już po nie, gdy nieoczekiwanie poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Zamarł w bezruchu. Ciec!?! Podniósł przerażony wzrok i odetchnął z ulgą.

– Pan doktor Mengele? – zdziwił się.

Lekarz, ubrany jak zwykle w nienagannie skrojony garnitur, uśmiechnął się przyjaźnie.

– Jak leci, przyjacielu? – Wąskie wargi odsłoniły szparę między zębami, gdy taksował zawartość wózka. – Jakoś strasznie dawno cię nie widziałem. Zaniepokoiłem się o najwierniejszego klienta, myślałem, że może stało się coś złego. A tu widzę, że

tylko pieniędzy zabrakło...

– Skończyłem z narkotykami. – Były lotnik uniósł dumnie głowę. – Życie jest zbyt piękne, by marnować je na kilka chwil chemicznego oszołomienia...

– A co tu niby pięknego? – Mengele rozejrzał się wokół. – Popatrz tylko na ten chlew.

Goering powiódł wzrokiem. Zaulek istotnie był szary i brzydki. Wiatr przetaczał po bruku zgniecione papierowe torby. Kubły i kontenery na śmieci były zardzewiałe i poobijane. Niebo zaciągnęły chmury.

– Szanuję twoje wybory, ale ta trzeźwość... To przecież bez sensu. Przegraliśmy wojnę, okupują nas. Mamy kryzys, jakiego Niemcy nie widzieli od czasów wojen napoleońskich.

– To prawda...

– Zatem jakbyś za parę groszy zapragnął nadać życiu trochę kolorów, wiesz, gdzie mnie szukać, przyjacielu – uśmiechnął się lekarz i ruszył przed siebie.

„Niedoczekanie twoje” – pomyślał Hermann.

Zgarnął flaszki po koszernej i podniósł pokrywę kolejnego kontenera. Aż gwizdnął z radości. Na samiułku wierzchu zobaczył następne cztery butelki po wódce, a z piramidy odpadków wystawały kolejne obiecujące kształty.

– A doktorek chrząnił, że świat nie jest piękny! – mruknął i wskoczył do wnętrza, by rozkopać przymę.

Jakiś samochód zahamował opodal z piskiem opon. Trzasnęły drzwiczki. Były lotnik wyjrzał ostrożnie z kontenera. Mengele nie zdążył odejść daleko. Z wnętrza auta wyskoczyło dwóch młodych Żydów. Diler na ich widok rozejrzał się w panice na boki. Ale nie było jak uciekać.

– Chwila, moment, panie doktorze! – warknął w jidysz ten wyższy. – Pan Urke prosił przypomnieć, że w zeszłym tygodniu nie uiścił pan opłaty targowej za handel morfiną w tej dzielnicy.

– Powiedźcie temu pejsatemu przybłędzie, że nie będę nikomu płacił w moim mieście! Niech sobie robi interesy w Warszawie, tu jest Berlin. – Mengele nadrabiał miną, ale przyczajony w śmietniku Hermann wyraźnie słyszał w jego głosie strach.

– Jak pan sobie życzysz, ale to, niestety, oznacza wygaśnięcie koncesji w trybie natychmiastowym. – W dłoni niższego gangstera błysnął sprężynowiec. – Pozdrowienia od Urke Nachalnika.

Doktor dźgnięty precyzyjnie między żebra westchnął tylko ciężko i osunął się na ziemię. Obaj bandyci wskoczyli do auta i opel ruszył z piskiem opon.

„Druga taka okazja może się nie trafić” – pomyślał Goering. „Jakby co, powiem, że tylko niosłem pomoc...”

Wygramolił się z kontenera. Podbiegł do ciała i pospiesznie wsunął dłoń pod marynarkę lekarza. Tak! Palce namacały pierońsko gruby, wypchany, skórzany portfel.

– Przepraszam, ale panu, doktorze, to już nie potrzebne, a mnie się przyda – mruknął.
– No i wie pan, sentymentalnym człowiekiem jestem... Po przyjacielu warto mieć coś na pamiątkę – usprawiedliwiał się, ściągając nieboszczykowi zegarek z przegubu. – Będę pana ciepło wspominał – obiecał.

Ukrył spiesznie łupy. Następnie złapał za dyszel swojego wózka i czym prędzej czmychnął. Minał dwie przecznice i wtoczył pojazd do kolejnego śmietnika. Dopiero tu, częściowo ukryty za dużym kubłem, postanowił obejrzeć zdobycz.

W lewej części portfela znalazł trzydzieści rubli. Prawa... Długą chwilę patrzył na etui kryjące we wnętrzu dwadzieścia ampulek z morfiną.

– Tylko jedna... – obiecał sobie. – Terapeutycznie. Muszę... – Przez jakiś czas szukał usprawiedliwienia słabości.

Ach tak, Mengele nie żyje!

– Muszę stłumić ból po śmierci przyjaciela – wymamrotał wreszcie, odłamując z wprawą szklaną szyjkę.

*

Heinz doczłapał wreszcie do szerszej arterii, wyszedł nią wprost na Unter den Linden.

– No, nareszcie. – Westchnął z ulgą.

W następnej chwili mina mocno mu zrzędała. Zza rogu wypadł w pełnym galopie kozacki patrol. Esesman zdążył odskoczyć w ostatniej chwili. Podkute kopyta załomotały na bruku, śniade gęby mignęły mu przed oczyma i w ciągu kilku sekund po jeźdźcach została tylko ostra woń końskiego potu.

– Samsonow Strasse – odczytał tabliczkę na pobliskim budynku.

Usiadł ciężko na ławce.

– To najwyraźniej nie jest bratnie państwo nazistowskie. – Zagryzł wargi. – Aparatura jest eksperymentalna, musieli mnie omyłkowo przerzucić do innego świata, niż chcieli. Tu najwyraźniej przegraliśmy bitwę pod Tannenbergiem. Czy to oznacza, że Rzesza jest okupowana przez ruskich? Stąd te cerkwie, kozacy na ulicach...

Spojrzał na zachód. Z daleka widział potężne kolumny Bramy Brandenburskiej. Tyle tylko, że wystawały zza niej majestatyczne, złożone kolumny prawosławnego soboru.

– Co oni, do cholery, postawili w naszym parku? – mamrotał, zbliżając się.

Minał pomnik. W pierwszej chwili wydawało mu się, że monument się nie zmienił, ale zaraz spostrzegł, że zamiast króla Fryderyka II na koniu siedzi car Mikołaj.

Wreszcie stanął przed bramą. Poniżej kwadrygi na frontonie budowli biegł napis cyrylicą.

– Uni-wer-sy-tet Sło-wiań-ski i-mie-nia księ-cia Jaksy z Ko-pa-nicy – przesyłabizował. – Swastyka... – jęknął. – Przecież była tu... Nie! Po drugiej stronie...

Przekroczył bramę i wreszcie odetchnął z ulgą. Pomnik widziany na fotografii nadal

tu stał. Na granitowym postumencie oparto konstrukcję pospawaną z żelaznej blachy. Na cokole umieszczono jakąś tabliczkę. Heinz podszedł bliżej.

– Pamiątka wizyty Dalajlamy w ramach trzecich Dni Kultury Tybetańskiej. Berlin 1941 – odczytał.

*

Dolfio Schickelgruber rozstawił sztalugi. Oparł na nich niewykończoną akwarełę. Obok położył paletę z solidnie już zaschniętymi farbami i kilka pędzli. Cała dekoracja wyglądała, jakby dopiero co przerwał pracę. Obok oparł o mur kilka innych swoich „dzieł”.

Bogaci polscy i rosyjscy turyści snuli się po placu. Malarz oparł się o mur muzeum.

– Parszywe Żydy – burknął pod nosem. – Nie rozumieją prawdziwej sztuki. Gapię się, ścierwa, jak geniusz w rynsztoku ginie...

Zsunął spłowiały francuski beret na oczy i oddał się wspomnieniom. Pięć lat temu wydawało mu się, że zdołał złapać Boga za nogi. Wystawa, potem druga. Pierwszy wydany album, kilka pochlebnych artykułów w prasie branżowej. Jeszcze trochę i marszandzi zaczęliby jeść mu z ręki... I przez jedną głupią znajomość to wszystko pieprznięło! Dobrze chociaż, że nie udowodniono mu udziału w spaleniu tej synagogi...

– Goebbels, ty zasrany kurduplu! To miała być legalna organizacja, krytyczna wobec syjonizmu, a nie klub podpalaczy nieudaczników! – syknął. – Gdybym wiedział, w co mnie wpakujesz, to w ryj byś dostał, a nie kanister terpentyny!

Jakiś cień padł na rozłożone akwarelki. Dolfio podniósł głowę. Hermann. W swoim złachanym mundurze lotnika z wypłowiałymi baretkami na piersi i w znoszonych oficerkach wyglądał niemal szykownie. Sublokator musiał zdobyć jakoś morfinę, bowiem wzrok miał maślany, a na wargach błąkał się lekki uśmiech.

– Jak interesy? – zakpił.

– Nijak – odgryzł się malarz. – Ale przynajmniej sprzedałem jeden obrazek. Jeszcze jeden i wyjdę na czysto wobec Apfelbauma. A swoją drogą, pytał, kiedy uregulujesz czynsz. Planuje cię wyrzucić z przytułku.

– *Was zum Teufel!* – Informacja pokonała nawet zaćmienie umysłu wywołane przez narkotyki.

Na twarzy byłego asa przestworzy odmalowała się troska. Zaraz jednak znikła pod szerokim uśmiechem.

– Dolfio, co ty się tak żydkiem przejmujesz? Chcesz, to go dziś wieczorem zajdziemy w kantorku i zarzniemy jak wieprzka. Mam jeszcze mój kordzik...

– Dawno go sprzedałeś! Poza tym czyś ty zgłupiał?! – syknął malarz. – Przestań ćpać, bo już ci w mózgu dziury wyżarło. Przecież Apfelbaum pracuje dla tych z Warszawy! Wiesz, co znaczy zdrzeć z prawdziwą żydowską mafią? Wiesz, co robią z

takimi jak my? W dodatku... Gadają, że Urke Nachalnik znów jest w mieście – ściszył głos. – Przyjechał uporządkować interesy.

– Przyjechał to przyjechał. Każdy może przyjechać do Berlina. A co nas to niby obchodzi? Nasza chata z kraja – dorzucił po polsku.

– Ocknij się, matole! Jaka chata z kraja!? Mamy długi u Żydów!!! Wiesz, co to znaczy? Pamiętasz tego Austriaka, Ottona? Tego młodego. Też kupował morfinę u Mengelego.

– Stangla? No pewnie, że pamiętam. Gdzie się podziewa? Dawno go już nie widziałem...

– I nie zobaczysz. Do piachu poszedł.

– Złoty strzał zaliczył czy co?

– Pożyczał pieniądze od lichwiarzy. Dwa razy spóźnił się ze splatą. Trzeci raz nie czekali. Wczoraj wyciągnięto go ze Sprewy.

– Skąd wiadomo, że to oni? – zirytował się Hermann.

– Bo miał nogi wbetonowane w wiadro!

– Ta moda przyszła z Ameryki!

– Gadaj zdrów! Może i pochodzi z Ameryki, ale do nas trafiła wraz z żydkami znad Wisły!

– Dobra, dobra – burknął Hermann. – Nie było tematu. Rozchmurz się, przecież dzień jest tak piękny...

– Co w nim pięknego?

Hermann zmarszczył brwi, usiłując zebrać myśli. Co pięknego? Dziewiętnaście ampulek! Choć nie, o tym lepiej kumplowi nie mówić... Co jeszcze?

– Mam pieniądze na czynsz! – przypomniał sobie.

– To masz pieniądze czy nie masz? Bo przed chwilą mówiłeś, że chcesz mordować administratora? – parsknął Dolfio.

Miał dość urojeń naćpanego kumpla.

– Mam... O, zobacz... – Hermann podał mu banknot. – Starczy i za ciebie, i za mnie, i na następny tydzień...

– Ty! Skąd masz zegarek!?

Na widok złotej omegi zdobiącej przegub lotnika malarz wytrzeszczył oczy.

– Od doktora Mengele.

– Ten parszywy handlarz prochów zwariował od własnego towaru!? Złotego sikora ci dał!?

– Tak jakby. – Hermann opuścił brudny mankiet koszuli, by ukryć cacko. – To podarunek od dobrego losu. W końcu urodziny miałem. A może będę miał?

Malarz nieufnie obejrzał dwudziestorubłówkę pod światło. Potem równie wnikliwie zbadał dychę.

– Są, o dziwo, prawdziwe – bąknął. – Co ty, Hermann, obrobiłeś dziś bank?

– Portfel znalazłem!

– Leżał na ulicy razem z zegarkiem? – zakpił Dolfio. – Gadaj prawdę!

– A coś ty taki dociekliwy?

– Bo jak Żydzi z mafii przyjdą wypruć ci flaki, to i ja mogę przy okazji oberwać!

Lotnik, gubiąc co chwila wątek, pokrótce streścił poranne wypadki. Artysta otarł czoło, które nagle pokryło się zimnym potem.

– Na pewno cię nie widzieli?

– No niby jak? Jakby mnie widzieli, to przecieżyby zarżnęli jak doktora... – Naćpany uśmiechał się głupkowato, ale w tym, co mówił, był jednak pewien sens.

– On na pewno nie żyje?

– A co to ja, trupa nie widziałem? – obraził się Goering. – Co to ja, pierwszy raz sztywniaka obrobiłem? Uliczka była pusta, nie ma żadnego ryzyka.

– Może i nie ma, ale zadekuj się gdzieś na kilka dni, aż sprawa przyschnie. Ja to schowam i przekażę administratorowi. – Adolf troskliwie umieścił bezcenne papierki w kieszeni. – Ciebie gotówka wyjątkowo się nie trzyma!

– A jak ma się trzymać, jeśli mi wszystko zabierasz? – Były lotnik omal się nie rozplakał.

– To dla twojego dobra!

– Popatrz na te swoje bohomazy – Hermann zmienił temat. – Ileż można w kółko malować sarenki w lesie, gołe baby rozwalone w pościeli i rabinów czytających księgi przy świecach? Namaluj coś optymistycznego. Szlachecki dworek albo białego orła zrywającego kajdany, jakiś bogaty Polak pewnie chętnie kupi. I o ruskich pomyśl, namaluj patrol kozacki na stepie albo portret cara. Przecieży ci turyści znad Wołgi wręcz rzygają złotem.

– Chciałbym dziś stworzyć coś germańskiego – wyznał Dolfio. – Walkirię z mieczem albo ja wiem...

– I kto to kupi? Tylko drogie farby wypaprzysz. To znaczy chętnych może być i znalazł, ale w dzisiejszych czasach Niemcy nie śmierdzą groszem. A bogaci przemysłowcy, którzy się uchowali, wynajmują sobie Kossaków.

Jego przyjaciel splunął. Trudno nie przyznać racji...

– A te twoje obrazki, te na kartonach? Wiesz, te blond dziewczuchy grabiące siano i takie tam... To dobre było.

– Posłałem do Moskwy na konkurs „Śladami Riepina”.

– Ech, ty fantasto, uważaj, bo wygrasz... Czekaż, a co to takiego? – Lotnik, kartkując szkicownik, natrafił na rysunek.

Majestatyczna kopuła opierała się na cylindrycznej budowli, ozdobionej monumentalnymi portykami kolumnowymi. Na tympanonach czerniały wielkie gwiazdy Dawida.

– Fucha – bąknął Dolfio, czerwieniąc się. – Na konkurs architektoniczny. Hala

Zjazdów Europejskiej Organizacji Syjonistycznej. Wymyśliłem, jak przebić innych.

– Rozmiarami?

– Tak. Gdyby to zbudować, pomieści sto czterdzieści tysięcy delegatów. Pierwsza nagroda sto rubli... – rozmarzył się. – A za wyróżnienie dają piętnaście. Muszę tylko zbierać na tekturową kopertę i znaczek.

– A, to nie problem. – Przyjaciół sięgnął do kieszeni i szczodrym gestem nasypał kumpłowi w dłonie garść wytartych drobniaków. – Ale jeśli jakimś cudem wygrasz, rubel dla mnie – od razu zabezpieczył swoje interesy.

*

– Dobra. – Heinz tytanicznym wysiłkiem woli wziął się w garść. – Nie wszystko da się w życiu przewidzieć. Wysłali mnie nie tam, gdzie trzeba. To się zdarza. Czekają na mój powrót i na to, że sprowadzę posiłki. Jestem oficerem elitarnej jednostki SS! Nie mogę zawieść naszego Führera! Wypełnię misję! Tylko trzeba podejść do sprawy pragmatycznie. Żołnierzy stąd nie przyprowadzę. Ale mogę kupić broń atomową. Albo wykraść z arsenałów coś jeszcze lepszego... Potrzebuję jednak pomocy, bo sam się nie połapię w tym szalonym świecie. A kogo mógłbym poprosić o pomoc? Muszę odnaleźć największego geniusza wszech czasów, Adolfa Hitlera!

Zamyślił się głęboko.

„Tak wybitny umysł nawet w tym zwariowanym świecie musiał wspiąć się na szczyty...” – dumął. „Możliwości jest kilka. Jeśli zajął się nauką, jest już pewnie rektorem uniwersytetu... Oczywiście, jeśli poza tym coś istnieje w ogóle jakaś prawdziwa aryjska uczelnia!” Pogroził pięścią budynkom stojącym obok soboru. „A może został genialnym malarzem? Albo w konspiracji prowadzi prawdziwych Niemców do buntu przeciw tym ruskim okupantom... Zatem realizujemy plan B. Trzeba do niego dotrzeć. Nawet jeśli nie jest Führerem, to jako rektor uczelni może wynieść w walizce dokumentację albo parę kilogramów pierwiastków rozszczepialnych! Ale najpierw sprawdzę to, co najprostsze...”

Heinz podszedł do budki telefonicznej. Na półce poniżej aparatu leżała książka teleadresowa. Przekartkował ją pospiesznie.

– Mordechaj Hitler, usługi deratyzacyjne, Aaron Hitler, handel starzyzną, Salomea Hitler-Tennebaum, wróżka – odczytał z obrzydzeniem. – Paula Hitler? A niech mnie! Siostra wodza! Kancelaria, usługi księgowo przy Leo Belmont Platz. Trzeba znaleźć aktualny plan miasta albo zapytać kogoś o drogę!

*

Hitler zapadł w półdrzemkę. Spod lekko przymkniętych powiek obserwował włoską wycieczkę. Ech, Włochy. Ojczyzna artystów. Podobno Mussolini daje stypendia

malarzom...

„Wyemigruję z tego dzikiego kraju” – pomyślał. „Będę malował rzymskie orły i różgi liktorskie dla parszywych faszystów, ale lepsze to niż dalsza egzystencja w tym zaścianku...”

Ktoś stanął przed sztalugami.

– Jak widzę, nadal żyjemy marzeniami?

Malarz otworzył oczy. Pracownik Departamentu Przeciwwębraczego Miejskiego Centrum Opieki Społecznej? Stał i patrząc na obraz, uśmiechał się kpiąco.

– Dzień dobry – wymamrotał artysta.

– Drogi panie Schickelgruber – pracownik socjalny uśmiechnął się jeszcze szerzej – powiedzmy sobie szczerze. Ozdabia pan nasze miasto jak grzyb ścianę. Szczególnie zaś fatalnie wygląda ten pański kramik w tym akurat miejscu. Wyspę Muzeów odwiedzają przecież zagraniczni turyści...

– To mi załatwcie możliwość wystawiania prac w galerii.

– Ech, panie Adolfie. Pan myśli, że żydowscy marszandzi zapomnieli już o pańskich wybrykach? Ta demolka... Jak pan to nazwał? Happening artystyczny „Kryształowa noc”? Zanim policja was zwinęła, wybiliście szyby wystawowe w ośmiu żydowskich sklepach.

Malarz skrzywił się, ale nic nie odpowiedział.

– Ale przychodzę w zupełnie innej sprawie. Widzi pan, koszta kontrybucji wojennych, jakie ponosi nasz naród, są bardzo znaczne. W tej sytuacji musimy zaprzestać radosnego rozdawania zasiłków ludziom zdolnym do pracy.

– Jestem bohaterem wojennym. – Wodniste oczy malarza błysnęły wściekle. – Talony do garkuchni trzy razy w tygodniu należą mi się jak psu buda na mocy ustawy...

– Ta ustawa została właśnie uchylona.

– Odznaczono mnie Krzyżem Żelaznym!

– Nikt tego nie kwestionuje, ale sam pan musi zrozumieć, wojnę przegraliśmy.

– I tylko dlatego mam umrzeć z głodu?

– Widzi pan sytuację w zbyt ciemnych barwach. Wprawdzie ustawę uchylono, ale Moskwa pozwoliła nam dokonać konwersji części kontrybucji na program aktywizacji zawodowej dla ludzi takich jak pan. I mogę panu zaoferować coś naprawdę ekstra.

– To znaczy? – nastroszył się artysta.

– Tylko nie wiem, czy jest pan wart naszej pomocy. Poprzednio załatwiłem panu zamiatanie hali drukarni Niemieckiej Organizacji Syjonistycznej...

– Wyrzucili mnie po tygodniu – rozżalił się Dolfio. – Uznali, że ten antysemicki napis w kiblu to moja robota. Ale przysięgam, to nie ja... Przemyślałem błędy młodości i...

– Dobra, dobra – uśmiechnął się pracownik. – Co byście powiedzieli na stałe zajęcie?

– Jako kto?

- Malowanie elewacji dworca. Trzy godziny dziennie w zamian za bony do stołówki i dziesięć marek kieszonkowego tygodniowo.
- Malowanie elewacji...
- W papierach ma pan informację – zawód: malarz.
- Ale sztalugowy, a nie ścienny!
- Mnie tam wszystko jedno. Ale jeśli chce pan tę robotę, to jutro o piątej rano proszę się stawić na szóstej portierni. Może pan zabrać ze sobą swego kumpla. I pamiętajcie, macie być trzeźwi. Chętnych jest więcej niż miejsc.
- Biorę – westchnął ciężko Dolfio.

*

Paula Hitler przyjęła nieoczekiwanego gościa w małym, przytulnym biurze. Przedstawił się grzecznie, wyciągnął swój podrobiony paszport...

- Czym mogę służyć, panie Heinz? – zapytała kobieta.
 - Chodzi o pani brata. Przybyłem specjalnie z Brazylii...
 - A na cóż panu ten żalosny pacykarz? – Wydeła wargi.
- Umysł esesmana wykonał błyskawiczną pracę. Powiedziała „pacykarz”? Widocznie w tym świecie geniusz wodza popchnął go ku szczytom artystycznego wyrefinowania!
- Widzi pani, dotarły do nas słuchy na temat jego wspaniałych obrazów. Zostałem wydelegowany, by na miejscu w Berlinie... Pani brat, Adolf Hitler...
 - To ja jestem Hitler – warknęła. – Może sobie podpisywać tak obrazy, ale nasz ojciec go wydziedziczył. Podejrzewał zresztą, że to kukułcze jajo. Bękart od takiego jednego bogatego żydka... Zakała rodziny ten mój braciszek. Wyrzuciłam go z domu po tym, jak próbował się przystawiać do gimnazjalistki, chyba Ewa miała na imię. Jej ojciec, pan Braun, wybił mu wtedy cztery zęby... Brat używa teraz nazwiska Schickelgruber, po babce. Staruszka się w grobie przewraca!

- Gdzie mógłbym go znaleźć?
- Kobieta zmrużyła chytrze oczy.
- Czy w tym waszym Rio de Janeiro są przypadkiem galerie obrazów i marszandzi?
 - Oczywiście.
 - To mów pan od razu, że przyjechał do Europy z kasą kupić wagon tych bohomazów. Powiedzmy, że znam adres przytułku dla mężczyzn, w którym mieszka z podobnymi sobie niedojdami życiowymi. Co z tego będę miała?
- Heinz bez słowa położył na blacie złotą dwudziestodolarówkę.
- Trzeba było tak od razu! Zapiszę adres. To niedaleko stąd, przy Nowgorod Strasse. Trzeba iść prosto, potem w drugą przecnicę w lewo...

Kwadrans później Heinz wszedł do walącej się rudery. Woń stęchlizny, zjełczałego oleju, czosnku i gotowanej kapusty dźgnęła go boleśnie w nos. Za kontuarem siedział

spasiony, pejsaty Żyd.

– Czego? – warknął groźnie.

– Szukam Adolfa Schickelgrubera, pseudonim artystyczny Hitler – wykrztusił skołowany esesman.

Świdrujący wzrok przewiercał go na wylot.

– Po co?

– Jestem dziennikarzem. Z Brazylii... Podobno tu mieszka.

Świadomość, że on, dumny oficer SS, musi się tłumaczyć przed jakimś untermenschem, była kompletnie dobijająca.

– Teraz go nie ma. Na razie jeszcze mieszka – skrzywił się Żyd. – Wywalimy go w poniedziałek. Twój koleś zalega z czynszem. – Okulary w drucianej oprawce błysnęły złowrogo. – Jak go spotkasz, przypomnij mu, że dziś miała być zaliczka! – Nawinął pejs na palec.

W Heizu coś pękło. Cała frustracja, wszystkie koszmarne przeżycia tego ranka wykipiały niczym gejzer czystej nienawiści.

– Jak śmiesz, brudny Żydzie, żądać czynszu od największego Niemca w historii! – Esesman wściekły i zrozpaczony wyrwał z kabury lugera.

– Gdzie mi tu, gnoju, z tą pukawką! – syknął administrator, płynnym ruchem wyciągając spod kontuaru pistolet maszynowy Thompson. – Won, łajzo, bo jak lunę kolbą przez ryj, to kaptcie w locie pogubisz...

Heinz nie czekał na serię w bebechy, uciekał, aż się kurzyło. Piętrowe wiązanki wyzwisk w jidysz goniły go jeszcze długą chwilę.

– To niezgodne z przepisami, żeby Żyd mógł posiadać broń – mamrotał przez łyżki Niemiec.

Zatrzymał się dopiero na Unter den Linden... to znaczy Samsonow Strasse. Zrezygnowany powłókł się przed siebie. Usiadł na ławeczce koło swastyki. Milcząc, patrzył w zaśnieżony metal, czerpiąc otuchę i nadzieję promieniującą z symbolu zwycięstwa rasy aryjskiej.

*

Dolfio, uginając się pod ciężarem sztalug i płócien, doczłapał na kwaterę. Administrator oczywiście czatował w swym kantorku jak pająk w sieci.

– O, Schickelgruber. – Na jego twarzy zagościł krzywy uśmieszek. – I jak tam idzie handelek bohomazami?

– Jako tako – zełgał malarz.

– No co też pan nie powiesz? – głos wręcz ociekał nieszczerością. – Jako tako oznacza, że masz pan z tego na piwo, czy może coś jeszcze?

– Tu jest czynsz. – Dolfio położył na blacie banknoty. – Zaległy za zeszły tydzień

wraz z procentami, bieżący i akonto za następny. Za mnie i za Hermanna.

– No, no, aż nie mogę uwierzyć. – Okulary błysnęły niemal przyjaźnie. – Znaczą sprzedaliście coś ze swoich dzieł? Tu macie resztę. – Pchnął w stronę lokatora wytartą miedzianą dwumarkówkę. – Oby tak dalej. A, byłbym zapomniiał, list do was przyszedł. – Wskazał przegródki na korespondencję.

Schickelgruber wydobył grubą kopertę ozdobioną dwugłowym czarnym orłem i pompatycznym nadrukiem wydziału sztuki Uniwersytetu Słowiańskiego w Berlinie. Idąc po schodach, rozpruł kopertę i wydobył ze środka zaproszenie.



– Jak to dzisiaj!?! – jęknął, zbiegł na dół i spojrział na zegar wiszący nad kontuarem

repcji.

Odetchnął z ulgą.

– Jeszcze dwie godziny – uspokoił się. – Zdążę się umyć, ogolę i kłusem do wypożyczalni... – Spojrzał na monetę. – Fraku mi za to nie dadzą, ale na jakiś niezbyt złachany polski garnitur mnie stać!

*

Heinz ocknął się na ławce. Zapadał ciepły, wiosenny wieczór. Latarnie już się paliły. Alejki kampusu wypełniał tłum młodych ludzi. Gdzieś daleko brzdąkała gitara. W powietrzu niósł się gwar rozmów po polsku, rosyjsku, serbołużycku, w jidysz, czasem słychać było nawet niemiecki.

– Uwaga, uwaga – wychrypiał głośnik zawieszony na latarni. – Dziekanat Wydziału Stosunków Międzynarodowych zaprasza dziś wieczór na odczyt Adolfa Schickelgrubera, znanego pod pseudonimem Hitler. Zdobywca wyróżnienia w konkursie imienia Ilii Riepina opowie nam o swoich fascynacjach artystycznych. Spotykamy się w auli już za kwadrans...

– Wodzu – wyszeptał Heinz. – Choć w tym szalonym świecie zepchnięto cię do rynsztoka, ja zawsze będę stać przy tobie i własną pierśią osłonię przed pogardą i nienawiścią untermenschów... Zaraz, zaraz – zreflektował się. – Co ja chrzańię? Nagrodę mu przecież dali, więc może nie jest tak źle?

Ruszył w kierunku tablicy z planem uczelni. Głośnik radiowęzła jeszcze parę razy w różnych językach przypominał o spotkaniu. Heinz stracił jednak dłuższą chwilę na znalezienie auli, gdyż opisy na planie wykonano cyrylicą...

Gdy wpadł do zatłoczonego wnętrza, wykład już trwał. Z podium dobiegał znajomy głos. Głos ukochanego wodza!

– Nareszcie! – Wzruszenie dosłownie dławilo mu gardło.

Na podium stał ON. Wyglądał trochę starzej, ale zawadiacka grzywka i wąsik były identyczne nawet w tym szalonym świecie. Tylko ten francuski beret...

– Sztuka, którą zaprezentowali nam rosyjscy twórcy z grupy pieriedwiżników, jednoznacznie wykazuje absolutną wyższość kultury słowiańskiej nad degenerującą się od stuleci, schyłkową kulturą germańską... – grzmiał wzmocniony przez głośniki baryton. – Neorealizm germański, który mam zaszczyt uprawiać, ma swoje praźródło właśnie tam, w galeriach i pracowniach Moskwy, Piotrogradu, Nowogrodu, Irkucka, Archangielska, Kazania, ale także Lwowa, Wilna, Warszawy, Krakowa i Poznania!

Studenci wydziału milczeli zafascynowani. Głos mówcy zdawał się docierać w głąb ich duszy. Nawet najwięksi sceptycy musieli przyznać, że przemawiający ma po prostu rację... A ten, łyknąwszy soku marchewkowego, zabierał się właśnie do kontynuowania przemowy.

– Nasi bracia z Gdańska, na co dzień obcujący ze sztuką ludów słowiańskich, wyznaczają ciekawy kierunek poszukiwań artystycznych. Ja jednak nie chcę iść ich śladami. Serce moje leży na bruku przed Galerią Tretiakowską w Moskwie! Czuję oto, że zaczerpnąłem z najczystszych krynicy. Wydaje mi się, iż jedynie całkowita rusyfikacja i polonizacja podstawowego stylu naszego malarstwa pozwolą...

Głuchy huk przerwał orację. To Heinz strzelił sobie z lugera w skroń.

Traktat o higienie

Powiat chełmski jesień 1898r.



Dobry bity trakt lubelski dawno już pozostał gdzieś z tyłu. Jechali teraz drogą pełną straszliwych wertepów. Co jakiś czas koła grzęzły w glinie i dopiero mocne szarpnięcie pozwalało je uwolnić. Od co najmniej godziny uszy doktora raziły na przemian: parskanie koni, świst bata i piętrowe wiązanki rzucane przez wozaków. Gdy utykało lewe koło, klątwy były w schachłaczonym ukraińskim, gdy prawe – w jidysz. Za oknem powozu powoli przesuwawała się okolica, pola rozmoczone deszczem, trakt tonący w błocie...

– Beznadziejne to wszystko – westchnął doktor Paweł Skórzewski. – Jednak z drugiej strony, bez takich syzyfowych wysiłków ten kraj nigdy nie ruszy z miejsca...

Wiedział, że to, co robi, jest potrzebne. Ba, nawet niezbędne. Zarządcy ordynacji Zamoyskich kategorycznie domagali się od carskich władz sanitarnych przysyłania lekarzy i felczerów. Władze zaś, suto zasilane z funduszu łapówkowego, kierowały w teren każdego, kogo akurat miały pod ręką...

„Kto by pomyślał. Plaga wszawicy u progu dwudziestego wieku! Dobrze, że nie wybuchła dotąd epidemia tyfusu. A wszystko to z brudu. Tu trzeba lat pracy” – rozmyślał Paweł. „Mogę nakazać golenie głów u zawszawionych dzieciaków. Zbadać chorych. Przepisać leki, ale dopóki ci ludzie nie nabiorą podstawowych nawyków higienicznych, cała moja robota będzie daremna...”

Dwaj pachołkowie przydzieleni doktorowi do pomocy przez ordynata Zamoyskiego spali jak susły, pochrapując. Doktorowi też strasznie chciało się spać. Przez szczeliny świstał wiatr. Pachniało zaoraną już ziemią, deszczem, gnijącymi liśćmi, słowem – jesienią...

Przebyli wzgórza i w dolinie przed nimi pojawiły się domy. Widok wsi wywarł na Skórzewskim jak najgorsze wrażenie. Dachy chałup osiadały, strzechy poszarzały i miejscami przerosły mchem. Gliniana polepa odpadała od ścian, odsłaniając trzciniowe maty lub gołe belki. Obok rozciągały się ogródki pełne uschniętych badyli, otoczone

krzywymi płótkami plecionymi z chrustu. Z chlewików i obórek powiewy wiatru coraz to przynosiły zjadliwą woń fermentującego obornika. Drogą przeszła bosa dziewczynka pędząca stadko ubłoconych gęsi, a po chwili pojawiło się dwóch wyrostków wlokących na postronkach chude kozy.

Wokół niewielkiego placyku stały odrobinę okazalsze i bardziej zadbane domy. Dwa świeżo wzniesione dworskie czworaki wręcz kłuły w oczy bielą świeżego drewna. Woźnice zakręcili w stronę najokazalszego piętrowego budynku. Pojazd, mlaskając obręczami kół, zatrzymał się krzywo w błocie przed gankiem. Doktor zeskoczył i udało mu się nawet wylądować poza kałużą. Z wnętrza, trąc kułakami oczy, wygramolili się też dwaj pachółkowie przydzieleni przez ordynata i nie czekając na rozkazy, zaczęli ściągać z dachu resztę bagaży. Obok wejścia pysznił się rzeźbiony w drewnie carski orzeł, jakim kiedyś oznaczano apteki. Poniżej na kawale deski wymalowano po polsku i rosyjsku napis „Sołtys”.

– Witam szanownego pana doktora – rozległo się od drzwi. – Adam jestem.

Sołtys, drobny człowieczek w drucianych okularach, wyglądał jak miastowy, który nie znalazłszy dla siebie posady w Chełmie czy Lublinie, wziął, co dawali... Jego żona, rumiana wiejska dziewczyna, na przybycie znamienitego gościa wbiła się w miejską suknię uszytą ewidentnie na kogoś nieco drobniejszego.

Lekarz przywitał się, nastąpiła wzajemna prezentacja. Zaraz też nadszedł przysłany z powiatu felczer, który przybył tu jeszcze przed południem. Pachółków ulokowano w jednym z nowo wzniesionych czworaków. Czekala na nich nawet ciepła kolacja. Lekarz wraz z felczerem mieli stołować się u sołtysostwa.

Salonik był niewielki, ale gustownie urządzone. Pod ścianą drzemał piec zbudowany z ozdobnych kafli. Na ścianie cykał duży niemiecki zegar. W kredensie na lewo od drzwi stała porcelana, a w tym po prawej książki. Gruby turecki dywan i nowoczesna lampa naftowa wisząca na łańcuchu nadawały wnętrzu przytulności.

Zasiedli do stołu nakrytego haftowanym obrusem. Na półmiskach piętrzyły się wędliny, pośrodku królowała wielka osełka wiejskiego masła, na paterach z wytwórni Norblina czerwieniły się i złociły dorodne jesienne jabłka. W wiaderku pełnym lodu chłodziła się butelka gorzałki.

– Toż to prawdziwa uczta – zachwycił się Skórzewski.

– Daj panu doktorowi świeżego chleba, my jeszcze dojemy ten stary – poleciała sołtysowa służącej.

Kobieta wyszła i po chwili wróciła z pięknym rumianym bochenkiem. Niebiański zapach sprawił, że ślinka sama napływała do ust. Paweł ukroił sobie przylepkę, potem kolejną pajdę.

– Musimy zaplanować prace i podzielić obowiązki na najbliższe dni – odezwał się felczer.

– Przyjechało ze mną dwóch pachółków z ordynacji. Trzeba na jutro wezwać

funkcjonariusza policji albo żandarmerii, żeby ludzie zobaczyli też przedstawiciela władzy – tłumaczył doktor. – Ilu macie mieszkańców?

– Z dziećmiakami będzie setka.

– Dużo zawszonych?

– Prawie każdy... – wzruszyła ramionami sołtysowa. – Tu ludziska do mydła nienawykli, a w ziemi i przy chudobie robią. To i brud się w skórę wżera.

– Należy przetrzepać chałupy. Zawszone ubrania wygotujemy we wrzątku z dodatkiem ługu, a czego nie da się oczyścić, musi zostać spalone. Z pluskwami przy okazji też stoczmy wojenkę, ale wszy mają pierwszeństwo. Wszystkich trzeba zgonić na plac. Zrobimy kontrolę, potem zetniemy włosy na krótko i natrzemy naftą. Będzie też potrzebne pomieszczenie na tymczasowy areszt.

– Areszt? – zaniepokoił się sołtys.

– Na kilka godzin tylko. Ludzie nie lubią odwszawiania. Przewiduję opór – wyjaśnił felczer.

– Zawszonych trzeba wziąć pod klucz choć na kilka godzin – potwierdził Skórzewski – bo uciekną do lasu i trzeba będzie całą zabawę zaczynać od początku.

– Uciekną!?! – zdziwił się sołtys.

– Niestety. Pachołkowie, których mam ze sobą, mogą opowiedzieć. Brali już udział w kilku takich akcjach. Do tego widziałem też u paru kobiet kołtuny.

– A tego to lepiej nie ruszać – mruknęła sołtysowa. – Wiecie panowie, ludzie różnie o tym gadają... Boją się ścinać, by nie zachorować.

– Tak, słyszałem, że chłopci wierzą w rozmaite zabobony. Wszystkie te paskudztwa bezwzględnie muszą zostać obcięte. – Skórzewski był twardy. – Taki kołtun to najlepsza kryjówka dla wszy.

– Rozumiem. – Sołtys westchnął jakoś ciężko. – Ależ będzie o to nieziemska awantura... Palenie sienników i przyodziewku to dość drastyczne posunięcie. Tu żyją biedni ludzie. Dla nich to wielka krzywda.

– To dla ich dobra! Zresztą ordynacja przewidziała na ten cel pewne kwoty, tak na zachętę – wyjaśnił Skórzewski. – Dla częściowego pokrycia strat każdy dostanie po trzy ruble odszkodowania, a dzieciaki po rublu.

– Tylko lepiej im tego nie mówić od razu – uśmiechnęła się sołtysowa. – Bo jak się rozochocą, dla tych paru groszy gotowi całą wieś z dymem puścić!

– Oj, to prawda – westchnął jej mąż. – Narodek mamy tu ciemny, ale chytry i chciwy...

Polał do kieliszków płynu z karafki. Goście spodziewali się wódki, ale, jak się okazało, gospodarz zaserwował miejscowy trunek. Pierońsko mocny bimber pędzony z miodu.

– W Galicji wprowadzili już przed laty przepis, że ludzi zawszonych i z kołtunami nie obsługuje się w urzędach, a dzieciaków ze zwierzyną we włosach nie wpuszcza do

szoły – odezwał się felczer.

– Są i tacy, co uważają, że kołtun chroni przed atakami diabelskich mocy, a wszy to oznaka zdrowia. – Doktor urznął jeszcze jedną pajdę i z niejakim zdumieniem spostrzegł, że pożarł już ponad pół bochenka. – Walka z zabobonami nie jest łatwa.

*

Pościelono mu w pokoiku na poddaszu. Najwyraźniej nocowali tu najznamienitsi goście. Na doktora czekało wygodne łóżko, świeżo obleczone pościel pachniała lawendą... Uchylił okno i zaraz zamknął je w panice, bo od chałup ciągnęło taką wonią, aż zakręciło go w nosie.

– Wsi spokojna, wsi wesola, mimo studni brud dokoła... – wymamrotał. Rozwiesił ubrania w starej trzydrzwiowej szafie. Poklepał kafle przyjemnie ciepłego pieca, ochlapał twarz w misce z wodą i wreszcie wygodnie wyciągnął się na łożu. Zaskrzypiały sprężyny. Chwilę później już spał.

*

To był sądny dzień. Sołtys stanął na wysokości zadania, ściągnął aż czterech żandarmów. Ponure draby w carskich mundurach z pałaszami u boku stały i patrzyły na wieśniaków takim wzrokiem, że ciarki przechodziły. Wielkie miedziane kotły udało się pożyczyć z niedalekiej gorzelni. Ustawione na ceglach napełniono wodą, dolano ługu i podłożono ogień. Zaczęło się od rewizji w chałupach. Skórzewski był bezlitosny. Zawszone sienniki, pierzyny i poduszki trafiały na stos. Podobny los spotkał kozuchy i baranice. Nie obyło się bez protestów i złorzeczeń.

Koce, pledy, prześcieradła i odzież trafiły do wygotowania. Szpary łóżek zalewano wrzątkiem. Podłogi szorowano ługiem. Ściany skrobano i malowano wapnem. Karaluchy, wszy i pluskwy ginęły tysiącami.

Czarny, gryzący dym wzbiał się w ciemne, pokryte deszczowymi chmurami niebo. Ludzie, widząc, ile wszelakiego dobra pada pastwą ognia, ze zdumienia wytrzeszczali oczy. Jednak skrupulatnie wypłacane odszkodowania, bezlitosna postawa doktora i obecność żandarmów stłumiły protesty.

Wszyscy mieszkańcy wsi zostali zgonieni na plac. Skórzewski i felczer szli wzdłuż kolejnych szeregów. Wyłapywali zawszonych i tych, których głowy zdobiły kołtuny. Kobiety, dziewczyny i dzieci kierowali w jedno miejsce, chłopców i mężczyzn ustawili osobno. Żandarmi zaraz uformowali z zatrzymanych kolumny i zamknęli w dwu komorach przyległych do izby felczerskiej.

Wszyscy zawszeni musieli przejść obowiązkowe postrzyżyny. Zajęli się tym pacholkiwie. Nożyce, używane na co dzień do strzyżenia owiec z wełny, tylko migwały w ich dłoniach. Resztki szczeciny przecierano gałganami umoczonymi w nafcie.

Niektóre kobiety obcinane na krótko zdobyły się na ciche protesty, ale obecność carskich siepaczy skutecznie tłumiała każdy bunt w zarodku. Teraz przyszła kolej na ścinanie kołtunów. Wieśniacy złorzeczyli przez drzwi i domagali się wypuszczenia. Jeden powoływał się nawet na znajomości w Chełmie...

– Dobra. Zaczniemy od kobiet. – Skórzewski zatarł ręce. – Dawać mi tu którąś, pierwszą z brzegu.

– Ścinamy kołtun i... – Felczer wołał się upewnić.

– I golimy miejsce po nim na łyso!

Pachołkowie nie patyczkowali się, przywlekli dziewczynę siłą, posadzili na krześle i stanęli po obu stronach. Skórzewski spojrział na nią i westchnął. Niebrzydka buzia, ślad inteligencji w błękitnych oczach... Tylko te włosy. Podszedł do branki i z wyraźnym obrzydzeniem obejrzał paskudny kołtun, szpecący jej głowę. Musiała cierpieć na tę przypadłość od kilku lat, bowiem kłęb posklejanych zaschniętą ropą i łojem włosów zwisał jej z potylicy jak dodatkowy warkocz.

– Obcinamy nożycami przy samej skórze, golimy, potem spróbujemy odkazić skórę i leczyć łojotok maścią – wyjaśnił felczerowi. – Resztę włosów zetniemy krótko i natrzemy naftą. – Strzepnął z obrzydzeniem wieszak, która maszerowała mu po rękawie.

Dziewczyna krzyknęła dziko i przewracając krzesło, rzuciła się stroną okna. Obaj pachołkowie zareagowali jak myśliwi, którym wymyka się sarna. Pochwycili ją przy samym parapecie i unieruchomili mocnym chwytem.

– Gdzie ci tak spieszo, mała? – zagadnął życzliwie ten wąsaty. – Pan doktor jeszcze nie skończył nawet mówić.

– Trzymajcie ją – polecił Skórzewski.

– Nie, błagam, nie! – ryknęła, aż zadrżała szybka w oknie. – Nie róbcie mi tego, panie! Umrę!

– Cichaj, głupia – syknął felczer. – To zabobony. Od tego jeszcze żadna nie umarła.

W chacie rozpętało się istne pandemonium. Dziewczyna wyła, ryczała, kwiczała, kopała, gryzła, drapała. Trzasnęła rwana sukienka... Wreszcie trzech roślących mężczyzn zdołało okiełznać zbuntowaną nastolatkę.

„Zapakowana jak w kaftan bezpieczeństwa z amerykańskiego więzienia” – pomyślał lekarz.

Pacjentka leżała na podłodze niczym mumia egipska, zawinięta ciasno w płócienną derkę. Z zawoju z jednej strony wystawała głowa, z drugiej stopy. Obaj pachołkowie przygniatali ją do desek, mimo to rzucała się jak ryba w sieci.

– Odurzyć by ją laudanum – podsunął felczer. – Bo eteru chyba nie mamy?

– Trochę, ale nie widzę potrzeby – wzruszył ramionami Skórzewski. – Zaraz będzie po wszystkim.

Przycisnął jej głowę kolanem do podłogi i puścił w ruch błyszczące niklem nożyce.

– Rachu-ciachu i po strachu – mruknął, odrzucając z obrzydzeniem kołtun na bok.

Następnie zajął się resztą włosów.

– U...u...u...u...umrę! – zawodziła dziewczyna.

– Ze wstydu? To raczej wstyd coś takiego nosić – parsknął. – Wszy wielkie jak karaluchy – burknął.

Felczer usłużnie podał mu gałgan nasączony naftą. Skórzewski tarł włosy, aż nabrał pewności, że robactwo dostało za swoje.

– Zawiń głowę na noc jakimś ręcznikiem – polecił. – A jutro nie zapomnij dobrze umyć szarym mydłem!

– Umrę! – jęczała.

– Zabobony! – syknął. – Dobra, rozwiążcie, wygońcie za drzwi i dawać mi kolejną.

Podniósł z podłogi odcięty kołtun i walcząc z mdłościami, cisnął do naszykowanego kosza. Felczer zmiatał włosy.

– Niech pan mi to odda – jęknęła sponiewierana.

– Wynoś się – syknął.

– Błagam, niech pan odda. – Padła mu do stóp i zaczęła okrywać pocałunkami cholewy butów.

Obaj pachółkowie z niejakim trudem oderwali ją od lekarza i wypchnęli za drzwi.

– Co za robota... – Skórzewski otarł pot z czoła. – A to dopiero pierwsza. Do wieczora nie skończymy.

– Bierzemy się za kolejną! – zaproponował felczer.

Następna dziewczyna była jeszcze ładniejsza. Na oko miała około dwudziestu lat. Pełne piersi, rozmiaru wielkich jesiennych jabłek, wręcz rozsadzały dekolt sukienki. Kołtuny miała mniejsze, ale za to aż dwa.

– No, to tniemy. – Doktor naszykował nożyczki.

– Ależ panowie. – Uśmiechnęła się przymilnie. – Po co tyle kłopotu?

– Dla zdrowia i higieny! – uciął.

– Zaraz tam, niech pan nie będzie taki surowy. – Przeciągnęła się kusząco. – Może pójdziemy sobie na stryszek, tam świeże sianko leży. Ja panu dogodzę, panom oczywiście potem też. – Uśmiechnęła się czarująco do pozostałej trójki. – A wy mnie puściecie bez obcinania...

– Związać tę lafiryndę i golimy – syknął Skórzewski.

Pachółkowie skoczyli i w ciągu trzech minut pacjentka wiła się na podłodze jak poprzednia, ciasno zawinięta w derkę. Gdy lekarz ciął, miotała rynsztokowe wiązanki, przeplatając je propozycjami natury seksualnej i sugestiami podającymi w wątpliwość męskość oprawców.

– Uf... – Lekarz dorzucił odcięte kołtuny do kosza.

– Oddaj pan chociaż moje włosy – zaskamląła.

– Nie martw się, odrosną – burknął.

– Oddajcie, panie, kołtuny, wam przecież zbędne. – Rozplakała się.

– Ty też ich nie potrzebujesz. Spalimy to draństwo.
– Na stryżku... – znów próbowała się przymilać.
– Won z nią za drzwi – poleciał.
– Dam dwa srebrne ruble – dobiegły zza desek żalose prośby.
– Niech pan mi to odda – drugi, równie płaczliwy głos zawtórował zza okna.
– O dobry Boże – sapnął i wydobył z torby butelkę wódki oraz cztery menzurki. –
Golnijcie sobie. – Polał pomocnikom. – Bo do reszty przy tej robocie nerwy zszargamy.
Dużo ich tam jeszcze?

– Osiemnaście dziółchów – zameldował felczer. – A dzieci to nawet nie liczyłem. Do tego chłopów z ośmiu będzie...

To było naprawdę ciężkie popołudnie... ale wreszcie dobiegło końca.

Przyszedł sołtys. W pokoiku cuchnęło naftą, potem, karbolem oraz moczem. Trzy pacjentki posikały się w trakcie operacji. Odcięte włosy wypełniały stary kosz po kartoflach. Skórzewski był tak zmęczony, że ledwo trzymał się na nogach. Jego pomocnicy, choć uraczeni parokrotnie wódką, wyglądali fatalnie. Prawie wszystkie dziewczyny stawiały zaciekle opór. Ale to i tak było małe piwo w porównaniu z tym, czego dokonywali przedstawiciele płci brzydkiej. Tu parę razy poszły w ruch pięści. Jeden z pacholków miał rozkwaszony nos, drugi podbite oko. Felczer wykręcił się sianem, stracił tylko rękaw bluzy, a policzek przecinały mu szramy pozostawione przez dziewczęce pazurki...

– A teraz to wszystko na środek wsi i spalimy! – Skórzewski trącił nogą kosz z obciętymi włosami.

– Spalić się nie da – zameldował felczer. – Deszcz leje jak z cebra. Trzeba by dobrze zlać naftą, a cała poszła na szorowanie głów.

– Ja też nie mam ani kropli – zmartwił się sołtys. – Ale zaraz zamówimy, stójkowy przekaże wiadomość do sklepiku w Bończy i jutro żydek dowiezie nową bańkę.

– W takim razie kołtuny pod klucz, a jutro urządzimy im autodafe! Spłoną na stosie, jak tysiąc lat temu płonęły posągi pogańskich bałwanów! – Skórzewski, chichocząc dziko, zatarł dłonie.

Na kolację podjadł jeszcze tego pysznego chleba z kielbasą. Ciął grube pajdy, a one rozplływały mu się ustach jak ambrozja...

– Doskonały – chwalił. – Dawno nie jadłem nic tak pysznego...

– Może jeszcze kieliszeczek przed snem? – Sołtys wyciągnął butelkę miodowego samogonu. – Ciężki dzień za nami.

Golnęli po szklanicy.

– O co chodzi z tymi kołtunami? – zapytał doktor.

– Oj, z daleka pan pochodzi – uśmiechnęła się sołtysowa.

– Moja rodzina mieszka na północnym Mazowszu, w płockiej guberni – wyjaśnił.

– Tu u nas mówi się, że kołtuna ruszać nie wolno, bo to grozi śmiercią, ślepotą lub

przynajmniej pomieszaniem zmysłów – wyjaśniła kobieta.

– O tym u nas jeszcze słyszałem. Ale nie rozumiem, po co one wszystkie chciały odzyskać to, co pościnaliśmy? – zirytował się.

– Bo jak już ktoś zechce odciąć kołtun, musi go za to przebłagać – wyjaśnił jej mąż. – Trzeba owinąć w czystą szmatkę, skropić wódką, dołożyć trochę cukru i tytoniu, żeby nie był głodny.

– I z szacunkiem położyć za piecem – uzupełniła kobieta. – Wtedy jest szansa, że będzie zadowolony. Bo jak się rozzłości, zemsta pewna!

– Boże, co za głupoty. – Lekarz złapał się za głowę. – Dwudziesty wiek nadchodzi, jak można jeszcze w ogóle hołdować takiej ciemnocie?!

– Wie pan, tu pod strzechy kaganki oświaty docierają z opóźnieniem. Niby władze państwowe każą budować rosyjskie szkoły powszechne, ale patrzą przez palce, czy wioski to zalecenie wykonują... To i ciemnota się szerzy. Plenimy jak możemy, ordynacja pomaga, Towarzystwo Rolnicze z Hrubieszowa na swoim terenie też sprawy nie zaniedbuje, ale co z tego... Chlup na drugą nóżkę?

– Oj, tego mi trzeba...

Doktor nawet nie zauważył, kiedy znalazł się na poddaszu. Alkohol dodał mu animuszu, uskrzydlił. Stapało mu się lekko, jakby nic nie ważył.

Otworzył drzwi swojego pokoju. Blask świecy poraził oczy. Okno było otwarte, o zewnętrzny parapet oparto drabinę. W łóżu leżała całkowicie naga nastoletnia dziewczyna.

– O, przepraszam panią najmocniej, pomyliłem sypialnie – wykrztusił i wyszedł.

Rozejrzał się po stryszku.

– Nie, do diabła – mruknął. – Nie mogłem nic pomylić, bo tu są tylko jedne drzwi... A może budynki pomyliłem? Nie, chyba też nie...

Wszedł jeszcze raz. Rozejrzał się. Pokój ewidentnie był jego. Płaszcz na kołku, podróżna waliza... Podeszedł do łóżka.

– Przepraszam, a co pani tu robi? – zapytał. – To moja kołdra i poduszka...

Z bliska dostrzegł, że dziewczyna była kompletnie zapłakana. Włosy miała krótkie, z jednej strony świecił równo wygolony placek. Znaczący się niedawna pacjentka...

– Oddam panu cnotę za moje włosy – wychlipała, rozchylając uda...

Doktor omal nie zwymiotował.

– Won, głupia, bo doniosę proboszczowi! A zanim kogokolwiek zechcesz kusić, to należy się umyć i wszy łonowe też trzeba wytępić!

Groźba poskutkowała. Nadal łkając, naciągnęła na siebie jakieś gieżło i wymknęła się, jak weszła – przez okno.

Chwilę jeszcze słyszał kłaskanie bosych stóp w błocie, potem odgłos padającego deszczu zagłuszył wszystko.

– Co za zdiczają obyczajem! – pokręcił głową lekarz. – Dobrze, że robactwa nie

naniósł... – Zlustrował prześcieradło. – Uaaa... Spać...

Przez chwilę chciał zamknąć okno, ale w głowie kręciło mu się ze zmęczenia tak okropnie, że postanowił na wszelki wypadek nie podchodzić do parapetu.

Padł na łóżko jak stał, w ubraniu i butach.

„Furda” – pomyślał. „Dziś dokonałem na polu higieny czynów tak chwalebnych, że zasłużyłem na małą taryfę ulgową! Ja, wielki, biały doktor ratujący murzyńską wioskę z objęć kostuchy... Nie, cholera, zaraz, przecież oni nie są czarni. A dlaczego nie są czarni? Aaaa... Przecież to lubelskie, nie Afryka... Ale ratuję! Ja, wielki, wspaniały, genialny, biały. Misja cywilizacyjna białego człowieka... Cholera, oni też biali... Ale jak w polu robią, to opaleni. Można by nawet rzec, śniadzi! Jak Indianie. Ja, biały, ratuję naszych czerwonoskórych braci. Nie, zaraz? Brązowoskórych? Ale ratuję, na pohybel rasistom!”

Zasnął.

*

Głuchy huk i wycie wszystkich wioskowych kundli wyrwały doktora ze snu. Spojrzał na fosforyzującą tarczę zegarka. Druga w nocy... Co u diabła? Podszedł do okna. Nadal mżyło. W ciemnościach nic nie było widać.

– A, do cholery – mruknął.

W tym momencie rozległ się kolejny głuchy huk i trzask pękającego drewna. Psy umilkły. Nieoczekiwanie powietrze rozdarł strzał z dubeltówki. Doktor padł na podłogę, przetoczył się i wyciągnął z torby podróźnej rewolwer nagant.

„Chłopi się zbuntowali” – pomyślał, odbezpieczając broń. „Przede wszystkim trzeba chronić sołtysa... I sołtysową...”

Starabanił się po schodach na parter. W saloniku paliła się lampa naftowa. Sołtysowa, zakutana w szlafrok, wpatrywała się w mrok. Nie wyglądała na przestraszoną.

– Co się stało? – wykrztusił gość.

– A kto to może wiedzieć – odburknęła. – Koń jakiś się zerwał albo byk może... Jakiś zwierz się tłucze, a może już zastrzelili. Mąż z flintą pobiegł...

Z daleka rozległ się ponownie trzask pękającego drewna i wrzaski ludzi. A potem wszystko ucichło. Rozległy się kroki i na ganku pojawił się sołtys.

– Co tam się działo? – zapytał Skórzewski.

– Cholera wie. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Jakieś duże bydlę tłukło się w ciemnościach. Słoń z menażerii Zamoyskich uciekł czy co? Strzeliłem raz na postrach, ale sam nie wiem, do czego. Proszę iść spać, ja jeszcze chwilę popilnuję.

*

Nad wioską wstawał ranek. Doktora dręczył ból głowy, zarwana noc dała mu się we znaki. Dopiero jajecznicza na szynce przywróciła go w pełni do życia.

– Żydek dostarczył już naftę – zameldował sołtys. – Chłopi szacują straty...

– Co właściwie działo się nocą? – dopytywał felczer.

– Coś się tłukło. Myślałem, że jeleni, ale to pewnie był żubr albo z menażerii ordynacji uciekło jakieś egzotyczne bydło. Rozrzuciło strzechy na kilku chatach, pourywało okiennice, wyłamało wrota w kilku stodołach i oborach, ale zwierząt nie ruszyło. Ludzie się pochowali.

– Zostały jakieś ślady?

– Do rana deszcz rozmył wszystko.

– Mamy naftę, to biegnijmy. – Skórzewski poderwał się dziarsko od stołu. – Zgońcie wszystkich na plac! Pochodnia nauki niech wzbudzi w ich oczach blask jutrzeńki nowych czasów. Czasów ostatecznego triumfu higieny!

– Hura! – Felczer spojrzał na kolegę dziwnie kwaśno, a może nawet podejrzliwie.

Sołtys działał szybko i bez ceregieli. Gdy obaj przedstawiciele medycyny dotarli przed gabinet zabiegowy, wieśniacy stali już zbici w trwożne stadko. Ktoś przyniósł bańkę z naftą.

– Tak właśnie należy działać! – zapalił się Skórzewski, potrząsając pękiem kluczy. – My, inkwizytorzy bogini higieny, za chwilę oddamy na pastwę płomieni herezję brudu i zacofania, która zbyt długo rzucała wyzwanie postępowym prądom nauki i nowoczesności. – Zachwycił się własną elokwencją.

Z namaszczeniem otworzył ciężką kłódkę i patentowy zamek. Przeszedł przez izbę, w której wczoraj odbywały się postrzyżyny, i rozwarł drzwi składziku.

– Oż krucafuks! – jęknął towarzyszący mu ciągle felczer.

Kołtuny i pukle zawoszonych kudłów zniknęły. Tylko w ścianie ziała nieregularna wyrwa. Skórzewski wyjrzał przez nią.

– Ktoś ukradł włosy – warknął rozwścieczony. – Ale widzę, że po ciemku sporo pogubił. Pójdę tym wilczym tropem. Przyślij mi sołtysa.

– A ja?

– Zaczynaj wygłaszać do chłopstwa pogadankę o chorobach przenoszonych przez wszy. Postaram się szybko wrócić.

Obiegł chatę i ruszył tropem. Na glebie widać było tu i ówdzie porzucone pojedyncze pasma włosów. Rozległ się tupot. To dołączył sołtys.

– Wytropimy gagatków – warknął lekarz. – Pewnie ukryli kołtuny gdzieś opodal...

Drepcząc po śladach, minęli stodoły.

– Ha! – krzyknął triumfalnie przywódca wsi, wskazując kupkę siana na ściernisku.

– Ha! – Teraz i Paweł dostrzegł, że to nie siano, tylko wielki stos kudłów.

Podeszli bliżej.

– Coś tego jakby dużo więcej, niż panowie naścinali – zaniepokoił się sołtys.

– Istotnie... – Doktor Skórzewski zamarł.

Przed nim z brudnej kupy powoli unosiło się coś dziwnego. Istota miała dobre cztery metry wysokości, cała upleciona z kołtunów wyglądała jak gladiator. Zagrały wspaniałe mięśnie poskręcane z warkoczy. Sylwetka zabłysła w słońcu jak wykuta z brązu – wszystkie kudły były posklejane łojem i ropną wydzieliną... Pełzające po włosach wszy miały wielkość polnych myszy.

– Co to za poczwara!?

– Kołtun ożył – szepnął lekarz, nie wierząc własnym oczom.

Bestia nie miała stóp. Poniżej kolan jej nogi składały się z dziesiątków macek-warkoczy wijących się po powierzchni ziemi.

„Grube niczym anakondy” – pomyślał zmartwiały doktor.



– Ostrzegałem – sapnął sołtys. – Powinniśmy je w szmatki zawinąć, skropić wódką, dać cukru i tytoniu i za piec w ciepłkę odłożyć, to mścić się nie będą. Nie słuchałeś, człowieku, a teraz...

– Chodu! – ryknął lekarz.

Odwrócił się na pięcie i rzucił do panicznej ucieczki. Za późno. Gruby warkocz świsnął w powietrzu jak bat i okręcił mu się wokół stóp. Skórzewski szarpnął się rozpaczliwie, ale już było za późno. Stwór strzelił warkoczem jak z bata i doktor rąbnął czołem we wrota stodoły. Zapadła ciemność.

*

Najpierw wrócił ból. Doktor uniósł dłoń i namacał na czole szorstki bandaż grubego opatrunku.

– Co się stało? – wymamrotał. – Gdzie ja, u diabła, jestem?

Otworzył oczy. Przy jego łóżku siedział nieznany mu człowiek w białym fartuchu.

– Doktor Piotr Siemiradzki – przedstawił się. – Witam wśród żywych, panie kolego. Jesteśmy na praktyce lekarskiej przy gorzelni Poletyłów w Bończy. Felczer ordynacji z sołtysem przywieźli pana dwa dni temu kompletnie bez zmysłów. Bali się, że drogi do szpitala w Chełmie by pan nie przetrzymał, a my mamy tu ambulatorium, zapas leków, salkę dla chorych, słowem wszystko, co trzeba. – Wypiął dumnie pierś.

– Kołtun...

– Tak, wiemy, strzygł pan we wsi kołtuny. Do tego wygłaszał pan chłopom prelekcje o ewolucji koni, o perspektywach rozwoju awionautyki i o rozumnym życiu na innych planetach oraz metodach komunikacji z nimi. Do tego jakieś antypaństwowe święstwa, ale to akurat jako Polacy rozumiemy, popieramy i oczywiście puścimy w niepamięć. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Rany boskie! – Otarł pot z czoła. – Nic z tego nie pamiętam... Ale ja...

– Podejrzewamy ciężkie zatrucie sporyszem. Widocznie zjadł pan chleb z zakażonej mąki. Wie pan, czym jest sporysz?

– Taki pasożytniczy grzyb, który pojawia się na kłosach... – przypomniał sobie. – W farmacji się go używa...

– To silna trucizna. Spożywany w niewielkich ilościach powoduje rozległe owrzodzenia, ataki egzaltacji, hysterii i paniki. Ale duża dawka może doprowadzić do groźnych halucynacji, omamów, wreszcie kompletnego pomieszania zmysłów... To się u nas czasem trafia, pola niekiedy prawie do samej rzeczki Wojsławki schodzą, w wilgotne lata grzyb się na kłosa rzuca. A na bardziej podmokłych terenach nad Bugiem to istna plaga. A to lato było bardzo deszczowe.

– Więc to tylko urojenia. – Skórzewski odetchnął z ulgą. – Widziałem naprawdę okropne rzeczy...

– To normalne przy zatruciach sporyszem. Nawet Kościół ostatnio zaczyna przebąkiwać, że pewne manifestacje bytów demonicznych, na które uskarżają się chłopci, mogą mieć taką właśnie przyczynę, psychologiczno-farmakologiczną...

Doktor ubrał się i wyszedł z pokoju gościnnego. Praktyka była niewielka, urządzona w zaadaptowanej wiejskiej chacie. Pchnął drzwi i znalazł się w przyzwoicie urządzonym ambulatorium.

– To mój współpracownik, Igor – lekarz przedstawił pomocnika.

Skórzewski przywitał się uściskiem dłoni.

– Muszę chyba wracać do Zamościa i pokajać się przed ordynatem, wytłumaczyć, dlaczego nie zdołałem wykonać tak prostego zlecenia... – Westchnął. – Dziękuję za pomoc...

– Proszę zostać do jutra, ludzie będą jechali na jarmark w Skierbieszowie, zabierze się pan z nimi, to połowa drogi, a tam na pewno będzie ktoś, kto wraca do miasta.

– Dziękuję... – zaczął i naraz urwał.

Jak zahipnotyzowany patrzył na leżący w kąciku stosik odciętych kołtunów. Podszedł w milczeniu. Otworzył drzwiczki pieca i zaczął kolejno rzucać je w płomienie.

– Panie kolego, niech się pan nie męczy niepotrzebnie – odezwał się przyjacielskim tonem doktor Piotr. – Zaraz po obiedzie czeka nas jeszcze trochę pracy. Zgolimy wszystkie, zwali się na jeden duży stos, a w nocy stróż pod piecem na raz spali...

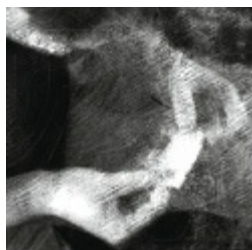
– Na stos... – Wzdrygnął się mimowolnie. – Wybaczcie, panowie, doświadczenie nauczyło mnie, że lepiej robić to na bieżąco... – wymamrotał Skórzewski. – Zanim urosną... Splączą się razem... Zdziczeją... – Urwał.

To, co mówił, naraz wydało mu się głupie.

„Doświadczenie?” – pomyślał. „Ile z tego widziałem naprawdę, a ile mi się uroiło wskutek ciężkiego zatrucia? Jeszcze mi się po tym sporyszu w głowie miesza... Ale lepiej na zimne dmuchać!”

Naraz, gdy patrzył w drżące od żaru wnętrze paleniska, wydało mu się, że jeden z kołtunów usiłuje się wyczołgać z ognia. Dobił go pogrzebaczem i wepchnął głębiej między płonące sosnowe szczapy...

Ślady stóp w wykopie



Nad wykop dotarłem wczesnym popołudniem. Doktor Olszakowski nie zmienił się przez te kilka lat, jakie upłynęły od dnia uzyskania przeze mnie dyplomu. Nadal wyglądał jak wielki, wkurzony krasnolud. Tylko brodę zapuścił bardziej krzaczastą, a grymas jego ust stał się jeszcze bardziej zgryźliwy. Jak to mówią, wszystkie złe myśli z całego życia odbijają się na obliczu starca. Trzeba całe życie pracować, by na starość mieć piękną twarz. Olszakowski, choć nie uważałem go za szczególnie złego i choć daleko mu było do emerytury, już miał gębę rozwścieczonego troglodyty.

– A, Robert Storm – mruknął, patrząc na mnie spode łba. – Witamy pana... – chyba miał ochotę splunąć, ale się powstrzymał – magistra, że tak powiem, na pokładzie...

Krzywił się przy tym, jakby zjadł cytrynę, ale wiedziałem, że to u niego normalne. Zawsze tak gadał. Przekroczyłem furtkę i rozejrzałem się. Na potrzeby wykopalisk wygrodzono sporą część parku miejskiego. W kącie, na terenie, który najwyraźniej nie miał być badany, ustawiono dwa kontenerki i blaszaną wiatę – zapewne prowizoryczny magazyn znalezisk. Pierwotnie sporą część terenu zajmował plac zabaw, wyłożony betonowymi płytkami chodnikowymi. Zostały zdjęte i ułożone w stosy opodal. Pod nimi była warstwa podsypki. Kierownik zarządził, by ściągnąć ją mechanicznie małym spychaczem. Poniżej wyzierała upstrzona kawałkami gruzu powojenna warstwa niwelacyjna. Grupa studentów i studentek wbijała właśnie kołki i naciągała sznurki.

– Zakładamy trzy wykopy sondażowe – wyjaśnił Olszakowski. – Dwa na dwadzieścia pięć metrów każdy. Ja biorę ten od wschodu, ty kopiesz w środkowym. Dostaniesz pięciu... pięcioro studentów do roboty. Jak się dobrze uwiniemy, za dwa tygodnie dojdziemy do calca, przerzucamy siły i kopujemy jeszcze zachodni. Małpiasty! – huknął.

– Tak jest. – Przypakowany, długoręki, zarośnięty student poderwał się z ławki.

– Zreferuj panu magistrowi sytuację, ja muszę wpaść do delegatury.

I znikł.

– No więc – student odchrząknął – wiosną wykonaliśmy tu wstępne badania radarem geologicznym. Nie przydał się na wiele. Przez ostatnie pięćset lat żyli tu ludzie.

Warstwy kulturowe, ślady rowów i fundamentów tworzą jedną wielką plątaninę. W zasadzie tylko dwie struktury można jakoś zidentyfikować. Od strony północnej, nieco ponad metr pod ziemią, biegnie coś, co wygląda jak szeroki prosty mur – zapewne fundament szesnastowiecznego kościoła pod wezwaniem Świętego Ducha, spalonego wiek później przez Szwedów. Mamy go na starych planach miasta.

– Będziemy kopać do tego miejsca?

– Trochę dalej. Doktor chce zajrzeć jeszcze do środka budowli... Od południa obszar badań zamyka podobna anomalia, w której domyślać się możemy fundamentu dziewiętnastowiecznej synagogi, spalonej przez Niemców w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku. Przestrzeń pomiędzy dwiema świątyniami użytkowano przez kilkaset lat, ale to peryferia osady, przy samym murze miejskim. Nie było tu chyba kamieniczek ani żadnych okazałych konstrukcji...

– Rozumiem.

– Doktor zdobył przedwojenne zdjęcia tego kawałka przedmieścia. Taki typowy, do bólu żydowski sztetl. Domy z murowanymi parterami i drewnianym pięterkiem, do tego szopki, składziki, przybudówki. Pewnie siedziała tu masa żydowskich szewców, rymarzy, koszykarzy... W czasie wojny wszystko wypalono do gołej glacy. Po wojnie wytyczono tu skwer, a teraz chcą postawić budynek socjalny ogródka jordanowskiego.

– Będzie podpiwniczony? – przerwałem słowotok.

– Nie, lekka konstrukcja na betonowej wylewce, ale to jedyna okazja, by zajrzeć w głąb ziemi. Kolejna może przytrafi się za dwieście lat...

Uśmiechnąłem się lekko. To właśnie lubiłem w archeologii. Świadomość pierwszeństwa. Wyciąga się na światło dzienne rzeczy, które spoczęły w ziemi trzysta lat temu. Garnki, których przez kilka stuleci nie dotknęła dłoń człowieka... Przyjemnie jest także zasypywać odsłonięte warstwy. Patrząc, jak na niedawno odkopany średniowieczny fundament padają kolejne grudy ziemi, kryjąc go przed ludzkim wzrokiem na następne kilkaset lat... Być pierwszym, który go dotknął, i ostatnim, który nań patrzy...

Nie wiem, czy student myślał o tym samym. Ale miał podobnie rozmarzoną minę. Przeszedłem, patrząc pod nogi. Gleba była szaro-czarno-czerwona. Ziemia upstrzona odłamkami cegły, węgielkami, bryłkami stopionego cynku z rynien, ułamkami szyb okiennych. Ponadto poniewierały się tu odłamki butelek, kawałek lusterka, porcelanka – przedwojenny korek do piwa... Moneta? Nie, to tylko kapsel... Podniosłem zieloną bryłkę. To chyba był kiedyś mały mosiężny lichtarz, stopił się w pożarze...

– Pod wykrywaczem metali tylko wyje – wyjaśnił student. – Pordzewiałych gwoździ tu na kilogramy... A głębiej w ziemi może być wszystko. Albo nic...

– Coś będzie na pewno – uspokoiłem go. – Kto to jest?

Wśród studentów kręcił się chłopak przynajmniej o głowę niższy od innych.

– Sławek. Miejscowy chyba, zgłosił się jako wolontariusz. Marzył, by pokopać sobie

z archeologami. Doktor go przyjął do pomocy.

Dzieciak wyglądał na jakieś czternaście lub piętnaście lat. Wystroił się jak...

– Syndrom roku pierwszego – mruknąłem.

Tak się mówiło, gdy parę lat temu studiowałem archeologię. Zawsze na początku roku akademickiego pojawiali się studenci, którzy wyglądali jak żywcem wzięci z filmów o przygodach Indiany Jonesa. Po paru dniach, gdy orientowali się, że nikt poza nimi się tak nie ubiera, chowali kowbojskie kapelusze i torby raportówki... Recydywa następowała, gdy rok pierwszy jechał na wykopaliska. Spory odsetek dochodził bowiem do wniosku, że „teraz to już na pewno trzeba się wystroić archeologicznie...”. Ten łebek najwyraźniej tak samo myślał.

Doktor wrócił koło dwunastej. Tryskał dobrym humorem. Dostałem do pomocy trzy dziewczyny i tego małowatego, który mnie oprowadzał. Ale kierownik zaczął oczywiście od uroczystej odprawy. Kazał nam stanąć w szeregu.

– Studenci – zagrzmiał i urwał, patrząc na Sławka.

Milczał przez chwilę zbity z tropu, intensywnie marszcząc czoło. Obecność niestudenta zaburzyła mu plan corocznego przemówienia inauguracyjnego.

– Przyjaciele – rzekł wreszcie – wybiła oto godzina, gdy śmiało wędzemy się w głąb ziemi, by ocalić dla potomności spoczywające w niej skarby pokoleń, które odeszły... Grace w dłoń – zakomenderował.

Ściągnęliśmy grackami pierwszą warstwę niwelacyjną. Luźną ziemię zgarnęliśmy łopatami i wyrzuciliśmy na wolne miejsce poza wykopem. Z czasem miała wyrosnąć tam wielometrowa hałda. Doczyściliśmy spong, rozciągnęliśmy siatkę ze sznurka, wykonaliśmy fotografie. Nadałem numery ewidencyjne widocznym warstwom, pokazałem studentom, jak należy obsługiwać niwelator. Zrobiliśmy pierwszy rysunek dna wykopu. Zeszliśmy kolejne dziesięć centymetrów.

Wydobytą ziemię przesiewaliśmy sitem. W kuwetach pojawiły się pierwsze znaleziska. Przemieszane kawałki fajansu i porcelany, nierozpoznawalne przedmioty metalowe, strawione przez ogień i korozję. Przeszedłem się po wykopie z wykrywaczem metali. Lepiej nie natknąć się na jakiś niewypał. Urządzenie faktycznie wyło co krok. Gwoździe, gwoździe, gwoździe... Studenci, początkowo podekscytowani sytuacją, zaczęli się męczyć i nudzić. Upał, pył zgrzytający w zębach. Nie nawykli też do machania łopata... Dwie dziewczyny przyszły w koszulkach odsłaniających ramiona. Zrugąłem je łagodnie i wysłałem do sklepu na rogu po lepszy przyodziewek. Po paru godzinach na tym słońcu zlazłaby im skóra...

Miejscowi snuli się wzdłuż płotu z siatki, patrzyli, co robimy, i komentowali między sobą. O szesnastej zadokumentowaliśmy ostatni tego dnia odsłonięty poziom i zakończyliśmy prace. Studenci poskładali narzędzia i rozeszli się na kwatery. Podniosłem z hałdy przy sąsiednim wykopie stary, przedwojenny grzebień. Olszakowski musiał go znaleźć i beztróska wyrzucił.

– Mogę zabrać? – zwróciłem się do kierownika.

– A co? Mało masz śmieci w domu? – zirytował się. – Współczesne barachło, ale jak ci się przyda, bierz... – Wzruszył ramionami.

Spakowaliśmy sprzęt do magazynu i byliśmy wolni. Studenci zostali zakwaterowani w jakimś domu wczasowym, my dwaj mieliśmy nocować w pokojach gościnnych przy lokalnym muzeum. Po drodze kupiliśmy pizzę na wynos, po takiej harówce głodny byłem jak wilk.

Pomieszczenie wyglądało sympatycznie. Dywan, trzy łóżka, szafka... na niej telewizor. Obok mieliśmy jeszcze łazienkę. Rzuciłem swoją walizkę w kąt, wziąłem szybki prysznic, a potem wydobyłem z kieszeni torebkę z grzebieniem.

– Współczesny śmieć! – parsknąłem, myjąc znalezione wodą z mydłem. – Dobre sobie... Ale dla mnie to i lepiej.

Małą szczotką usunąłem glebę spomiędzy zębów. Przez niemal siedemdziesiąt lat leżał w ziemi. Był po wierzchu trochę zmatowiały, ale to można spróbować delikatnie spolerować... Teraz najważniejsze. Nie wysuszyć zbyt gwałtownie. Ostrożnie natarłem go gliceryną. Wreszcie uniosłem przedmiot do żarówki. W jej świetle stał się półprzejrzysty, pokazał całą ukrywaną dotąd łaciatą urodę. Zalśnił ciepłą barwą brązów...

– No i co to za cudo? – zagadnął Olszakowski, stając w drzwiach.

– Prawdziwy szylkret – odgryzłem się.

– Znaczy się skorupa tych żółwi, co to teraz są pod ochroną – odgadł. – I co? Będiesz się tym czesał?

– To raczej kobiecy...

– No to dasz swojej dziewczynie? – dociekał.

Wzruszyłem ramionami.

– Mam karafkę, którą mój ojciec wykopał w powojennych gruzach – powiedziałem. – Dobrałem korek i czasem jej używam. Na pohybel tym, którzy próbowali wymazać ten fragment rzeczywistości. Nalewam sobie z niej i to jest moje prywatne zwycięstwo nad głupimi naziolami. Ale grzebień... To przedmiot osobisty. Siedziała tu jakaś żydowska dziewczyna i rozczesywała nim długie kruczoczarne włosy. Nie dam go Marcie...

– Uhum... Niekonsekwencja – mruknął. – Rozczesanie blond włosów pani akustyk już nie byłoby zwycięstwem nad nazizmem?

– Nie wiem. Ale czuję, że to by było coś niewłaściwego... Błąd... Profanacja wspomnień po tamtych ludziach. Zresztą i ona pewnie by nie chciała. Co robimy jutro? – wołałem zmienić temat.

– To samo, co dziś... Nie masz czasem tej karafki ze sobą?

– Nie mam...

– To nie będziemy przelewali. – Otworzył małą lodówkę i wydobył z niej butelkę

mołdawskiego wina.

– Słodkie czerwone pod pizzę z tuńczykiem? – Skrzywiłem się.

– I to ze szklanek, bo nie mam kieliszków – uciał.

Ze zmierzwioną brodą i krzaczastymi brwiami wyglądał jak barbarzyńca zbliżający się do emerytury.

*

Drugi dzień był podobny do pierwszego. Tylko upał jeszcze bardziej dawał się we znaki. Plant, doczyszczanie, zdjęcia, rysunek. I kolejna warstwa... Byliśmy już prawdopodobnie na poziomach połowy XIX wieku. Świadczyło o tym kilka monet, w tym wytarta dziesięciogroszówka z tysiąc osiemset czterdziestego, wykonana ze srebrzonej miedzi – jedna z ostatnich monet wybitych w mennicy warszawskiej. W kuwetach na zabytki piętrzyły się stosy skorup, trafiły nam się także guziki pościelowe cięte z kości oraz bańki lekarskie, bardzo podobne do używanych przez moją babkę, ale zrobione nie ze szkła, lecz z dobrze wypalanej gliny.

Po przerwie śniadaniowej okazało się, że jesteśmy ciut opóźnieni w stosunku do prac w równoległym wykopie, więc doktor Olszakowski przydzielił mi do pomocy Sławka.

Upał wzmagał się. Ryłem w glebie, klnąc w duchu. Co jakiś czas zwilżałem gardło wodą mineralną ze stojącej w cieniu butli. Wchłonałem półtora litra i nawet nie zachciało mi się sikać – cała wilgoć ulatywała w postaci potu... Dziewczyny pojękiwały, skrobiąc wysychającą ziemię. Chłopak też żłopał wodę jak smok, ale chyba w ogóle się nie męczył.

– Chciałbym żyć w dawnych czasach – trajkotał z ożywieniem.

– Co masz na myśli? – zainteresowałem się.

– No na przykład w czasach potopu szwedzkiego. Walczyć z wrogiem. Przeżywać przygody.

– Daj spokój. – Westchnąłem. – Za dużo filmów się naoglądałeś. Wojna jest fajna, jak się o niej czyta. A czasy potopu... Po pierwsze nie było lodówek, zdechłbyś choćby od mięsa, które oni uważali za jeszcze świeże. Do tego epidemie, wszy, pluskwy...

– Ale za to Polska była największym i najbogatszym krajem Europy... Chciałbym to zobaczyć...

– Podziwiam twoją motywację patriotyczną, ale spójrz, proszę, realnie. Brud, smród, wychodki, w których podcierasz się pakułami...

– Oj tam. – Wzruszył ramionami.

W poprzek wykopu pojawiły się dwa ceglane murki, oddalone o około półtora metra, wzniesione oszczędnie, na jedną cegłę. Wgryźliśmy się między nie i trafiliśmy na betonową wylewkę.

– Co to było? – zapytał. – Utwardzona ścieżka między szopami?

– Albo stoimy we wnętrzu na przykład kurnika z wybetonowaną podłogą. – Wzruszyłem ramionami. – Skocz po kilof, a ja to w międzyczasie zadokumentuję.

Wzięłem jedną ze studentek, chyba miała na imię Irena, i zrobiliśmy niwelację. Wylewka nie była gruba. Rozbiłem ją kilkunastoma uderzeniami. Tuż pod nią moja gracka zazgrzytała o coś. Ująłem szpachelkę i ostrożnie grzebnałem w glebie.

– Oho! – mruknąłem. – Mamy tu chyba coś ciekawego...

Chłopak ukucnął obok mnie. Powolutku odsłoniliśmy prostokąt zardzewiałej blachy. Obkopaliśmy wokoło.

– Co to, u diabła, jest? – zastanawiał się Sławek.

– Szczerze powiedziawszy, wygląda na żeliwny rezerwuar od kibla – mruknąłem. – Ale... Czemu akurat tutaj? I to jeszcze... zalutowany!

Faktycznie, między górną pokrywą a resztą korpusu biegł pasek sparszywiałego po wierzchu cynku albo ołowiu.

– Skarb! – szepnął podekscytowany chłopak.

– Niewykluczone, goń po kierownika.

Ale doktor Olszakowski, wiedziony widać szóstym zmysłem, już schodził do naszego wykopu.

– Ciekawe – mruknął, strzelając zdjęcia dokumentacyjne. – Wyciągamy.

Poruszyłem znaleźnikiem. Rezerwuar był ciężki, co najmniej kilkanaście kilogramów... Co mogło być w środku?

Ostrożnie przenieśliśmy go do magazynu.

Olszakowski dłuższą chwilę zastanawiał się nad metodami otwarcia. Wreszcie ujął dłuto i młotek. Stukał w lut. Metal puszczał bardzo szybko. Wreszcie przy którymś mocniejszym uderzeniu udało się odbić pokrywę.

Wewnątrz stała woda. Miała rdzawy kolor... Wylaliśmy ją ostrożnie. Na dnie była jedynie warstewka błota. Rozgarnąłem je pro forma. Nic...

– No i nie ma skarbów. – Sławek wyglądał na zdrowo rozczarowanego. – A przecież żyli tu Żydzi...

– A co, wydaje ci się, że każdy Żyd był bogaty? – wyszczerzył zęby doktor. – Tu biedota mieszkała. Krawcy, szewcy, wyrobnicy. Poczytaj sobie w starej gazecie ogłoszenia o licytacjach komorniczych i porównaj, ile tam nazwisk żydowskich, a ile aryjskich.

– W tym mogły być papiery – zauważyłem. – Niekoniecznie zaraz akcje fabryk, obligacje czy akty własności. To mogły być jakieś dokumenty prywatne albo na przykład księgi rachunkowe czy ewidencja z synagogi. Ukryto je, ale lut z czasem puścił, a w wodzie wszystko szybko zgniło...

– To możliwe – mruknął nasz kierownik.

Też musiał być rozczarowany.

– Co z tym zrobimy? – Chłopak trącił żeliwną skrzynkę nogą.

– Napełnimy różnymi współczesnymi śmieciami i wrzucimy na dno zasypywanego wykopu z pozdrowieniami dla naszych kumpli po fachu z roku dwa tysiące pięćset osiemdziesiątego szóstego – wzruszył ramionami Olszakowski. – Chyba że pan antykwariusz zechce to sobie zabrać do domu, odczyścić i powiesić w łazience... – Spojrzał na mnie kpiąco.

– Szczerze powiedziawszy, przyszło mi to nawet do głowy – odparłem. – Ale korozja wlaźła zbyt głęboko w strukturę. Tego już się nie doczyści.

Wróciliśmy do roboty. Opodal murków znaleźliśmy przegniłe resztki przewróconego płotu i skorodowaną kłódkę kowalskiej roboty. Wyglądała na wyrób dziewiętnastowieczny.

– Jakoś... – zaczął Sławek i urwał.

– Inaczej wyobrażałeś sobie robotę archeologa. – Uśmiechnąłem się domyślnie.

– Tak – odpowiedział szczerze. – Myślałem: piwnice, ciekawe znaleziska, garnki złotych monet...

– No cóż. – Odłożyłem do kuwety nieźle zachowaną szyjkę osiemnastowiecznej butelki. – Większość tego, co kryje ziemia, jest dla laika kompletnie nieciekawa... Ale jeśli cię to nudzi...

– Jeszcze kilka dni z wami pokopię. – Uśmiechnął się. – Ten rezerwuar do kibla to było coś, poczułem adrenalinę...

*

Szara pylista gleba naćkana odłamkami garnków. Umyłem kilkanaście kuwet z fragmentami, rozłożyłem na stole roboczym gazety. Skorupki schły na słońcu, a ja po kolei mierzyłem ich średnice i wpisywałem w tabelę na laptopie. Akurat wypadła przerwa śniadaniowa. Sławek podszedł i długo stał, milcząc.

– Hmm... Patrzę i nie rozumiem – zagadnął wreszcie.

– Sprawdzam stratyografię warstw – wyjaśniłem. – Wedle idei profesora Andrzeja Buko fragmenty ceramiki ulegają stopniowemu rozdrabnianiu w trakcie transportu z ziemią. To znaczy w miejscu, gdzie stare garnki po prostu wdeptano w glebę, kawałki będą większe niż w miejscach, gdzie trafiły razem z ziemią przierzucaną łopatami.

– Yyyy... chyba rozumiem.

– Te skorupy pochodzą ze zbliżonego okresu. Ale przez dobre dwieście lat technika garncarska w zasadzie nie szła do przodu, a w dodatku tu, na prowincji, nowe techniki upowszechniały się z opóźnieniem. Dlatego mierzę średnice. Sprawdzę po tysiąc kawałków z każdej warstwy i może coś wyjdzie.

– Szef wspomniał, że jest pan kimś w rodzaju antykwariusza...

– Kimś w rodzaju. – Wzruszyłem ramionami. – Powiedzmy, że szukam interesujących okruchów przeszłości. Resztek naszego dziedzictwa, które fale morza

czasu wyrzuciły na nasz brzeg.

- Stary plastikowy grzebień?
- Szylkretowy – sprostowałem.
- Znaczy w kolorze jak oprawka okularów?

Pokolenie, które nie wie, co to pergamin, koperwas, szylkret, szelak, celuloza, nawet ebonit... Które nie odróżnia prawdziwego koralu od czerwonych agatów, a barwiony marmur weźmie za turkusy... Dla którego karbid to nie materiał do zabaw pirotechnicznych, ani nawet źródło acetylenu do lamp, ale jedynie środek na krety... Westchnąłem w duchu i zacząłem tłumaczyć. Słuchał w skupieniu.

– Ciekawe – powiedział wreszcie. – Ale tu... – ogarnął gestem wykop – tu nie ma tych okruchów wyrzuconych przez fale. Albo inaczej... – Wrzucił skorupę do kuwety. – Fale wyrzucają nam nie bursztyn, a co najwyżej połamane muszelki sercówki...

- Coś tak jakby... Masz dość machania łopata?
- Lepsze to niż pakowanie na siłowni, a muskulaturę warto poprawić. – Napiął rękę, pokazując marny biceps. – Jeszcze parę dni pokopię.

*

Prawdziwa niespodzianka pojawiła się dopiero w następnym wtorek, na poziomie minus dwa. Nieoczekiwanie kolejna odsłaniana warstwa zrobiła się czerwona od kawałków przepalanej gliny. Potem pod graczami zachrobotyły kamienie. Najpierw kilka sporych głazów, potem mniejsze pomiędzy nimi. Mur... Kamienny fundament drewnianego kościoła albo przyległego do świątyni budynku szpitala.

– Zwróćcie, proszę, uwagę. – Kierownik pojawił się między nami. – Tu szalał pożar. Przepalony granit właśnie tak wygląda, rozsypuje się na drobne kawałeczki...

Studenci obejrżeli kamienie pokryte kaszką drobnych kolorowych ziarenek i pokiwali uczenie głowami. Kopaliśmy, próbując rozeznaczyć sytuację stratygraficzną. Wokoło ściany walało się trochę kamieni, masa spieczonych brył polepy ze ścian i kilka cegieł. Budynek najwyraźniej zapadł się do środka. Potem materiał częściowo wybrano. Na gruzowisku z czasem wyrosła dzielnica żydowska...

Powolutku odsłanialiśmy coś, co wziąłem za calec – warstwę nietkniętą przez człowieka. Szarozółty, lekko zgliniony mazowiecki piasek, pamiątka epoki lodowcowej... Gracki zrywały warstewkę grubości może centymetra. Wszystko rysowało się idealnie. Każdy węgielek głębiej wbity w podłoże... A wzdłuż naszego wykopu rząd regularnych owalnych ciemnych plam... Zagłębienia wypełnione popiołem i węgielkami...

- Co to może być takiego? – dumał Sławek. – Wygląda zupełnie jakby...
- Tak, to ślady stóp – powiedział kierownik. – Ktoś przebiegł się po mokrym piachu, a potem sypnęło popiołem, następnie ktoś, równając teren, przysypał to glebą innego

koloru i trop utrwalił się na wieki. Odczyście ładnie do fotografii i na dzisiaj koniec. Jutro wkopiemy się głębiej, a potem sprawdzimy jeszcze ten kawałek. – Wskazał glebę wewnątrz dawnego kościoła.

– To nie calec? – zdziwiłem się.

– Może... Ale wzdłuż ściany powinny być groby, a tu nie widać. To chyba jakaś warstwa niwelacyjna. – Bez przekonania grzebnął szpachelką. – Zobaczymy.

Godzinę później dno wykopu było już ślicznie odczyszczone, sfotografowane i narysowane. Gdy patrzyłem z krawędzi profilu, ścieżka śladów rysowała się bardzo wyraźnie.

– Zdumiewające – powiedział chłopak, stając obok mnie. – Był sobie człowiek, przeszedł tędy... Jego już nie ma. Umarł trzysta lat temu. Być może jego kości rozsypały się dawno w pył. A tymczasem ślady jego stóp przetrwały i dopiero my je zniszczymy, kopiąc głębiej...

– Cóż, archeologia to nauka destruktywna... – mruknąłem. – W mniejszym lub większym stopniu niszcymy bezpowrotnie badany obiekt...

Wreszcie dzień pracy się skończył. Studenci poskładali łopaty, szpadle i gracki i rozeszli się na obiad, to znaczy zapewne pić piwo... Olszakowski pozbiierał drobny sprzęt do koszyka, poszedł zamknąć go w magazynie. Ja siadłem na murku i wyciągnąłem z torby gazetę. Kątem oka zobaczyłem, że Sławek wrócił do wykopu. Kroczył teraz po odsłoniętych śladach, starannie stawiając nogi dokładnie tam, gdzie jego poprzednik trzysta pięćdziesiąt lat temu. Wyobraziłem sobie tę scenę. Rozmoczony po deszczu błoto, które przeschnie na wietrze, a dzień lub dwa później zasypią je węgle i popiół płonącej świątyni... Co myślał ten człowiek? Czy bał się Szwedów? A może to ślady żołdaka, który odchodził, podpaliwszy polski kościół?

Sławek zrobił jeszcze krok i zasłoniła go hałda. Wróciłem do lektury. Siedziałem długą chwilę, studiując gazetę. Kraj pod rządami Bronka Ortografa wydawał mi się jednym wielkim chlewem. Afery, malwersacje, chamstwo polityków, łapówkarstwo, złodziejstwo, czasem śledztwa. Dzień w dzień to samo od lat...

Olszakowski nadszedł, niosąc dwie złożone skrzynki transportowe, i nagle zamarł, patrząc do wykopu.

– Co jest, do cholery!?! – syknął.

Podniosłem się i spojrzałem, co mogło go zaniepokoić. Dopiero po chwili zrozumiałem: wykop był pusty.

– Gdzie on się podział? – zdumiałem się.

– Nie wiem... Przecież... Przysypało go? Nie...

Tknieci jedną myślą zbiegliśmy na dno. Spieczona ziemia nie zachowała żadnego śladu. Podszedłem do profilu i dotknąłem go opuszkami palców. Kierownik zrobił podobnie. Gлина pod naszymi dłońmi była twarda, spoista, nawet pionowe linie pozostały nienaruszone...

– Co, u diabła...? – szepnął.

Nigdy w życiu nie widziałem tak bladego człowieka. Obmacywałem ścianę, ale na próżno. Chłopak po prostu znikł.

– Ty widziałeś i ja widziałem – mruknął szef. – Dreptał po tych starych śladach i...

– Tego właśnie nie widzieliśmy – parsknąłem. – Nie został przysypany, nie zapadł się, żaden z nas nie widział, by rozpułnął się w powietrzu...

– Może po prostu wlaź w ścianę gleby jak jakiś Harry Potter na londyńskim dworcu – doktor usiłował żartować, ale zabrzmiało to żałośnie.

– Czyli twoim zdaniem co mamy teraz zrobić? – zapytałem. – Zgłosić na policję zaginięcie czy jak?

– Nie wiem. – Westchnął bezradnie. – Zgłosimy, to nas wsadzą do wariatkowa. Rodzinę by można powiadomić, ale... Psiamać, pamiętasz jego nazwisko? Albo może znasz adres?

Pokręciłem głową.

– To ty go zatrudniałeś...

– Przyszedł, skamlał, że to jego marzenie grzebać w ziemi z prawdziwymi archeologami, to i się zgodziłem... W papiery mu nie patrzyłem, bo i po co?

– Pewnie po prostu wyszedł jakoś, gdy nie patrzyliśmy? Ja się zaczytałem, ty nosiłeś graty. Już późno, może poszedł do domu, a jutro zjawi się jak gdyby nigdy nic... – starałem się mówić spokojnie, jakbym sam chciał siebie przekonać.

– No cóż, jak ktoś go będzie szukał, wtedy będziemy się martwić... – próbował kpić. – A może... Może ziemia jak wzięła, tak odda? – dodał bez przekonania.

– Nie wzięła, bo niby jak... – próbowałem go uspokoić.

*

Czekałem na poranek, prawie nie zmrużywszy oka. O szóstej pobiegłem na wykop. Wybiła ósma. Studenci podjęli pracę, ale Sławek się nie zjawił. Dwie lub trzy osoby skomentowały jego nieobecność... Następnego dnia też się nie pojawił...

Przez cały weekend padało. Gdy przyszliśmy na wykop, fundament był opłukany jak do zdjęcia, ale dno pokryła jednolita warstwa świeżego błotka. Dobrze, że zdążyliśmy z dokumentacją. Dopiero we wtorek kierownik zdecydował założyć kolejny wykop, metr na północ od feralnego profilu... Warstwy były tu kompletnie zaburzone. Kawałki porcelanowych talerzy tkwiły obok średniowiecznych skorup. Prawdopodobnie już po wojnie planowano tutaj coś budować, a może czegoś szukano? Ryliśmy w głąb, szukając warstw nienaruszonych... Przez tydzień kopałem jak w malignie. Każdy zgrzyt gracki stawiał włosy na karku. Sam nie wiem, dlaczego spodziewałem się niemal w każdej chwili natrafić na szczątki chłopaka... Ale nie natrafiłem.

W piątek doszliśmy prawie do poziomu minus dwa... Z warstw wybraliśmy kilkaset

skorup z XVI i XVII wieku, znaleźliśmy ładne okucie książki i formę do lania kul z czasów mniej więcej powstania listopadowego, ale poza tym nasze badania nie przyniosły nic ciekawego...

„Jeszcze trochę i będziemy na feralnym poziomie spalonego kościoła” – pomyślałem.

Nieoczekiwanie gracka zazgrzytała o coś.

– Co tam mamy? – zaciekawił się kierownik, schodząc na dno wykopu.

– Nie bardzo wiem – mruknąłem, pracując szpachelką. – Dziwny dźwięk...

Pomiędzy drobnymi kamieniami błysnęła brązem szyjka butelki. Omiatałem ją delikatnymi ruchami pędzelka. Szef pstryknął dwie fotki cyfrówką. Jeszcze chwila i mogłem wydobyć ją z ziemi. Butelka została wydmuchana ręcznie w jakiejś prowincjonalnej hucie. Mogła równie dobrze pochodzić z XVII, jak i XIX wieku... Szkło sparszywiało, poszarzało, zbrązowiało, pokryło się po wierzchu tęczową łuską. Ale czop tkwił mocno w szyjce. Była lekka. Pusta? Nie, wewnątrz coś stuknęło. Uniosłem ją do słońca. Szkło, jak się okazało, nie zmatowiało tak do końca, ujrzałem słabo prześwitujący podłużny kształt. Niedopałek cygara!?

Ostrożnie wydłubaliśmy zatyczkę wykonaną z mocno nawoskowanych pakuł. Cmoknęło. Powietrze XXI wieku zmieszało się z uwięzionym w butelce tchnieniem przeszłości. Wytrząsałem na dłoń zwitek grubego kosmatego papieru. Rozwinąłem.

ŻYJĘ! WYCIĄGNIJCIE MNIE STĄD!



Patrzyliśmy bezradnie na słowa napisane dużymi drukowanymi literami. Krzyk rozpaczy? Czy Sławek wiedział, gdzie założymy kolejny wykop? Czy kulfony te w ogóle wyszły spod jego ręki, czy też skreślił je kto inny? Bo przecież kartkę mógł napisać ktokolwiek i kiedykolwiek. Ale czuliśmy, że jednak on.

Tylko co niby moglibyśmy zrobić? Przejść jego tropem przez ścianę gleby? Deszcz, który nawiedził miasto w weekend, rozmył ślady stóp. Tamten wykop był już zresztą zasypany... Milczeliśmy, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów...

Parowóz



W redakcji o tej porze nie było już nikogo z etatowych pracowników. W trzech pomieszczeniach panował typowy twórczy nieład. Papierzyska, próbne wydruki piętrzyły się w malowniczych stosach. Osobno złożono listy od czytelników, pliki mniej i bardziej wiarygodnych fotografii... Wiatr gwizdał ponuro w przewodach wentylacyjnych, w okna bił ciężki jesienny deszcz. Tylko w jednym z pomieszczeń paliło się światło. Dwaj świeżo upieczeni absolwenci topili smutki egzystencji w kufkach. Po trzecim piwie Masław zdecydował się pociągnąć wreszcie gościa za język.

– Wspominałeś, że masz dla mnie supertemat na artykuł – zagadnął. – Może uchylisz rąbka tajemnicy?

– Kojarzysz nazwę miasteczka Michałowice? – zapytał Sławek.

– Niestety. – Pokręcił głową. – A co się tam stało? Kręgi w zbożu nauczyli się wydeptywać?

– To dziwne miejsce – powiedział poważnie kumpel. – Gadają, że chore. Przekłete. Czarny czakram...

– A konkretnie?

– Ludzie tam po wojnie umierali. Pół wiochy poszło do piachu. No, umierali znaczy się częściej, niżby to wynikało ze zwykłej statystyki. I nadal gmina przoduje, jeśli chodzi o czarne statystyki onkologiczne...

– Okolica nie sprzyja zdrowiu? Czy może klątwa rzucona przez pogańskich kapłanów?

– Ech, ty hieno z brukowca.

– Nasza gazeta to poważne pismo dla... – zaczął Masław i umilkł.

– Dla inteligentnych inaczej.

– Dla ludzi szukających także drugiego dna rzeczywistości. Pragnących poczuć dotknięcie nieznanego.

– Poważne gazety nie drukują obrazków gołych babek obok programu telewizyjnego.

– To grafiki kumulujące w sobie pozytywną energię. Tak w każdym razie twierdzi

ich autorka. A dziewczyny są nagie na znak niewinności i czystości.

– Inne gazety nie piszą w każdym numerze o UFO. Ani nie opiewają pieprzonych sekciarzy.

– Po prostu jesteśmy otwarci na różne formy duchowości...

– A jaka w tym, u diabła, duchowość!? – Wskazał sąsiadujące portrety Dalajlamy, Rasputina i Sai Baby. To jest pomieszanie z poplątaniem... A, pal diabli.

– A więc Michałowice to przekłeta wieś?

– Ażebyś wiedział. Pewne, khmm... wysoce poufne dane szpitalne wskazują, że coś tam jest mocno nie tak.

– Byłeś na praktykach w okolicy? – podchwycił Masław.

– Trzy miesiące.

Masław zagryzł wargi. Kumpel skończył medycynę i niebawem będzie lekarzem. On, absolwent historii, najpierw pół roku tułał się po zmywakach w Anglii, a teraz wujek podał mu pomocną dłoń i zatrudnił w redakcji swojej gazety.

– Odwalałem staż w szpitalu rejonowym w Kielcach – uściślił Sławek. – Wyobraź sobie, że gdy trafia im się ktoś z Michałowic, to stają na uszach i jak najszybciej próbują odesłać do Radomia. Niby że tam nowocześniejszy sprzęt i lepsza kadra. A tak naprawdę, żeby sobie nie psuć statystyk.

– Mogę się domyślać. A na co chorują ci ludzie?

– Na wszystko. Czasem na raka. Czasem na białaczkę. Ale głównie alergie, stany zapalne, a tych ze zwykłą anemią to na tuziny można liczyć. Do tego masa zawałów i udarów, jakieś zmiany zwyrodnieniowe stawów... To ludzie z tamtej gminy i dwu sąsiednich. No i jeszcze bywa to, co zwykle się robi z człowiekiem, gdy chła latami. Wątroba siada, cukrzyca atakuje, padaczka poalkoholowa... Ale tego nie liczę.

– Jak to się ma do reszty powiatu?

– Trzykrotna, może nawet czterokrotna „nadwyżka”. Oczywiście nie jest to żadna wioska trędowatych i ludzie nie umierają tam na ulicach, ale w statystyce widać pewne anomalie. A podobno kiedyś było jeszcze gorzej.

– Geny czy jakiś czynnik kancerogeny? – zainteresował się redaktor.

– Cholera wie. Może coś wywieszysz? Może ufoludki tam lądowały? Albo naziści prowadzili eksperymenty z cudowną bronią? A może ktoś klątwę rzucił? Albo, dajmy na to, obok jest wejście do piekła i z czeluści biją dymy przesycone grzechem wytopionym z ciał potępieńców... Zresztą to twoja działka. Ja daję trop. To ty jesteś od pisania głupot.

– To nie są głupoty. Wręcz przeciwnie. Staramy się wszystko weryfikować... Ubierać w liczby...

– Gadaj zdrów, przecież widać, że to gazeta dla świrów.

Masław westchnął. Temat wydał mu się średnio ciekawy. Chociaż, z drugiej strony, gdyby dać odpowiedni tytuł... Na przykład ten, który kumpel nieświadomie

podpowiedział: „Wioska trędowatych”. Brzmi nieźle... Nie. Jeszcze gmina pozwałaby redakcję! Czy w ogóle warto się za to brać? Kupa roboty, a efekt trudny do przewidzenia.

– Spróbuję się trochę rozejrzeć – powiedział niechętnie. – Znasz w okolicy jakąś kwaterę?

– U proboszcza w Michałowicach. Sympatyczny człowiek, od niedawna tam siedzi. Tamtejsi ludzie intelektem nie błyszczą, nie ma z kim pogadać, rad jest wszystkim gościom. Jeśli chcesz, mogę do niego zadzwonić choćby dzisiaj.

– Hmm... I sądzisz, że zechce przenocować wysłannika tak dziwnego pisma?

– Kto wie? W końcu piszecie też o duchowości katolickiej. Wprawdzie głównie o herezjach, kuriozalnych relikwiach i cudach, ale zapewne uzna, że nie każdy musi być teologiem, a takie disco polo religii też jest ludziom potrzebne...

– Odwal się! – Masław dolał kumpłowi piwa.

– To naprawdę sympatyczny człowiek. I nudzi mu się tam straszliwie. Weźmiesz rocznik waszego pisma, on wyciągnie zapas wina mszalnego i uśmiejecie się do łez... – droczył się Sławek.

– Widzę, że byłeś zobaczyć to zadżumione miejsce na własne oczy?

– Nie, miałem w ramach praktyk badania przesiewowe w miejscowej szkole. Od razu powiem, że nic ciekawego. Troszkę te dzieciaki niższe, niż powinny być, ale na terenach popegeerowskich to norma.

– Może i faktycznie warto się temu przyjrzeć? – Redaktor zamyślił się.

*

Informacji o Michałowicach było niewiele. Wioska i parafia założone zostały pod koniec XVIII wieku. W połowie XIX w okolicy znaleziono niewielkie złożę miedzi. Eksploatowano je przez kilkadziesiąt lat, a następnie porzucono. Obecność kopalni pozwoliła wiosce zamienić się w miasteczko. W czasie budowy kolei linię poprowadzono trzy kilometry od osady. Zbudowano dworzec i stację zaopatrywania parowozów w wodę. Po zamknięciu wyrobisk w pobliżu ruszyły dwa małe kamieniołomy. W latach dwudziestych próbowano wznowić wydobywanie rud metali, lecz wyniki nie były zachęcające. Tuż przed wybuchem wojny miasteczko liczyło trzy tysiące mieszkańców, w tym około pięciuset Żydów. Funkcjonowały tam gorzelnia, spółdzielnia spożywców, wzorcowa mleczarnia, chlewnia i warsztat produkcji narzędzi rolniczych. Po wojnie liczba ludności stopniała do tysiąca trzystu osób, a potem już tylko spadała. Mleczarnię upaństwowiono i szybko zakończyła działalność, spółdzielnię rozwiązano, mieszkańcom zafundowano „nowe lepsze życie” w Państwowym Gospodarstwie Rolnym...

Masław jechał przez wieś, rozglądając się. Dawno nie widział tak koszarnej dziury.

Stare domy najwidoczniej rozebrano, wzdłuż drogi sterczały pojedyncze gierkowskie klocki i budynki z pustaków, niektóre obite sidingiem. Kilka pegeerowskich baraków straszło odrapanymi ścianami. Wzrok dziennikarza automatycznie notował kolejne obrazy. Betonowe ogrodzenia, plastikowe krasnale w ogródkach. Sklepienie, grupka meneli przyrośniętych do ławeczki.

Zabytków Michałowice nie posiadały żadnych. Z monografii o okolicy wynikało, że kościół spalił się dwukrotnie: w połowie XIX wieku i w czasie pierwszej wojny światowej. Obecna świątynia nie miała jeszcze stu lat. Z drewnianej synagogi nie zostało nic, na kirkucie ocalały ponoć trzy macewy. Ba, nie było tu nawet ośrodka zdrowia, w którym można by porozmawiać z lekarzami.

Dojechał zapuszczoną drogą do ruin dworca kolejowego. Linie zlikwidowano jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych. Budynek nie miał już nawet dachu.

Wszystko wyglądało odpychająco. Nie było tu kompletnie nic ciekawego... Jedyne okoliczne wzgórza były ładne. Amator pieszych wędrówek mógł tu znaleźć niejedną dobrą ścieżkę. Kościół też prezentował się ładnie. W szybkach okien błyszczało słońce. Nowe miedziane rynny lśniły. Dziennikarz zajeżdżał przed plebanią i zaparkował obok „cienko-cienko”, należącego zapewne do proboszcza.

Gospodarz musiał go oczekiwać, bowiem niemal natychmiast drzwi otworzyły się gościnnie. Ksiądz dobiegał czterdziestki. Był chudy jak szczapa, uśmiechnięty, na głowie wygolił sobie tradycyjną tonsurę.

– Szczęść Boże – ukłonił się gość. – Masław Malinowski, „Głos Nieznanego Wymiaru”.

– Witam przedstawiciela opozycji w moich skromnych progach. – Ksiądz błysnął zębami. – Michał jestem. – Zmiażdżył dłoń gościa w iście niedźwiedzim uścisku.

– Opozycji?

– Kioskarka sprowadziła mi jeden numer waszego pisma.

– Eeee... rozumiem. Stos już gotowy?

– Ministranci rano ułożą, najpierw oczywiście trzeba urządzić proces inkwizycyjny. A na razie zapraszam na kolację. Osobiście zatruwałem ciastka.

Zasiedli w przytulnym gabinecie na plebanii. Zjedli kanapki, potem pili kawę i zagryzali ciasteczkami domowej roboty. W okna bił ciężki, jesienny deszcz. Na dworze było już zupełnie ciemno.

– A więc chce pan napisać artykuł o tym, że ludzie tu umierają – zadumał się ksiądz Michał. – A raczej umierali, bo kto miał odejść na bożą rolę, to odszedł, kto mógł, ten wyjechał...

– Taka praca. – Dziennikarz wzruszył ramionami. – Jeśli przy okazji uda się odkryć przyczynę, przecież nie zachowam tego w sekrecie. Ludzie mają prawo wiedzieć takie rzeczy.

– Słusznie – kiwnął głową duchowny. – A więc sądzi pan, że jest jakaś przyczyna?

Jedna przyczyna wielu różnych śmierci?

– To Góry Świętokrzyskie. Stare, zróżnicowane geologicznie, częściowo mające pochodzenie wulkaniczne. Eksploatowano tu miedź, ołów, podobno nawet złoto... Gleba i woda mogą być skażone związkami ołowiu lub arsenu. Tak zapytam, czy widział ksiądz u swoich parafian taki czarny pasek na zębach?

– Dbłość o higienę jamy ustnej nie jest ich mocną stroną. – Duchowny uśmiechnął się pod nosem. – Czarne zęby?

– Czarna albo szara kreska, przecinająca poziomo szkliwo. Czasem może być w kształcie litery V.

– Chyba nie. A co to takiego?

– Jeden z charakterystycznych objawów przewlekłego zatrucia ołowiem.

– Nie przypominam sobie. – Ksiądz pokręcił głową. – A czy nie może to być po prostu jakaś epidemia? Zaraza? Są przecież bakcyle, które atakują różne narządy wewnętrzne.

– Nie wydaje mi się.

– Zawały serca ponoć mogą być związane z próchnicą. Gdzieś słyszałem, że nieleczone zęby zwiększają ryzyko. Wiem też, że depresje podnoszą prawdopodobieństwo zachorowania, ale są typowe raczej dla ludzi wykształconych, a w tej okolicy nie mamy takich wielu.

– Szkoda, że Sławek jest na urlopie – westchnął Masław. – Podrzucił mi temat jak zdechłego kota, a sam drapnął poopalać się na Riwierze Tureckiej...

– Przecież badał wszystkie dzieciaki w szkole i robił kobietom mammografię piersi – zauważył duchowny. – Gdyby przyczyna była łatwa do ustalenia, sam by się tym zajął. A w każdym razie zdołałby ją zidentyfikować.

– Fakt...

– Jak zatem chce się pan do tego zabrać?

– Jestem z wykształcenia historykiem. Jeśli doszło tu do epidemii, to zostawiła ślady w ludzkiej pamięci i pismach urzędowych. Jeżeli ksiądz pozwoli, rzucę okiem w księgi parafialne. Pogrzebię w archiwum gminnym... Zobaczymy, co uda się ustalić.

– Odnoszę wrażenie, że marnuje się pan w tym miesięczniku dla...

– Takie czasy. Była posada, to wziąłem. Nie piszę łgarstw, szukam ciekawostek historycznych, etnograficznych. Rzeczy zapomnianych, a interesujących nawet dla ludzi, którzy wierzą w UFO i inne takie.

– Masław... Niecodzienne imię. Kojarzy mi się z mrokami pogaństwa.

– Rodzice mają spaczony humor...

– Spać pora. – Ksiądz spojrzął na zegarek. – Miło się gawędzi, ale muszę o szóstej rano mszę odprawić...

Dopili zawartość filiżanek i dziennikarz powędrował do pokoju gościnnego. Pomieszczenie wyglądało, jakby czas się w nim zatrzymał. Stara szafa z intarsjami na

drzwiach. Umywalka w postaci porcelanowej misy i dwu słoików z wodą w mosiężnym stelażu. Ciężkie aksamitne zasłony w oknach. Dziewiętnastowieczne łóżce czekało, kusząc śnieżnobiałą krochmaloną pościelą. Piętnaście minut później gość spał już jak zabity.

*

Ranek był bardzo chłodny i wilgotny. W nocy długo padał deszcz, a w powietrzu panował dokuczliwy ziąb. Dziennikarz wyszedł z ciepłego kościoła. Zasunął suwak kurtki. Cmentarzyk ulokowano koło świątyni. Ruszył między mogiły i wtedy z miejsca uwierzył we wszystko, co powiedział kumpel lekarz. Nagrobki wręcz krzyknęły ze wszystkich stron. Kroczył przez zroszoną trawę, odczytując daty. Żył lat dwadzieścia osiem, żył lat trzydzieści, żyła lat dwadzieścia dwa...

Wyciągnął notatnik, zaczął zapisywać cyfry. Obszedł kościół po łuku i znalazł się na starszej części cmentarza. Przedwojenne grobowce ozdobiono masywnymi krzyżami... Patrzył na wyryte w kamieniu daty. Żył lat osiemdziesiąt sześć, dziewięćdziesiąt dwa, siedemdziesiąt dziewięć...



– Widzę, że już pan węszy – usłyszał głos księdza Michała. – Niepotrzebnie pan tu łązi i buty w trawie moczy.

– Tak? – zdziwił się.

– Przecież to wszystko szybciej można sprawdzić na plebanii w księgach parafialnych. – Proboszcz uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Wiem, ale widok grobów bardziej do człowieka przemawia niż ślady kreślone piórem na papierze...

– No, to teraz zjemy śniadanko, a potem zapraszam do grzebania w dokumentach – zarządził radośnie ksiądz.

– Miał być stos...

– Wieczorny proces nie dał dość mocnych podstaw do skazania, więc wysłałem ministrantom SMS, by zaoszczędzili drewno na prawdziwych heretyków.

Gospodyni, pulchna siwa staruszka o spracowanych dłoniach, zrobiła jajecznicę, a potem wyszła bez słowa. Wypili po filiżance kawy, ksiądz nalał sobie jeszcze jedną.

– Szkoda, że niewiele mogę panu pomóc – powiedział. – Objałem parafię dopiero trzy miesiące temu. Ciągłe jestem tu jakby obcy, a ludzie spowiadają się z tego, co nagrzeszyli w ciągu roku, a nie pół wieku temu. Zresztą i tak obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi.

– Dwa tysiące lat chrześcijaństwa, a grzechy wciąż takie same – dziennikarz zacytował usłyszany kiedyś dowcip.

– Ażeby pan wiedział.

– Może warto skontaktować się z poprzednim proboszczem? – zaproponował Masław. – Może on coś wiedział?

– Niewykluczone, przebywał tu ponad dwadzieścia lat. Niestety, z nim porozmawiamy dopiero, gdy już sami znajdziemy się po tamtej stronie.

– Zmarł?

– Nowotwór z przerzutami.

Spędził kilka godzin, wertując księgi zgonów. Zaczął od przedwojennych. Następnie przejrzał te z okresu okupacji i powojenne. Ponuro to wyglądało... Najgrubsza była ta z tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Ludzie wracali z robót przymusowych i obozów koncentracyjnych. Przynosili wieści o tych, którzy wrócić już nie mogli. Ale już w kolejnym roku liczba mszy pogrzebowych znacznie spadła. Za to księga, w której zapisywano śluby i chrzciny, przyjemnie spuchła. W wyniszczonym przez wojnę kraju odradzało się życie...

Począwszy od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku liczba zgonów zaczęła rosnąć, apogeum osiągając trzy lata później.

Wrzucił dane do laptopa i zobrazował je sobie w postaci wykresu słupkowego.

– Fiu, fiu, toż to widzę cała praca naukowa – zażartował proboszcz.

Zatopiony w myślach dziennikarz nie zauważył, kiedy wszedł.

– Są wyraźne anomalie. Jeśli mamy do czynienia z czynnikiem zewnętrznym, to...

– To się musiało stać jakoś około tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku – zauważył duchowny, analizując wykres. – Epidemia choroby Heinego – Medina jakoś wtedy była.

– Rok się zgadza – potwierdził. – Ale to draństwo przeważnie okalecza, a nie zabija. Stawiałbym raczej na ospę wietrzną.

– Od tego się przecież nie umiera? – Ksiądz spojrział zdziwiony.

– Ale u sporego odsetka populacji wywołuje znaczny spadek odporności na inne infekcje. Osłabiony organizm zaatakują łatwiej... Szkoda, że kompletnie brak mi przygotowania medycznego. – Westchnął. – Mogę sobie jedynie dywagować. Ponadto

przeważnie nie zapisywano tu przyczyn śmierci.

– Pomyślałem, że może zechce pan przejrzeć jeszcze jedną rzecz – zmienił temat książki. – Mam kroniki parafialne przedwojennego proboszcza. Nazywał się Gałek.

– Kroniki parafialne?

– Nie każdy je prowadzi, ale wielu proboszczów ma taki zwyczaj. Księgi to suchy urzędowy dokument, a to i owo warto przecież opisać dokładniej... – Otworzył szafkę pod oknem.

Rękopisy księdza Janusza Gałka okazały się opasłymi woluminami oprawionymi w szare płótno. Każde tomiszczce było większe i grubsze od encyklopedii. Masław wyciągnął pierwsze z brzegu. Okładki wykonano z deszczułek lub sklejki. Na rogach umieszczono okucia zrobione domowym sposobem z grubej, miedzianej blachy. Pomysłowy duchowny wykorzystał zapewne odpadki po naprawie dachu kościoła.

Pierwsze zapisy wykonano w połowie tysiąc dziewięćset trzynastego roku. Redaktor przeglądał kolejne karty. Stary papier pożółkł tylko nieznacznie. Obok wyczerpujących relacji umieszczono zdjęcia. Proboszcz miał własny aparat fotograficzny. Przejście frontu, walki, opatrywanie rannych na plebanii...

– To niezwykle cenny dokument minionej epoki, wart przepisania i publikacji.

– Myśli pan?

– To niemal prowadzony regularnie dziennik. Jest kupa pamiątek i wspomnień z tej epoki, ale dzienniki stanowią rzadkość! A o ilustrowanym fotografiami nawet nie słyszałem.

Pierwsze dni niepodległości, zdjęcia pokazujące świeżo otwartą polską szkołę. Procesja z okazji rocznicy Trzeciego Maja, procesja na Boże Ciało, w której obok sztandarów kościelnych niesiono także sztandar jakiejś pobliskiej jednostki wojskowej. Uczniowie spółdzielni, pracownicy banku, kolejarze, członkowie Akcji Katolickiej.

Kolejny tom, lata dwudzieste. Spółdzielnia produkcyjna, odbudowa siedziby Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, remont szkoły. Następna księga – wizytacje biskupów, nowe domy we wsi, wymiana dachu na kościele, wycieczka szkolna do Kielc i do Krakowa, pocztówki z Brazylii, zdjęcia przesłane przez parafian, którzy wyemigrowali jeszcze przed pierwszą wojną światową. Fotografia z USA, też od jakiegoś znajomego. Zdjęcie księdza i miejscowego rabina na tle remizy strażackiej. Dwudziesta piąta rocznica kapłaństwa – wklejono telegramy otrzymane z tej okazji... Kolejny tom. Okupacja.

Zapiski urywały się nagle wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Żadnych śladów mogących rzucić światło na zagadkową epidemię.

– I jak pan to znajduje? – zagadnął proboszcz.

– Zdumiewające...

– W jakim sensie?

– Ta wieś kwitła. Przecież przed wojną panował kryzys, a tu jakby wcale nie dotarł.

– Tamten proboszcz był doskonałym organizatorem. Umiał ludźmi pokierować. Z tego, co wiem, po wojnie też sobie nieźle radził jako misjonarz w Kongo... Trafił pan na jakiś ślad?

– Niestety nie. Zapiski kończą się osiem lat wcześniej. Wszystko wskazuje na to, że epidemia zgonów zaczęła się jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego.

– Z tego okresu nie ma już kronik. Ale możemy rzucić okiem do księgi intencji mszalnych.

– O! Jeszcze jedno źródło, które nie przyszło mi do głowy.

– Z lat pięćdziesiątych mamy dwie – rzekł kapłan. – Jedna, że się tak wyrażę, oficjalna, druga z intencjami, których nijak nie można było umieścić w normalnym spisie... Zresztą zaraz sam pan zrozumie.

Wyciągnął oprawiony zeszyt formatu A4. W nim za okładką tkwił jeszcze jeden – malutki. Oficjalne intencje mszy były zupełnie normalne. Dziękczynne na rocznicę małżeństwa, pogrzebowe, w intencji powrotu z wojny i odnalezienia grobów bliskich. Mały zeszycik skrywał prawdę o tamtej epoce. Msza o nawrócenie syna, który zapisał się do partii. O wypuszczenie męża przetrzymywanego przez komunistów, o wydostanie się krewnych z ZSRR... I dość regularne msze przebłagalne za zbrodnie synów służących w UB.

– Jak odprawiano takie msze?! – zdumiał się dziennikarz.

– W nocy, w ścisłej tajemnicy i w obecności jedynie najbardziej zaufanych...

– Nazwiska zamawiających wydają mi się znajome.

– Proszę spokojnie grzebać, mnie obowiązki wzywają...

Dziennikarz sięgnął do księgi zgonów. Trzej ubecy zmarli jeszcze w feralnym tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku. To właśnie ich śmierć zapoczątkowała czarną serię.

Zaintrygowany, wrócił do kronik parafialnych. Odszukał przedwojenne zdjęcia chłopców z drużyny harcerskiej i szkolnej. Ksiądz Gałek na szczęście podpisywał, kto na nich figuruje.

Pięciu chłopców. Na wszystkich fotografiach stali razem. Po wojnie trzej wstąpili do UB, a następnie zmarli w odstępie kilku tygodni. Co stało się z pozostałymi dwoma?

Przewertował księgi zgonów. Wyglądało na to, że obaj jeszcze żyją, chyba że umarli gdzieś daleko i nikt nie zawiadomił parafii...

– Zapraszam na obiad. – Proboszcz znowu stanął w drzwiach.

– Już idę. – Masław zapisał wyniki.

– Doszedł pan do czegoś?

– Jeszcze nie, ale chyba wiem, kto mógłby mi pomóc.

*

Paweł Zdziwko mógł mieć około osiemdziesiątki. Gdy Masław nadszedł, staruszek siedział na ławeczce przed domem, paląc taniego papierosa, osadzonego w drewnianej fifce.

– Można parę słów dla prasy? – zapytał przybysz.

Dziadek spojrzął, uśmiechając się krzywo.

– To pan jest tym dziennikarzem, co tu węszy – mruknął. – Siadaj pan, pogadamy, jeśli trzeba.

– Mieszka pan w tej wsi od urodzenia?

– Się rozumie. – Stary uniósł z godnością głowę. – My w Michałowicach od pokoleń siedzimy. Mój dziadek i ojciec tu wolną Polskę zakładali w osiemnastym roku.

– Opowie mi pan, co tu się stało?

– Że niby kiedy? – nastroszył się Zdziwko. – Nie było mnie jeszcze wtedy na świecie. Tyle wiem, co mi opowiedzieli.

– Wiosną, a może latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego.

– A bo ja wiem? – Uciekł spojrzeniem na bok.

– Chodził pan do szkoły z Łopatą, Raczkim, Wiśniewskim i Jareckim.

– No, to dużo pan wiesz. Za dużo może nawet... – Zadumał się. – A co to ma do rzeczy?

– Łopata, Raczek i Jarecki zmarli tamtej jesieni. Jeszcze w szkole byli pana kumplami. Potem przyjaźń odeszła w niepamięć. Drogi rozeszły się na zawsze...

– Skąd pan wiesz? – Zmrużył oczy.

Nie wiedział, strzelał, ale jak się okazało, celnie. Położył przed starcem skany zdjęć. Wszystkie dziesięć.

– Przez ładnych kilka lat, gdy robiono fotografie szkolne, staliście obok siebie. Raz czy dwa to mógłby być przypadek, ale...

– I sądzisz pan, że choć już się z nimi nie kumpłowałem, to wiedziałem, co się u nich dzieje? W Kielcach pracowali, bo choć w mundurach łazili, służbą tego nie nazwę. Wpadali tu czasem, ale już z nimi nie gadałem, jak nie musiałem. A czasem i mus było gębę otworzyć. Ojciec tu trochę po wojnie z karabinem łaził. Pan wie, co mam na myśli?

– Rozumiem.

– Oczyszczył naszą gminę z kilku łajz... A potem drapnął na Ziemię Odzyskane i tam się przyczaił – dodał Zdziwko, jakby tytułem wyjaśnienia. – Ciągali mnie na przesłuchania. Tyle dobrze, że po starej znajomości nie bili za mocno. A czemu to pana interesuje?

– Bo chyba wtedy wszystko się zaczęło. Tamtej wiosny, może lata. Oni umarli pierwsi. Zaraz potem poszła cała epidemia. Epidemia, która kosiła mundurowych. Zmarli milicjanci z Michałowic, ormowcy, ci trzej ubecy, a potem jeszcze kilkunastu innych ludzi. Skosiło młodych i zdrowych.

– Strażacy – powiedział cicho. – Cały oddział Ochotniczej Straży Pożarnej. I kolejarze. Wszyscy umarli młodo.

– Przeważnie przed czterdziestką. Zatem przyczyna była jedna.

– A skąd pan wiesz, że to akowcy nie dosypywali im trutki do żarcia? – starzec zadał szalenie chytre w swoim mniemaniu pytanie.

– Bo tu już wtedy nie było AK ani NSZ. Zresztą po co partyzanci truliby kolejarzy?

– Nie wiem za dużo – powiedział Zdziwko, mierząc gościa wzrokiem. – Mówiło się, że na stacji pojawił się dziwny pociąg. Zawiadowca na jego widok zadzwonił na posterunek milicji i na UB do Kielc. Umarli wszyscy, którzy się z nim zetknęli. Ja tam w duchy i klątwy za bardzo nie wierzę, więc sądzę, że chodziło o to.

– Pociąg wiózł jakiś podejrzany ładunek? – podchwycił dziennikarz.

– Źle powiedziałem. Nie było pociągu. Tylko lokomotywa. Gadali, że nikt nie umiał jej uruchomić, więc wtoczyli ją do szopy i tam się spaliła.

O cofnięcie klątwy pociągu – tak brzmiała intencja mszy odprawionej w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku. Modlitwy zostały wysłuchane, przynajmniej częściowo. Epidemia, czy co to było, wyraźnie zaczęła przygasać. Ludzie umierali nadal, ale już nie po kilku naraz.

– A potem przyjechali ruscy – dodał stary. – Niebezpieka, tylko wojskowi. Cały eszelon. Stację otoczyli i coś tam robili gdzieś przez tydzień albo i dłużej. Pociągi przez ten czas nie chodziły, zresztą to boczna linia, tu nigdy dużego ruchu nie było.

– Co się stało z Wiśniewskim? – dziennikarz zmienił temat. – Był w UB, a potem?

– Zrobili go portierem w hotelu. Mieszka w Kielcach, jeśli jeszcze żyje. Spotkałem go przypadkiem dwa lata temu. Był prezesem związku działkowców, ale chlał tak, że go wywalili. I nie nazywa się teraz Wiśniewski, ale Leszczyński. – Puścił oko. – Jak masz pan dojścia w IPN, to może warto im o tym powiedzieć, dawno bym donosik na gada napisał, ale adresu nie znam...

*

Kolejnego dnia Masław wybrał się na pobliskie wzgórze. Usiadł na stoku i patrząc na miasteczko, układał w myślach zdobyte informacje.

Gdzieś na początku lat pięćdziesiątych na stację przyjeżdża lokomotywa. Jej załoga zostaje prawdopodobnie aresztowana. Po kilku tygodniach umierają pierwsi ludzie, którzy zetknęli się z pociągiem lub maszynistami. W ciągu roku idzie na tamten świat kolejne kilkanaście osób. Wszyscy należeli do służb mundurowych. Zapewne wszyscy też mieli kontakt z pociągiem i jego ładunkiem. Skoro umierają także strażacy, chyba doszło do jakiegoś pożaru. A tak, lokomotywa spaliła się ponoć w szopie. Potem przybywają Rosjanie, by zapewne posprzątać, to znaczy zatrzeć ślady.

Tylko jak wyjaśnić późniejszą epidemię? Jeśli pociąg przywiózł coś toksycznego,

powinni zginąć ci, którzy mieli kontakt z ładunkiem... A może to jakaś ruska broń bakteriologiczna?

Uniósł do oczu lornetkę. Dawny szlak kolejowy było stąd widać bardzo wyraźnie. Tory i podkłady wywieziono, ale nasyp, ruiny dworca i przyległej stacji wodnej zostały. Zszedł ścieżką.

Gdy ludzie opuścili to miejsce, przyroda wzięła się do roboty z tłumioną przez lata energią. Dawny tor, wysypany tłuczniem, doprowadził Masława na stację. Peron obmurowany czerwoną cegłą już się osypywał. Mury budynku sterczały ku niebu, dachu nie było od dawna. Bez przekonania wszedł do środka.

Ten trop był zimny... Żadnego strychu, na którym mógłby znaleźć papiery, żadnych śladów. Stał przed zrujnowaną stacją. Skład nadjechał nie wiadomo kiedy, nie wiadomo, z której strony. Może to był dzień, a może noc. Jedna lokomotywa? Co sprawiło, że zawiadowca na jej widok natychmiast wykręcił numer posterunku i zażądał przysłania ludzi? Co go zaniepokoiło? Kto przyjechał tym parowozem? Przecież nie partyzanci.

A może to był rosyjski pociąg? Lokomotywa, a za nią na przykład jeden wagon towarowy? Przywieźli coś ważnego. Tajną broń Stalina, może wunderwaffe Hitlera, wykopaną gdzieś w okolicy? Ubecja rzuciła się rabować ładunek i uległa zatruciu, zarażeniu, a może napromieniowaniu...

Dziennikarz przeszedł się tam i z powrotem, jakby czekał na pociąg. Potem zeskokczył na nieistniejące torowisko i powędrował w stronę Kielc. Znalazł starą zwrotnicę. Jedna nitka torów odchodziła w lewo. Mimowolnie skrzył w nią. Szlak prowadził do zagajnika. Wszedł pomiędzy brzozy i nagle znalazł się na skraju dziwnej dziury w ziemi.

– A niech mnie... – wyszeptał.

W chaszczach ział owalny dół wielkości basenu olimpijskiego. Nie był specjalnie głęboki, tak na jakieś trzy metry. Na jego dnie rosło trzciniowisko. Szyny, leżące jeszcze w tym miejscu, urywały się w powietrzu. Ich końce przecięto palnikiem acetylenowym.

„Co to mogło być, u licha? Wykopali dziurę pod fundamenty parowozowni?” – zastanawiał się.

Zrobił kilka fotografii, jeśli uda się opublikować artykuł, przydadzą się do zilustrowania. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta rano. Pora jechać do Kielc, pogrzebać w tamtejszych archiwach.

*

Odnalezienie Wiśniewskiego vel Leszczyńskiego nie było specjalnie trudne. W zarządzie działek wskazano dziennikarzowi, gdzie można go znaleźć. Doradzono też, żeby na wizytę zaopatrzył się we flaszkę wody, bo inaczej dawny prezes może nie

zechcieć rozmawiać. Były ubek wzniosł sobie na działce nieduży slums. Przed wejściem ustawił ławeczkę i zniszczony stolik. Gdy Masław nadszedł, kończył właśnie najtańszego jabola.

– Dzień dobry, panie Wiśniewski – przywitał się dziennikarz. – Czy można prosić o kilka słów dla prasy? – Znacząco wyciągnął z torby szyjkę butelki.

– Nic nie wiem, nic nie pamiętam, wykonywałem tylko rozkazy – odwarknął gospodarz.

– Jasne – prychnął gość.

Ubek popatrzył zimnym wzrokiem.

– Za to, co zrobiłem, poniosłem już karę. – Wzruszył ramionami.

Raczej sam się ukarał. Sądząc po plamach znaczących dłonie, jego wątroba była już na wykończeniu...

– Ciekawe, co na to pańscy sąsiedzi – uśmiechnął się ponuro dziennikarz. – Albo na przykład niektórzy działkowicze.

– Że niby co? – Były ubek pobladł, ale próbował nadrabiać miną.

– Jak pan myśli, co zrobią, kiedy się dowiedzą, kim pan był? – ciągnął bezlitośnie Masław. – Kilku z nich na pewno służyło w czasie wojny w AK i NSZ... I niejeden ma wnuka krewkiego kibola, z takich, co to na meczach wieszają transparenty „Dla komuny – Norymberga”. A jaki potem będzie fajny artykuł w jakimś ilustrowanym dzienniku? *Samosąd na działkach*, podoba się panu taki tytuł? Albo może lepiej *Dekomunizacja widłami*...

– A kto niby ma im powiedzieć?

– Na przykład ja.

– Czego chcesz, parszywa hieno? – warknął Leszczyński. – Forsy nie mam. Do grobu nie wezmę, to przepiłem. Z mieszkania mnie wyrzucili, gównem ze mnie wyciśniesz.

– Chcę prawdy.

– Niby twojemu dziadkowi paznokcie wyrywałem? – Łypnął podejrzliwie. – Ja nikogo nie zabijałem. Ani nie zakopywałem żadnych trupów. Co do innych rzeczy, trafiało się, ale tyle palców połamałem, że nie pamiętam nawet, ile i komu. Podaj nazwisko tego swojego dziadka, to może coś sobie przypomnę.

– Co stało się na stacji Michałowice wiosną tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego?

– A ty skąd o tym wiesz!? – Ubek wytrzeszczył oczy.

– Z waszych teczek w archiwum IPN-u – odgryzł się Masław.

– Nic nie pamiętam. – Dziadyga patrzył teraz jak mysz zapędzona w kąt.

– Jaaasne.

Tamten westchnął ciężko. Obliznął wargi.

– Miałem szczęście – powiedział wreszcie. – Wysłali mnie z meldunkiem. Ci, którzy

zostali, zdechli... I strażacy, którzy gasili szope, i personel stacji.

– Szope? – podchwycił. – Od lokomotywy zajęła się szopa? To tam, gdzie wybrali ziemię tak do trzech metrów w głąb?

– Skoro wiesz wszystko, to spierdalaj.

Dziennikarz usiadł na wolnym krześle. Postawił na stół pół litra. Odkręcił nakrętkę i w milczeniu polał do szklanki. Ubek aż się oblizał.

– No, to chyba powiem – mruknął. – Ale dołożysz dwie setki.

Masław przerwał nalewanie. Bez słowa wyjął z portfela dwudziestozłotowy banknot.

– Kutas z ciebie straszny – warknął pijak, ale zabrał forszę.

Wypił szklanekę wody dwoma haustami i podstawił ponownie. Dziennikarz nalał.

„Truj się, bydlaku” – pomyślał. „Dawno ci już pora do krainy wiecznego śledztwa”.

*

– *Heil Schickelgruber!*

Zawiadowca zdumionym wzrokiem wpatrywał się w stojącego przed nim maszynistę. Przybysz odziany był w zbroję z ołowianych płytek. Na głowie miał kask podobny do motocyklowego, ozdobiony nazistowskim orłem. Prawą rękę wyrzucił do przodu w pseudorzeczymskim salucie.

– *Co ty, kurwa twoja mać... – wykrztusił Polak.*

– *Sprechen polski? Gut. Ich brauche wasser, woda, verstehen? Und chlo-dzi-fo. Ciekly sód. Reaktor się gszeje, insztalacja poszła...*

Zawiadowca spojrział na dziwną lokomotywę. Maszyna sapała, puszczając obłoczki pary zaworami, ale nigdzie nie było widać komina. Na walczaku miała namalowaną nazistowską gapę i jakieś oznaczenia cyrylicą.

– *Verstehen? – zapytał nerwowo obcy.*

– *Verstehen – odburknął Polak. – Co to jest?*

Obcy popatrzył na niego zaskoczony.

– *Der Zug. Pa-ro-fus.*

– *Parowóz.*

– *Ja, pachrowoz – powtórzył nieskładnie. – Donnerwetter. Das sód, bystro!*

Spojrział na dziwny zegarek. W tym momencie przed stacją podjechała emka. Wyskoczyli z niej trzej milicjanci i jeszcze ubek w skórzanej kurtce. Zaraz pojawił się drugi pojazd.

– *No i co tam, obywatelu Nowak? – dowódca patrolu zagadnął zawiadowcę. – Co to za cudak?*

– *Cholera go wie. Przyjechał czymś dziwnym, szprecha po niemiecku, swastyki wymalował i ciekłego sodu mu się zachciewa...*

– *Na, ja... Heil Hitler! – Ubek uniósł rękę w dobrze zapamiętanym geście.*

Przybysz zmałpował go natychmiast.

– Heil Schickelgruber! – wrzasnął służbiście. – Sprechen sie Deutsch?

– Kurde. – Dowódca pokręcił głową. – Skąd to ścierwo się tu wzięło? Toż sześć lat od wojny mija.

– Ich brauche chlo-dzi-fo! Sód, bystro, verstehen? Der reaktor ist zu warm!!!

Ubek zamachnął się i wyrznął przybysza kułakiem w gębę.

– Jarecki, ściągnij resztę chłopaków! – rzucił podwładnemu. – Tu się dzieje coś dziwnego.

– Może to prowokacja, a może góra nas sprawdza – podsunął major.

– Cholera wie. Obywatelu Nowak – zwrócił się do kolejarza – umiecie prowadzić lokomotywę?

– Tak jest! Ale takiej jeszcze nie widział...

– Wskakujcie do środka, trza ją gdzieś przetoczyć, coby nie stała na widoku. A tego pajaca w kajdanki i na UB do Kielc. Niech go sobie generał Orliński wyjaśnia.

Zawiadowca wdrapał się do wnętrza pojazdu.

– Oż ty, w mordę! – wykrztusił, patrząc na dziesiątki zegarów opisanych po niemiecku.

– Poradzicie sobie? – Major wcisnął się za nim.

– Dzwne to jakieś... Gdzie jest palenisko? Gdzie węgiel?

– Może to spalinowa?

– Gdzie tam, przecież na parę chodzi.

– No fakt – zgodził się ubek. – Poradzicie sobie? Czy tamtego przywlec?

– Spróbuję sam.

Popatrzył na zegary. Zidentyfikował nie więcej niż jedną trzecią. Pociągnął za dźwignię.

– Daję moc na tłoki – powiedział. – A to chyba będzie przepustnica...

Pociągnął wajchę stawidła i lokomotywa ruszyła naprzód.

– No, nie takie to trudne, jak widzę – pochwalił milicjant.

– Nie wiem, od czego ten zegar. – Nowak wskazał jedną z tarcz. – A boję się, że to ważne.

Wskazówka przeszła daleko za czerwoną kreskę.

– Jak z ciśnieniem?

– W porządku. Tylko to się dziwnie grzeje...

– Wybuchnie?

– Chyba nie. Bo jak ma wybuchnąć, jak na kotle ciśnienie w normie? Zresztą tam są zawory bezpieczeństwa. Do szopy remontowej ją wtoczmy i niech sobie stoi, a w tym czasie wy sobie szkopa przesłuchacie i jakiegoś inżyniera z miasta ściągnijcie, niech to obejrzy.

Ubek wychylił się z kiosku.

– Wiśniewski! Weźmiecie emkę i skoczycie do Kielc z meldunkiem. To nie jest sprawa na telefon.

– Tak jest! – zaszalutował podwładny. – Co przekazać?

*

– To niemożliwe – powtórzył ksiądz Michał po raz trzeci. – Słyszałem w życiu różności. Kolejarze mają swoje legendy. Grabiński jeszcze przed wojną masę tego zanotował. Opowiadają, że po wojnie na dalekich trasach spotykano nocą pociąg pogrzebowy Piłsudskiego. Ale to...

– W naszej rzeczywistości nie ma to sensu... – Masław wzruszył ramionami. – Dlatego sądzę, że przybył tu ze świata, którego historia potoczyła się inaczej. Ze świata, gdzie Hitler używał nazwiska Schickelgruber, gdzie prawdopodobnie podbił Polskę i zwasalizował sobie Rosję. Ze świata, gdzie postęp techniczny biegł zupełnie innymi torami i w którym zbudowano taki idiotyzm, jak atomowy parowóz.

– Jak to, u licha, mogło działać? – Duchowny podrapał się w głowę.

– Tak jak tradycyjna lokomotywa na węgiel. Tylko w walczaku był pewnie niewielki reaktor atomowy, chłodzony ciekłym sodem. Sód trafiał do wymiennika ciepła i podgrzewał wodę w kotle...

– Ale dlaczego sód?

– W pierwszej chwili sądziłem, że ten stary ubek wciska mi jakiś kit, ale to właśnie paradoksalnie przemawia za prawdziwością tej opowieści. Gadałem kiedyś z jednym człowiekiem. Nasze reaktory chłodzi się wodą, ale byłyby o wiele wydajniejsze, gdyby użyć rtęci lub sodu. Tylko że te substancje pod wpływem promieniowania tworzą paskudne izotopy i w razie awarii trzeba ewakuować... No, powiedzmy, kilka powiatów.

– Czarnobyl na kółkach.

– Tak. Awaria, wykołajenie czy zderzenie i już mamy skażenie jak diabli. Ale z drugiej strony, maszyna bajecznie tania w eksploatacji. Może zresztą używano ich tylko na terenach podbitych?

– Czyli ludzie umierają tu na skutek zwykłego skażenia radioaktywnego?

– Tak sądzę. A może raczej było tak: gdy strzelił reaktor, wielu mieszkańców otrzymało solidną dawkę promieniowania. Jednych zabiło szybko, u innych cofnęły się objawy, ale za to po latach zaczęły rozwijać się nowotwory. Do tego uszkodzenia szpiku kostnego, anemia... Wiele różnych chorób, jeden czynnik. Przywiozłem z Kielc licznik Geigera.

– Poszukamy dowodów?

Dziennikarz spojrział w niebo.

– Godzina do zmroku – odpowiedział duchowny.

– Chodźmy.

Wdrapali się na wzgórze. Licznik cicho trzeszczał. Skażenie na brzegu dziury zarośniętej trzcinami dwunastokrotnie przekraczało tło. W lesie, gdzie pewnie opadły sadze z płonącej szopy, już tylko ośmiokrotnie... Jak wysokie musiało być przed pięćdziesięciu laty?

– A więc to jest przyczyna – powiedział proboszcz. – Ci ludzie byli przez pół wieku regularnie podtruwani.

– Niemiec prosił o sól – rozważał Masław. – Reaktor chłodzony był ciekłym sodem. Prości milicjanci z głębokiej prowincji nie mieli zielonego pojęcia o obsłudze podobnych urządzeń. Zignorowali prośby. Żaden z nich nie widział wcześniej atomowego parowozu. Reaktor rozgrzał się, aż przetopił osłony. Lokomotywa spłonęła, może nawet się stopiła.

– Nie wybuchła jednak? Dlaczego? Przepraszam, z fizyki nie byłem zbyt mocny.

– Wody miała niewiele, nie było eksplozji kotła, nie było też niekontrolowanej reakcji prowadzącej do wybuchu atomowego. Tylko temperatura sięgająca setek lub tysięcy stopni, mordercze promieniowanie i silne skażenie. Szopę gasili jak strażacy w Czarnobylu, nie wiedząc, co tak naprawdę się dzieje. A potem? Potem przybyli ruscy. Zdemontowali budynek, wybrali ziemię wraz z fundamentami i gdzieś wywieźli. Świadców nie musieli nawet zabijać, choroba popromienna, białaczka i rak ich wyręczyły...

– Przez tyle lat nikt nie sprawdził, nikt nie ostrzegł ludzi... – wyszeptał duchowny.

– Z pewnością Rosjanie sprawdzili okolice szopy. Zależało im przecież na zachowaniu sekretu. Nie pomyśleli jednak, że wiatr zaniósł skażenie na te zbocza, albo nie interesowało ich to. Zabezpieczyli pozostałości parowozu i wywieźli do siebie, by je zbadać... Pewnie przy okazji zabrali też maszynistę.

– Ale nasi... Ludzie marli jak muchy...

– A kogo to obchodziło? Miasteczko na uboczu, miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc... Nawet gdyby mieszkańcy odkryli, co jest grane, gdzie mogliby napisać? Do Warszawy?

Szli przez las, patrząc na wskazania licznika. Wskazówka przeważnie była nieruchoma. Tu i ówdzie trafiały się plamy, gdzie tło było podwyższone dwu- lub trzykrotnie.

Odruchowo przyspieszali kroku. Las... Z pozoru ciepły, przyjazny i bezpieczny. Ludzie przychodzili tu zbierać grzyby, maliny, jagody. Palili skażonym drewnem w piecach.

– Kiedy ukaże się ten artykuł? – zapytał proboszcz.

– Nie będę go pisał – westchnął przybysz.

– Dlatego że nikt nie uwierzy?

– Ja sam nie mogę w to uwierzyć... Poza tym ta gazeta to nie jest odpowiednie miejsce... To zbyt ciężki, zbyt poważny temat. Ktoś powinien to zbadać. Fachowcy...

– Napiszę do IPN-u.

– Faktycznie, to bardziej ich działka...

Był ciekaw, co stało się z zagadkowym maszynistą. Czy zmarł w Polsce, czy zamęczono go gdzieś w łagrach ZSRR? Był ciekaw, z jakiego świata i w jaki sposób tu przybył, ale wiedział, że dotarli do kresu. Tej zagadki nie rozwiążą już nigdy.

Ludzie, którzy wiedzą



Postępowanie spadkowe trwało osiemnaście lat. Czcigodny–zmarły–daleki–krewny Igor Storm pozostawił po sobie zgoła idiotyczny testament, w którym sprawiedliwie obdzielał udziałami w sklepiku wszystkich potomków swego pradziadka. Nie raczył ich przy tym wymienić, trud odszukania przerzucając radośnie na rodzinę. Gdy podliczono, wyszło ponad sześćdziesiąt osób. Ich losy ułożyły się różnie. W ośmiu przypadkach trzeba było wnioskować o uznanie za zmarłych tych, których przeznaczenie rzuciło w piekło syberyjskich łagrów. Inni, rozsiani po USA i Australii, przeważnie z miejsca zrzekli się udziałów. Dwaj nader dalecy krewni okazali się drobnymi bandziorkami. Ponieważ nikt nie wiedział, gdzie przebywają, z wszelkimi sprawami formalnymi trzeba było poczekać, aż policja okaże się tak miła i ich złapie...

Wreszcie na placu hipotecznego boju pozostało dziesięcioro najwytrwalszych amatorów spadku. Pięcioro, obejrzawszy walącą się ruderę w zapyziałym miasteczku na Podhalu, z ulgą oddało gratis swoje udziały wujaszкови, pozostałą czwórkę spłacił groszowymi kwotami... Wujko uroczyście zamknął swój dotychczasowy biznes, czyli punkt skupu runa leśnego, i z wielką pompą otworzył sklepik. Najpierw handlował używanymi telefonami komórkowymi, potem sprzętem AGD, następnie miał sklep spożywczy, wreszcie po czterech miesiącach nieustannych eksperymentów przyznał mi się, że nie ma już pomysłu na kolejną zmianę branży.

– Widzisz, Robert, w tej kosmicznej dziurze po prostu nic nie idzie – marudził przez telefon. – Zamknę ten interes, zanim kojfnę na zawał. Jadę na wakacje. Tak zszarpałem nerwy, że trzeba odpocząć.

– Okolice jest turystyczna – mitygowałem go. – Chcesz zlikwidować biznes akurat przed sezonem? Za dwa tygodnie kończy się rok szkolny. Ludziska tłumnie ruszą na górskie szlaki.

– I co? Mam założyć sklep z pamiątkami dla turystów? – prychnął.

– A dlaczego nie?

– Jak takiś mądry, to... – Zawiesił głos.

– To co?

– Zostawię ci klucze i sam zobacz, jak to jest prowadzić interes w dziurze, nad którą ptaki zawracają w locie. Miesiąc wystarczy, żebyś zwiął stamtąd z podkulonym ogonem.

– A jak oddam po miesiącu w kwitnym stanie?

– Prędzej uwierzę w UFO. Ale jak naprawdę coś rozkręcisz, tobie i twojej dziewczynie stawiam romantyczną wycieczkę nad norweskie fiordy!

Do dziś nie wiem, dlaczego się zgodziłem. Pewnie dlatego, że nigdy nie widziałem fiordów.

*

Zaparkowałem przed czynszówką. Błotnisty rynek otaczały kamieniczki o elewacjach pokrytych sparszywiałym tynkiem. Bruk zachował się tu i ówdzie. Pośrodku ulokowano przechyloną obecnie wiatę – przystanek PKS. Spojrzałem na brudną szybę w oknie i paskudny szyld.

– Ech, wujciu, epoka sklepów GS-u minęła prawie trzy dekady temu – mruknąłem z naganą. – Z tak przetrąconą estetyką każdego klienta odstraszysz!

Przekręciłem klucz w zamku i wszedłem do wnętrza. Było jeszcze paskudniejsze, niż sądziłem. Towar wujaszek już usunął. Tylko na wierzchu szafy stały rzędem butelki upiornie czerwonej oranżady. Intensywność koloru zdradzała obecność wielu syntetycznych barwników...

– Na początek trochę tu ogarniemy... – mruknąłem.

Regały z płyty paździerzowej porozbijałem siekierką. Omiotłem pajęczyny. Wyszorowałem podłogę, aż kamienne płyty zalśniły pierwotną miodową barwą. Zanocowałem w pokoiku na zapleczu. Następnego dnia rozłożyłem folię, z samochodu przyniosłem wiaderka z farbą i wałki. Zabrałem się za malowanie. Tubylcy, przechodząc obok sklepiku, rzucali zaciekawione spojrzenia. Po południu położyłem drugą warstwę akrylu. Jeszcze schła, gdy przed sklep zajechał rozklekotany furgon. Zamówione meble i plastikowe kontenerki transportowe. Moje działania wzbudziły pewne zainteresowanie. Liczba gapiów przypadkiem przechodzących przez rynek znacznie wzrosła. Pownosiłem wszystko do środka.

Skręcenie regałów, lady i gablot zajęło mi kolejny dzionek. Pod wieczór rozkładałem już towar. Przyjechała ekipa, wycięła ohydne kraty i założyła w oknach rolety antywłamaniowe.

Wreszcie powiesiłem szyld. Nic szczególnego. Surową bukową dechę napuściłem dobrze olejem i podpolerowałem, na to poszedł napis wycięty ploterem przez mojego znajomego. Wielkie czerwone litery wabiły turystów, złąknionych zakupu map i przewodników, mniejsze, niebieskie poniżej informowały, że można też u mnie nabywać dzieła sztuki i antyki.

Na zakończenie wyniosłem na środek rynku dwie skrzynki wódki. Ot tak, żeby tubylcy nie spalili mi interesu pierwszej nocy. Miejscowi zakapiorzy zleźli się jak mrówki do miodu. Brali grzecznie po flaszcze, wykonywali parodie ukłonów w stronę mojej witryny i znikali w zaułkach rozpijać łup...

*

W niedzielę poszedłem sobie do kościoła na najwcześniejszą mszę. Potem wyciągnąłem z bagażnika rower i zrobiłem rundkę po okolicy, próbując zidentyfikować miejsca opisane w przewodnikach. Miasteczko leżało w dolinie. Przy szosie na Tarnów między wzgórzami biegł wąwóz. Docisnąłem pedały i pomknąłem wąską ścieżką. Las na zboczach był ciemny, na dnie panował miły, wilgotny chłód.

Borsuczy Jar – sprawdziłem na sztabówce.

Nieco dalej miałem zaznaczone literki: br.mg. Cmentarz wojenny czy co? Śmignąłem po wygładzonych przez wodę kamieniach i znalazłem się w sporej dolinie.

Pośrodku, pomiędzy dwoma sporymi dębczakami, stała nieduża granitowa macewa ozdobiona gwiazdą Dawida. Obok wałało się kilka wypalonych zniczy.

– Pamięci Żydów – mieszkańców tej ziemi hołd składają dawni sąsiedzi – odczytałem nieco wyblakły już napis.

Teraz dopiero spostrzegłem, że kamienie, którymi usiana była ziemia, tworzą w tym miejscu regularny prostokąt. Zbiorowa mogiła została tak oznaczona? Najwyraźniej. Nie była szczególnie duża, ale widziałem już w życiu kilka ekshumacji.

– Kilkaset luda tu pewnie leży... – mruknąłem przygnębiony.

Przeżegnałem się i pojechałem dalej. Dróżka wyprowadziła mnie na wzgórze, stąd wyraźnie widziałem leżącą w dole osadę. Niebo znowu się chmurzyło. Zapowiadało się deszczowe lato tego roku.

Wróciłem do sklepiku, zjadłem co nieco. Wreszcie przyszła pora na to, co najprzyjemniejsze. Wujaszek, robiąc pół roku temu porządki, znalazł – jak to określił – masę gratów i szpargałów. Powywałął je na strych i tam czekały na mnie.

– Przegrzeb to – doradzał. – Co ci się przyda, zabieraj, z reszty możesz zrobić ognisko.

Wdrapałem się po wąskich schodkach i zapaliłem żarówkę wiszącą pod sufitem.

– Co mi się przyda? – mruknąłem. – Pewnie coś się znajdzie. Kto ma chody w GS-ie, zawsze coś przyniesie – zacytowałem stare, dawno nieaktualne przysłowie.

Rozejrzałem się. Jakaś kula pokryta kurzem. Lampa? Bynajmniej. Ślepy globus, przedwojenny, potem już takich nie robiono. Delikatnie zdmuchnąłem pajęczyny. Nie myliłem się. Zaznaczono tylko kontury kontynentów, rzeki, miasta czy granice państwowe uczeń miał rysować samodzielnie kredą.

– Spylić czy zostawić sobie, oto jest pytanie... – stanąłem przed odwiecznym

dylematem łowcy antyków i curiosów...

Wysunąłem szufladę niewielkiej komódki. Kulki z łożyska, elementy starego radia, plastikowe żołnierzyki... Coś kanciastego nawinęło mi się pod palce. No proszę, niemiecki Krzyż Żelazny, i to z pierwszej wojny światowej. Był trochę pordzewiały, a wstążeczka zetlała, ale i tak trzymałem w ręku kawałek historii. Obok leżała gruba koperta z kosmatego, szarego papieru.

„Ważne!” – napisał na niej ktoś kopiowym ołówkiem.

Obróciłem ją w palcach. Była zaklejona. Sądząc po eleganckim, lekko pochylonym piśmie, ten, kto ją zalepił, przeszedł surową szkołę austro-węgierskiej kaligrafii.

– Ważne to ważne. – Ukłoniłem się ceniom przeszłości. – Zbadam z należytym szacunkiem. – Umieściłem ją w torbie.

W kącie, w kartonowym pudle, walała się jakaś komunistyczna makulatura, księgi rachunkowe z lat sześćdziesiątych, rozsypujące się bloczki kwitów... Pod papierami znalazłem zmiażdżoną manierkę, też pierwszowojenną, carską. Aluminiowy korpus wyglądał, jakby ktoś na niego nadepnął. Szyjkę miała wężutką, nijak wygiąć blach od środka. Ale to nic. Nasypie się do niej grochu i zaleje wodą. Przy odrobinie szczęścia ziarno napęcznieje na tyle, że naczynie odzyska kształt. Kilka kulawych krzesel wzbudziło moje przelotne zainteresowanie. Dwa wyglądały naprawdę zacnie. Były zdrowo połamane, ale bez trudu stwierdziłem, że da się je zdemontować i złożyć z nich do kupy jedno całe.

Spod starych płóciennych zasłon wygrzebałem jeszcze metrowej wysokości figurkę mnicha. Była potwornie zżarta przez korniki. Wprawdzie wszystkie otwory wyglądały na stare, ale dobrze znałem to bydełko... Tu nie można niczego zaniedbać. Z torbą pełną łupów, niosąc oburącz świątka, zszedłem na parter.

Powróciwszy do cywilizacji, wsadziłem rzeźbę do plastikowego worka i napuściłem do wnętrza specjalistycznego owadobójczego draństwa. Następnie podłączyłem komputer i skonfigurowałem połączenie z netem. Byłem gotów jutro zaczynać.

„Nawet jak nic nie wyjdzie, to i tak koszt regałów już mi się zwrócił” – pomyślałem, nakrywając się śpiworem.

*

W poniedziałek punktualnie o ósmej otworzyłem drzwi na oścież. Nikt nie czekał na schodkach na otwarcie nowego sklepiku. Siadłem za ladą. Wyciągnąłem papierową kopertę. Obróciłem ją w dłoniach. Wreszcie rozprułem scyzorykiem.

Wewnątrz była jakaś broszura. Los nie obszedł się z nią łaskawie, ale na widok strony tytułowej poczułem przypływ adrenaliny. Słyszałem o tej publikacji i usiłowałem znaleźć ją przed wyjazdem. Niestety, pozycji tej nie miała nawet Biblioteka Narodowa.

– No proszę, marzenia jednak się spełniają – powiedziałem półgłosem.

Miasteczko założono w średniowieczu na kupieckim szlaku wiodącym ku Węgrom. W okolicach roilo się od zbójców, więc zbudowano stanicę, by chronić wędrowców, a w osadzie stale rezydował kat. Po rozbiorach zaczął się okres stagnacji, który trwał przeszło sto lat. Budowana przez Austro-Węgry Kolej Transwersalna ominęła miejscinę łukiem.

Kronikę miejscowości spisał w latach trzydziestych miejscowy nauczyciel. Przybył tu krótko przed wojną. Swoje dzieło opublikował wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego. Wydał je w oszałamiającym nakładzie stu pięćdziesięciu egzemplarzy. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim Niemcy rozstrzelali go na wzgórzach za wsią za ukrywanie pięciorga żydowskich dzieci – jego dawnych uczniów. Książka znaleziona w kopercie ze strychu była szcztana niemal do cna. Kartki, postrzępione i pozaginane, straszyły śladami tłustych paluchów, od strony grzbietu żarł ją grzyb. W normalnych warunkach należałoby wsadzić ją do pieca i zakupić nowy, niezakażony pleśniami egzemplarz... Ale taki biały kruk mógł mi się więcej nie trafić.

Położyłem ją na brystolu i ostrożnie, kartka po kartce, spryskiwałem preparatem i przekładałem świeżą ligniną... Będzie jeszcze czas przeczytać całość... W moje oczy wpadł jeden z akapitów.

Wedle miejscowych podań jeszcze w XVIII wieku w miasteczku zawiązało się tajne stowarzyszenie mające strzec tradycji. O jego członkach mówiono po prostu „ludzie, którzy wiedzą”. Jednym z ich zadań było przechowywanie „soli świętej Agaty”. Była to zwykła sól kuchenna, która została poświęcona w dniu patronki. Wierzono, że rzucona w ogień jest w stanie stłumić pożar...

Przerzuciłem kilka kartek.

Władze austro-węgierskie podjęły oczywiście śledztwo celem odnalezienia domniemanej trucicielki. Do śledczego rezydującego w pokojach gościnnych sołtysa zgłosiło się dwóch miejscowych, którzy zaproponowali, by dla wykrycia – jak to określili – czarownicy, przeprowadzić ważenie wszystkich podejrzanych kobiet, a wyselekcjonowane poddać pławieniu. Śledczy, słysząc o podobnych zabobonach, wygonił ich precz. W ciągu dwu tygodni sprawę zdołał rozwikłać bez uciekania się do zabobonów tchnących najczarniejszym mrokiem średniowiecza...

Cała książeczka pełna była tego typu „sensacji” – nauczyciel przepisywał ustępy z ksiąg grodzkich i sądowych, zamieścił odpisy aktów prawnych wydawanych przez radę. Całość okraszył statystykami, co ciekawszymi wpisami z księgi intencji mszalnych oraz legendami, które zasłyszał od starszych wiekiem mieszkańców.

– Groch z kapustą – mruknąłem, zamykając wolumin. – Ale fajne jak diabli...

„Kiedyś byli tacy ludzie” – dumalem. „Regionaliści, pasjonaci... Badali okolicę, przepytywali starców, rozkopywali kurhany i spisywali kroniki swoich wsi i miasteczek, od Adama i Ewy do współczesności...”

Schowałem książkę w pokoju na zapleczu, zabrałem się za to dla odmiany za rzeźbę

mnicha. Preparat pozostawił delikatny mdląco słodkawy zapaszek. Z wierzchu figura przypominała wprawdzie ser szwajcarski, ale i tak wyglądała jeszcze jako tako. Drewno prawdopodobnie napuszczono gorącym olejem. Wnętrze było silnie spróchniałe i wyżarte. Robale toczyły je przez wiele dziesięcioleci...

„Trzeba będzie nasączyć żywicą, bo rozleci się na kawałki” – pomyślałem z niechęcią.

Zazwyczaj unikałem metod tak głęboko ingerujących w substancję zabytkową. Rozpuściłem trochę kleju, naszykowałem stosik wykałaczek, waciki, miseczkę z bejcą... Wyciągnąłem cyfrówkę i zrobiłem setkę zdjęć. W razie gdybym coś schrzańił, będzie dokumentacja stanu pierwotnego. Końce wykałaczek maczałem w kleju. Następnie delikatnie wbijałem je w otwory po kornikach. Głowa mnicha szybko upodobniła się do jeża. Odczekałem trzy godzinki, by klej dobrze związał. Pościinałem to, co wystawało, wygładziłem najdrobniejszym papierem ściernym. Teraz dla odmiany twarz świętka wyglądała jak oblicze trędowatego pokryte białymi plamkami. Napuściłem świeże drewno wykałaczek bejcą, a gdy wyschła, ostrożnie pociągnąłem olejem migdałowym.

Uzyskałem niemal jednolity kolor. Dopiero dobrze się wpatrując, można było dostrzec miejsca uzupełnień. Robota pierońsko żmudna, ale lubiłem sobie czasem podłubać. Jeśli zachowam tempo pracy, za dwa tygodnie dojdę do stóp...

Okolo trzeciej po południu przyszły dwa chłopaczki. Tak na oko środkowa podstawówka.

– Pan skupuje stare rzeczy? – zapytał blondynek.

– Pokażcie...

Jego kompan wyjął z plecaka długi pakunek. Odwinął z namaszczeniem gazety. Błysnęła brązem zardzewiała lufa, unieruchomiona korozją otwarta komora i resztki magazynka na pięć nabojów.

– Karabin – zidentyfikowałem. – A raczej trup karabinu, i to zdecydowanie mało świeży...

– Wygrzebaliśmy w starej stodole – wyjaśnił blondynek. – Dużo to warte?

Uśmiechnąłem się lekko.

– Na wagę w skupie złomu z pięć złotych dadzą... – wyjaśniłem szczerze. – To mosin z pierwszej wojny światowej. Wojsko nadal ma w magazynach tysiące sztuk. Co jakiś czas któryś nawierca i sprzedają kolekcjonerom. Biorą wtedy z półtora tysiąka, ale broń jest jak spod igły, wszystkie części oryginalne, tyle że osiemdziesiąt lat poleżała w towocie... To, co tu macie, nie zaciekawia żadnego poważnego kolekcjonera. Ale jakbyście to ładnie doczyścili, dorobili drewnianą kolbę, pomalowali, to nieźle będzie wyglądał na ścianie.

– Doczyścili – zafrasował się ten wyższy, patrząc na znalezisko. – Szczotką drucianą czy jak?

– Są lepsze sposoby. Tu sobie doczytajcie. – Dałem im broszurkę. – Normalnie są po

złociszu, ale daję wam gratis z nadzieją na dalszą współpracę. I jeszcze to. – Podaję słoiczek pełen kwasu szczawiowego. – Tylko ostrożnie. Przepis jest w książeczce. Spróbujcie delikatnie rozruszać zamek.

– Współpracę? – podchwycił jego kompan.

– Obok tej przeszukanej stodoły powinna być obórka, a może i fundament chałupy. Szukajcie dalej. Kto wie co jeszcze kryje ziemia... – zachęciłem.

Podziękowali i znikli. Poszukiwacze skarbów za dychę... Będą grzebać, może trafią coś faktycznie ciekawego. Może stare kowadło, może miedzianą patelnię.

„W zasadzie mogłem dać im dwie dychy i samemu się pobawić” – dumałem, nastawiając wodę na herbatę. „Byłby eksponat do wabienia klientów. Ale mam przecież co robić”.

Mnich zdawał się patrzeć na mnie życzliwie. Zajmie mi to trochę czasu, ale ocale go... Zabrzęczał zawieszony nad drzwiami dzwonek. Do środka wparował staruszek o lasce. Na głowie miał spłowiąłą maciejówkę. Szara kurtka z postawionym kołnierzem, czapa i sumiasty wąs upodabniały go trochę do marszałka Piłsudskiego.

– Witam serdecznie. – Niemal zgniótł mi dłoń w uścisku. – Maciej – przedstawił się. – Jestem tu w osadzie jakby za starszego.

– Robert Storm – wymieniłem swoje imię.

Wujko ostrzegwał, że ktoś taki tu grasuje.

– Cieszę się, że ktoś z waszej rodziny znowu osiadł w miasteczku. Wujaszek pana zdezerterował z frontu pracy, ale jak widzę, nie poddajecie się łatwo. Czym to będziecie teraz handlowali? – Rozejrzał się po wnętrzu.

– Mapy, przewodniki i badziewie dla turystów – wyjaśniłem. – Dla bardziej wymagającego klienta trochę staroci. – Wskazałem gablotę, gdzie ładnie podświetlone prezentowały się drewniane rzeźbione talerze do chleba, wojskowe klamry z różnych epok, garść drobnych militariów, monety i ceramiczna figurka kotka, pamiętająca jeszcze czasy cesarza Franza Josefa.

– Towar powiedziałbym taki sobie... – Staruszek wyraźnie się rozczarował.

– Nie zna pan jakichś lokalnych artystów? – zapytałem. – Malarzy, rzeźbiarzy, jak sam pan widzi, ściany tam wyżej są gołe, jest gdzie prace wyeksponować. Ze trzydzieści obrazów można tu zawiesić. Chętnie nawiązałbym współpracę z kimś, kto by mi je namalował.

– Kiedyś jeden mój kumpel rzeźbił świątki, ale ze dwadzieścia lat minęło, jak go pochowali. Dziś nikomu nawet do głowy nie przyjdzie bawić się w artystę. Było dwóch malarzy w sąsiedniej wsi, też już chyba nie żyją. Jakbym się czegoś dowiedział, to skieruję. Ale kokosów pan na tym nie robi. Nie w tym miejscu.

– Zawsze można spróbować część oferty sprzedać przez Internet – broniłem się.

– Może to coś da, a może i nie... W tym miasteczku i wśród tych wzgórz kryje się coś złego – powiedział wolno starzec. – Wiele krwi tu przelano. Zbyt wiele może. Byłeś

na Szwedzkiej Górcie?

Pokręciłem głową. Wiedziałem, gdzie to jest, ale nie zapuściłem się tak daleko podczas rekonesansu.

– Tam nasi przodkowie ubitych Szwedów ustawili nanizanych na pale – wyjaśnił. – Przy szlaku zaraz, by ich kompani, gdy nadciągną, ujrzeli, co ich czeka... Po drugiej stronie wąwozu jest kurhan. Ten z podwójnym krzyżem na wierzchołku.

– Taki krzyż nazywa się karawaka – mruknąłem. – Wedle legendy pochodzi z Hiszpanii. Stawiano je po całej Polsce na cmentarzach cholerycznych. Ponoć gdzie taki stoi, tam zaraza nie uderzy ponownie. Była tu jakaś epidemia?

– Dżuma doszła. W siedemnastym wieku. „Wielkie powietrze” roku tysiąc sześćset dwudziestego czwartego. W kurhanie po zarazie pogrzebano ciała zmarłych. Z pięćset luda tam spoczywa, jak nie więcej. I jeszcze Pruska Górka.

– Pamiątka z pierwszej wojny światowej? – domyśliłem się. – Nie wiedziałem, że w tej okolicy też toczyły się walki.

– Poniekąd. Oddział Prusaków wiozł amunicję. Była burza, ustawili tabor pod drzewami. Piorun uderzył akurat w wóz, na którym wieźli szrapnele w skrzyniach... Do dziś pełno tam ołowianych kuleczek... Po każdym deszczu woda nowe wypłukuje...

– A w Borsuczym Jarze leżą pomordowani Żydzi – uzupełniłem. – I to chyba bardzo wielu, sądząc po rozmiarach mogiły.

– Siedmiuset, może ośmiuset... – uzupełnił ponuro. – Im chociaż macewę postawiliśmy i rabin z Krakowa kadisz odmówił... Długa jest nasza historia i ponura. Zło... Nikomu nic się tu nie udaje – warknął. – Coś przeszkadza. Przed wojną tu cztery tysiące ludzi mieszkało. Dziś i tysiąca nie będzie. Okolica piękna, ale turyści wysiadą z pekaesu i od razu chodu w góry, jakby ich ziemia parzyła w stopy. A miejscowi... Ilu wspaniałych kolegów miałem w szkole. Niemcy wielu wybili. Innych los rozrzucił po świecie. Mnie też rzucało, ale przecież wróciłem. A kto tu został to albo chłwał, albo biedę klepał. Połowa nawet rodzin nie założyła.

– Coś przeszkadza? – podchwyciłem.

– Taaa... Pojdę już, późno się zrobiło. – Wstał. – Będę zachodził. – Ukłonił się i odszedł, postukując laseczką.

Sądziłem, że czeka mnie kolejnych kilka godzin totalnej nudy, ale nie. W drzwiach stanął następny gość.

Facet miał może ze dwadzieścia pięć lat. Zniechęciłem go od pierwszego wejrzenia. Miał cwaniacką czerwoną gębę typowego wiejskiego chlora, a jego ubiór charakteryzował się daleko posuniętą nonszalancją...

– Czym mogę służyć? – zapytałem.

– Pan antykami i monetami handluje... – głos był zachrypnięty z przepicia, różne wynalazki wygarbowały gardło. – Może i miałbym coś ciekawego.

– Proszę pokazać.

Byłem przygotowany, że wysypie z kieszeni garść wytartych aluminiowych groszaków z czasów Bolesława Wrażliwego lub Władysława Skąpego, ale zamiast tego wyciągnął z teczki... parę zardzewiałych rewolwerów.

– Fiu, fiu. – Gwizdnąłem. – Amerykańskie colty – zidentyfikowałem szybko. – Połowa dziewiętnastego wieku. Szkoda, że strasznie zniszczone.

– Niezłe pukawki, co? – Napuszył się jak paw. – Dziedzic używał ich w powstaniu listopadowym. A może styczniowym. – Zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć.

– Niezłe – powiedziałem powściągliwie. – Robią wrażenie. Szkoda tylko, że ostatnie lata leżały na mocno wilgotnym strychu. Albo i w piwnicy. Taka broń ma wartość, jeśli jest w stanie gabinetowym.

– No fakt, ale nafty trochę na watkę i się doczyści. Ile pan by za nie dał?

– Tysiąc dwieście za oba – zaproponowałem.

– A, to widzę, pan porządna firma. – Uśmiechnął się. – Stoi! – Wyciągnął łapę po gotówkę.

Za wysoką cenę zaproponowałem. Z drugiej strony, nie miałem jakoś ochoty na targowanie się z tym typem. Sam jego wygląd budził we mnie głęboką abominację. Spisałem typka z dowodu i wypłaciłem żadaną kwotę. Aż mu nos poczerwieniał z zadowolenia.

– Jeszcze coś zaraz przyniosę. – Poglądził się z lubością po kieszeni spęczniałej od banknotów.

Znikł i faktycznie po kwadransie wrócił. Niósł coś owiniętego w gazetę. Z dumą położył na ladzie.

– Ile za to? – W jego oczkach błysnęła chciwość. – Stara rzecz, po dziadku zostało.

Rozwinąłem pakunek. Stary album, z pozoru nic ciekawego, okładka z plastikowej imitacji skóry. Lata pięćdziesiąte?

Otworzyłem i siląc się na obojętność, przerzucałem kartki. Zdjęcia miasteczka. Setka, może półtorej. Najstarsze, duże, na tekturce, pamiętały początki ery fotografii na Podkarpaciu. Najnowsze były z wczesnych lat pięćdziesiątych. Przy większości widniały daty i krótkie opisy. Dla regionalisty lub miłośnika historii nieoceniony skarb...

„Kurczę, zeskanować i nawet album można wydać” – pomyślałem podniecony.

– Ile za to pan dasz? – powtórzył.

– Dwieście – zasugerowałem.

Czułem obrzydzenie do tego typka. Znałem takich dobrze i szczerze nienawidziłem. Ludzie bez historii, bez przeszłości. To tacy jak on wyrzucali do śmieci listy wysyłane przez przodków z frontu, palili w piecu starymi meblami, by zrobić miejsce pod meblościankę z płyt. Lub jak on – za byle grosz bez wahania sprzedawali pamiątki rodzinne...

– Dwieście pięćdziesiąt – podbił.

– Dwieście trzydzieści.

– A niech będzie! – Wyciągnął brudną łapę.

Odliczyłem mu banknoty, wybierając z kasy te najbardziej zniszczone.

– Gdyby się coś jeszcze trafiło, proszę o mnie pamiętać. – Zmusiłem się do uśmiechu.

– Się wie. Jutro strych przegrzebię. Ja to niewiele mam, ale ten staruch, Maciej, co tu do pana zachodził. O, ten to ma zbiory. Ale nie sprzeda. To jeden z tych, którzy wiedzą – mruknął niechętnie.

– Co wiedzą? – zdziwiłem się.

Przypomniałem sobie zdanie przeczytane w książce. Czyżby członek tajemnego bractwa, szerzącego ciemnotę i zabobon?

– Jak się pewne rzeczy robi. – Uciekł spojrzeniem w bok. – Niewielu dziś takich. A pewne rzeczy po prostu trzeba wiedzieć... Mój stryj... Nie, stryj mojego ojca – poprawił się – też wiedział...

Zastanawiałem się, jak go przycisnąć, by sypnął więcej szczegółów, ale nie wymyśliłem, a on już się zbierał. Znikł uradowany, zostawiając za sobą ostrą woń potu i niemytego ciała.

Z ulgą przyjąłem wybicie godziny osiemnastej. Zamknąłem drzwi, spuściłem żaluzje i wreszcie miałem wolne. Wydobyłem z lodówki pizzę, podgrzałem w mikrofalach. Potem godzinę popracowałem przy rzeźbie mnicha. Powolutku przywracałem figurze dawny blask. Żywice dobrze związały spróchniałe wnętrze. Głowa po moich wcześniejszych zabiegach wyglądała naprawdę nieźle. Skupiłem się teraz na szerokim rękawie habitu. Klej, wykałaczkę, żmudna robota, ale dająca satysfakcję. Brakowało jednej dłoni. Jeśli nie znajdę jej wśród śmieci na strychu, będę musiał pogadać ze znajomym rzeźbiarzem, żeby mi dorobił...

Wreszcie uznałem, że na dziś wystarczy. Teraz przyszła pora na coś prostszego. Rewolwery... Korozja złapała je solidnie. Namęczyłem się, zanim zdołałem je rozkręcić do oczyszczenia. Drewno kolb na szczęście dobrze zaimpregnowano. Uszkodzenia były nieznaczne, ale jednak wyraźnie widoczne. Wreszcie, odwaliwszy robotę, zabrałem się za badanie albumu.

– Rewelacja, po prostu rewelacja – mruczałem, przerzucając kolejne strony. Jednocześnie ogarniała mnie melancholia. Ktoś przez wiele lat wklejał te zdjęcia. Zaczął prawdopodobnie w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku. Były dla niego ważne. Nie podpisywał ich. Wiedział, kogo przedstawiają. Teraz patrzyłem w oczy ludzi, którzy odeszli dawno temu, i nie znałem ich imion. Kobieta w czarnej sukni i pince-nez. Działaczka społeczna? Dziewczyna z grubym warkoczem, pozująca przed nieistniejącym już budynkiem szkoły. Nauczycielka? Córka dyrektora? Absolwentka, która poszła na studia do miasta? Śliczna... Jeśli żyje, ma sto lat. Może więcej. Cienie przeszłości. A może ktoś podpisał fotografie na odwrocie? Spróbuję je potem delikatnie

odlepić... Na końcu było jeszcze kilka sztuk wetkniętych luzem.

Zadzwoił telefon. Marta.

– Halo?

– Żyjesz? – ucieszyła się. – Nie odzywałeś się...

– Przepraszam, trochę jestem zagoniony – wyjaśniłem. – Trafiło się parę ciekawych rzeczy...

– Wiem, wiem. Dobrze cię znam. Nie jesz, nie śpisz, tylko ściągnąłeś od chłopów stos rupieci i teraz godzinami bawisz się w konserwatora antyków – domyśliła się.

– Prawdziwi konserwatorzy zrobiliby to lepiej – mruknąłem. – Tylko że fachowcom nie chciałoby się męczyć z czymś, co nie ma nawet dwustu pięćdziesięciu lat...

– Yhym...

– W sierpniu jedziemy do Norwegii – zmieniłem temat. – Trzeba kupić dobre buty i może lepszy aparat... Nie mam też lornetki.

– Aż tak dobrze ci idzie to rozkręcanie interesu wujaszka?

– Tego bym nie powiedział – przyznałem. – Ale jeszcze czterdzieści dni. Zobaczymy. Jak się nie uda, mam trochę oszczędności, za moje pojedziemy.

– Trzymam za słowo.

– Weźmiemy namiot i będziemy go rozbijali na górskich łąkach ponad głębokimi zielonymi fiordami... A rankiem renifery będą nas budzić, liżąc w pięty...

– We dwoje w jednym ciasnym namiocie? Bardzo niemoralnie. – Zachichotała.

Przekomarzaliśmy się jeszcze chwilę i rozłączyła się. Położyłem jedno ze zdjęć na płycie skanera. Lekko wyblakłe? To nic. Poprawiłem kontrast. Na budynkach pojawiły się niewidoczne wcześniej cienie. Grupa mężczyzn ćwiczyła na rynku. Powiększyłem obraz. Znaczki przypięte do bluz pozostały niewyraźnymi owalami, ale wiedziałem, że przedstawiają ptaka niosącego w szponach sztangę. Za to na jednym z pasów dostrzegłem charakterystyczną kwadratową klamrę ozdobioną splecionymi literami.

– Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” – mruknąłem na głos.

Przeglądałem fotografię, przesuwając powoli obraz na komputerze. Niestety, po lewej stronie niektóre postaci były niewyraźne.

– Defekt obiektywu aparatu? – mruknąłem. – A może raczej zaparowało...

Tej nocy śnili mi się chłopci nabijający Szwedów na pale.

*

Wtorkowy poranek był deszczowy. Nadal nikt nie odwiedzał sklepiku. Dopiero koło południa zaszła jakaś babina, uginająca się pod ciężarem.

– Fotela pan nie kupisz? – zapytała. – Prawdziwy antyk.

– Fiu, fiu...

Obejrzałem przyniesiony przez nią mebelek. Solidny drewniany fotel z wysuwającym

zagłówkiem. Dębina pociemniała z wiekiem. Ufajdany, ale drewno zdrowe, bez korników. Deszcz trochę rozpuścił kurz... Na dłoniach zostały mi szare plamy.

– Dentystyczny – zidentyfikowałem.

– A to po pradziadku musi. On tu zęby rwał. Stało na strychu od lat i siem kurzyło, to sem pomyślała, po co ma zagracać, jak parę groszy może z tego być.

Chciała dwieście złotych, ale stanęło na stu pięćdziesięciu.

– Miodzio – mruknąłem, gdy zatrzasnęły się za nią drzwi. – Jak na razie przepuściłem ponad półtora tysiąka, a nie zarobiłem jeszcze nawet złotówki.

Zarzuciłem nabytek na bark i aż sapnąłem. Lite drewno, bez dwóch zdań. Albo komuś sprzedam, albo zostawię sobie, przyda się dobry fotel, by siedzieć przy biurku...

„Jak ona to przytargała!? Widać miejscowi są silniejsi, od małego przyuczeni do ciężkiej pracy” – myślałem, wlokąc łup na zaplecze.

Zabrzączał dzwonek. Odwróciłem się w stronę drzwi. Pan Maciej. Uśmiechnąłem się i gestem zachęciłem, by się rozejrzał, a sam podjąłem kolejną próbę przepchnięcia fotela przez wąskie drzwi.

– A niech mnie – syknął, patrząc w witrynkę.

„Rewolwery” – odgadłem natychmiast. „To go zainteresowało...”

Nie myliłem się.

– Więc jednak ta menda znalazła spluwy starego Zenka. – Staruszek uniósł głowę.

– Kradzione? – zaniepokoiłem się.

Spisałem gościa z dowodu, ale zawsze to kłopot. Policja, przesłuchania...

– Wnuk jakby, więc to jego prawem dziedziczenia – odwarknął. – Ale mógł bydlak powiedzieć, że chce to spylić. Historyczna broń, można powiedzieć...

– Sprzedający wspominał, że dziedzic używał ich w powstaniu styczniowym... – bąknąłem.

– Bujda na resorach. Chyba że w rabacji galicyjskiej jakiemuś chłopu w łeb palnął. – Zarechotał.

– Nie są aż tak stare. Powstanie styczniowe pasuje bardziej. Ale żeby wziąć udział w walkach z carskimi, właściciel musiałby pojechać wiele kilometrów na północ...

– To wcale niewykluczone. – Wzruszył ramionami. – Galicja żyła powstaniem. Wielu młodych ludzi przekraczało kordon. W samym Lwowie sformowano kilkanaście oddziałów ochotników. Większość zdołała się przedrzeć przez granicę. Znam te spluwy. Po wojnie odezwały się parę razy wśród tych wzgórz... – mruknął. – Sekretarz PPR i jego kompan od kieliszka, major z KBW. A szef ORMO za ochronę wtedy robił i nie ochronił...

Poczułem kroplę potu na plecach. No ładnie...

– A to tak legalnie można tym handlować? – głos starego sprowadził mnie na ziemię.

– Broń czarnoprochowa wytworzona przed rokiem tysiąc osiemset sześćdziesiątym i jej repliki są dopuszczone do obrotu. Trudno z tego kogokolwiek zastrzelić. To znaczy

oczywiście da się, ale posługiwanie się tak antycznymi pukawkami wymaga ogromnej wprawy. Nasi bandyci nie są na tyle cierpliwi i skłonni do nauki, więc ryzyko użycia ich do popełniania przestępstw jest niewielkie... Te w dodatku są już bezużyteczne.

– I ile by pan myślał?

– Zakładając, że muszę na tym coś zarobić, dwa tysiące za oba – wyjaśniłem. – Ale nie będzie pan chyba kupował trefnych spluw?

– Dlaczego nie? Póki nikt ścierwa nie odnajdzie, kul nie porówna. Zresztą po tylu latach w ziemi i tak nie uda się dopasować ich do żadnej konkretnej broni... – Uśmiechnął się tak wrednie, że w tej chwili dałbym mu dwadzieścia procent rabatu. – I tak zapytam: na chodzie? Da się z nich walnąć?

– Już mówiłem, do strzelania bezużyteczne. W każdym razie ja bym nie ryzykował. Doczyściłem, ale korozja poszła w pory metalu, może je rozerwać przy pierwszym strzale.

Wyjąłem jeden egzemplarz i podałem mu. Obejrzał i z ukłonem oddał.

– Zastanowię się jeszcze...

– Ewentualnie coś tam mogę opuścić...

Otworzyłem gablotę, umieściłem broń na miejscu. Gdy się odwróciłem, dziadek stał i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ekran komputera.

– Co to za zdjęcie? – zagadnął.

– A zeskanowałem sobie jedno stare...

– Hmm... Wie pan, ja nieuczony w tych nowoczesnych sztuczkach... – Rozłożył bezradnie ręce.

– To proste. – Uniosłem pokrywę skanera. – Fotografię kładę na tej szybcie, wciskam guzik...

– I obraz przenosi się do komputera – odgadł natychmiast. – Ale to mały fragment dużej fotografii, czyli jak rozumiem... można na przykład... powiększyć?

– Powiększyć, poprawić ostrość, usunąć niektóre uszkodzenia... Niech pan patrzy. – Podałem mu odbitkę. – Widzi pan domy za sokołami.

– Tak...

– Powiększyłem i wyostrzyłem. – Ruszyłem myszką. – I proszę – wszystkie szyldy czytelne. Wprawdzie nazwisk właścicieli trzeba się domyślać, ale jakie to były sklepy, widać jak na dłoni.

– Znaczący się ta młoda menda przyniosła na sprzedaż także album dziadka... – prychnął. – Ile za niego?

– Nie chcę go sprzedawać.

– A to dlaczego? – zdumiał się. – Sklep to sklep, towar to towar, wystarczy cenę ugadać...

– To ciekawy materiał historyczny – wyjaśniłem. – I sporo tych fotek. Półtorej setki będzie. Pan mówi: towar. Pomyślałem, że można mieć z tego jeszcze lepszy towar.

Poskanuję, dodam stare artykuły z gazet, cytaty z kroniki nauczyciela, pogrzebię za dodatkowymi informacjami i wydám albumik. To robota na jakieś dwa, trzy miesiące, a wydawnictw regionalnych tu jak na lekarstwo... Przewodnik po okolicy też ma ze trzydzieści lat. Przydałby się nowy.

Uśmiechnął się pod wąsem, a oczy dziwnie chytrze mu zabłyśły. Coś sobie układał w głowie. Jakiś pomysł, sprowokowany najwyraźniej moją uwagą.

– Sto pięćdziesiąt zdjęć – mruknął. – Jeśli mówimy o wartościowej publikacji, ukazującej w pełni nasze burzliwe dzieje, zabytki oraz urodę regionu, to może być trochę mało. Zwłaszcza że trzeba wybrać najlepsze, najciekawsze...

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Też mamy to i owo. Ja i moi przyjaciele. Muzeum nie otworzymy, bo nie ma za co ani dla kogo. Ale książkę wydać to niegłupi pomysł. Coś się znajdzie tych starych fotografii. Jakieś sześćset albo siedemset... I dwa bruliony wycinków prasowych. Najstarsze z czasów miłośnicwie nam panującego Franza Josefa... Ale i międzywojennych dużo. I papierów trochę się znajdzie, na przykład księga pamiątkowa sokołów. I przedwojenna kronika szkoły – najwyraźniej kusił. – I sporo różnych fantów po naszym dziedzicu na przykład.

– Oooo...

– Dobijmy targu. – Spojrzenie mu stwardniało. – Udostępnimy nasze zbiory. Ale w zamian... Dwie rzeczy.

– Rewolwery? – odgadłem.

– Tak. To dla nas pamiątka, lepiej, żeby nie poszły w obce ręce.

Otworzyłem szufladę i położyłem je na blacie. Szlag! Półtora patyka poszło się bujać... Ale może i warto.

– Są pańskie. A drugi warunek?

– Posiedzimy przy fotkach wspólnie, też jestem ciekaw pewnych szczegółów... Widocznych w dużym powiększeniu.

Przed wieczorem zaszły jeszcze te dwa chłopaczki. Przynieśli nieduży mosiężny dzwonek. Dałem im dychę i powiesiłem go sobie nad drzwiami. W sklepie powinien być dzwonek...

Potem zabałagałem jeszcze trzy godziny nad rzeźbą mnicha. Wśród śmieci na strychu odnalazłem szczęśliwie kilka kawałków, które odpadły od płaszcza, i odłamaną dłoń. Kleje, żywice, bejca, oleje... Żmudna robota, ale efekty było już widać.

„Odszykuję jak na wystawę” – cieszyłem się w duchu.

*

Lało jak z cebra. Leżałem w łóżku, czytając kronikę miejscowości.

Powiadają, że podczas potopu szwedzkiego w okolicy miasteczka nadciągnął

niewielki oddział najeźdźców. Odłączył się od głównej kolumny wojsk, by grabić i mordować na własną rękę. Jednak miejscowy dziedzic, przeczuwając nadciągającą wojnę, hajduków od dawna miał pod bronią, a fornalom, pańszczyźnianym i mieszczanom nakazał kusze ze zbrojowni wydać, zaś trzech kowale spieszenie nowe wykonali, tedy gdy Szwedzi sąsiednią wieś napadli i chłopów dorzynali, miejscowi na karki im wsiedli. Czterech lub pięciu tylko rajtarów żywcem wzięto lub sami się poddali, jednak i oni śmierci nie uniknęli. Na rozkaz dziedzica na rynku kaźń im zgotowano straszliwą. Brzuchy rozcięto i nasypano w trzewia soli. Tak leżeli, cierpiąc straszliwe katusze, aż oddali ducha. Potem zaś na urągowisko oraz ku przestrodze innym najeźdźcom nanizali trupy na pale i ustawili na pagórku przy trakcie. Legenda mówi, że umierając, przeklęli miasteczko i jego mieszkańców. Bo choć uniknięto najazdu w ciągu kolejnych lat trzystu, naliczyłem w kronikach trzydzieści pięć pożarów, dwanaście epidemii i liczne inne klęski żywiołowe. Takież i zdanie ludzi, którzy posiłkując się wiedzą płynącą z zabobonów, podjęli liczne, acz bezowocne wysiłki, by klątwę zdjąć.

„Coś przeszkadza” – przypomniałem sobie słowa staruszka, zasłyszane kilka dni temu. Duchy zamęczonych Szwedów?

Z kilku wpisów wynikało, że w miasteczku od dwustu lat działa grupa ludzi, którzy na przekór nauce i postępowi kultuwują i podtrzymują wiarę w zabobony...

„Pozytywiści na odwrót, psiakrew. Zamiast jeździć po wsiach i edukować chłopów, szerzą ciemnotę...” – dumalem. „Albo może tylko strzegą tradycji? Tak często ostatnio opluwa się ludzi, którzy chcą po prostu zachować pamięć o przeszłości...”

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła północ. Zadzwoiłem do Marty.

– Co dobrego? – zapytałem.

– Nuuuudy – westchnęła. – Chociaż nie, był u nas dziś wariat, który bada starogrecką notację muzyczną, robi kopie ówczesnych instrumentów i usiłuje odtworzyć starożytne melodie. Lepszy świr, zupełnie jak ty zakochany w przeszłości i utyłany w kurzu wieków. Wzięłam dla ciebie jego wizytówkę. A ty? Co porabiasz?

– Albumik zrobię o miasteczku.

– Chcesz tam zamieszkać na stałe i wkupujesz się w łaski miejscowych?

– Nie chcę tu mieszkać. Po prostu...

Urwałem. Sam nie wiedziałem, po co to robię. Z wewnętrznej potrzeby ratowania przeszłości? Dla porządkowania teraźniejszej rzeczywistości? Dla zbadania, kim jesteśmy i skąd przychodzimy? A po co jakiś nieznany mi facet próbował odtworzyć zaginioną muzykę sprzed dwu tysięcy lat? Bo jak ja poczuł, że tak trzeba?

– Fajną rzeźbę wygrzebałem – powiedziałem. – Mnicha, chyba dominikanina. Stare drewno, ale do uratowania i warta zachodu. Ponad metr wysokości. Ładnie ją zakonserwuję, zrobię pełną renowację i będzie jak znalazł do naszego saloniku.

– Jeszcze się nawet nie pobraliśmy, a ty już chcesz nasze przyszłe mieszkanie urządzać – fuknęła. – I to nie konsultując nawet ze mną!

– Podzielimy się – zaproponowałem. – Ja rozplanuję salon i gabinet do pracy, a ty kuchnię i sypialnię.

– Że niby mam być do łóżka i do garów!? – Chyba zdrowo ją rozjuszyłem.

– Przecież mówiłaś, że lubisz gotować? – zdziwiłem się.

Chyba jak zwykle powiedziałem coś nie tak, bo trzasnęła ze złością słuchawką.

– Kompletnie nie umiem gadać z dziewczynami – poskarżyłem się świętemu. – A przecież już w liceum czułem, że do siebie pasujemy.

Święty nie odpowiedział, ale wydało mi się naraz, że patrzy na mnie jakby ze współczuciem.

*

Dzień ciągnął się jak flaki z olejem. Przyszedł jakiś menel, przynosząc siodło. Porządne, kawaleryjskie, sądząc po kształcie – międzywojenne. Skóra była zdrowo schetana, ale do uratowania. Chciał kilka setek, ale w ostateczności po długich targach zadowolili się jedną.

– Tak, wiem, już wiele razy różni ludzie mówili mi, że zwariowałem – powiedziałem do mnicha, dźwigając fant na zaplecze. – Ale to przecież jak za darmo, choć roboty, żeby to doprowadzić do porządku, będzie masa...

Deficyt w obrotach zbliżał się do dwu tysięcy złotych. Jak na razie nie sprzedałem nawet pudełka zapalek.

– A może by to odwrócić? – rozważałem, delikatnie zastrzykując żywicę do wnętrza rzeźby. – Założyłem sklep. Sklep ex definitione to miejsce, w którym się różne rzeczy sprzedaje. Zamiast tego wyłącznie kupuję. Może gdybym założył skup antyków, ludzie przestaną znosić mi starocie, a zaczną kupować?

Pan Maciej przyszedł tuż przed wieczorem, niosąc pokaźnych rozmiarów teczkę pełną fotografii. Odpaliłem kompa i zabrałem się za skanowanie. On zaś rozsiadł się w fotelu dentystycznym i obserwował moją pracę.

– Wiedziałem, że początki biznesu zawsze są trudne, ale nie sądziłem, że aż tak – zagailem.

– Zupełnie jak ten twój wujaszek. – Uśmiechnął się pobłaźliwie. – Człowieku, a na co niby, u diabła, liczyłeś? Od zera do milionera? To w Nowym Jorku, a nie tutaj. Przecież to kompletna dziura.

– Założenia są dobre! – Pokręciłem głową. – Okolica ładna. Szlaki turystyczne. Ze cztery schroniska w odległości kilku godzin marszu. Przystanek PKS-u. Co dzień to samo. Przyjeżdża bus, drugi, piąty. Każdy wypłuka bandę ludzi z plecakami. Idą sobie w góry. Wracają, wsiadają. Czasem muszą poczekać godzinę lub dwie na transport.

– I...?

– Mam wszystko, czego potrzebują. – Wskazałem dłonią stojaki. – Manierki,

menażki, raki do butów, kije do nordic walking, mapy, plany, przewodniki, GPS. Nawet liofilizowane mięso. Mam pocztówki i znaczki pocztowe ściągnąłem. Można kartkę do krewnych wysłać. Antyki też przecież są ciekawe. Każdy facet lubi chociaż pogapić się na pistolety i szable!

– No niby tak. – Kiwnął w zadumie głową. – To znaczy ja lubię, pan lubi, moi kumple lubią. Ale ja jestem stary, a pana tak wychowali, że jest pan trochę taki „retro”. Może gówniarstwa nie ciekawią już takie fajne stare rzeczy? Ja młody chłopak byłem, jak poszedłem do wojska. Dla mnie wojna to i tragedia była, i przygoda wielka. Bo i do Niemców strzelałem, i do ruskich. Lasy za Uralem wycinałem. Szedłem przez stepy Iranu, byłem w Indiach i w Egipcie. Jak i za co bym taki szmat świata zwiedził? I co najważniejsze, człowiek wiedział, że czyści ziemię z hitlerowskiej swołoczy. Za każdym razem, gdy spust karabinu naciskałem, weselej na duszy mi się robiło. A ci młodzi teraz, jak ich w TV pokażą, to tylko jojczą, żeby wycofać nasze wojska to z Iraku, to z Afganistanu... Sami nie muszą walczyć, a rozmiękli jak błoto na deszczu. To może widok spluw i medali po dawnych bohaterach budzi ich niechęć? O, ten tu. – Wskazał Krzyż Żelazny. – Ja tam Niemców nie lubię, ale żeby coś takiego w pierwszej światowej dostać, to jednak trzeba było iść pod sypiące się rosyjskie kule i czegoś dokonać.

– Zakładając nawet, że turysta nie kupi sobie historycznego drobiazgu, przecież mam i inne rzeczy. Okno umyłem, szyld wisi, reklama puszczone w Internet... – wyliczałem.

– Sklepy – westchnął. – To już nie ten rynek co kiedyś...

– Proszę? – zdziwiłem się.

– No rynek. Wygląda jak przed pierwszą wojną światową. Kamieniczki wokoło, ze czterdzieści będzie. Tylko kiedyś tu wszędzie były malutkie żydowskie sklepiki i warsztaty. Szewc, krawiec, rymarz, bednarz nawet. I kantorek lichwiarza... Wszystko można było kupić. Wszystko sprzedać, jeśli zaszła potrzeba. Teraz sam pan popatrz. Dwa sklepy z tanim winem, knajpa-mordownia, jeden spożywcza, dwa lumpexy i ten biznes... Cała reszta splajtowała. Było tu trochę takich jak ty. Brali kredyt, próbowali coś rozkręcić. Był sklep z telewizorami, był jubiler, pub, taki dla lepszej klienteli, kawiarnia, pizzeria, było nawet biuro podróży, cholera wie po co i dla kogo...

– Wszystko zdechło?

– Tak.

– Ale dlaczego? – wybuchłem. – Przecież ludzie mają pieniądze. Turyści też mają pieniądze.

– Taki los – westchnął. – Coś tam się dawniej próbowało z tym zrobić. Może jeszcze coś się uda...

– Ludzie, którzy wiedzą – rzuciłem.

Nastroszył się wyraźnie.

– Co chcesz usłyszeć? – parsknął. – Jesteś z miasta. Nie uwierzysz w ani jedno

słowo.

– Może jednak? – nacisnąłem.

– Jest legenda. Stara miejscowa opowieść o pięciu Szwedach, których wzięto żywcem...

– Czytałem w kronice nauczyciela Gałki.

– Co on tam wiedział – westchnął Maciej. – Głupi nie był, porządny gość, dobrze się zapisał. Tych małych żydków ukrywał, gdy inni się własnego cienia bali... Ale miastowy.

– Stygmat jakiś, że ktoś się w mieście urodził? – parsknąłem. – Mieszczuchy to dla was inna, gorsza rasa?

– Tak jakby. Tu, na prowincji, życie płynie innym trybem, a czasem i dzieją się rzeczy, których nijak rozumem nie wyjaśnisz. Tak i w tym przypadku. Szwedzi... To byli źli ludzie. Mordercy. I podle skończyli. Czasem taki nie odejdzie, tylko zostanie... I szkodzi. Głupio dziedzic zrobił, że ich kazał na rynku sprawić. Takie rzeczy z dawien dawna za miastem robiono. Duchy to duchy – mruknął. – Nie daj Boże takiego spotkać...

– A czemu? – zdziwiłem się.

– One lubią snuć się wśród żywych, ale gdzie zagnieździ się duch, wszystko zaczyna iść na opak. Ludzie przestają cieszyć się drobiazgami. Ty to rozumiesz, bo jest w tobie radość detalu.

– Co proszę!? – zdumiałem się.

– Cieszą cię drobiazgi. Stara książka. Zaśniedziała monetka. Żydowski jad do czytania Tory. Bierzesz w dłoń i zastanawiasz się. Kim był człowiek, który tego używał? Co myślał...? Podnosisz wyblakłe zdjęcie, nie patrzysz na nie, patrzysz w oczy tamtym ludziom. A oni patrzą tobie przez otchłań czasu. Teraz wyobraź sobie, że to wszystko tak: trach. – Strzelił palcami. – Że ta radość znika. Że nie sprawia ci już przyjemności mozolne naprawianie starego świątka. – Wskazał rzeźbę. – Że patrzysz na antyki jak na stare, nic niewarte barachło. Tak jest, gdy zły duch sączy jad w duszę...

– Zaraz, przed wojną wszystko kwitło, a teraz przestało. Co, duch siły nabrał?

– Tak. Gdy ludzie są silni i mają swoje cele, duch bardzo zaszkodzić nie może. Gdy wypala się zapał, on staje się mocniejszy. Trzydziestu takich łebków jak ty, młodych, odważnych, z głową na karku, i Szwed zagrzebałby się w błocie z podkulonym ogonem. Ale tu trzydziestu twoich rówieśników woli chlać, niż cokolwiek robić. To i duch się tym syci... Sieje w ludziach niechęć, melancholię, rozpacz i po latach zbiera dziesięciokrotny plon.

– Duchów nie ma. W każdym razie jak dotąd żadnego nie spotkałem... – miała to być kpina, ale mój głos był zbyt zduszony.

– Spotkałeś, tylko nie wiesz o tym – mruknął. – Nie jest łatwo je zobaczyć... Nigdy nie ujrzysz takiego, patrząc na wprost. Wyczujesz może powiew chłodu i tyle. Przy

mgle czasem widać zawirowania, jak idzie, to wszystko.

– Ale...

Czułem przez skórę, że ten człowiek mówi prawdę. Nie chwali się, nie straszy miastowego...

– Ale czuję, że to i owo w życiu widziałeś. Rzeczy, których nie da się wyjaśnić ot tak. – Rzucił mi badawcze spojrzenie.

– Skąd pan wie?

– W twarzy czytam. Bo gadam o duchach, a ty zamiast wykpić starego dziwaka albo co chwilę skwapliwie potakiwać z szacunku dla moich siwych włosów, siedzisz z miną jak struty i tylko po oczach widać gonitwę myśli...

– Coś tam widziałem. – Westchnąłem ciężko. – Choć wolałbym nie widzieć. Duch... Między ludźmi – słowa padały mi z ust miękko jak płaty starego papieru.

– Żeby się go pozbyć, trza grób rozkopać. A gdzie po czterystu latach grobu szukać? Tylko jedna wskazówka. Duch trzyma się miejsca, gdzie kości leżą. Zazwyczaj.

– Czyli?

– Szwedów zagrzebali na rynku. W błocie. Jak psy. Ich ciała tu leżały. Długo. Ale czasem... Czasem się uda kości znaleźć. Przypadkiem. Kanał się kopie albo bruk równa. Z tego, co dziadek mi opowiadał, czterech trafili. Został jeden... Ale rynek duży. Nijak odnaleźć. A przecież trzeba. Nim wszystko zmarnieje.

Milczałem. Wiatr na zewnątrz wył i zawodził. Czułem dreszcze. Stary snuł swoje opowieści jakby od niechcienia, ale czułem, że naprawdę w to wierzy. Co więcej, czułem, że sam zaczynam w to trochę wierzyć.

Maciej zastąpił mnie przed monitorem. Pokazałem mu, jak przesuwac zdjęcia. Poszedłem zrobić herbatę. Gdy wróciłem ze szklankami, w sklepiku był jeszcze jeden mężczyzna, trochę młodszy, za to drobny i dziwnie zgięty w pół.

– To Igor – przedstawił go starzec.

– Duchy to duchy – pokurczowaty kontynuował jakąś wcześniej rozpoczętą myśl. – Srebro to święty metal. Wedle legend nie lubią go wszelkie stwory przychodzące z tamtej strony. Duchy, widma, mary, utopce... To i na zdjęciu będzie widać...

– Dlaczego niby? – nie mogłem zrozumieć.

– Klisze i szklane płyty pokrywano związkami srebra – wyjaśnił pan Maciej. – Zanim pojawiły się te nowe aparaty, co to na kartę zapisują. Jeśli na zdjęciu pojawi się duch, srebro nie zapisze jego wizerunku, ale...

– Sądzicie, że w tym miejscu pojawi się na fotografii jakaś skaza? – Zrozumiałem do czego zmierza.

– Tak. Dlatego dałem ci nasze wszystkie zdjęcia. I dlatego oglądałem je w powiększeniu. Srebro nie przyjmie wizerunku, ale to, co widzimy, to światło. Nie da się wyciąć kawałka obrazu, zostanie martwy punkt. Jak blizna na rzeczywistości.

– Szukacie ducha na zdjęciu!? I co? Sądzicie, że będzie stał nad swoim grobem? –

Omów nie parsknąłem śmiechem, ale oni pozostali śmiertelnie poważni.

– Dokładnie tak to wymyśliliśmy. – Pan Maciej wzruszył ramionami.

– Tu chyba widać go najdokładniej. – Pokurczowaty wskazał ekran. – Możemy poprosić o powiększenie?

Zdjęcie wykonano chyba w latach dwudziestych podczas jednego z pożarów. Musiano je zrobić jeszcze na szklanym negatywie. Fantastyczna jakość. Obraz jak żyłeta, emulsja praktycznie nie dawała efektu ziarna. Kilka domów w zachodniej pierzei płonęło. Koło ognia uwijali się strażacy, pośrodku rynku stał gęsty tłum gapiów.

– W tym miejscu. – Stary prawie kolnął palcem monitor.

Powiększyłem. Niewielki fragment był lekko rozmazany. Postaci wokół zapisały się na papierze ostro, jak wycięte nożem. Ale kilka wyglądało, jakby zdjęcie zrobiono przez delikatny woal mgły. Dym? Nie. Pożar był przecież dalej.

– Poprawię trochę... – bąknąłem.

Odpaliłem zmyślny amerykański program do obróbki fotografii i przenieśliem doń plik. Zazaczyłem plamę i uruchomiłem funkcję śledzenia granic anomalii. Zwiększyłem kontrast i ustawiłem, by wyniki poszukiwań wyświetlił w kolorze.

Starzec i jego kompan jak na komendę syknęli. Poczujęm, jak gruba kropla potu ścieka mi po karku. Włosy stanęły dęba. Na tle brązów ciemną zielenią rysowała się rozmazana sylwetka, przypominająca człowieka w szerokoskrzydłym kapeluszu i pelerynie zarzuconej na ramiona.

W tym samym momencie wicher zawył mocniej i trzasnął okiennicą na stryszku. Wszyscy odruchowo zerknęliśmy w stronę sufitu.

– Czujęm, że jest jeszcze piąty – parsknął Igor. – Patrz, dwa metry od studzienki stoi! Mało brakowało i by go trafili, jak robili odwodnienie w siedemdziesiątym czwartym!

– Monety! – Pan Maciej wstał i pochylił się nad gablotą, taksując jej zawartość spojrzeniem.

– To co, że monety? – nie zrozumiał jego kumpel.

– Kupimy kilka. Srebro, matole! Chyba że masz w chałupie jakąś sztabkę?

– Nie, tylko łańcuszek i bransoletkę po babci. Ale cienką. Papieża by użyć? Błogosławionym został – mruknął Igor, patrząc na popularną tysiączłotówkę z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku.

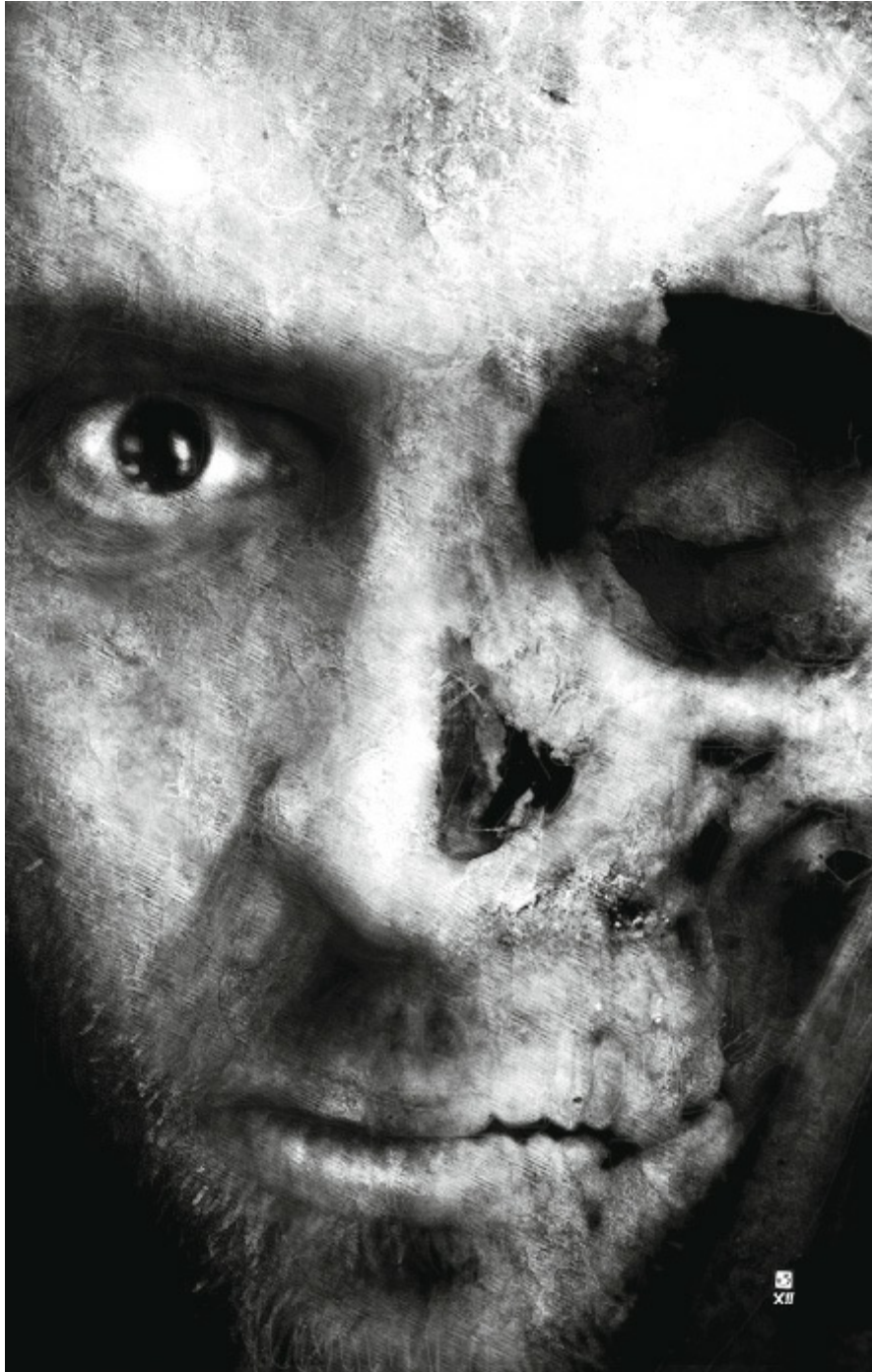
– Lepiej nie. Chybaby się nie obraził, dobry był człowiek i walczył ze złem, ale nie godzi się tak jakby. Ile za Dziadka? – wskazał okazałą przedwojenną dychę z Piłsudskim.

– Sześćdziesiąt – bąknąłem.

– Weźmiemy cztery...

– Dziadek też dobry – ucieszył się pokurczowaty. – Lał czerwonych, tylko wióry leciały. A jak tym posłom ze sejmu kiedyś powiedział, żeby chodzili kury szczać prowadzać... Twardy Polak, choć z Wileńszczyzny. Mocny i w gębie, i pięści.

– Będziecie łać srebrne kule? – zapytałem z głupia frant.
– Tylko srebrny gwóźdź do wbicia w czaszkę – mruknął Maciej, odliczając banknoty. – Dopadniemy gada. Można by poprosić o wydruk? Z tej fotki znaczy.
Odruchowo uruchomiłem drukarkę. Nie byłem w stanie uwierzyć, że mówią poważnie. Ale przecież...



– Pójdę z wami... – zaofiarowałem się.
– Ty, młody, siedź tu na zadzie i lepiej nie wyglądaj oknem. To nie dla ciebie robota – uciął stary.
– To jak robimy? – zapytał jego współnik.

– Leć do proboszcza, żeby migiem zawołał ministranta i przygotował wszystko, co trzeba. I na posterunek, niech Wcisło wyśle kogoś kumatego do obstawy, to będzie wyglądało, że legalnie kopiemy – polecił towarzyszowi. – I zwołaj resztę. Niech wezmą łopaty i kilof, bo nie wiem, czy pod spodem nie ma czasem betonu. Zbiórka za godzinę na rynku.

Wyszli. Dzwonek brzdąknął i drzwi zamknęły się z głuchym stuknięciem. Nie patrząc w stronę monitora, wyłączyłem komputer przyciskiem. Szum urzędnika po chwili umilkł, wycie wiatru znów wydawało się silniejsze. Żałowałem, że nie poszedłem z tamtymi. Wyobrażałem sobie, jak topią srebro. Zbiorą się na rynku. Ujmą w dłonie szpadle i łopaty. Wgryzą się w glebę. Znajdą kości Szweda. Unieszkodliwią po swojemu. I to niby ma pomóc? Czy to wystarczy, by jutro turyści wysiadający z plecakami na przystanku zaszli do mojego sklepiku? Miałem dziwne irracjonalne przecucie, graniczące z pewnością, że właśnie tak się stanie. Ja piernicę, XXI wiek mamy! Pomyślałem, że zanim zaczną, mógłbym zadzwonić do Marty. Może już się nie gniewa? Rozejrzałem się po sklepie. Wydał mi się jak nigdy mroczny, cienie snuły się po kątach, mnich milczał, popatrując przenikliwie. Zadzwonię, gdy już będzie po wszystkim. Wiedziałem, że niebawem, może gdy księżyc zajdzie za chmurę, na sennym ryneczku rozlegną się odgłosy kopania. A potem... Choć nie chciałem o tym myśleć, wyobraźnia podsuwała makabryczne wizje wbijania srebrnego gwoźdźca w wyszczerzoną w śmiertelnym uśmiechu czaszkę. W uszach brzmiał odgłos urojonego stukania młotka.

Przełknąłem nerwowo ślinę i pstryknąłem pilotem, opuszczając żaluzje.

– Dobrze mieć ludzi, którzy wiedzą... – szepnąłem.

W okularze stereoskopu



To tylko sen” – myślał Piotrek, patrząc przez okno. „Rzeczywistość urojona. To wszystko, moja szkoła, te domy... Jedna wielka beznadzieja. Żeby chociaż była wiosna albo lato... Wakacje. A to jeszcze ponad sześć miesięcy... O ile uda się gdzieś pojechać...”

Szyba odbiła na chwilę obraz drobnego trzynastolatka. Przyglądał niesforny kosmyk włosów i znów spojrzał przed siebie. Szare blokowisko mokło w jesiennym deszczu. Przez wyasfaltowane podwórze czasem przemknął się ktoś ukryty pod parasolem. Latarnie świeciły najwyżej połową mocy. W bloku naprzeciwko i w starych czynszówkach świeciło się w pojedynczych oknach. Tu i ówdzie zamiast żółtego światła żarówki padał na szyby błękitny poblask telewizora.

Skrzypnęły drzwi. Chłopak odwrócił się.

– Musimy pogadać – odezwał się ojciec. – Pan Aleksander wyszedł ze szpitala. Niestety, operacja nogi się nie powiodła.

– O cholera!

– Ledwo może chodzić. Prosił, żeby mu trochę pomóc.

– Nie ma sprawy. A czego konkretnie trzeba?

– Rano przychodzi do niego pielęgniarka, ale gdybyś mógł zajść codziennie po szkole i zapytać, co mu kupić.

– Jasne. Tato...

– Tak?

– Kim on właściwie jest? No coś że cichociemny chłopaki gadali. Albo partyzant...

– Dziadek dobrze go znał jeszcze z przedwojennych czasów. Służyli w jednym pułku. W czasie okupacji pan Aleksander dowodził w AK komórką, która likwidowała konfidentów, zdrajców i szmalcowników. A po wojnie wiadomo, jak za to komuniści podziękowali... Najpierw siedział za przynależność do AK. Jak Stalin zmarł, była amnestia. Wyszedł z więzienia, wykopał spluwę i zastrzelił dwóch śledczych, którzy go torturowali na Rakowieckiej. Złapali go, niestety. Dostał wyrok śmierci, potem złagodzili mu na dwadzieścia pięć lat... Tylko...

– Wiem. Nikomu ani słowa.

Piotrek zagryzł wargi. Ech, pochwalić się kumplom taką znajomością... Ale skoro nie można, to nie można. Westchnął i zaczął pakować tornister na jutro.

*

Wracając ze szkoły, czuł tremę. Nie bardzo wiedział, jak zdobędzie się na to, by zapukać do drzwi człowieka, którego widywał i rozpoznawał, ale z którym nigdy nie zamienił ani słowa, jeśli nie liczyć zdawkowych uprzejmości. Ku swojej uldze spotkał go na korytarzu. Pan Aleksander najwyraźniej próbował trochę się rozruszać. Przywitani się. Sąsiad strasznie utykał. Wspierał się na solidnym kijaszku.

– Spartolili mi operację biodra, kurfuszerzy za dychę – wyjaśnił. – W dodatku nie chcą poprawiać wcześniej niż za rok, bo ponoć wszystko ma się pozrastać, zanim znów potną... Cholerne konowały.

– Wyrazy współczucia. – Chłopak nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– A, dziękuję. Całe szczęście, że mam to. – Stary stuknął kijem o podłogę.

– Może trzeba kupić normalne kule? – zasugerował Piotrek. – Bo przez rok pan się zamęczy, kuśtykając... Jest sklep ortopedyczny przy Szpitalu Bródnowskim...

– Ech, nie. Nie ma to jak dobry kostur z grabowego drewna. Jest dobre, bo twarde prawie jak dębina, a jednocześnie dużo lżejsze... Trudne w obróbce, ale wdzięczne we wprawnych rękach... – Urwał, jakby znudzony własną przemową.

– Mój dziadek robił z grabu, nomen omen, grabie – powiedział Piotrek.

– Grabie z grabu – podchwycił stary i uśmiechnął się lekko. – Znał się, znaczy, na rzeczy.

Rozmowa sama się urwała, jak gdyby zabrakło czegoś, myśli przewodniej... Sąsiad pchnął drzwi i zaprosił chłopaka do swojej kawalerki. Weszli do pokoju. Emeryt żył biednie. W pokoju stała jedna szafa na ubrania, archaiczne żelazne łóżko nakryte spranym kocem i regał wypchany książkami. Na półce nad łóżkiem leżał magnetofon Thompson i kilka kaset. Na parapecie piętrzyły się jakieś pudełka. Białe ściany nieco poszarzały. Nad drzwiami wisiał niewielki ryngraf.

– Tu jest lista zakupów na jutro. I pieniądze. – Sąsiad podał naszykowaną kartkę oraz sto pięćdziesiąt złotych.

– Nie chce pan jakiejś gazety? – Chłopak przeleciał spis wzrokiem.

– W obecnych gazetach nie ma już nic, co by mnie interesowało. Poza tym mam książki.

– Nie ma pan też telewizora...

– A po co mi to cholerne pudło? Mam coś o wiele lepszego... – Puścił oko.

Pokuśtykał do parapetu i zdjął z niego tekturowe pudełko. Otworzył, pokazując zawartość.

– Co to takiego? – zdumiał się chłopak. – Gogle jakieś? Urządzenie do badania

wzroku?

– To stereoskop – wyjaśnił pan Aleksander.

– Nic mi to nie mówi...

– Służy do oglądania zdjęć trójwymiarowych. Przed sześćdziesięciu laty była to popularna zabawka. Dziś Niemcy w NRD robią takie małe plastikowe do oglądania bajek...

– Takich o misiach. Widziałem u kumpla, jak jeszcze chodziłem do przedszkola.

– Tu mamy obrazki raczej dla starszych... – Uśmiechnął się lekko i podał chłopakowi tekturkę. – Wypróbuj sam...

Na dwóch zdjęciach nalepionych obok siebie widać było jakieś straszliwe pobojuwisko. Piotrek niepewnie wsunął zdjęcie w uchwyty i spojrział przez okulary. Pole bitwy rzeczywiście widział w trzech wymiarach. Zryte pociskami okopy, porzucony, zniszczony sprzęt, potargane zasieki. Ciała poległych w ataku.

– Fajne – mruknął. – Jakbym rzeczywiście to widział na własne oczy. To znaczy nie te stopy trupów fajne, tylko efekt... bryła...

– Owszem. Taka zabawka... Ale lubię sobie przed snem poprzeglądać stare zdjęcia, puszczać z magnetofonu muzykę. Wolę to niż gęby, które ostatnio pokazują w telewizorze.

Stary wymienił mu obrazek na inny. Teraz widać było Indian znad Amazonki siedzących przed szałasami. W garnuszku nad ogniskiem coś bulgotało. Welon pary, a może dymu snuł się ku konarom drzew.

– Aż ma się wrażenie, że to naprawdę – mruknął Piotrek.

– Że tylko szybka oddziela nas od tamtej rzeczywistości... – uśmiechnął się lekko emeryt. – Wpadniesz kiedyś na dłużej, to pooglądamy. Mam tego sporo. Wszystko opisane po angielsku i niemiecku. Znasz angielski?

– Tylko trochę.

– To będę tłumaczył, jakby co. Do jutra zatem.

– Do widzenia. Przyniosę zakupy około czternastej.

– Znakomicie!

„Biedny stary” – myślał chłopak, leżąc już w łóżku. „Choć po prawdzie w jednym ma rację. Ta nasza telewizja nie jest wiele warta. Lepiej książkę poczytać albo – jak w jego przypadku – obrazki oglądać. Ale to straszne żyć w samotności, być skazanym na łaskę przypadkowych sąsiadów... Wcześniej, pamiętam, do biblioteki chodził, po osiedlu wędrował, w kościele go widywałem, a teraz... Nawet na mszę się nie dowlecze...”

*

Piotrek uwinął się z zakupami zaraz po lekcjach. Zrobił i dla rodziny, i dla sąsiada.

Nawet nie bardzo długo stał w kolejkach. W drodze ze szkoły do domu odwiedził warzywniak i zajrzał do samu. Poskreślał na liście zakupów wszystko, co udało mu się zdobyć. Potem zaszedł jeszcze na chwilę do swojego mieszkania. Zostawił jedną siatkę. Wreszcie zapukał do pana Aleksandra. Czekał dłuższą chwilę, nim ten dokuśtykał do drzwi.

– A, to ty – ucieszył się. – Wejdz, proszę.

– Tu są zakupy, wszystko zgodnie ze spisem. – Piotrek postawił siatkę na stole.

– Hmm... Mówiłem, że nie chcę gazety. – Sokoli wzrok staruszka wyłowił sterczący spomiędzy zakupów kształt.

– Może jednak ta pana zainteresuje.

Sąsiad, stukając kijem, zbliżył się do stołu i wyciągnął z parcianej torby angielskiego „Timesa”.

– A niech mnie kule biją – mruknął. – Skąd wytrzasnąłeś? Całe wieki tego nie miałem w ręce.

– Świeżutki, to znaczy jak na nasze socjalistyczne warunki świeżutki. Konkretnie sprzed tygodnia. Wujek skądś dostał i chciał wywalić, ale wyprosiłem. – Chłopak puszył się jak paw. – Myślałem, że kubeł wyłożę, to będzie jak na Zachodzie, ale pan mówi po angielsku, to pewnie bardziej się przyda...

– Kubeł... – Sąsiad uśmiechnął się pobłażliwie. – Tam od dawna używają plastikowych worków. Wykładają kosz specjalnymi siatkami, a potem je zawiązują – sprecyzował. – Kubeł wymoszczony zagraniczną gazetą nie zrobi z ciebie światowca... Ale dziękuję, że pomyślałeś. Chętnie przejrzę. Zawsze to jakieś urozmaicenie.

Wzrok Piotrka spoczął na stereoskopie. Sąsiad spostrzegł to i uśmiechnął się lekko.

– Gdy byłem młody, mało kto już się tym bawił. Choć jeszcze w okupację kilka fotoplastykonów działało.

– Fotoplastykonów? Słyszałem kiedyś tę nazwę, ale... – Chłopak bezradnie rozłożył ręce.

– To były urządzenia podobne do tego, ale duże. Stacjonarne. Wchodziłeś do sali, stał tam wielki walec, a w nim umieszczone obiektywy. Szła muzyczka z patefonu, nastrojowa, a ty patrzyłeś przez otwory. Cuda odległych krajów... Z dziewczyną można było iść. Potrzymać w ciemności za rękę... Lepiej niż do kina, bo czasem panny z lepszych domów do kina nie chciały. A to było coś innego. Eleganckiego i wykwintnego. Miało pewien polor naukowy. Poznawczy... A dziś... Zresztą popatrz na to.

Podał mu urządzenie i jedno ze zdjęć. Chłopak ciekawie spojrzął przez obiektywy.

– Sfinks, ale dlaczego jest zasypany piachem po szyję!? – zdumiał się.

– Tak wyglądał przez całe stulecia. Jeśli rzucisz okiem w „Description de l'Égypte”, będzie to samo. Identyczny widok ujrzeli wojacy Napoleona. To diabelnie stara fotografia. Może z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Potem dopiero go

odgrzebali... Tu masz z okresu międzywojennego. – Wymienił zręcznie tekturki.

– Faktycznie odkopany...

– Chcesz pooglądać egipskie?

– Jasne!

Pan Aleksander ciężko usiadł na łóżku i grzebał dłuższą chwilę w pudle, po czym podał młodemu sąsiadowi plik tekturek.

– Mogę ci jeszcze egipską muzykę puścić – mruknął.

Zastukały kasety i z magnetofonu popłynęła egzotyczna melodia. Piotrek zmieniał zdjęcia raz po raz. Piramidy, grobowce, mumie. Ruiny monumentalnych świątyń. Posągi. Koptyjskie klasztory, mnisi, wykute w skałach pustelnie... Ale też sceny z życia arabskiej prowincji.

– To zupełnie nie przypomina zwykłego oglądania zdjęć... – powiedział. – To bardziej, jakbym patrzył przez okno samochodu...

– Owszem. Dlatego to lubię. Nie mamy szansy ujrzeć tego na własne oczy, a tu jakby jednocześnie podróż w przestrzeni i w czasie trochę... Byłem młodszy od ciebie, gdy znaleźli grobowiec Tutenchamona...

– Egipt... Też chciałbym tam kiedyś pojechać.

– Widzisz, to, co mi straszliwie doskwiera... Kocham ten kraj, ale... – Starzec zapatrzył się w przestrzeń. – Zdeptałem Polskę wzdłuż i wszerz. Pieszko, na motorze. Ale tu jest jak w więzieniu. Gdy chodzisz po celi, możesz dreptać w kółko albo od ściany do ściany. Wędrowałem, ale zawsze wcześniej czy później wyrastała przede mną granica.

– Nie dali panu paszportu...

– I nie dadzą – westchnął. – Próbowałem raz... Bez paszportu. Myślałem, że mnie rybacy przesznują na Bornholm. Straszne pieniądze za to zapłaciłem. Ale łajzy sypnęły mnie jeszcze w porcie. Trzy lata za próbę nielegalnego przekroczenia granicy – parsknął. – Tyle rzeczy chciałbym zobaczyć. – Gestem wskazał książki ciasno wypełniające regał. – A najbardziej to, czego nie zdążyłem. Wiesz, miałem jechać na prawdziwą wielką włóczęgę. We wrześniu trzydziestego dziewiątego. W góry Norwegii. Zebraliśmy się w kilku. Studenciaki jak ja. Uciulaliśmy przez rok. Mieliśmy już bilety na statek z Gdańska do Sztokholmu, tam wsiedlibyśmy w pociąg... I ona też się zgodziła. Trzeciego września okręt miał wyjść z portu... Ale wojna wybuchła wcześniej... Poza mną nikt z tych, którzy mieli jechać, nie dożył końca wojny. Myślałem, że chociaż sam tam dotrę. W ich imieniu. To mnie boli. Niedokończona sprawa. Ty jesteś młody, doczekasz jeszcze końca tego syfu. Wtedy każdy będzie miał paszport w szufladzie. Ale mój czas powoli dobiega końca...

– Sądzi pan...

– Tak. Komuna musi upaść. Może za dziesięć lat, może za piętnaście. Ludzie już się obudzili. Już poczuli swoją siłę. Może władza wyleje jeszcze rzekę naszej krwi, ale już

tego nie zatrzymają... Nie płosz się, dobrze wiem, że twój ojciec działał w Solidarności. A czy nadal działa – nie moja sprawa.

Fotografie skończyły się. Piotrek z niechęcią oderwał się od stereoskopu. Antyczne urządzenie urzekło go całkowicie.

– Ciekawe... jak robili te obrazki? – Oglądał tekturkę ze zdjęciami. – Wydają się identyczne...

– Ale nie są. – Sąsiad szeleścił gazetą. – Do robienia obrazków stereoskopowych potrzebny był specjalny aparat z dwoma obiektywami. Wiesz, dlaczego widzimy trójwymiarowo?

– Bo mamy dwoje oczu. Jak komuś jedno wyłupią, to widzi świat płasko.

– Stereoskop tak właśnie oszukuje nasze zmysły. Obiektywy aparatu były rozstawione na podobną szerokość jak źrenice. Teoretycznie. Bo aby osiągnąć naprawdę dobry efekt, trzeba było dać ciut szerzej. Zdjęcia tak wykonane dają minimalnie przesunięty obraz. Każde oko widzi tylko jeden, ale gdy informacja dociera do mózgu, ten składa ją sobie w trójwymiarowe odwzorowanie... Swoją drogą, może chcesz zostać angielskim szlachcicem? – Sąsiad nadal szeleścił „Timesem”, przeglądając strony z ogłoszeniami.

– Co proszę? – Chłopaka zaskoczyła tak nagle zmiana tematu.

– Tu jest oferta, posiadłość ziemską z przypisanym tytułem szlacheckim. Tanio jak barszcz. Trzeba mieć tylko, bagatela, trzy miliony funtów brytyjskich... Masz dziś trochę czasu? – zapytał.

– Dla pana zawsze – ukłonił się Piotrek. – Jutro mam angielski, ale dziś... Dziś jestem wolny.

– Dobrze. Zajmie ci to pewnie ze dwie albo trzy godzinki. Trzeba pojechać... Wiesz, gdzie jest bazar Różyckiego?

– Oczywiście.

– Jeśli staniesz na Targowej twarzą do bramy, po prawej będzie kamienica. Na parterze była kiedyś księgarnia Gebethnera... Hmm... Nie byłem tam już ładnych parę lat... Ale chyba nadal jest tam księgarnia albo coś podobnego. Obok jest taki wąski zaułek prowadzący do bocznej furtki na bazar. Prawie przy furtce, po prawej stronie znajdziesz zakład rymarski. Odbierzesz moje zamówienie. Powinno być już gotowe.

– Zamówienie? – podchwycił chłopak.

– Wysłałem im szkic listem. Mieli mi zrobić plecak z mocnej wołowej skóry. Lepiej by było, gdybym odebrał go osobiście, ale... – Na twarzy pana Aleksandra odmalowała się na chwilę bezradność.

– Odbiorę. Trzeba coś będzie zapłacić?

– Tak. Tu jest dziesięć tysięcy złotych. Dziewięć dla rymarza, reszta dla ciebie za fatygę. – Wyjął z kieszeni koszuli zwitek Koperników.

– To o wiele za dużo... – bąknął chłopak. – Nie trzeba... I nie wypada...

– Bierz! Ja mam, a tobie się przyda.

*

Piotrek pomaszerował na pętlę. Po chwili nadjechała trzynastka. Skasował bilet.

„Plecak?” – myślał, patrząc na mijane domy. „Po co mu plecak? Przecież ledwo chodzi... Może dla kogoś w prezencie czy co? Ale dlaczego od rymarza? Fakt, w sklepie kupić jest bardzo trudno, ale przecież... To już lepiej brezentu skombinować i uszyć. W Świecie Młodych były wykroje...”

Minął dworzec Warszawa Wschodnia. Tramwaj, zgrzytając, toczył się wzdłuż „jannika” – długiego bloku mieszczącego na parterze ciąg sklepów. Piotrek popatrywał na nie.

„O, na przykład, tu przecież jest sklep sportowy” – przypomniał sobie. „Przedostatni w rzędzie chyba... Czasem tam rzucają jakiś sprzęt turystyczny. Raz nawet namioty były, ale na wcześniejsze zapisy...”

Tramwaj zakręcił w Targową i niebawem zatrzymał się przed bazarem. Piotrek przebiegł przejściem podziemnym. Przed bramą kłębił się tłumek drobnych cwaniaczków i kombinatorów. Jedni trzymali pęczki gumek wentylowych, drudzy prezentowali kostki pumeksu, filcowe wkładki do butów i inne dobra. Przez otwartą bramę chłopak spostrzegł błękitny poblask tureckich dżinsów. Normalnie chętnie zagłębiłby się w ciasne pasażę pomiędzy budami i budkami. Lubił czasem nacieszyć oczy zagranicznym luksusem. Ale mając przy sobie taką masę pieniędzy, nie chciał ryzykować. O praskich kieszonkowcach krążyły legendy.

Odnalazł zaułek wiodący do zardzewiałej furty. Ten kąt bazaru okupowali szewcy, zakład rymarski stanowił coś w rodzaju forpoczty ich imperium. Piotrek pchnął drzwi. Zadzwoił dzwonek.

– Czym mogę służyć? – Wąsaty rzemieślnik zdjął nogę z pedału, oderwał wzrok od maszyny do szycia skóry.

– Dzień dobry... – wybąkał onieśmielony przybysz. – Ja po odbiór zamówienia. Znaczy się od pana Aleksandra Jabłońskiego... Plecak...

– Ach tak... – mruknął stary. – Miał odebrać trzy tygodnie temu – mruczał pod nosem.

– Dopiero co wypuścili go ze szpitala. Nie bardzo już może chodzić – chłopak wziął w obronę sąsiada. – Operowali mu biodro, ale nie udało się...

– W tym przypadku to akurat bez znaczenia. Dla niego to ja i pół roku zaczekam. Proszę go ode mnie pozdrowić. To chyba będzie to...

Ściągnął wreszcie z regału pakunek zawinięty w szary papier. Rozwinął konopny sznurek. Błysnęła ciepłym, jasnym brązem gruba wołowa skóra. Paski zapinające kieszenie były ciut ciemniejsze, krawędzie obszyto czarną dwoiną. Wyrób wyglądał

niezwykle solidnie.

– Nawoskowałem zgodnie z życzeniem – wyjaśnił rzemieślnik. – Myślę, że mu się spodoba i dobrze posłuży, jeśli kiedykolwiek ruszy jeszcze w góry. – Zacisnął wargi. – Dziewięć tysięcy się należy, tak jak było umówione.

Chłopak odliczył astronomiczną kwotę. Plecak zarzucił sobie na ramiona. Dociągnął grube skórzane paski. Pożegnał się i poszedł na tramwaj.

„Drogo jak piorun!” – myślał, jadąc w stronę pętli. „Mój ojciec, jak ma dobry miesiąc, to dwanaście zarobi... Ale z drugiej strony, gruba skóra i szycia masa, okucia, mosiężne klamerki... Oj, to musiało kosztować masę roboty. A i surowiec przecież...”

Paski lekko poskrzypywały. Plecak pachniał wyprawioną skórą, klejem i jakby trochę miodem.

„To na pewno wosk” – myślał chłopak. „Dobrze nawoskowana skóra jest w zasadzie nieprzemakalna. A jak się grubą skórę ugotuje w płynnym wosku, robi się twarda jak guma...”

Sąsiad na widok plecaka uśmiechnął się szeroko.

– To rozumiem! – ucieszył się. – To się nazywa fachowa robota. – Obmacał szwy.

– Drogo straszliwie... – bąknął chłopak.

– Ale zobacz, jaka to doskonała jakość i wykonanie... W sam raz na naprawdę ciężką wyprawę. Chcesz zobaczyć zdjęcia przedwojennej Warszawy? – nagle zmienił temat.

– To ma pan takie? – zdumiał się. – Poproszę.

Stereoskop leżał na łóżku. Sąsiad, czekając na powrót chłopaka, coś oglądał. Teraz wyjął z prowadnic kartonik z jakimś górskim widoczkiem i włożył go do pudełka.

– Oto i one. – Wyjął szarą kopertę.

Napis, wykaligrafowany wiecznym piórem, zdążył poczerwieniec ze starości. Piotrek z uwagą przeglądał fotki. Na niektórych znajdował znajome miejsca, inne były zupełnie obce.

– Mówili nam w szkole, że przed wojną Warszawa była ciemna, brudna, a robotnicy gnieździli się w czynszówkach w straszliwych warunkach...

– I pewnie byli bezlitośnie wyzyskiwani w fabrykach. Jak ja się cieszę, że nie muszę dziś chodzić do szkoły. Ech, co wy tam wiecie... – Westchnął ciężko. – Warszawa przed wojną... To było miasto. Żydowskie sklepiki przy Nalewkach, jakie pyszne oni śledzie robili... Albo pączki w parkowych kawiarniach, za złotóweczkę pączek i kawa. Siadłeś z dziewczyną, wiatr łopotał obrusem... Pomarańcze można było kupić w byle budzie z owocami. Nawet sobie nie umiesz wyobrazić, jaki fajny kraj udało się zbudować przez tamte dwadzieścia lat wolności. Jaki duch braterstwa łączył ludzi. Słyszałeś, by w jakimkolwiek innym państwie studenci z własnych składek bursy i akademiki stawiali? A te teatry, kabarety, jak kraj długi i szeroki coś się działo. Ordonka śpiewała czy Wiera Gran. I audycje radiowe, Wesoła Lwowska Fala. A potem syf, śmierć, nędza... Wreszcie to wszystko.

– Walczył pan na wojnie... – Piotrek z szacunkiem odłożył stereoskop. – Tata mówił, że we wrześniu trzydziestego dziewiątego w jednej jednostce z moim dziadkiem.

– Tak. Pierwszy Pułk Artylerii Najcięższej. Ale w ogóle go nie kojarzę... – Rozłożył bezradnie ręce. – Pewnie był w innym pododdziale. Może ze zdjęcia bym rozpoznał, a może i nie.

– Jak było na froncie?

– Oj, zdecydowanie inaczej, niż wam to pokazują na filmie o czterech pancernych... – zakpił łagodnie gospodarz. – Czekaj, coś ci pokażę. Szybciej i pełniej zrozumiesz...

Stary dokuśtykał do biurka i wysunął szufladę. Wyjął z niej nóż, którego rękojeść stanowił poszarpany i powykręcany kawał metalu. Całość miała około trzydziestu centymetrów.

– Sklepałem sobie koniec i wyszlifowałem klingę – wyjaśnił pan Aleksander.

– To jakiś odłamek? Na rurę kanalizacyjną za grube. Fragment rozdartej wybuchem skorupy pocisku lub bomby lotniczej? – zamyślił się chłopak.

– Tak. Trzeciego września zbombardowali nasze pozycje. Oddziałowy lekarz wyciągnął mi to z kiszek. Nie było jeszcze antybiotyków, chorowałem wiele miesięcy, zanim organizm pokonał zakażenie. Dobrze, że szkopy mieli wtedy, na początku wojny, tyle przyzwoitości, że nie dobijali rannych. Nim wyszedłem ze szpitala, walka już się skończyła... Mojej kamienicy też już nie było. Przekopywałem wiele dni gruzy. A, już nieważne... – Machnął ręką, jak gdyby odpędzał jakieś wspomnienie.

– Ludzie mówią, że był pan cichociemnym...

– Cichociemnych to szkolili w Anglii i zrzucali do nas na spadochronach. Ja walczyłem tu. Po tej ranie słaby byłem, ale znalazłem sposób. Zwierzchnicy nie zaaprobowali, więc zrobiłem to sam. Byłem szkolony na felczera, znałem dobrze niemiecki. Zaraziłem się tyfusem i poszedłem pracować do ich szpitala. Tam, gdzie zwozili rannych z frontu wschodniego.

– Zaraził się pan... Po co?

– Różnym orężem można się posługiwać. – Na twarzy weterana pojawił się ponury uśmiech. – Miałem dostęp do każdego zakamarka. Wyszło aż za dobrze. Niesamowita epidemia... Padali jak muchy jesienią. We wszystkich dziesięciu salach śmierć zatańczyła. Może setkę tak wykończyłem, może lepiej... Za moich. I za Małgorzatę... A potem to już normalnie. Kontakty z podziemiem przez kumpla nawiązałem. Szukał kogoś do specjalnych zadań. Zebrało się nas trzech, każdy miał rodzinę do pomszczenia. Każdy został sam jak palec. Podziemny sąd wydawał wyrok, szło się pod wskazany adres, sprawdzało tożsamość, odczytywało z kartki sentencję. Cyrki z tym były niesamowite. Jedni próbowali uciekać. Drudzy wyciągali pieniądze, żeby nas przekupić. Inni nawet pokwitowanie dawali, że otrzymali wyrok. A potem szlus: stołeczek, linka, żyrandol, dwu trzymało, ja zakładałem pętlę...

Spochmurniał. Piotrek z jednej strony był ciekaw, ale wyznanie sąsiada trochę nim

wstrząsnęło. Nie chciał pytać o nic więcej. Patrzył, jak nóż znika w szufladzie.

– Okupacja była okropnym doświadczeniem, ale i wojna to parszywa rzecz – powiedział stary. – Zwłaszcza gdy się potrójnie przegra. A ja przegrałem. I wojnę, i kraj, i życie...

Podszedł do okna i wsparty ciężko o parapet patrzył w zadumie na szare blokowisko. Piotrek wiedział, że okna po tej stronie wychodzą na starą kamienicę czynszową. Sąsiedni budynek zniszczyła wojna. Nikt już nie pamiętał, czy spadła tu bomba, czy może po czterdziestym piątym roku rozebrano wypalone ruiny. Na frontowej ścianie widać było negatywy schodów i prostokątne plamy sparszywiałego tynku – ślad dawnych mieszkań. Przez czterdzieści lat deszcze wypłukały farbę, pozostały wyblakłe cienie, ale tu i ówdzie widać było jeszcze wyraźnie szlaczki malowane wałkiem.

„Gdy wyszedł wtedy ze szpitala, tak pewnie wyglądał jego dom” – pomyślał chłopak. „Ściany, resztki tapet, kolorów... Gruz...”

– Często wracam myślami do tamtego lata... – szepnął sąsiad. – Ostatnie lato. Czuło się już w powietrzu napięcie, ale wszyscy sądzili, że wojny da się uniknąć. Że co najwyżej hitlerowcy urządzą pucz w Gdańsku i przyłączą go do Rzeszy. Jak wiele mogłoby się zmienić, gdybyśmy zdecydowali się na wyjazd w sierpniu albo w lipcu... Po wybuchu wojny z Norwegii przedostalibyśmy się do Francji, do Anglii, do USA nawet.

– Pan by wrócił jako cichociemny. Jestem tego pewien.

– Kto wie... Chyba... chyba masz rację. Obowiązek wobec ojczyzny rzecz święta. Różnie mogłoby być. Wojna to trochę loteria. Może bym walczył i poległ. Może wróciłbym po wojnie na Zachód, do krajów wolnego świata. A może potoczyłoby się tak samo. Więzienie, tortury ubecji... Ale wtedy chociaż ona by przeżyła... Jedna decyzja, nie moja nawet. Niech to diabli!

„Zadręcza się tą myślą” – zrozumiał Piotrek. „Draży go jak czerw, pewnie od trzydziestego dziewiątego. Kim była ta kobieta? Dziewczyna? Ukochana? Narzeczona? A może dopiero chciał się oświadczyć? Pomścił ją strasznie. Ale potem nie spotkał nikogo podobnego. Zresztą może nie szukał nawet, zapiekł się w bólu... A może... Przecież siedział wiele lat. Może, gdy go wypuścili, czuł się już za stary, by zaczynać od nowa?”

– Jutro po angielskim podskocz do końskiej jatki – głos sąsiada wyrwał go z zadumy. – Tu zapisałem ci adres, a to pieniądze. Już powinni mieć dla mnie zamówienie...

*

Dzień był ciepły. Drzewa gubiły liście na potęgę.

– Końska jatka... – mruczał Piotrek pod nosem. – Dziwaczna nazwa, archaiczna jakby nawet...

Minął bloki. Wąska brukowana uliczka Wołomińska, po lewej kilka starych kamienic. Po prawej gruzowiska zarośnięte łąnem chwastów. Kilka przedwojennych latarni. Potem zabudowa się skończyła. Krzaki... Po lewej widział gmach szkoły muzycznej. Kawęczyńską przejechał tramwaj.

„Ciekawe...” – rozmyślał, maszerując. „Pewnie kiedyś był tu sympatyczny zaułek. Stare kamieniczki, na parterach sklepiki i warsztaty... A teraz... Został tylko bruk i przedwojenny chodnik. Mija czterdzieści lat od zakończenia wojny, a nawet nie spróbowali tego odbudować. Co więcej, tego, co przetrwało, nigdy nie remontują...”

„Wojna” – rozmyślał. „Minęło czterdzieści lat od kiedy ucichły karabiny, a ja nadal żyję w świecie, który nosi po niej blizny... Nieodbudowane budynki. Ludzie, którzy pamiętają. Jak ten przyjaciel dziadka z obozowym numerem tatuowanym na ręce”.

Pod zdziczałą jabłonką spostrzegł betonowe schodki. Wznosiły się nad ziemią i urywały w powietrzu. Pozostałość klatki schodowej? Przyspieszył kroku i po chwili wyszedł prawie na róg Folwarcznej i Kawęczyńskiej. Faktycznie, na drzwiach małego sklepiku wisiał napis: „Jatka”.

Przekroczył próg i zamarł zdumiony. Nie wiedział, czy widzi to naprawdę, czy tylko śni. Z lady chłodniczej patrzyło na niego mięso. Powyżej, na rzeźniczych hakach wmurowanych w kafelkowaną ścianę, wisiały pęki kielbas. Patrzył kompletnie zdezorientowany. Cienka kielbasa była o jedną trzecią tańsza niż w osiedlowym samie. Ale najbardziej go zdumiewało, że był jedynym klientem.

„To sklep tylko dla partyjniaków!” – pomyślał przestraszony. „Nie, przecież drzwi były otwarte. Ale gdzie jest kolejka!? To na jakieś specjalne kartki czy co?”

– Czym możemy służyć? – Teraz dopiero Piotrek spostrzegł sprzedawcę. – Kielbasa, szynka, pręga, może polędwica? Do pieczenia czy do gotowania...

– Nie mam kartek... – bąknął skołowany.

– To jest bez kartek.

Podłoga usunęła mu się spod nóg. Sufit poleciał gdzieś wysoko. Piotrek zamrugał powiekami. Silny zawrót głowy już mijał.

– Jezu, aleś mnie, dzieciaku, przestraszył! – sarknął rzeźnik. – Co się stało?

– Jak to bez kartek? – szepnął. – Towar wisi, kolejki nie ma i kartek nie trzeba. To nie... niemożliwe...

– Normalne, przecież to konina. Nikt tego nie chce kupować. Głupi ludzie, to przecież doskonałe mięso, za granicą mają je za wyborny delikates. Czyste, bo krowa zeżre wszystko, świnia zje odpadki, ale koń ostrożny, byle czego do pyska nie weźmie.

Chłopak popatrzył na pęta kielbas. Potem łypnął okiem na sprzedawcę.

– Naprawdę można to kupić? Nabija się pan...

– No skąd. Masz pieniądze, kupujesz, co chcesz. Bez kartek. Wszedłeś do sklepu, nie wiedząc, co to za sklep?

– Tak jakby. – Poczł, że się czerwieni jak dziewczyna. – Pan Aleksander przysyła

mnie po swoje zamówienie.

– A... Trzeba było tak od razu.

Sprzedawca znikł na zapleczu, a po chwili pojawił się z pakunkiem w rękach. Paczka była spora i wyglądała na ciężką. Szary papier, starannie przewiązany sznurkiem. Tylko w kilku miejscach tłuszcz przesiąkł na wierzch. Zapach wędzonki zakręcił w nosie.

– Sześć kilogramów suszonej końskiej kielbasy, cztery kilo polędwicy wędzonej i suszonej w paskach. Wszystko zgodnie z tym, co zamówił. Cenę tu ołóweczkiem zapisałem.

Piotrek odliczył pieniądze. Popatrzył na kielbasy wiszące na hakach. Zamrugał, ale widok nie zniknął.

– Poproszę jeszcze eee... ćwierć kilo.

Rzeźnik z wprawą odłamał kawałek pęta. Zważył. Podał cenę. Chłopak podziękował, zabrał paczkę i swój zakup. Maszerując do domu, odwinął łup. Obwąchał. Cudny zapach kręcił w nosie. Spróbował kawałek. Mięso... Rozpływało się w ustach, nawet nie spostrzegł, gdy wszystko pochłonął.

„Mamie powiem, to nie uwierzy...” – rozmyślał. „To chyba można upiec, kotletów zrobić... zamrozić z dziesięć kilo na zapas, bo nie wiadomo, jak długo jeszcze tak będzie. Przecież jak ludzie się dowiedzą, zlecą się jak hieny i wszystko wykupią w pięć minut!”

Wjechał windą na piąte piętro. Powąchał jeszcze dłonie. Mimo iż wytarł je o spodnie, nadal pachniały cudownie wędzonką... Zapukał do drzwi sąsiada.

– Wejść, otwarte!

Pan Aleksander siedział na podłodze. Właściwie nie tyle siedział, co póleżał, wyciągnąwszy w bok chorą nogę. Przed nim metodycznie rozłożone były różne przedmioty. Zrolowany koc opleciony rzemieniem. Manierka. Menażka. Ciężki, myśliwski nóż... Archaiczny aparat fotograficzny, lornetka...

– Co pan robi? – zdumiał się chłopak, stając w progu.

– Pakuję plecak. A co, nie widać? – Stalowe zęby błysnęły w kpiącym uśmiechu. – Masz to mięso? Pokaż...

Gospodarz rozwinął pakunek i wydobyl ze środka kielbasę. Stuknął nią w klepki podłogi.

– No, to się nazywa dobrze wysuszona wędlina – ucieszył się. – Gwoździe można nią wbijać! Zostało coś reszty?

– Sześćdziesiąt jeden złotych.

– Są twoje. Zajdź pojutrze może... nie, zaraz, to niedziela będzie. W poniedziałek wpadnij. Jakbym coś wcześniej potrzebował, to jakoś do was doczłapię.

– Wedle rozkazu. – Piotrek zasalutował żartobliwie. – I dziękuję panu.

– Dziękuję.

Zamknął za sobą cicho drzwi.

„Co on planuje?” – zastanawiał się, idąc do domu. „Zapasy robi, wędzone mięso, kiełbasa, puszki. Plecak kupił, pled... Szykuje się jak na jakąś wyprawę, a przecież chodzić nie może, po korytarzu najwyżej, a i to czepiając się ścian i poręczy... Gdyby chociaż była jakaś ławeczka koło klatki, toby zjechał windą i posiedział na świeżym powietrzu...”

I naraz aż się zawstydził swojej niedomyślności.

– Po operacji jest, znaczy się, że jedzie do sanatorium na rehabilitację albo wypoczynek. A że tam pewnie karmią samą zieleniną, bierze sobie zapasik wędzonki...

*

W poniedziałek po szkole Piotrek podskoczył Białostocką do starszego o dwa lata kuzyna. Nowo oddane do użytku bloki jaśniały bielą elewacji. Zapach świeżej farby i wapna nadal kręcił w nosie. Tomek przyjął go w swoim pokoju. Gość spostrzegł, że kolekcja puszek po zagranicznych napojach, dumnie prezentująca się na szafie, trochę urosła.

– Co cię sprowadza? – Świeżo upieczony licealista zachęcającym gestem wskazał misę wypełnioną orzechami włoskimi.

– Pohandlujemy? – Piotrek postanowił od progu wziąć byka za rogi.

Kuzyn łypnął podejrzliwie.

– A co masz?

Chłopak triumfalnie wyciągnął z torby nowiutki, lśniący katalog samochodów Opla. Powieki Tomka zwęziły się w szparki.

– Fiuuu! – syknął.

– I to nówka, tegoroczny. – Piotrek wyszczerzył zęby. – Dokładne zdjęcia nowego modelu Opla Ascona. Od zewnątrz i od środka. Do tego wymiary, informacje, ile pali i tak dalej. Opchnę ci go za... Albo nie. Zróbmy na sztych towar za towar.

– Mam komiks o Asteriksie.

– Po francusku? Kto dziś zna francuski? To byłoby dobre przed wojną, gdybyśmy byli panienkami z pensji dla szlachetnie urodzonych dziewczec. – Skrzywił się, choć w duchu zacierał ręce.

Kuzyn ewidentnie był zainteresowany, skoro zaczął od tak wysokiej stawki.

– Amerykański zeszytowy komiks o Batmanie – podbił Tomek. – Uczysz się angielskiego, to się przyda do ćwiczenia. Same proste dialogi, wszystko zrozumiesz – kusił. – I kompletna przygoda, a nie odcinek tasiemca.

– To nie jest nawet dobry początek negocjacji – głos trzynastolatka stwardniał.

– Krwiopijca z ciebie kapitalistyczny! – Spojrzenie kuzyna dosłownie oblizywało okładkę folderku.

– Ja kapitalistyczny? To raczej w twoich żyłach zamiast krwi płynie coca-cola! –

Wymownym gestem wskazał pustą butelkę stojącą na parapecie.

– Gadaj wprost, co byś za to chciał.

– „National Geographic”.

– No chyba śnisz! Albo nie. – Przestraszył się, widząc, że Piotrek rusza do drzwi. – Czekaj. Zaskoczyłeś mnie. Po prostu muszę oswoić się z tą myślą... Przeanalizować. „National” to ozdoba mojego zbioru... A który konkretnie numer by cię interesował?

– Ten o Skandynawii. Nie rób takiej skwaszonej miny – gazeta sprzed kilkunastu lat, czytana do cna, okładka jak psu z gardła, a prospekt Opla nowiutki jak spod igły. Raz albo dwa przekartkowany tylko. Opłaca ci się jak cholera.

Z ust Tomka wyrwało się ciężkie westchnienie. Niechętnie skinął głową, pieczętując układ.

*

Piotrek wracał do domu jak na skrzydłach. Zdobyty skarb zawinął w gazetę.

„To się sąsiad ucieszy” – myślał. „Numer akurat o tych stronach, którymi się interesuje, a zdjęcia na kredzie i w kolorze, nie to, co w naszych książkach”.

Stanął przed drzwiami i dłuższą chwilę pukał, nim dotarło do niego, że zamki zaklejone są paskami papieru z milicyjną pieczętką. Kolejną chwilę trwało, nim zrozumiał, co to może znaczyć.

Skrzypnęły drzwi sąsiedniego mieszkania. Sąsiadka wyciągnęła wózek z dzieckiem.

– A, to ty... – rozpoznała chłopaka.

– Pani wie, co się stało... – zaczął.

– Pan Aleksander umarł w niedzielę. Dziś rano pielęgniarka znalazła ciało. Leżał na łóżku w kapeluszu, z kijem pod pachą i plecakiem u boku, jakby się na wycieczkę wybierał... Może twój ociec przejdzie się po bloku i zbierze po parę gorszy od mieszkańców na wieniec? Do niego ludzie mają zaufanie.

– Co? Ach tak, przekażę mu, jak wróci z roboty... – bąknął chłopak, nadal w szoku...

*

Piątego dnia po pogrzebie Piotrek, wracając do domu, spostrzegł, że drzwi mieszkania sąsiada są otwarte. Podszedł zaskoczony i zajrzał. Czterech typków uwijało się po wnętrzu. Ubrania zapakowane były już w worki, książki przewiązane sznurkiem. Starszy wiekiem urzędnik w drucianych okularach na spoconym nosie przyciskał słuchawkę do ucha.

– Nie miał żadnej rodziny. Ubrania, pościel, zasłonki i naczynia kuchenne zabierze PCK – raportował komuś. – Książki, wracając do biura, podrzucimy do osiedlowej biblioteki, sporo podróźniczych, w niezłym stanie. Im się przydadzą pewnie. Siedem antypaństwowych zatrzymamy w depozycie. Meble zostają, może nowy lokator zechce

skorzystać, rzeczy osobistych prawie nie było, wywaliliśmy wszystko do zsypu...

Piotrek cofnął się, nim ktokolwiek go spostrzegł. Nie wahał się ani chwili. Tak jak stał, pobiegł na parter, prosto do służbówki dozorca. Zapukał gorączkowo. Odrapane drzwi uchyliły się na długość łańcucha.

– Czego? – warknął cieć. Był jak zwykle wściekły, pijany i brudny.

– Przepraszam, mógłby mi pan otworzyć drzwi od zsypu? – wybąkał Piotrek i uśmiechnął się przymilnie.

– Że co!?

– Wpadła mi przypadkiem jedna ważna rzecz...

– Się teraz martw – gderał dozorca, ale wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. – Ten pordzewiały – warknął, rzucając go chłopakowi. – Tylko odnieś zaraz!

Jak burza wpadł do ciasnej, śmierdzącej pakamery. Z sufitu wystawała blaszana rura, pod nią stał kubeł na śmieci. Stereoskop leżał na samym wierzchu. Pudełko ze zdjęciami pękło w czasie upadku. Część rozsypała się po kubie. Pozbierał je pospiesznie. Od niektórych musiał odlepić obierki z kartofli i inne paskudztwa. Ściągnął koszulę, zawinął spiesznie łup i grzebał dalej. Rzeźbiona skrzyneczka, która dawniej stała na parapecie. Jakieś drobiazgi z szuflady. Kasety z muzyką. Już miał iść, gdy spostrzegł rant blaszki. Zsunęła się głębiej. Przechylił się przez krawędź kubła, sięgnął i wyjął ryngraf. Wytarł go z szacunkiem rękawem i ucałował.

„Co za bydlaki” – pomyślał o likwidujących mieszkanie. „Nawet święty obrazek rzucili do śmieci...”



Zamknął zsymp i pobiegł oddać klucze.

– Udało się? Świetnie. No, to wiesz mi piwo, jak już dorośniesz – zarechotał cieć.

– Załatwione! Za pięć lat ma pan piwo jak w banku!

– Trzymam za słowo. – Przekrwiona, nieogolona morda przyozdobiona uśmiechem wyglądała nawet sympatycznie. Chłopak namacał w kieszeni swoje klucze i pobiegł do mieszkania.

– Z trupa, nie z trupa – mruknął, chowając zawiniątko w swojej szafce. – To przecież poniekąd pamiątki narodowe, a stereoskop to w ogóle stuletni antyk, szkoda na zmarnowanie, a ja będę miał po miłym sąsiedzie fajną pamiątkę na całe życie!

*

Dopiero w piątek po lekcjach znalazł trochę czasu, by w spokoju obejrzyć łup. W pudełku znalazł dużą kopertę, a w niej poźółkłe listy pisane kobiecym charakterem pisma. Był ciekaw treści, ale czuł, że nie powinien tego czytać. Że to, co wydarzyło się wtedy przed wybuchem wojny, to nienaruszalna święta tajemnica sąsiada i jego ukochanej. Pomiedzy listami leżało podniszczone przedwojenne zdjęcie dziewczyny w eleganckim kapelusiku. Miała grube, ciemne brwi, duże oczy i delikatnie zadarty nosek. Uśmiechała się sympatycznie. Piotrek westchnął. Głęboka życzliwość wręcz emanowała z tej buzi. Z jednej strony fotka nosiła ślady uszkodzenia przez wilgoć.

„Przekopywał ruiny swojego domu?” – usiłował sobie przypomnieć chłopak. „Znalazł tylko to? Pewnie wyszedł ze szpitala późną jesienią, zanim się dogrzebał, też minęło sporo czasu. Zdążyło zawilgnąć, tak w gruzie leżąc...”

Długo oglądał cztery medale na spłowiałych wstążeczkach. Wreszcie wyjął ryngraf. Na miedzianej blasze namalowano białego orła otaczającego skrzydłami Matkę Boską Częstochowską. Obok przynitowano dwa orzełki: dużego i malutkiego, a poniżej krzyż o ramionach pokrytych zieloną emalią, z umieszczonym pośrodku małym gorejącym granatem.

„Orły to pewnie z wojskowej czapki” – pomyślał. „Może taką nosił wtedy, gdy się bronili? A odznaka? Chyba tego pułku artylerii, gdzie z moim dziadkiem służyli. Trzeba by kogoś zapytać...”

Ucieszył go widok znajomego noża do papieru. Poskładał wszystko z szacunkiem do pudełka po butach.

„Pamiątki po bohaterze. Powinny trafić do Muzeum Wojska Polskiego, a oni to do śmieci... Cóż, ich strata”.

Poczuł dumę, że zdołał to uratować, ocalić przed wywózką na wysypisko. Zabrał się do oględzin stereoskopu. Urządzenie na szczęście niewiele ucierpiało. Obudowa okularów, wykonana z cienkiej miedzianej blaszki podbitej tekturą i pluszem, wygięła się od uderzenia. Delikatnie naprostował ją w rękach. Szkła też były całe. Przetarł je chusteczką. Drewniana prowadnica pękła, ale uznał, że jeśli nakapie kleju i ściśnie dobrze w imadle na kilka dni, uszkodzenie będzie niemal zupełnie niewidoczne.

Teraz przyszła pora na zdjęcia. Tekturerek było co najmniej trzysta pięćdziesiąt. Pierwotnie były ułożone w jakimś porządku, część sąsiad trzymał w kopertach, po upadku z piątego piętra wymieszały się. Parę pogięło się od uderzenia. Na szczęście tylko nieliczne się uświńczyły. Spiesznie dzielił je na kupki. Egipt, Bałkany, Afryka, Skandynawia, Peru, Meksyk, USA. Pierwsza wojna światowa. Najstarsze pamiętały lata osiemdziesiąte XIX wieku, dominowały jednak nowsze. Układał wedle firm i numerów. Braki były ogromne. Zdjęcia z Egiptu należały do dwu serii liczących pierwotnie po około trzysta kartoników, tymczasem sąsiad miał łącznie niespełna czterdzieści. Gdzie

indziej też były ogromne luki. Na paru fotkach widniały nawet gołe babki.

– Ha, tych mi nie pokazał. Kto by pomyślał, robili nawet obrazki tylko dla dorosłych – mruknął Piotrek, odkładając je chwilowo na bok.

Będzie jeszcze czas nacieszyć oko. Przełożył fotografie i urządzenie do naszykowanego tekturowego pudełka. Po chwili jednak ciekawość przeważała. Wyciągnął plik fotografii ze Skandynawii. Jak to sąsiad robił? Muzykę puszczał?

Przejrzał kasety. Na jednej naklejono kawałek przylepca.

– Grieg – Skandynawia – odczytał. – Jakiś ichni kompozytor czy kto?

Nie chciało mu się grzebać w encyklopedii. Włożył taśmę do swojego odtwarzacza. Usiadł i umieścił w uchwytach pierwsze zdjęcie. W bladym świetle deszczowego popołudnia zdjęcia wyglądały szczególnie realistycznie. Inny świat. Nieznany, pasjonujący. Uczeni podziwiający ruiny jednego z kościołów w Visby na Gotlandii. Kamienie runiczne. Zamek Glimminge. Kamienny krąg w Ales Stenar. Alfred Nobel przed bramą swojej fabryki dynamitu. Uniwersytet w Uppsali – archaicznie ubrani studenci palący dziwaczne fajki o długich cybuchach. Kopalnie srebra i warsztaty jubilerskie w Dalarnie. Szczyt Kebnekaise. Lapończycy z reniferami. Teraz Norwegia. Zaułki dawnego Bergen. Dwukołowa norweska *karjola*, w tle dzikie góry. Zabawny parostatek sunący pomiędzy skalnymi ścianami fiordu. Stary drewniany kościółek *stav*, pamiętający czasy wikingów. Kolejna fotka. Spojrzał i zamarł. Dolina w norweskich górach, gdzieś na szlaku pomiędzy Trondheim a Bergen. Wysokie ściany skalne, wśród nich wijąca się ścieżka. Na niej wędrowiec z plecakiem i towarzysząca mu dziewczyna w słomkowym kapeluszu.

Sfotografowano ich od tyłu, z odległości kilkunastu metrów. Zdjęcie nieco wyblakło, ale chłopak poczuł mocniejsze uderzenie serca. Znajoma sylwetka. Plecak uszyty z grubej wołowej skóry. Grabowy kostur w ręku. Szeroki skórzany kapelusz osłaniający kark... On czy nie? Człowiek na zdjęciu zdawał się znacznie młodszy i chyba wyższy.

„Po prostu stąd wziął wzór plecaka” – pomyślał chłopak. „Chciał mieć podobny...”

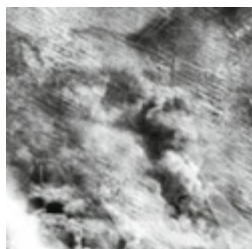
Przeglądał kolejne fotografie. Czytał angielskie podpisy. Rozumiał piąte przez dziesiąte, ale sporo słów było znajomych, domyślał się reszty. „Fram” – okręt Fridtjofa Nansena w stoczni. Inżynier Józef Lenartowicz i zbudowana pod jego kierownictwem elektrownia dostarczająca prąd dla miasta Trondheim. Uroczyste uruchomienie pierwszych tramwajów... Odbudowa katedry Nidaros. Kamieniarze przy pracy nad detalami architektonicznymi. Przełożył ostatnie zdjęcie i wrócił do początku. Magia stereoskopii owładnęła nim całkowicie. Muzyka pieściła uszy.

Niewiele potrzebował, by wyobrazić sobie na twarzy podmuch wiatru znad fiordu... Nawet fakt, że obrazki były w sepii, przestał w czymkolwiek przeszkadzać. I znów oglądane przed kilkoma chwilami widoczki z przeszłości. Parostatek prujący wody fiordu. Stary norweski kościółek otoczony kamiennymi stelami, krzyżami i nagrobkami. Dolina z wijącą się ścieżką...

I tylko pana Aleksandra i Małgorzaty nie było już widać. Przez ten kwadrans zdążyli wyjść poza kadr.

Sekret Wyspy Niedźwiedziej

Sankt Petersburg, czerwiec 1913



Nad Twierdzą Pietropawłowską zapadła już głucha noc. Z korytarza dobiegał daleki huk podkutych buciorów. Widocznie strażnicy kontrolowali piętro. W celi naprzeciw ktoś, najwyraźniej obłąkany, śmiał się histerycznie. Doktor Skórzewski spokojnym ruchem wyciągnął ze spodni szeroki wojskowy pas. Odczepił klamrę. Odmierzył odpowiednią odległość i zaznaczył na ciemnej skórze kreskę. Jego krewniak Aleksander obserwował go w milczeniu. Mężczyzna podszedł do parapetu i spokojnymi miarowymi ruchami zaczął ostrzyć o kamień blachę klamry. Po kilkunastu minutach sprawdził opuszką palca. Uśmiechnął się zadowolony, po czym, piłując krawędzią, odciął od pasa cztery identyczne kawałki. Na zewnątrz pod murem tiurmy zaszczekał pies wartownika. Wariat po drugiej stronie korytarza wykrzyknął jeszcze coś po ormiańsku i umilkł.

– Potrzebuję jakiegoś, że się tak wyrażę, przebijaka. Poszukaj, czy nie dasz rady wyciągnąć z pryczy gwoźdźcia – polecił doktor.

– Po co to wszystko? – parsknął student.

– Zrobimy dziurki. Potem wystarczy kawałek sznurka – tłumaczył cierpliwie.

– Po co? – powtórzył pytanie.

– To stara metoda zesłańców. Owiniemy skórą nogi w kostkach i dobrze zesznurujemy, jak karwasz. W przeciwnym razie kajdany objedzą nam nogi do kości, nim jeszcze zobaczymy stoki Uralu i kamienny obelisk na granicy Europy i Azji... – powiedział, po czym zadumał się.

Piętro wyżej głucho huknęły rygle drzwi najpierw jednej celi, potem kolejnych. Zatupotały buciory. Nocna inspekcja? Rewizja?

– Jaki znowu obelisk? – parsknął chłopak.

– Przy zesłańczym szlaku stoi kamienny słup. Po obu stronach ma tablice z herbami guberni. Tam przebiega granica pomiędzy Europą i Azją. Zesłańcy zabierają sobie kamyk lub garść ziemi na dalszą tułaczkę... Nie wiedziałeś?

– Kamyk z Europy, stoki Uralu... Ale my przecież nic... Czy za to, co zrobiliśmy, są w ogóle jakieś kary?! – miotał się młody.

Doktor wzruszył ramionami.

– Mogą to potraktować na przykład jako kłusownictwo. W dodatku z użyciem substancji trujących i zniszczeniem miejsc lęgowych zagrożonego gatunku...

– Byliśmy na ziemi niczyjej i w stanie wyższej konieczności! To jakaś bzdura! Wypełniliśmy wzorowo misję i...

– Nie bój się, carski sąd, gdy ma człowieka i *prikaz*, znajdzie na nas odpowiednio gruby paragraf, zanim się obejrzysz. Jedyna szansa, że wyciągną nas z uwagi na dziewczynę. Ale specjalnie bym na to nie liczył.

Student pobladł. Chwilę dreptał po celi, wreszcie podał towarzyszowi niewoli okazały zardzewiały gwóźdź, wyciągnięty ze ściany.

– Wyśmienity – pochwalił lekarz i zaraz zaczął ostrzyć koniec o parapet.

Chłopak podszedł do wnęki i złapawszy kraty, podciągnął się, by wyrzeć przez okno. Na szczęście nie założono blend. Po drugiej stronie Newy lśniły latarnie uliczne.

– Nie mogą nas skazać ot tak! – wybuchnął.

– Usłyszymy zarzuty, będziemy się tłumaczyć. – Wuj dla odmiany rozgrzał końcówkę metalu nad płomieniem świecy i zręcznie wypalił pierwszy otwór. W dusznym powietrzu celi zapachniało przypaloną skórą.

– Ale się wkopaliśmy – jęknął chłopak.

– Przez grzeczność nie przypomnę, kto mnie wrobił w całą tę ekspedycję – parsknął lekarz. – Zamiast siedzieć i biadolić, wywlec z siennika trzy nitki, takie, wiesz, przez całą długość, i zaplec w warkoczyk. Natrzemy woskiem ze świecy, będzie sznurek do skórek... Kiepski, bo kiepski, ale lepszy taki niż żaden. Na początek wystarczy, a potem się zobaczy.

– Jeśli się z tego wywinie, ślubuję już nigdy w życiu nie jeść gęsiny! – jęknął Sandro, wypełniając polecenie.

– Może nie będzie tak źle.

Paweł, pomagając sobie obcasem więziennego chodaka, wybijał kolejne otwory. Tymczasem jego umysł błądził daleko. Przemierzał raz jeszcze trasę od hotelu Savoy przez bezkres arktycznych mórz ku otoczonej klifami wyspie...

– Sparzyliśmy się, usiłując dotknąć zbyt wielkiego sekretu – mruknął. – Natura nie lubi tych, którzy wrywają jej tajemnice.

– Jaka znowu natura!?! – Chłopak poderwał się – Przecież aresztowali nas ludzie!

– Przymierz, czy rozmiar pasuje. – Wuj podał mu gotowy ochraniacz. – Po obu stronach trzeba natrzeć jakimś tłuszczem. Najlepszy byłby łój, ale od biedy możemy i świecy użyć. I plec te sznurki. Parę zapasowych też będzie nie od rzeczy, przecierają się z czasem.

– Ale ja nie chcę na zesłanie!

– O tym trzeba było myśleć zawczasu!

Miesiąc wcześniej

Koła dorożki podskakiwały na bruku. Doktor Skórzewski raz jeszcze rozłożył list. Zaproszenie przygotowano, używając maszyny do pisania, na papeterii wielkiego księcia Aleksandra Michajłowicza. Herb Romanowów umieszczony w rogach zarówno listu, jak i koperty był kolorowy i tłoczony, papier miał nawet znak wodny... Lekarz ziewnął. Drynda zatrzymała się.

– Jesteśmy na miejscu – zameldował *jamszczyk*.

Doktor wyskoczył na chodnik i odliczył siedemdziesiąt kopiejek za kurs. Ponury szwajcar, stojący w drzwiach hotelu Savoy, ukłonił się sztywno. Lekarz zgodnie z poleceniem pokazał mu kopertę.

– Uprzedzono nas o waszym przybyciu. Już was oczekują. – Odźwierny ukłonił się ponownie.

– Gdzie mam się stawić?

– Proszę wjechać windą na czwarte piętro.

Skórzewski przeszedł po wspaniałym dywanie zdobiącym hol. Windziarz trwał na swoim posterunku, równie sztywny jak jego towarzysz przy drzwiach. Doktor wszedł do kabiny.

– Poproszę na czwar... – urwał, widząc tylko trzy przyciski.

– Nie mamy czwartego piętra – głos był spokojny i jakby smutno uroczysty..

– Ale... Hmmm...

W tym momencie pracownik hotelu spostrzegł kopertę w dłoni gościa.

– Zapewne, *barin*, macie na myśli poddasze. – Uśmiechnął się jakby porozumiewawczo. – Za pierwszym razem niemal każdy się myli. Służę.

Wcisnął jednocześnie najwyższy i najniższy guzik i winda ruszyła. Faktycznie minęła piętro trzecie i zatrzymała się z cichym zgrzytem. Obsługujący otworzył ozdobną kratę i drzwi.

W korytarzu stał kolejny odziany w liberię drągal. Od poprzedników odróżniało go to, że był o dobre dwadzieścia lat młodszy. Spojrzał na doktora badawczo, jakby badał tożsamość.

– Wielki książę oczekuje was, doktorze – powiedział i uprzejmym gestem wskazał uchylone drzwi.

Doktor wszedł do eleganckiego gabinetu, oświetlonego staromodnymi lampami łukowymi konstrukcji Jabłoczkowa.

– Witam serdecznie.

Wielki książę Aleksander Michajłowicz był podobny do swego koronowanego kuzyna, ale o pół głowy wyższy.

– Otrzymałem wezwanie... – zaczął Skórzewski.
– Zaraz wezwanie. – Arystokrata uśmiechnął się uprzejmie. – To jedynie zaproszenie... A zaprosiłem was, gdyż... Hmm... Powiedzmy, mam pewną propozycję. Proszę, niech pan siada.

Paweł zajął miejsce w wygodnym fotelu.

– Wybacz pan tę konspirację, ale to, o czym chcę porozmawiać...
– Nie powinno dotrzeć do niepowołanych uszu?
– Szczerze powiedziawszy, doświadczenie moich różnych projektów mówi mi, że lepiej, gdy nawet te powołane uszy też słyszą jak najmniej... – zażartował, ale jego spojrzenie pozostało poważne.

– Mam poprzysiąc, że niczego...

– Wystarczy słowo honoru.

– Daję słowo, że nie przekażę dalej tego, co tu usłyszę albo i zobaczę. – Rzucił okiem w bok.

Na blacie biurka stał jakiś spory kształt owinięty szczelnie wełnianym szalem.

– Dziękuję. Zaprosiłem tu pana, gdyż jest pan lekarzem, a przy tym biegłym chemikiem, obznajmionym z pracą laboratoryjną.

– Dlaczego padło właśnie na mnie?

– Dlatego, że pański kuzyn... Krewniak? Aleksander Dymitriewicz Skórzewski wypaplał, że jest pan bez grosza, potrzebuje pan znacznych funduszy na badania, a przy tym można zaufać pańskiej ogromnej wiedzy, połączonej z pomysłowością i duchem przygody.

– Z tym duchem przygody smarkacz trochę przesadził – mruknął lekarz na wpół do siebie.

– Wiem, że podjął pan przed dwoma laty kompletnie szaleńczą wyprawę, by ratować jego brata. Może zatem coś w tym jest? Zresztą to nieistotne. Przedstawię problem. Jeśli się pan zgodzi, będzie mi bardzo miło. Jeśli nie, rozstaniemy się jak przyjaciele i po prostu o wszystkim pan zapomni. Najważniejsze pytanie: czy ma pan jakieś plany na najbliższe kilka miesięcy?

– Nie.

Książę postawił na blacie ów spory przedmiot nakryty szalem. Odwinął tkaninę. Przed nimi stało wypchane ptaszysko. Skórzewski nigdy wcześniej nie widział podobnego upierzenia. Ptak był czarny, ale stosiny i końcówki piór miał wściekle pomarańczowe.

– Gęś Filaretowa – wyjaśnił arystokrata.

– Nigdy o takiej nawet nie słyszałem, ale nie jestem zoologiem ani ornitologiem...

– Występuje w Arktyce. To o tyle ciekawe ptaszysko, że do tej pory nigdy nie zaobserwowano ich w naturze.

– To skąd pochodzi ten okaz?! – zdumiał się Skórzewski.

– Znajdowano ich szczątki i martwe osobniki. Kilka sztuk wypchanych lub zakonserwowanych w spirytusie posiada w zbiorach nasza Akademia Nauk. Jeden trafił się mnie.

– Na czym zatem polega problem?

– Przed sześcioma laty odezwał się do nas listownie, a mówiąc do nas, mam na myśli Akademię Nauk, profesor Schwarzmüller z uniwersytetu w Berlinie. Był zainteresowany odkupieniem jednego z okazów, oferował na wymianę szereg ciekawych preparatów biologicznych. Transakcja doszła do skutku. Jest tylko jedno małe ale...

– To, co przysłano na wymianę, okazało się bezwartościowe?

– Ależ wręcz przeciwnie. Zapłacił naprawdę uczciwie. Kłopot w tym, że z tego, co udało nam się ustalić, Schwarzmüller nie jest biologiem, lecz... chemikiem. W dodatku gęś nie trafiła do kolekcji dydaktycznej Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma, zaś otrzymane na wymianę okazy nie pochodzą z ich zasobów.

– Brzmi kuriozalnie – mruknął Skórzewski. – Może zatem profesor odegrał rolę figuranta? Jakiś bogaty kolekcjoner zapragnął wzbogacić swoje zbiory o unikalny egzemplarz...

– Tak zakładaliśmy, ale jest jeszcze jeden problem. Nasz, tym razem mówiąc nasz, mam na myśli flotę wojenną, wywiad, ustalił, że Schwarzmüller poza posiadaniem na uniwersytecie posiada jeszcze drugie zajęcie. Mianowicie należy do niewielkiej tajnej komórki powołanej przez kajzera. Jej zadaniem jest prowadzenie badań naukowych nad nowymi rodzajami broni dla pruskiej armii.

– Nie sądzę, by Prusacy w razie wojny zechcieli rzucać w nas zdechłymi kaczkami.

– Gęsiami – sprostował machinalnie wielki książę. – Ja też tego nie podejrzewam. – Zaczął nabijać fajkę. – A teraz najważniejsze. Wiosną nasza admiralicja otrzymała oficjalną prośbę od berlińskiego uniwersytetu. Pragnęli uzyskać zezwolenie na przeprowadzenie badań naukowych na Wyspie Niedźwiedziej. Szefem ekspedycji jest także profesor Schwarzmüller, choć prośbę sformułował kto inny..

– Niech zgadnę. Wyspa Niedźwiedzia jest jednym z miejsc, z którego pochodzą okazy gęsi Filaretowa?

– Tak. W tej chwili dysponujemy siedmioma okazami. Znalezione je na wyspie. Ze Spitsbergenu pochodzi jeden osobnik w stanie daleko posuniętego rozkładu.

– Nie występują na kontynencie?

– Prawdopodobnie nie.

– Hmm... Może warto przyjrzeć się, gdzie profesor bywał w ubiegłych latach?

– To już zrobiono. Odwiedził Spitsbergen, wschodnią Grenlandię, Wyspy Owcze i północną Norwegię.

– Szuka kolejnych gęsi?

– Prawdopodobnie. Kłopot w tym, że nie do końca wiemy, po co to robi. Ale jest to

typ bardzo podejrzany i dlatego właśnie postanowiliśmy zająć się tą sprawą. Przyczepić mu dyskretnie kilka ogonów. Wysłać ludzi, którzy będą patrzyli mu na ręce.

– I sądzicie, wasza wysokość, że ja bym się do tego nadawał? – skrzywił się lekarz.

– Ależ nie. Mamy od tego – bez obrazy! – znacznie lepszych fachowców, na przykład pańskiego krewniaka. Pan będzie tylko lekarzem ekspedycji, a jeśli zajdzie potrzeba, wykona pan analizy chemiczne i mikrobiologiczne pozyskanego materiału.

– Rozumiem. To znaczy nie rozumiem...

– Niemiecka ekspedycja na charakter badawczy. To naukowcy. Wysyłając naszą poniekąd wojskową kontrekspedycję, chcę też zapewnić jej analogiczne zaplecze naukowe. Najmiłościwiej nam panujący car niestety nie docenia moich projektów – westchnął książe. – Wiele rzeczy finansować muszę z własnej kieszeni, ale dochody moje, choć znaczne, nie pozwalają na wszystko, co niezbędne. Mogę zaproponować panu wynagrodzenie w wysokości pięciuset rubli za każdy rozpoczęty miesiąc pracy.

– Zgadzam się.

– Do tego pełen wikt i zakwaterowanie w kajucie. Wszelkie leki na wypadek choroby załogi oraz podręczny zestaw do analiz chemicznych oczywiście czekają już na okręcie. Przedstawi pan jeszcze tylko spis narzędzi chirurgicznych, które będą niezbędne...

– Zaraz mogę napisać. Kiedy mam wyruszyć?

– Jutro.

*

Doktor wyszedł z hotelu tylnymi drzwiami. Zapadła już noc, w zaułku było ciemno choć oko wykol. Tylko dwie niewielkie karbidowe latarnie płonęły spokojnym, jasnym światłem – to dorożka czekała w umówionym miejscu.

„W co ja się pakuję?” – pomyślał, gramoląc się do budy.

Instykt podpowiedział mu, że ktoś jeszcze siedzi wewnątrz. Odruchowo wyciągnął z laski gałkę zakończoną sztyletem.

– Nie dźgnij, to ja – usłyszał głos Aleksandra.

– Aaaa... Zgiń, przepadnij, siło nieczysta.

– Ja też się cieszę, że mogę wujka widzieć.

Wsunął broń na miejsce w ostatniej chwili, bo woźnica zaciął konie batem. Pojazd szarpnął i ruszył.

– W coś ty mnie wrobił? – zagadnął doktor.

– Wyprawa naukowa, a zarazem okazja do przewietrzenia się, poznania nowych łądów i godziwego zarobku... Przecież brakuje ci, wuju, pieniędzy na badania.

– Diabeł ci wujkiem, nie ja – mruknął Skórzewski po polsku. – Zostałeś szpiegiem?

– Szpiegów ma wróg. Imperium carskie ma wywiadowców.

– Tak, wiem – parsknął doktor. – To zapewne kwestia nazewnictwa. Wróg ma snajperów, my strzelców wyborowych. Wróg ma oprawców, a my specjalistów od wydobywania zeznań. A ty...

– Nie, jeszcze nie zostałem. Dopiero się uczę.

Dłuższą chwilę obaj milczeli.

– Wyspa Niedźwiedzia... – mruknął doktor Skórzewski. – Z tego, co mi się kołacze, odkryto ją pod koniec szesnastego wieku. Ale niewiele o niej wiem. Należy do Rosji?

– Ma nieuregulowany do dziś status prawny – wyjaśnił Aleksander. – Roszczą sobie do niej prawa i Norwegia, i Dania, ale międzynarodowy sąd arbitrażowy jak dotąd nie wypowiedział się jednoznacznie.

– Powiadasz zatem, że o przyznaniu wyspy Rosji miałby zadecydować sąd, który powstał z inicjatywy cara Mikołaja – uśmiechnął się kpiąco lekarz. – Przewiduję treść wyroku...

– To ciało całkowicie niezależne! Na dwoje babka wróżyła. Dlatego też Rosja stara się działać metodą faktów dokonanych. Kolonizacja byłaby argumentem za przekazaniem nam tej ziemi...

– Zatem, jak znam życie, wysłano tam zesłańców na katorgę? – kpił nadal doktor.

– Nie. Ale misje naukowe badają ją regularnie. Wiesza się na niej rosyjską flagę. I wiele krajów już uważa ją za terytorium podległe imperium.

– Misje naukowe. Ornitologdy?

– Nie. Przeprowadzono szereg zwiadów geologicznych, które wykazały obecność rud żelaza i śladowe ilości rud miedzi, pokłady węgla kamiennego, a nawet złoża marmurów.

– A eksploatacja kopalin tak daleko od lądu się aby kalkuluje? – Skórzewski miał uzasadnione wątpliwości.

– Ależ skądże. Miałoby to sens pod warunkiem wybudowania porządnego portu i bazy dla okrętów wielorybnych. Wtedy można by zaopatrywać je w węgiel wydobywany na miejscu. Jest kiepskiej jakości, nadaje się bardziej do brukowania ulic niż palenia w piecu, ale lepszy taki niż żaden. Niestety, wybrzeża są bardzo niegościnne. Wyspa posiada jedną prowizoryczną przystań i kilka niezbyt dogodnych kotwiczowisk. Należałoby ponieść ogromne nakłady, by ją zagospodarować.

– To po kiego grzyba Rosji ten ogryzek terenu?

– A bo ja wiem? Może lepiej mieć, a nie potrzebować, niż nie mieć i nie potrzebować.

– Cóż za głęboka myśl – westchnął lekarz. – Co jeszcze powinienem wiedzieć?

– Po zachodniej stronie wybrzeża są klifowe z wyjątkiem jednego miejsca. Jest tam kilkukilometrowy cyrk lodowcowy o kształcie wachlarza. Dolina jest na tyle zaciszna, że porosły ją krzewy i gniazduje tam nieprzebrane mrowie ptaków. Z tego właśnie miejsca pochodzi większość okazów gęsi. Tam też profesor Filaretow znalazł przed

trzydziestu laty kilka martwych osobników i w ten sposób pozyskał surowiec na preparaty dla Akademii Nauk.

– Martwych...

– Na terenie doliny nie udało mu się zaobserwować żywych ptaków, choć natrafił na ich pióra oraz domniemane ślady gniazdowania. Oczywiście w chwilach, gdy nie będziemy patrzeć Niemcom na ręce, sami zajmiemy się obserwacjami.

– Wzięłeś się do studiowania ornitologii?

– Nie, ale przecież wielkie, czarne ptaszysko nakrapiane na pomarańczowo nietrudno będzie wypatrzeć!

Dorożka zatrzymała się.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział chłopak.

– Gdzie mnie przywiozłeś? – Pasażer wyskoczył na chodnik i rozejrzał się. Stali obok nabrzeża. – Aptekarski Ostrow... – rozpoznał.

– Jesteśmy tam, gdzie przykazali. – Woźnica ukłonił się pasażerom.

– Ile się należy za kurs?

– Już zapłacono. – Ukłonił się ponownie.

Doktor mimo to wcisnął mu w dłoń srebrną ćwierćrublówkę. Na nieogolonej gębie wykwitł szeroki uśmiech. Marynarz w czapce z nazwą statku pojawił się jakby znikąd – bez słowa, uprzejmym gestem wskazał schodki prowadzące nad wodę.

– „Standard” – odczytał mimochodem lekarz.

– Jacht parowy Jego Carskiej Mości – odparł z dumą marynarz.

– Wysokie progi...

– Jego Wysokość nie jest obecny na pokładzie. Zresztą – uśmiechnął się lekko – płyniemy na inny okręt.

– Aha...

Przy nabrzeżu cumowała szalupa. Trzej ludzie czekali już z wiosłami w pogotowiu. Skórzewski i jego krewniak zajęli miejsca. Marynarze odepchnęli się od granitowej ściany i równymi pociągnięciami wiosł skierowali łódkę na Nową.

Majowa noc była cicha i spokojna. Od rzeki ciągnęło wilgotnym chłodem.

– To nasza jednostka. – Aleksander wskazał spory słup cumujący na kanale pomiędzy wyspami.

Okręt nie spodobał się Skórzewskiemu od pierwszego wejrzenia. Był dziwny. Marynarze obecni na pokładzie, pięciu lub sześciu, chodzili ciut zbyt sztywno. Mimo późnej pory trwał właśnie załadunek. Kilku tragarzy nosiło ciężkie paki z wozów stojących na nabrzeżu.

„Jakby kij połknęli” – pomyślał, leniwie odprowadzając ich wzrokiem. „Znaczy się żołnierze carskiej marynarki, którzy udają cywilną załogę, ewentualnie świeżo zdemobilizowani... Ale raczej to pierwsze...”

Szalupa dobiła do nabrzeża. Wdrapali się po kamiennych schodkach i przepuszczając

tragarzy, po trapie przeszli na pokład. Okręt był jasno oświetlony ośmioma latarniami.

– Poznam cię z uczestnikami ekspedycji – bąknął Aleksander.

– Prowadź.

Skórzewski omiół jednostkę wzrokiem. Koło dziobu znajdował się luk. Doktor spostrzegł, że pokrywa nie jest otwierana do góry, ale przesuwana. W mesie czekał na nich kapitan. On też wyglądał trochę jak element dekoracji. Dobrze zbudowany, płowowłosy, brodaty, z fajką w zębach i twarzą spaloną słońcem oraz wiatrem.

„Niemal archetypiczny przykład wilka morskiego, jak z ilustracji w książce dla dzieci...” – pomyślał doktor.

– Igor Malinowski – przedstawił się, ściskając lekarzowi dłoń na powitanie.

Uścisk miał iście niedźwiedzi. Skórzewski wymienił swoje nazwisko. Zaraz też weszła drobna blondyneczka mogąca sobie liczyć nie więcej niż dwadzieścia lat. Towarzyszył jej wysoki brunet w mundurze studenta politechniki. Był szczupły, żeby nie powiedzieć: chudy. Na krogulczym nosie połyskiwały szkła druczianych okularów.

– Łesia – przedstawiła się tylko imieniem, i to w jego ukraińskiej wersji.

– Dawid Stadelman – ukłonił się student.

Ta dwójka też zupełnie się doktorowi nie spodobała. Dziewczyna kogoś mu przypominała. Miał mgliste poczucie, że kiedyś już ją widział. Chłopak? Tego dla odmiany kojarzył, ale po nazwisku. Jakiś artykuł w gazecie czy coś takiego?

– Wychodzimy z portu jutro o dziesiątej rano – odezwał się kapitan. – Proszę, by do tego czasu wszystkie bagaże znalazły się na pokładzie. Przypuszczalnie po siedmiu dniach żeglugi osiągniemy brzegi Wyspy Niedźwiedziej.

Siedem dni żeglugi z Sankt Petersburga prawie na Spitsbergen? Paweł z trudem powstrzymał się, żeby nie syknąć przez zęby. Ten okręcik musiał mieć naprawdę potężne silniki...

Pożegnali się i zeszli na ląd. Ruszyli spokojnie ulicą. Dochodziła dwudziesta druga.

– A zatem jutro wyruszamy – cieszył się Aleksander.

– Yhm... – mruknął doktor.

– Coś się stało? – zaniepokoił się chłopak.

– Jaki jest kaliber działka?

– Co proszę?

– Kaliber działka. Jestem miłośnikiem militariów.

– Ale...

– Kłapa się nie podnosi, tylko odsuwa. To może być przypadek, ale nie w chwili, gdy zamiast zwykłej załogi zaokrętowano żołnierzy korpusu gardemarinów. Chodzi zaś o to, by podniesiona płaszczyzna nie tworzyła martwego pola przy ostrzale. Zatem pod pokładem jest niewielka armatka lub ewentualnie karabin maszynowy.

– Zespół trzech sprzężonych karabinów Maxima – bąknął Sandro. – Ale to nieważne... I lepiej nie wiedzieć. Nie okazywać, że się wie! Twoja chata z kraja. –

ostatnie zdanie wygłosił po polsku.

- No tak. Kontrekspedycja marynarki wojennej... – mruknął jego wuj.
- I nagle nieoczekiwanie przypomniał sobie, gdzie czytał o tym Stadelmanie!
- W co się pakuję? – zapytał konkretnie.
- Bierzemy cię jako chemika.
- Tyle mi powiedzieliście. Gęsi Filaretowa... Chodzi o coś zupełnie innego? Szukacie na Wyspie Niedźwiedziej złóż... Hmm... dajmy na to rud zawierających rad? Albo...
- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- A możesz mi powiedzieć?
- Nie powinienem, ale... Mamy kreta – ściszył głos. – Po tamtej stronie. Znamy skład wyprawy Schwarzmüllera. Specjalizacje wszystkich biorących w niej udział.
- Lekarz...
- Jedziesz też jako chemik mający doświadczenie w farmacji i chemii organicznej.
- Nawigator... – Spojrzał na Aleksandra.
- Jadę też jako radiowiec. Mam zapewnić łączność z Petersburgiem i w miarę możliwości podsłuchiwać depeche Niemców.
- No dobrze, ale po co wam genialny szachista... Ten Stadelman rzucił w zeszłym roku wyzwanie doktorowi Laskerowi i prawie zremisował. Padł po naprawdę zaciętej walce.
- To nasz matematyk, fizyk i kryptolog.
- Oraz dziewczyna, która...
- Będzie gotowała.
- Jaaasne. Powiedz jeszcze, że jak pozmywa po obiedzie, zatańczy nago na stole.
- Będzie gotowała – powtórzył Sandro z nutką hysterii w głosie.
- Profesor Schwarzmüller też zabiera na wyprawy polarne swoją ulubioną gosposię i kucharkę o imieniu, dajmy na to, Helga?
- Powiadają: ciszej jedziesz, dalej będziesz! – przysłowie znowu wygłosił po polsku.
- Albo dalej pojedę, to ciszej będę – odgryzł się doktor. – Mówiąc „dalej”, mam na myśli na przykład Sachalin. Ona nie ma nazwiska? Ani nawet otczestwa?
- Ma nazwisko, ale tajne, a otczestwa lepiej w ogóle nie znać. Już i tak wiesz za dużo – mruknął Sandro.
- Łesia... Aleksandra Bakszt, podróżniczka, badaczka Arktyki i autorka publikacji o faunie wysp Nowej Ziemi?
- Yhm...
- To dlaczego od razu nie mówicie? Po co te wszystkie niedopowiedzenia? Jednak powinienem był cię spuścić ze schodów, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.
- Tam nie było schodów – bąknął chłopak.
- Wpakowałeś mnie właśnie w jakieś gówno po uszy!

- Zapropnowałem księciu twoją kandydaturę jako członka wyprawy. Bo cię, wuju, cenię za ogromną wiedzę i szanuję!
 - O tym właśnie mówię. I jak znam życie, powiesz mi teraz, że to dla mojego dobra?
 - Oczywiście. – Chłopak spojrział hardo.
 - A nie mogłeś, ciulu, wcześniej zapytać, czy w ogóle jestem zainteresowany?
 - Co to jest ciul? – zdziwił się Sandro.
 - Trzeba się było uczyć polskiego. Coś jakby *chreń*, a może i *obezjajec*.
 - Aha. Nie mogłem zapytać, bo to dość nagle wyszło – wrócił zręcznie do tematu. – Ale bardzo się cieszę, że pojedziemy razem.
 - A zamalował cię ktoś kiedyś w japę? Tak szczerze, od serca i po polsku, pięścią w ryj?
 - Pamiętam, co mi mówiłeś na temat prac Ernesta Duchesne.
 - Że co!? – Spojrział na krewniaka zaskoczony.
 - Chcesz, wuju, badać antagonizm bakterii i grzybów. Pleśń *Penicilium notatum*! Nie masz na to funduszy.
 - Pięćset rubli to znacząca kwota, ale na poważne badania trochę za mało!
 - Płynąc na tę wyprawę, zostaniesz sprawdzony. Jeśli się spodobasz, będziesz od tej pory człowiekiem księcia Aleksandra Michajłowicza Romanowa. A to otwarty umysł i szalonych wynalazców utrzymuje na pęczki. Będą pieniądze na badania. Rozmawiałem z nim o tym.
 - Chyba jednak nie dostaniesz po łbie – westchnął Skórzewski. – Nie mogłeś od razu powiedzieć?
 - Niby mogłem...
 - Czyli nasza misja?
 - Mamy sprawdzić, co knują szkopy. Jeśli będzie okazja, mamy im zaiwanić odkrycia. Jeżeli to, co planują uczynić, będzie niebezpieczne, mamy pokrzyżować im plany. Bierzemy takich ludzi, jakich mają oni. – Urwał. – Reszta będzie obserwować, jak my dwaj sobie poradzimy.
 - Ludzi... Plus kupę broni i kilku fachowców wprawionych w jej obsłudze. A ja mam jakby co opatrywać rannych?
 - To tylko względy bezpieczeństwa.
 - Gęś Filaretowa... Znosi złote jaja?
 - Nie wiemy. Może Niemcy naprawdę jej szukają, a może to tylko zasłona dymna i chodzi o coś zupełnie innego. Może nawet i o rudy radu! Dowiemy się. Obiecano też ordery, jakby co – dodał.
 - Jakby co? – zainteresował się Skórzewski.
 - Wielki ksiązę powiedział mi, że będzie trzeba reagować w zależności od okoliczności ekstraordynaryjnych. O ile w ogóle się pojawiają. Dobrej nocy!
- Stali już przed kamienicą doktora.

– Miłych snów nieprzerywanych wyrzutami sumienia – parsknął lekarz. – Tylko nie zaśpij!

– I ty też, wuju.

Chłopak oddalił się dziarskim krokiem. Jego jasna bluza migąła jeszcze przez chwilę w mroku, a potem ucichł nawet odgłos kroków.

– Esktraordynaryjne okoliczności kontrwyprawy po gęsi zapewne znoszące radowe jaja. – Paweł smakował informacje, wpychając klucz do dziurki. – Trzeba tylko popłynąć w miejsce, gdzie diabeł się boi powiedzieć dzień dobry, pochodzić w towarzystwie szpionów ścieżkami brukowanymi węglem i podpatrzeć, co robi światowej sławy berliński profesor. A jakby co, będziemy pruli z trzech karabinów maszynowych, tylko nie wiem, czy do gęsi, czy do niemiaszków. A w zamian pięćset rubelków i order... Może to się nawet opłaca...

*

Pokład był pusty, jak wymarły. Skórzewski w pierwszej chwili pomyślał, że wyjazd został odwołany, ale po chwili zrozumiał, że po prostu zakończono załadunek. Teraz dopiero nad kominem spostrzegł błękitną mgiełkę spalin. Wszedł na okręt po trapie. Na dźwięk jego kroków pojawili się dwaj marynarze, a z pomieszczenia oficerskiego na rufie wyszedł rostry młodzieniec w mundurze.

– Witam serdecznie, panie doktorze – powiedział po polsku. – Czekaliśmy już tylko na pana. Anzelm, ale wołają mnie Ałmaz – przedstawił się.

Mówił ze śpiewnym kresowym akcentem. Doktor zamarł, patrząc na klamrę pasa tamtego. Z pozoru wyglądała na zwyczajną wojskową. Skórzewski wiedział, że na artyleryjskich umieszcza się pod ogonem orła dwie skrzyżowane lufy armatnie, a na marynarskich – dwie kotwice. Jednak tu za orłem znajdowały się dwie skrzyżowane błyskawice. Nigdy wcześniej takiego symbolu nie widział i tylko kilka razy o nim słyszał...

Korpus kurierów. Legendarna elitarna formacja złożona z najlepszych żołnierzy, starannie dobranych i wszechstronnie wyszkolonych... W razie wojny ich zadaniem było wykonywanie najniebezpieczniejszych lub zgoła samobójczych misji...

– Pański krewny też już przybył – odezwał się kurier. – Proszę za mną, wskażę panu kajutę...

– Dziękuję – bąknął lekarz trochę skołowany.

Mężczyzna ujął jego walizki i ruszył przodem. Kajuta była niewielka, ale gustownie urządzone. Doktor pomacał z uznaniem materac wąskiego łóżka. Obejrzał sekretarzyk. Walizki, chwilowo nierozpakowane, umieścił w szafie.

– Gdzie znajdę Aleksandra? – zapytał.

– W kajucie obok.

– Kiedy wyruszamy?

– Już wyruszyliśmy. Nie czuje pan?

Faktycznie, przez pokład przebiegało delikatne drżenie.

– Mamy naprawdę dobrze wytłumione silniki – pochwalił się Ałmaz. – Zresztą będzie czas wszystko sobie spokojnie omówić. Pożegnaj pana na razie.

Uklonił się i wyszedł. Lekarz spojrział przez okrągły bulaj. Nabrzeża Petersburga szybko umykały do tyłu. Przeszedł się po kajucie, a potem wyszedł na korytarz i zapukał do drzwi obok.

– Proszę!

Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Chłopak rozwieszał właśnie pod sufitem płataninę drutów.

– Co to jest? – zdumiał się Skórzewski. – Antena radiowa?

– Zgadłeś, wuju – uśmiechnął się krewniak. – Zakładam, że misja Schwarzmüllera też jest misją wojskową, zatem powinna zachowywać łączność z dowództwem. Zapewne co jakiś czas będą wysyłać lub odbierać depesze. A my je sobie odsłuchamy. Swoich depesz bez palącej potrzeby nadawać nie będziemy, albowiem...

– Wolicie, żeby nie wiedzieli, że też mamy radio...

– Otóż to.

Skórzewski zadumał się głęboko.

– Wydaje mi się, że niewiele wam to da – powiedział wreszcie. – Ich meldunki będą z całą pewnością zaszyfrowane.

– Dlatego zabraliśmy ze sobą genialnego matematyka. W dodatku zna perfekcyjnie niemiecki. Jeśli natrafimy na szyfr, spróbuje go złamać. Robił to już nie raz.

– Paradne... A ja jak mogę się przydać?

– Jeszcze nie wiemy. Ale na końcu korytarza jest ambulatorium i laboratorium zarazem...

– Mam sobie umilać czas eksperymentami chemicznymi? – Uśmiechnął się.

– Jest też biblioteka. Komfortowe warunki, w niczym nie przypominają naszej eskapady na pokładzie „Andromedy” przed dwoma laty... Choć przecież i wtedy to była wspaniała przygoda... I mam dzwon od kapitana Urwanki. Wypolerowałem i czeka, aż dorobię się własnego statku...

– Na pewno podróżować będzie szybciej i bezpieczniej – westchnął doktor. – Pytanie tylko, co czeka nas u celu podróży... Mam jakieś dziwne przeczucia.

– Na pewno musimy zachować szczególną ostrożność – w głosie studenta zabrzmiała nieoczekiwana powaga. – Chodźmy na pokład, trzeba nacieszyć oczy widokiem ludzi i domów. Tam, gdzie płyniemy, tego nie będzie...

*

Przebycie kanałów trochę zajęło. Okręt kierował się na północ ku Morzu Białemu. Doktor przechadzał się po pokładzie. Aleksander znowu majstrował przy radiu. Kurier pomagał mu – zawiesili jakieś druty pomiędzy masztami.

„Mała antena w kajucie nie wystarczy” – pomyślał lekarz leniwie. „By wychwycić słabe sygnały nadawane z daleka, trzeba mieć coś lepszego...”

Wreszcie skończyli. Zagadkowa Łesia wyjrzała na pokład i pochwaliła ich pracę. Teraz Sandro znikł pod pokładem – zapewne chciał wypróbować możliwości urządzenia. Kurier podszedł do lekarza.

– Sprawdził pan laboratorium? – zapytał po polsku. – Jeśli czegoś potrzeba, ostatnia okazja zrobienia zakupów będzie w Murmańsku.

– Chyba wszystko mam. Nie potrafię wymyślić, co jeszcze mogłoby się przydać.

– Czemu pan tak patrzy? – Mężczyzna odruchowo otrzepał mundur.

– Zaniepokoiły mnie pańskie oczy... – mruknął Skórzewski. – Wrzecionowata źrenica. Katarakta oka?

– Nie, to u mnie cecha rodzinna – uśmiechnął się Ałmaz. – W niczym mi nie przeszkadza. Ja praktycznie nie choruję. Jestem jak yeti. Biegam boso po śniegu, na święto Jordanu co roku pływam się w przerębli. To hartuje...

– Byle chorowitych słabeuszy nie biorą do korpusu kurierów?

Mężczyzna uśmiechnął się tylko, ale nic nie odpowiedział.

– Krążą legendy o waszych szkoleniach. O pokonywaniu wpływ Zatoki Fińskiej, biegach na dystans osiemdziesięciu wiorst, o konnych rajdach przez zamarznięty Bajkał...

– Prawda jest jeszcze ciekawsza. – Ałmaz puścił do doktora oko. – Ale sam pan rozumie, że im mniej się o tym mówi, tym lepiej. Grywa pan w szachy? – zmienił temat.

– W młodości trochę grałem... A czemu pan pyta?

– Myślałem o tym, by rzucić wyzwanie Stadelmanowi. Oczywiście nie sam. Gdybyśmy zabrali się za to we czwórkę, na czterech szachownicach jednocześnie, to może istnieją szanse na zremisowanie choć jednej partii...

– Najpierw musielibyśmy go chyba spić w trupa... Mistrz, który prawie pokonał samego doktora Laskera, nie da się zapędzić w kozi róg takim słabeuszom jak my...

– Ja w każdym razie zamierzam spróbować.

Uklonił się i znikł w trzewiach statku. Doktor Skórzewski stał w zadumie na dziobie, patrząc na horyzont. Wiatr dął mu prosto w twarz. Nappełnił płuca krystalicznie czystym powietrzem.

„Znowu w drodze” – pomyślał melancholijnie. „Od trzydziestu lat tłułem się po świecie jak kot z pęcherzem. Od ośmiu próbuję zebrać głupie kilkanaście tysięcy rubli, by solidnie i na poważnie zabrać się za badanie zjawiska antagonizmu pleśni i bakterii...”

Naszedł wieczór. Płynęli już przez Morze Białe. Słońce powoli opadało ku wodzie. Czerwona tarcza zetknęła się z horyzontem. Lekarz patrzył spokojnie, jak pogrąża się w falach.

– Czeka pan na zielony promień? – zapytała dziewczyna.

Nawet nie usłyszał, kiedy nadeszła.

– Tak. Widziałem go raz wiele lat temu. Ale nie miałem wielu okazji, by podziwiać takie zachody... – odpowiedział, nie odwracając się.

– Podobno ten, kto go ujrzy, staje się lepszym człowiekiem – powiedział Aleksander.

– To nikomu nie zaszkodzi – mruknął doktor. – Aczkolwiek... – zaczął i urwał.

„Czy jestem dobrym człowiekiem?” – zadumał się. „Albo raczej – czy jestem lepszym niż wcześniej?”

Słoneczna kula tonęła majestatycznie. Na niebie widniało kilka niewielkich chmurek, ale żadna nie przeszkadzała w obserwacji. Nad okrętem przemknął klucz ptaków. Tarcza wystawała jeszcze odrobinę. Małe obłoczki sunęły po niebie, ale były na tyle daleko, że w niczym nie utrudniały obserwacji. Wreszcie słońce zatoneło ostatecznie.

– Nie udało się – szepnął chłopak trochę zawiedziony.

– Służysz w marynarce. Będiesz miał jeszcze niejedną okazję – mruknął jego wuj, odwracając się.

Przez chwilę wydawało mu się, że oczy dziewczyny jarzą się zielenią, ale gdy zaintrygowany spojrzał raz jeszcze, były normalne, szarobłękitne.

„Znam tę twarz. Nawet chyba to uczesanie. Gdzieś już ją widziałem” – uparta myśl kołatała mu się po głowie. „Ale gdzie, u licha?”

*

Aleksander wszedł do kajuty z kartką w dłoni. Stał jak gdyby niezdecydowany, patrząc na toczący się pojedynek.

– Szach i mat – oświadczył Stadelman, przesuając wieżę. – Dziękuję wam, Aleksandro Mikołajewno.

Łesia dłuższą chwilę zastanawiała się nad szachownicą. Wreszcie wzruszyła ramionami i przewróciła swojego króla na znak, że się poddaje. Reszta amatorów gry królewskiej została już wcześniej doszczętnie rozgromiona. Doktor dostał mata już po ośmiu ruchach. Nawet nie zrobiło mu się przykro. Ałmaz walczył jak lew, ale i on w końcu uległ. Dziewczyna najdłużej stawiała opór.

– Policzymy się jeszcze – zagroziła żartobliwie, wkładając figury do pudełka.

– Kiedy tylko sobie życzycie. – Dawid uklonił się i dopiero teraz spojrzał pytająco na Aleksandra.

– Jest depesza – wyjaśnił chłopak. – Zszyfrowana... A na początku ich znak wywoławczy. Próbowałem wedle tamtego starego klucza... Niestety, nie udało się.

– Zmieniają kod co dwa lub trzy dni. Zaraz się za to zabiorę – westchnął matematyk. Zabrał kartkę pokrytą liczbami i pożegnawszy towarzystwo, powędrował do swojej kajuty.

– Służba – westchnął Ałmaz. – Parę godzin może mu zejść...

– Upiekłam struclę – odezwała się Łesia. – Mamy też dobre krymskie wino... Zjemy tutaj, a jemu... zanieść na talerzyku czy może raczej nie przeszkadzać?

– Załoga nie pije na morzu... – zauważył Ałmaz. – Od zarania dziejów panuje taka żelazna zasada, ale my chyba po kieliszku możemy... Jesteśmy pasażerami.

– Ja też już po służbie – uśmiechnął się Sandro. – Nasłuch radiowy przejął jeden z ludzi kapitana.

Strucla okazała się wyśmienita. Wino także. Wypili po kieliszku, potem po drugim. Ałmaz brzdąkał coś na bałajce, wodząc tęsknym wzrokiem za Łesią.

„Mają się ku sobie” – pomyślał leniwie Skórzewski. „Ten mój krewniak też mógłby poszukać sobie jakiejś dziewczyny. A ja... Ja też bym mógł. Do diabła ze wspomnieniami. Nie jestem jeszcze taki stary. Sześćdziesiąt jeden lat. Mógłbym poszukać jakiejś ładnej, miłej i bystrej czterdziestoletniej wdówki... Dzieci z tego nie musi być, w najmłodszym pokoleniu jest siedmioro Skórzewskich, ród nie zaginie... Ośmioro nawet, tylko tego gagatka trzeba najpierw repolonizować”.

Spojrzał na krewniaka i westchnął.

Wreszcie przyszła pora kłaść się spać. Doktor ruszył z Aleksandrem do kajut. Reszta miała kwatery w innej części statku.

– Ta dziewczyna... Kim jest? – zapytał doktor, gdy zostali sami.

– To znaczy? – Chłopak przechylił głowę. – Przecież wiesz. Zgadłeś. Aleksandra Bakszt. Podróżniczka, badaczka stref polarnych...

– Przestań bzdurzyć – huknął Skórzewski.

– No ale...

– Długo zastanawiałem się, skąd, u licha, ją znam. I wreszcie, gdy usłyszałem jej otczestwo, doznałem olśnienia.

– Czasem jakiś drobiazg człowieka oświeci – mruknął Sandro.

– Nie udawaj pijanego, bo cię zaraz docucę solami trzeźwiącymi! Powiedzmy, że jest ładną podobną do czterech dziewcząt regularnie portretowanych na rosyjskich patriotycznych pocztówkach. Ale kilka lat starsza od wielkiej księżnej Olgi.

Student westchnął.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– A, niekoniecznie. Gryzło mnie, dopóki nie zgadłem, teraz to bez znaczenia...

– Powiedzmy, że to podobieństwo, jeśli wierzyć plotkom, jest nieprzypadkowe. Carowie też miewają swoje wstydlive tajemnice i grzechy młodości. Podobno jej matka była ormiańską baletnicą albo gruzińską księżniczką, albo żydowską gorseciarką, albo polską gimnazjalistką... Ale co do ojcostwa plotki zawsze wskazują jedną osobę.

- Miłościwie nam panującego cara Mikołaja. Cóż, nikt sobie nie wybiera rodziców...
- Spojrzał koso na krewniaka.
- Ale sam wiesz, jaki jest stosunek do ludzi pochodzących z eee... nieprawego łoża. Jest wychowanicą wielkiego księcia Aleksandra – dodał chłopak. – Mózg ma nie od parady. Dlatego więc właśnie jej powierzył nadzór nad naszą misją. Ale... Ona pisze prace naukowe. Aleksandra Bakszt. Przedstawia się jako Łesia. Zamiatą za sobą ślady jak lisiczka ogonem... Im mniej ludzi zna jej pochodzenie, tym lepiej.
- Lepiej dla niej czy dla nich? – parsknął doktor. – Ta dynastia gnije od środka...
- Car jest dobrym człowiekiem.
- Za to jego bojarzy... – Skórzewski westchnął ciężko.

*

Byli w drodze już szósty dzień. Wyspa pojawiła się na horyzoncie niczym wielki wieloryb leżący wśród fal. Doktor wyjął z tubusu lunetę i przyjrzał się brzegom. Wysokie, ciemnoszare klify, kilka skalistych wzniesień...

– Wygląda straszliwie ponuro – mruknął do siebie po polsku. – Jeśli dobrze obliczam, te skalne ściany mają miejscami ze trzysta, czterysta metrów wysokości...

– W dodatku ciężko jest do niej podejść – odezwała się Łesia. – W wielu miejscach morze jest płytkie i usiane gigantycznymi złomami skalnymi. Przy złej pogodzie lądowanie jest w ogóle niemożliwe. Wszystkie okręty starają się wówczas uciec jak najdalej.

Nawet nie zauważył, kiedy podeszła. Stała na pokładzie, a wiatr szarpał kosmyki jej jasnych włosów.

„Pewnie dlatego nikt dotąd nie zagarnął wyspy na własność” – pomyślał. „Brak dobrego portu, więc nie ma jak zacumować okrętów wojennych. Zresztą jesteśmy z dala od szlaków żeglugowych... Bogactwa naturalne w nader umiarkowanych ilościach... Kolonizacja nieopłacalna. No i jeszcze problem najważniejszy, kto by chciał się tu osiedlić i pilnować tak niegościnnego kawałka skały”.

- Gdzie cumujemy? – zapytał pro forma.
- Prowizoryczna przystań jest w zatoce – wyjaśniła. – My jednak ulokujemy się przy zachodnim brzegu wyspy. Kapitan zna tam dobre miejsce. Taki jakby fiordzik zasłonięty od wiatru i co najważniejsze, lądem tylko dwa kilometry od miejsca, w którym, jak sądzimy, będą buszować Niemcy.
- Czy i oni nie zechcą tam cumować?
- Jakoś się wtedy pomieścimy. Albo się nie pomieścimy. – Uśmiechnęła się drwiąco.
- Wtedy będą musieli poszukać lepszego miejsca. A gdyby przypadkiem zechcieli wykurzyć nas siłą...
- Wiem, mamy dwie ukryte wyrzutnie torped – mruknął.

Popatrzyła na niego z uwagą.

– Można się tego domyślić po kształcie ładowni – wyjaśnił. – Sprytnie schowane.

– Mam nadzieję, że nie będą nam potrzebne.

– Podobnie jak zapewne wiele innych rzeczy, ukrytych na okręcie na wszelki wypadek. – Wzruszył ramionami.

Kapitan sterował z wielką wprawą. Minęli skalną iglicę, następnie wpłynęli w gardziel wąskiego, głębokiego fiordu. Wysokie skalne ściany ziały chłodem. Tu, na dole, było prawie ciemno – wąski pasek nieba wysoko nad głową przypominał błękitną wstążkę. Tu i ówdzie na skałach wisały jeszcze sopele. Słońce nie miało szans stopić lodu ukrytego tak głęboko...

– Fantastyczne miejsce, by schować nawet kilka małych kanonierek – mruknął Skórzewski.

– I tak, i nie – westchnęła dziewczyna. – Problem w tym, że nie da się tu wpłynąć, gdy morze jest wzburzone. A i wypłynąć nielekkko. Dziś mamy sporo szczęścia. Zimą spokojne dni liczy się nieomal na palcach.

Wreszcie wpłynęli do rozległej kaldery. Tu rzucili kotwice. Aż cztery. Łańcuchy rozwinęły się prawie do końca. Dno musiało być naprawdę głęboko.

– Też mi się tu nie podoba – mruknął Aleksander, stając obok krewniaka. – Gdyby niemiaszkom przyszło do głowy wleźć tam na górę i zasypać nas granatami... Mogliby niewielkim nakładem sił posłać nas na dno...

– Uhm – mruknął doktor Paweł. – Niemcy z granatami to zapewne te ekstraordynaryjne okoliczności, za które dostaniemy order? Tylko czemuś, gałganie, nie wspomniał, że to ma być odznaczenie pośmiertne?

– Ależ, wuju...

– Zastanawia mnie jeszcze jedna kwestia. Trochę to miejsce niedostępne... Jak będziemy badać wyspę? Szalupą naokoło?

– Trzeba będzie wspinać się na górę – powiedziała Łesia. – Oczywiście nie po pionowych skałach. Za załomem jest całkiem wygodny piarg, dostosowany trochę do celów komunikacyjnych.

– Trochę dostosowany – powtórzył. – Schodki? Kładki saperskie nad rozpadlinami?

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – To miejsce jest zaznaczone na tajnych mapach wojskowych jako kryjówka rezerwowa dla mniejszych jednostek floty. Gdyby trzeba było przeczekać gdzieś...

– Takie w miarę bezpieczne miejsce do sporadycznego wykorzystania – wyjaśnił Aleksander. – Carska flota ma wybranych kilkaset ustronnych kotwicowisk i naturalnych portów w różnych miejscach świata.

– Rozumiem – skinął głową doktor.

– Oczywiście to ściśle tajne, ale skoro został pan zaprzysiężony... – wzruszyła ramionami dziewczyna. – Po południu zorientujemy się, co i jak.

*

Podejście było faktycznie strome, jednak tu i ówdzie umieszczono lekkie, stalowe drabinki i liny poręczówki. Na szczęście nie było bardzo wysoko, około stu metrów nad lustrem wody żleb się kończył. Doktor wspiął się na szczyt, ciężko dysząc. Otarł pot z czoła.

– Zestarzałem się – mruknął.

– Co też pan – ofuknęła go Łesia. – Sześćdziesiąt lat to jeszcze żaden wiek. Chce pan kwadrans odpocząć?

– Chodźmy dalej.

Wspięli się na szczyt pobliskiego wzgórza. Stali obok siebie. Lekarz rozejrzał się wokoło. Wyspa leżała przed nimi. Obrócił się. Wokoło we wszystkich kierunkach aż po horyzont ciągnęło się bezkresne morze.

– Gdyby ktoś tu zamieszkał, byłby najsamotniejszym człowiekiem na Ziemi... – mruknęła dziewczyna.

– Czasem nachodzi mnie taka ochota – westchnął. – Zaszyć się gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc, siedzieć w fotelu przy kominku i czytać przez całe dni...

Wysokie przeważnie na kilkaset metrów klify obiegały ład wokoło. Tu i ówdzie splezające ku morzu lodowce wyłobiły wąwozy. Powierzchnia wyspy była prawie płaska. Tylko od południa wznosiło się pasmo skalistych wzgórz z jednym dominującym wzniesieniem, które kiedyś przezwano Górą Niedoli. Pośrodku woda deszczowa i topniejący śnieg utworzyły liczne jeziora i oczka wodne. Arktyczny wiatr hulał bez przeszkód, smagając bezlitośnie tę niegościnną ziemię.

W bardziej zacienionych miejscach na stokach śnieg nigdy nie topniał. Tam, gdzie w załomach zebrało się choć trochę próchnicy, bujnie rosły trawy i krzewinki. Rośliny starały się wykorzystać krótkie polarne lato. W zacisznych kotlinkach gniazdowały mewy i inne ptactwo. Krajobraz był niezwykle surowy, ale doktorowi spodobało się tu. Wiatr przewiewał na wskroś, morską bryza była przyjemna.

*

Czwarty dzień pobytu na Wyspie Niedźwiedziej włókł się jak flaki z olejem.

– Zwariuję – mruknął doktor. – Miesiąc tutaj to gorzej niż rok zesłania do Usola!

– Dlaczego? – Aleksander opuścił lunetę.

– Jestem człowiekiem czynu! Duszę się – wyjaśnił doktor. – Ptaki lubię głównie na talerzu w postaci potrawki, pasztetu lub w kartofelkach. Gęś Filaretowa zainteresowałaby mnie pieczona, nadziana jabłkami i śliwkami, jak każe tradycja, na świętego Marcina. Ewentualnie w postaci gęsiego smalcu.

– Rozumiem – westchnął Sandro. – Choć nie popieram zjadania ostatnich

egzemplarzy tak rzadkiego ptaka! Ale pomyśl, wuju, że z drugiej strony nic nie robisz, a rubelki na konto w banku wpływają regularnie co tydzień...

– Nie lubię brać pieniędzy za nic – droczył się Skórzewski.

– Może ktoś się rozchoruje czy coś... Albo zaczaiemy się i nogę komuś złamiemy – błaznował chłopak. – Albo otrujemy załogę... Albo...

– To już wolę się nudzić!

– Zobacz, wieloryby. – Student podał mu lunetę. – Na lewo od iglicy. To chyba humbaki.

Faktycznie, opodal wyspy przepływało kilka morskich olbrzymów. Doktor obserwował je przez chwilę. Z daleka nie wydawały się duże.

– Oto największe bogactwo mórz. Żywe zbiorniki doskonałego tranu. Każdy z nich to ratunek przed krzywicą i awitaminozą dla setek dzieci – mruknął.

– I skóra na pasy transmisyjne do wiejskich lokomobili – uzupełnił chłopak.

– W twoim wieku chyba ciekawszym zastosowaniem wielorybów są fiszbiny do dziewczęcych gorsetów. – Wuj dał mu sójkę w bok.

Chłopak zaczerwienił się.

– Płyną na północ, jak zawsze latem. Ciągną za ławicami kryla – bąknął, by pokryć zmieszanie.

I znowu zabrał się do badania ptasich stad.

– A może te cholerne gęsi Filaretowa wyglądają jak zwykle. Kolor upierzenia zmieniają wyłącznie w okresie godowym na kilka dni – wysnuł hipotezę Skórzewski. – Dlatego nie sposób ich znaleźć.

Jak do twojej pory nie widzieli ani jednej.

– Ta teoria ma aż dwa słabe punkty – westchnął Sandro. – Po pierwsze: nie zmieniają w kilka dni całego upierzenia. Po drugie: zwyczajnych gęsi też tu nie ma...

Zachręściły kamienie. Łesia i Ałmaz nadeszli, trzymając się za ręce. Dziewczyna miała na głowie wianek z owsa morskiego. Wiatr od morza rozwiewał jej piękne długie włosy i szarpał brzeg błękitnej sukienki.

„Jak księżniczka z bajki na wycieczce” – pomyślał pogodnie doktor. „I poniekąd nawet jest księżniczką. Tylko towarzyszący jej młodzieniec... khm...”

Ałmaz zdecydowanie nie wyglądał na księcia. Posturę i maniery miał nawet, nawet, ale twarz zdecydowanie chłopską.

– Koniec wolności – powiedziała dziewczyna. – Stadelman złamał depeszę radiową. Schwarzmüller meldował Berlinowi, że spodziewa się jutro o świcie dotrzeć na wyspę.

Skórzewski nagle poczuł dziwną przykrość. Do tej pory ten bezludny ostrów był do ich wyłącznej dyspozycji. Teraz pojawią się obcy... Przeciwnicy, konkurenci, ba, może nawet wrogowie... Przybędą łapać ptaki... Albo i z gorszymi zamiarami.

Obaj Skórzewscy jeszcze przed świtem zajęli stanowisko na wzgórzu. Wśród głazów i krzaków, ubrani w zielonkawe bluzy, byli praktycznie niewidoczni. Swój punkt obserwacyjny dodatkowo zamaskowali kilkoma wiechciami zrudziałej trawy. Przed nimi rozciągał się cyrk lodowcowy: gigantyczne, wachlarzowate usypisko głazów zarośnięte niskopiennymi krzewami.

Aleksander spokojnie naszykował lornetkę i większą lunetę. Na końcu obiektywów założył skórzane osłony, by promienie słońca nie spowodowały przypadkowego refleksu. Niemcy krzatali się po pokładzie statku.

– Nie spieszy im się – mruknął Sandro. – Nie widać też śladu typowo niemieckiego porządku i organizacji... Nie wiem, czy dziś...

– Spuszczają szalupę – doktor przerwał rozważania krewniaka. – Siedmiu wsiadło do łódki. Jest wśród nich profesor Schwarzmüller. Mają sieci na ptaki i klatki z drutu.

– Zapewne zechcą część sprzętu ulokować gdzieś na usypisku, by nie wracać co chwila na pokład – mruknął student.

– Nie lubisz ich... Nie podoba ci się, że w ogóle tu myszkują – zauważył lekarz.

– Obawiam się. Jestem elewem wojskowej uczelni. To moi przyszli przeciwnicy. Najbliższe lata przyniosą nam wojnę – powiedział poważnie Aleksander. – Prusy rozbudowują armię i flotę. Prowadzą eksperymenty z bronią gazową. Austro-Węgry pragną opanowania Bałkanów. Rosja oczywiście też ma swoje interesy. I sojusz z Francją. Ale prawdziwy powód nieuchronności konfliktu jest inny.

– Co masz na myśli? – zainteresował się lekarz.

– Gospodarkę. Reformy nieodżałowanej pamięci Piotra Stołypina spowodowały niebывały rozwój.

– To prawda. Ja podwoilem wtedy zarobki. Podróżując po Rosji od lat, widzę też zmiany. Na Syberii nowe linie kolejowe, dziesiątki parowców na wielkich syberyjskich rzekach, ukraińskie wsie i farmy na południe od Bajkału. Coraz więcej kolonistów jedzie tam dobrowolnie. Biorą rządową ziemię, zakładają tartaki, manufaktury, kopalnie...

– Wedle belgijskich analityków do tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku Rosja zdominuje gospodarczo resztę kontynentu. Do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku produkcja przemysłowa Rosji będzie równa produkcji reszty świata.

– Uwierzę, jak zobaczę – uśmiechnął się doktor. – Ale masz rację. Rozkwit gospodarczy ostatnich siedmiu lat jest bezprecedensowy. I my, Polacy, mamy w tym znaczny udział. Gdzie nie spojrzysz, widzisz polskich lekarzy, przemysłowców, inżynierów. Czekoladę Wedla kupisz dziś w Irkucku, perfumy Fryderyka Pulsa widziałem we Władywostoku. Ołówki Majewskiego. Aspiryna Spiessa jest chętniej kupowana niż niemiecka. Sam przepisuję kilkadziesiąt polskich leków. Polskie towary cieszą się powszechnym uznaniem nawet w Irkucku. Zresztą w kambuzie też stoi skrzynka piwa Habermusch i Schiele z Warszawy.

– Dlatego właśnie wybuchnie wojna – młody wrócił do tematu. – Rosja staje się zbyt potężna. Z pewnością zechcą ją ugodzić od zewnątrz albo i od środka.

– Przesadzasz...

Niemcy wylądowali na brzegu. Wylądowywali sprzęt.

– Będą przeszukiwali te piargi najwyżej kilka dni – zauważył Aleksander.

– Skąd wiesz?

– Gdyby planowali coś dłuższego, to przycumowaliby pływający pomost.

– To ty jesteś fachowcem od spraw morskich – uśmiechnął się doktor.

Ałmaz podkradł się cicho i położył obok.

– Na razie nie robią nic podejrzanego – powiedział jakby z rozczarowaniem. – Myślałem, że wyciągną świdry lub inny sprzęt górniczy i faktycznie zabiorą się za poszukiwania minerałów, ale jakoś nie widać, by mieli taki zamiar.

W południe Łesia przyniosła im wiklinowy kosz z obiadem. Siedzieli na płacie rachitycznej trawy wokół białego płóciennego obrusa. Jedli zupę rybną z porcelanowych misek. Na półmisku piętrzyło się piecyste. Co jakiś czas ostrożnie rzucali okiem na cyrk lodowcowy.

– Jak na pikniku – westchnął doktor. – Brak nam tylko samowara...

Herbatę dziewczyna przyniosła w termosach. Po obiedzie pozbierała wszystko do kosza i poszła na statek. Mężczyźni wrócili do obserwacji. Niemcy skończyli punktualnie o szesnastej.

– Przejdziemy się w dół doliny? – zaproponował Aleksander. – Obejrzymy sobie dokładnie, co tam robili.

– Przejść się możemy, ale co będzie, jeśli nas zauważą?

– Oni są tu legalnie i my jesteśmy legalnie – uśmiechnął się Ałmaz. – Weźmiemy dubeltówki. Pewnie nikogo nie zostawili na straży, bo i po co. Ale jakby co, nie wiemy o ich badaniach, nie chcieliśmy przeszkadzać, a poszliśmy sobie zapolować...

– Na mewy? – zakpił Paweł.

Schodzili ostrożnie. Wśród głazów i osypisk nie było żadnej ścieżki. Kamienie często chwiały im się pod stopami. Kolczaste gałęzie czepiały się nogawek. Niebawem zeszli w tę część doliny, gdzie wcześniej buszowali Niemcy. Mimo iż starali się poruszać cicho i ostrożnie, co chwila z gniazd podrywały się ptaki.

Choć obaj rozglądali się na wszystkie strony, nadal nie spostrzegli ani jednej gęsi Filaretowa. Niemcy przygotowali się bardzo metodycznie. Wyżej na stoku rozłożyli kilkaset pętli z cienkiej linki. Niżej wbili słupki i naciągnęli między nimi cienkie sieci.

– Fiu, fiu – gwizdnął Skórzewski. – Dobrze dziesięć hektarów pokryli pułapkami...

– Pracowity narodek – skrzywił się jego krewniak.

Kurier wyjął aparat fotograficzny i zręcznie wymieniając kasety, strzelił kilka zdjęć. W sieciach rozpiętych między palikami miotało się już sporo złapanego ptasiego drobiazgu. Chłopak w pierwszym odruchu uwolnił kilka ptaków, ale zaraz palnął się w

czoło.

– Diabła tam. – Westchnął. – Zauważą, że ktoś im buszował.

– Nic tu chyba po nas, wracajmy – zaproponował lekarz.

Ruszyli pod górę.

– Jutro poobserwujemy dalej – powiedział Ałmaz. – Ciekawe, swoją drogą, czy uda im się cokolwiek schwytać...

– Gęsi Filaretowa w każdym razie tu bywają. – Sandro pochylił się i podniósł z ziemi czarno-pomarańczowe pióro. Przydałoby się dowiedzieć, o czym niemiaszki gadają...

– Jutro przed świtem zejść tu i ukryć się w pobliżu sieci – zaproponował kurier. – Może zobaczę i usłyszę coś użytecznego.

– Ciężko będzie... – zaczął lekarz. – Krzaki do kolan najwyżej.

– Poradzę sobie.

*

Kolejny dzień był jeszcze nudniejszy. Niemcy spokojnie robili swoje. Przyszli rano, obejrzeni ptaszki miotające się w sieciach i uwolnili je. Potem robili to, co poprzedniego dnia. Sprawdzali pętle, rozkładali nowe, sypali coś z woreczków, zapewne przynętę...

Łesia przyniosła obserwatorom bliny na drugie śniadanie, potem kolejny pyszny obiadek.

„Zabranie jej akurat po to, żeby nam gotowała, było strzałem w dziesiątkę” – pomyślał leniwie Skórzewski. „A przecież wiem, że nie po to tu jest...”

I znów punktualnie o szesnastej Niemcy skończyli. Pozbierali tyczki, złożyli w jednym miejscu, a potem poszli do szalupy i pożeglowali na okręt nadal stojący na kotwiczowisku.

– Wydaje mi się, że i dziś niczego nie złapali – mruknął student, odkładając lornetkę.

– Naszego zwiadowcy na szczęście też nie. – Jego wuj zrobił kilka pompek, by rozruszać zastale mięśnie.

Ałmaz pojawił się między nimi jak duch.

– Przyczaiłem się w miarę blisko miejsca, gdzie zwalili sprzęt – pochwalił się. – Profesor marudził, że są zbyt późno, że trzeba było dotrzeć kilka dni wcześniej, gdy gęsi siedzą jeszcze na jajkach, i wybrać je z gniazd. Niestety, to wszystko, co sensownego usłyszałem.



- Szukali czegoś konkretnego?
- Nazbierali trochę piór. Jeden z nich mówił, że do analizy chemicznej potrzeba ich znacznie więcej. Planują jutro sprawdzić pętle, które rozłożyli we wschodniej części cyrku. Nie tracą nadziei, że złapią choć kilka osobników.
- Tych gęsi tu przecież nie ma! – zirytował się Aleksander. – Wychowały pisklęta i odleciały cholera wie dokąd...
- Hmm... A może są? – zadumał się doktor. – Bo piór zebrałem już ze cztery...
- No niby jakim cudem? Przecież to wielkie ptaszyska i umaszczone tak, że wypatrzylibyśmy je w pięć minut.
- On ma rację – przyszedł mu w sukurs Almaz. – Są bardzo charakterystyczne. Nie

ukryją się wśród mew i innego ptactwa.

– Zdecydowana większość ptaków w Arktyce jest biała, szara lub biało-czarna – rozważał. – To barwy maskujące kolor skał i brudnego śniegu. Gęsi Filaretowa wyglądają, jakby ktoś upstrzył kawał węgla skórkami pomarańczy. Każdy drapieżnik wypatrzy je z odległości kilometra. Powinny dawno temu wyginąć...

– Może ocalały tu, bo na Wyspie Niedźwiedziej jest niewiele drapieżników? – zasugerował Sandro.

– Sama nazwa wskazuje, że bywają tu niedźwiedzie polarne. A to paskudne, wszystkożerne bydlaki. A jeśli gęsi po prostu pędzą nocny tryb życia? – rzucił hipotezę lekarz. – Jeśli przesypiają dnie na gniazdach ukrytych w rozpadlinach skalnych i wychodzą nocą?

– Żadna gęś się tak nie zachowuje – powiedział ostrożnie kurier. – Ale w tym, co mówicie, jest chyba sens... Być może Niemcy sądzą dokładnie tak samo, bo chyba liczą na pochwylenie tych ptaków.

– Zastanawia mnie ta analiza chemiczna piór – odezwał się Sandro. – Ciekawe, po co im to? Przecież nie do budowy samolotów.

– Może chodzi o kolor? – zasugerował jego wuj. – Na przykład sądzą, że uda się uzyskać dobrej jakości pomarańczowy barwnik. Ale masz rację, to trochę bez sensu... Zejdziemy na dół? Czy nie ma potrzeby?

– Chodźmy. – Kurier podniósł się z miejsca. – Śledziłem ich z jednego punktu, trzeba uzupełnić dziennik obserwacji...

Ruszyli i niebawem znaleźli się w miejscu, gdzie Niemcy buszowali tego dnia. Aleksander, uzbrojony w lunetę, obserwował okręt. Doktor i Ałmaz oglądali słupki, siatki i inne pułapki na ptactwo.

– To samo co wczoraj – westchnął Skórzewski zawiedziony.

– Skończą tu i zapewne przeniosą się w inną część wyspy – dumiał jego towarzysz. – Ale jednego jestem niemal pewien. Faktycznie przybyli tu badać te cholerne gęsi. Reszta wyspy kompletnie ich nie interesuje... Nie widzieliśmy też, by zbierali kamienie, to chyba ciekawe. Jakaś ruda miedzi albo coś podobnego. – Podniósł kawałek zielonkawej skały.

– Wygląda na lazuryt – mruknął lekarz.

Jedna z pętli, leżąca opodal, tańczyła po kamieniach. Doktor w pierwszej chwili zignorował to, ale nieoczekiwanie zamarł i przyjrzał jej się uważniej.

– Co jest, do diabła? – szepnął. – Przecież nie ma wiatru!

Podeszli we trójkę bliżej. Pętla szarpała się, jakby targało nią spore zwierzę. Sznur naprężył się kilka razy. I nagle znieruchomiała. Patrzyli zdumieni. W pobliżu pętli najpierw pojawiła się chmura przejrzystych pomarańczowych plamek. Potem wokół nich rozlały się szare cętki. Wreszcie jakby z powietrza zmaterializowały się dziób i łapy. W ciągu kilku kolejnych minut trzej zwiadowcy mieli przed sobą kompletny okaz.

Ptak nie żył. Pętla udusiła go.

– Gęś Filaretowa – szepnęła Aleksander. – Czy to znaczy, że...

– Tak – wyszeptał Skórzewski. – Te ptaki są niewidzialne. Dopiero martwe tracą tę właściwość.

– Więc o to chodziło Schwarzmüllerowi – mruknął Ałmaz. – Ratujmy ją szybko!

Rozluźnili stryczek, doktor zastosował masaż serca, a kurier z poświęceniem, dmuchając w dziób, podjął próbę sztucznego oddychania. Niestety, bez skutku. Ptak był definitywnie martwy.

– Co robimy? – zapytał Sandro.

– Zabieramy!

Ruszyli śpiesznie na swój statek.

– Ale jak to możliwe!? – mamrotał student.

– Wiemy o istnieniu barw widma słonecznego, których nie dostrzegamy. Ultrafiolet, podczerwień... Ludzkie oko nie dostrzega też promieni Roentgena, fal radiowych, promieniowania uranu... – rozważał jego wuj.

– A zatem...

– Niemcom zależy na schwytaniu żywego okazu – warknął Ałmaz. – Zapewne liczą, że uda im się wyodrębnić z organizmów ptaków czynnik, który zapewnia im...

– Niewidzialność! – dokończył chłopak.

– Jeśli im się to uda – cedził Skórzewski przez zęby – możliwości są niewyobrażalne. Ktoś taki wlezie wam do koszar z bombą pod pachą. Pchnie cara nożem w wychodku. Stanie grzecznie w kąci i podsłucha naradę sztabu generalnego...

*

Łesia i Stadelman wysłuchali relacji, wytrzeszczając szeroko oczy.

– Doktorze, jest pan geniuszem! – szepnęła dziewczyna.

– Proszę nie gadać głupot. Zauważyłem to zupełnie przypadkiem. Gdybym był geniuszem, odgadłbym to o wiele wcześniej... pani Aleksandro – odezwał się. – Z tego, co zrozumiałem, jest pani nieformalnym dowódcą naszej misji.

– Tak.

Spodziewał się, że zacznie kluczyć, może coś błyskotliwie zełga, a tymczasem przyznała się natychmiast i bez cienia zażenowania.

– Sytuacja, w której się znaleźliśmy, jest trudna... – zaczął. – Grozi nam realne niebezpieczeństwo...

– Że państwo wrogie i potencjalnie niebezpieczne przechwyci unikalną technologię, pozwalającą w razie wojny przechylić szalę zwycięstwa na niekorzyść Rosji – dokończyła.

– Wyspa Niedźwiedzia prawdopodobnie nie jest jedynym obszarem, na którym lęgną

się gęsi Filaretowa. Niemniej jest to jedyne znane miejsce ich gniazdowania. Nie wiem, jaki czynnik zapewnia gęsiom niewidzialność, jednak w kilka minut po śmierci ulega rozkładowi. Eksperymenty na martwych osobnikach prawdopodobnie prowadzone są od dawna, ale jak dotąd nic Niemcom nie dały.

– Dlatego starają się pochwycić żywe okazy... – uzupełniła. – Czy ich badanie może dać efekty?

– Nie wiem – pokręcił głową Skórzewski. – Wydaje mi się, że ich badania trwają od lat i są poważnie zaawansowane. Brakuje im jednak jakiegoś dopełnienia. Ostatniego trybiku w mechanizmie. Kamyczka, który sprawi, że mozaika nagle ujawni ukryty wzór.

– Co zatem robić? – zapytał Ałmaz.

– Proponuję wytruć wszystkie ptaki. Należałoby także, niestety, dokonać likwidacji całej niemieckiej ekspedycji – powiedział twardo lekarz.

Obecni pobledli.

– Dysponujemy odpowiednią liczbą rewolwerów nagant, karabinami dla strzelców wyborowych oraz materiałami wybuchowymi, w tym dwiema wyrzutniami torped, zamaskowanymi poniżej linii zanurzenia... – powiedziała spokojnie Łesia. – Uważam jednak, że byłoby to działanie niegodne i niehonorowe. Niezależnie od intencji zespołu Schwarzmüllera przebywają na tym terenie za zgodą mojego ojca.

Lekarz drgnął.

„Fantastyczne podejrzenie, które nagle zostało potwierdzone... Ona faktycznie jest córką cara” – pomyślał.

– Niehonorowo. – Smakował to słowo. – Ale co zrobimy, jeśli ich łowy zakończyły się już sukcesem?

– Nasz człowiek niczego nie meldował – odezwał się Stadelman. – Wczorajsza depeza została przechwycona przeze mnie i rozszyfrowana. Niemcy informowali Berlin o chwilowym fiasku i konieczności dalszych poszukiwań na wyspie.

– Nie będziemy nikogo zabijać – warknęła dziewczyna.

– Nie nalegam – mruknął z ulgą Skórzewski.

– Co do otrucia ptaków... Mamy cyjanek, około dwu kilogramów. Co jedzą dzikie gęsi? – zapytała.

– A cholera je wie. Moja babka hodowała tylko kury. Zapytajcie mnie o kapłonienie kogutów, ale gęsi? Widywałem je tylko pieczone...

Pozostali tylko rozłożyli bezradnie ręce. Nikt nie wiedział.

– Rozpuścić cyjanek w wodzie – myślał głośno lekarz. – Gdyby mieć motopompę i sikawkę strażacką, można by sprokurować trujący deszcz... Nie, to na nic... Trzeba nadać depezę do księcia, niech przyśle nam... sam nie wiem. Potrzebujemy czegoś radykalnego. Miotaczy ognia... nie, ptaki odfruną. Moździerza, szrapneli... Albo gdyby jakimś trującym gazem...

– Mamy moździerze – mruknął cicho Ałmaz.
– Co proszę!? – wytrzeszczył oczy doktor.
– Moździerze. Takie lekkie. Mamy do nich pociski zapalające i odłamkowe. Widzieliście, ile tam suchych krzaków i wyschniętych traw... W kilka minut wywołamy pożogę. Potem ostrzelamy odłamkowymi, by zabić wszystkie ptaki, które spróbują wzbić się w powietrze. Ponadto dysponujemy jeszcze skrzynką szklanych kapsuł wypełnionych ciekłym chlorem.

Skórzewski otarł pot z czoła. Wiedział, że mówią absolutnie śmiertelnie poważnie...

– Czy każdy statek pozostający na usługach księcia jest tak wyposażony?

Dziewczyna uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi.

*

Niebo już pojaśniało, ale do świtu została co najmniej godzina. Ptaki spały. Marynarze szybko rozstawili moździerze. Poukładali na podporządku pociski. Ustalili strefy ostrzału i kąty położenia luf.

– Zatem do dzieła – westchnął Ałmaz.

Wrzucili granaty w lufy. Nim pierwsze spadły na ziemię, ku dolinie leciała już czwarta salwa... Głuchy huk wybuchów przetoczył się nad wyspą. Na niemieckim okręcie wybuchła panika. Członkowie pruskiej ekspedycji wylegli na pokład, ale widząc, że nie są atakowani, podnieśli tylko kotwicę i odpłynęli dalej w morze.

Rosjanie strzelali raz za razem. Wreszcie dłoń doktora namacała drewno na dnie skrzynki. Ałmaz posłał jeszcze dziesięć pocisków gazowych.

– Żeby niczego nie zaniedbać – mruknął.

Cyrk lodowcowy gorzał jak wewnątrz pieca. Paliły się krzaki, płonęły łany traw. Wiatr od morza podsyczał płomienie. Ptaki, które zdołały się poderwać po pierwszym ostrzale, zginęły od odłamków lub uległy zatruciu.

– Hekatomba – mruknął Skórzewski. – Do tego likwidacja być może ostatnich egzemplarzy endemicznego gatunku...

– Lepiej poświęcić ptaki niż ludzi – powiedziała cicho Łesia. – A tak jest remis. Nie mają oni, nie mamy my.

– Nie wiemy, na ile nasze działania były skuteczne! Arktyka jest ogromna. Być może gęsi Filaretowa gniazdują jeszcze w wielu miejscach. Także na tej wyspie. Niemcy mogą poświęcić lata bądź dziesięciolecia na poszukiwanie innych osobników.

– Alternatywą jest wysadzenie ich statku i wystrzelanie wszystkich członków załogi, którzy przeżyją wybuch. Jest pan gotów wziąć udział w takiej jatce? – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Milczał.

– Sam pan zasugerował.

– Wiem – westchnął.

„Parszywy dylemat” – pomyślał. „Czy w tym przypadku cel może uświęcać środki? Nie wypowiedzieli jeszcze wojny Rosji. A dla Polski? Czy umiałbym...?”

I nagle zrozumiał, że dziewczyna czeka na odpowiedź. Milczał. Uśmiechnęła się na poły drwiąco, na poły przyjaźnie.

– Pozabijałby ich pan – powiedziała nieoczekiwanie. – Gdyby zdołał pan sam przed sobą to usprawiedliwić. Ale pan nie potrafi. Ja też nie. Więc niech zostanie, jak jest. Za godzinę zejdziemy sprawdzić, jakie skutki przyniósł nasz ostrzał.

Doktor położył głowę na płaskim kamieniu i przymknął powieki. O świcie zeszli w dolinę. Miejsce ataku przedstawiało obraz nędzy i rozpacz. Ptaki leżały wszędzie jak bezkształtne kupki spalonego pierza.

„Gęś Filaretowa przeszła do historii” – pomyślał z melancholią Skórzewski. „Dołączyła do długiej listy gatunków wymarłych. Jestem za to współodpowiedzialny... Czy to faktycznie było konieczne? Może tak, a może nie...”

Podniósł z ziemi dwa nadpalone pomarańczowo-czarne pióra i umieścił w raportówce. Za kilka, kilkanaście lat kolekcjonerzy dadzą za to niezły pieniądz...

– Nad czym tak dumasz? – zapytał krewniak.

– Nad przyszłą wojną – westchnął doktor. – Niemcy już czterdzieści lat temu podczas ataku na Alzację Francuską prowadzili pierwsze eksperymenty z bronią chemiczną. Spójrz dookoła. Jeśli dojdzie do starcia, może ono wyglądać właśnie tak.

– Miotacze ognia? Gaz?

– Albo coś innego. Śmierć, która uderzy nagle, niespodziewanie. Śmierć, przed którą nie da się uciec, której nie odeprzemy mimo dokonania cudów odwagi... – Wzdrygnął się.

– Misja zakończona – powiedziała dziewczyna. – Dziękuję wszystkim za wysiłki. Szczególnie panu, doktorze.

– Jaka w tym moja zasługa? – Wzruszył ramionami.

– Wracajmy na statek – zasugerował Sandro. – Mam ochotę czegoś się napić...

Ałmaz bez słowa wskazał okręt Niemców. Ujęli lornetki. Lekarz zauważył, że od burty statku odbijają dwie szalupy pełne ludzi. Podeszły blisko lądu.

– Chcą sami sprawdzić, czy cokolwiek ocalało – wysunął hipotezę kurier.

– Pospieszmy się – powiedziała Łesia. – Zagraliśmy im na nosie straszliwie. Każdy ma swoją wytrzymałość. Boję się, żeby nie wycięli nam jakiegoś paskudnego psikusa. W południe wychodzimy w morze – dodała po chwili. – O ile nie zajdą jakieś okoliczności, które nam to uniemożliwią...

*

Ryk syreny okrętowej wzbudził pomiędzy skalnymi ścianami fiordu tysiące ech.

Kapitan stanął w drzwiach laboratorium.

– Co się stało? – Doktor uniósł się znad patroszonego zewłoku ptaka.

– Niemcy w fiordzie – rzucił oficer. – Uzbijam torpedy, robimy korektę ustawienia.

Czy wysunąć karabiny?

– Tak – polecił Ałmaz. – Załoga gotowa?

– Tak.

– Dwóch ludzi proszę wysłać na górę, niech zajmą stanowiska na krawędzi urwiska.

Nie zapomnijcie o granatach.

– Za późno. Nie zdążą dotrzeć. Jest tylko ten przy wyjściu na płaskowyż.

– Przygotujcie się. – Dziewczyna stanęła w drzwiach.

Przy pasie dyndała jej kabura z okazałym rewolwerem. Identyczne wręczyła mężczyznom. Doktor poczuł nagle strużkę potu na plecach. Wyjrzeni ostrożnie na pokład. Karabin był już wysunięty, nakrywała go plandeka. Ałmaz, nisko schylony, podbiegł i zanurkował pod płachtę. Przyczał się z palcami na spustach.

Niemiecki parostatek, pyrkając leniwie z dwu kominów, posuwał się wolno między skalnymi ścianami. Wreszcie ustawił się na wprost nich.

– Uzbrojenia na tamtej jednostce nie widać – zameldował kapitan. – Nasze torpedy gotowe. Aleksander odpali...

Teraz dopiero doktor spostrzegł, że krewniak gdzieś zniknął. Niemcy na swojej jednostce ustawili się w elegancki szereg. Nie mieli karabinów.

– Czego oni, u diabła, chcą? – mruknął. – Sterczą jak na defiladzie. Coś zasłaniają?

– Przyplłynęli nas zabić. Albo pogadać. Albo skłąć lub złożyć gratulacje. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Spokojnie, zaraz wszystkiego się dowiemy, i to ze szczegółami.

Zahurkotały łańcuchy. Przeciwnicy rzucali kotwice. Niemiecki marynarz stanął na dziobie z chorągiewkami sygnałowymi. Nadał zręcznie kilka znaków.

– Proszą o przyjęcie delegacji – wyjaśnił kapitan.

– Zezwolić.

Stadelman nadał odpowiedź. Zaraz też wrogi okręt spuścił na wodę jedną z szalup.

– Też są uzbrojeni – mruknął kapitan. – To na dziobie to nie jest armatka wielorybnicza... Aleksander ma czekać na rozkaz?

– Będzie reagować wedle własnego rozeznania, adekwatnie do zagrożenia – wyjaśniła dziewczyna. – Widzi przecież, co się dzieje...

Szalupa zbliżyła się. Dwaj marynarze wiosłowali. Starszy mężczyzna z białą kozią bródką sterował zręcznie... Dobili do burty. Uczony Niemiec wdrapał się sprawnie na pokład.

– Profesor Otto Schwarzmüller. – Ukłonił się głęboko przed dziewczyną.

– Aleksandra Mikołajewna Bakszt. – Podała mu dłoń do ucałowania. – Jestem zaszczycona, mogąc gościć na pokładzie mojego okrętu tak znakomitego uczonego.

– To ja jestem zaszczycony, mogąc osobiście poznać nieustraszoną podróżniczkę i badaczkę sfer polarnych. – Profesor ukłonił się ponownie, choć w jego oczach zimno płonęły ogniki mordy.

– Czemu zawdzięczam tak miłą wizytę? – zapytała dziewczyna.

– Głęboko zdumiało mnie i zasmuciło to, co obserwowałem dziś rankiem na brzegu wyspy. Moje skromne badania naukowe prowadzone od kilku dni nagle musiały ulec przerwaniu, i to w nader dramatycznych okolicznościach! Zechce pani wyjaśnić, jaki był cel tego bezprecedensowego ataku artyleryjskiego...

– Oczywiście. – Skłoniła głowę. – Zespół badawczy, którym kieruję, dokonał wczoraj wieczorem arcyniebezpiecznego odkrycia. Mianowicie w dolinie, której fauna nas także zaintrygowała, znaleźliśmy szalenie groźnego pasożyta. Ale to może lepiej zreferuje światowej sławy epidemiolog, doktor Paweł Skórzewski.

Lekarz przełknął ślinę. Ale nie dał się zaskoczyć.

– Na ciele odłowionych przez nas ptaków odnaleźliśmy eee... nieznaną dotąd nauce krzyżówkę pchły ptasiej z pchłą ludzką – zełgał gładko. – Znaczny odsetek ptaków choruje co roku na ptasią dżumę oraz inne choroby. Dotąd Wyspa Niedźwiedzia była dobrze izolowana od innych lądów, jednak ostatnimi czasy rośnie liczba przybywających tu badaczy. Dlatego też bardzo nas zaniepokoiła możliwość przeniesienia zarazy na ludzi i w razie zawleczenia na ląd stały, wybuchu pandemii, która pochłonęłaby miliony ofiar. Dlatego po burzliwej naradzie zdecydowaliśmy się dokonać ataku, który pozbawił wprawdzie życia tysiące naszych pierzastych przyjaciół, ale wsparty pozągą pozwolił też wygrać ważną bitwę w nieustannej wojnie o zdrowie ludzkości.

– Wybaczcie zatem moje paskudne podejrzenia. Wasze działania przynoszą wam chlubę. – Niemiec ukłonił się ponownie. – Uniknięcie milionów zachorowań to cel niewątpliwie niezwykle szlachetny. Zwłaszcza jeśli ofiarą mieliby paść członkowie naszych narodów... – Jego twarz przybrała wyraz fałszywej troski. – Swoją drogą, zawsze wozicie ze sobą takie ilości pocisków zapalających? – Zmrużył złośliwie oczy.

– Doświadczenie uczy, że podczas ekspedycji naukowej trzeba być przygotowanym na różne ewentualności. Dlatego zawsze zabieram ze sobą rozmaity sprzęt, ile tylko ładownia pomieści – ucięła dziewczyna. – Wprawdzie wody tutejsze wolne są od plagi piractwa, ale czasem mają miejsce drobne zatargi z Kanadyjczykami i Duńczykami... Te smutne przypadki wymuszają przedsięwzięcie pewnych środków ostrożności.

Niemiec spojrział z ukosa na karabin, ciągle nakryty plandeką. Chyba się czegoś domyślał.

– Podziwiam pani przezorność. – Ukłonił się raz jeszcze. – Gdyby odwiedziła pani kiedyś Berlin, zapraszam do rewizyty. Zacumować można w kanale obok Wyspy Muzeów. Kolekcje przyrodnicze znajdują się wprawdzie...

– Dziękuję, adres oczywiście znam – przerwała uprzejmie.

Naukowiec wręczył dziewczynie swoją wizytówkę. Pożegnanie było równie nieszczerze serdeczne, jak cała rozmowa. Kilka minut później zabuczała syrena. Niemiecki okręt wykonał zwrot w ciasnym fiordzie i oddalił się.

– Minę miał, jakby ktoś na niego spluwaczkę wylał – westchnął kapitan. – Czuję w kościach, że tak tej sprawy nie zostawi...

– Być może zechce się odegrać – wzruszyła ramionami Łesia. – Ale nic na to nie poradzimy. Szykujmy się do powrotu.

*

Statek pruł fale Morza Barentsa. Niebawem mieli osiągnąć Murmańsk. Prawie wszyscy zebrali się na pokładzie. Skórzewski stał i w zadumie patrzył, jak dziób przecina fale. Stadelman wyszedł ze swojej kajuty.

– Rozszyfrowałem ich najnowszą depezę – powiedział.

– Co piszą? – zainteresował się Ałmaz.

– Najpierw dowie się doktor. – Matematyk wyszczerzył zęby. – Proszę, to głównie pański sukces...

Doktor ujął w dłoń świstek papieru.

– *Misja zakończona niepowodzeniem. Domniemane miejsce gniazdowania zniszczone przez konkurencyjną wyprawę ruskich. Prowadzimy badania na znalezionych piórach. Jak dotąd bezskutecznie* – odczytał na głos.

– Czyli udało się – powiedziała Łesia. – Podstawiliśmy im nogę. I to głównie dzięki panu, doktorze.

Podziękował za gratulacje skinięciem głowy.

„Kto wie, może uratowałem świat przed Prusakami” – pomyślał, składając papier. „Choć z drugiej strony... Wojna, w której rzuca się do walki masy ludzi, to jedna wielka rzeźnia. Może bardziej humanitarnie jest przeniknąć na tyły i wymordować tylko sztab? Może niepotrzebnie się w to wplątałem... Niemcy wadzą się z Rosjanami. Jeśli wybuchnie konflikt, Polacy staną naprzeciw siebie w mundurach obcych armii. Ktoś pewnie wygra. Pozostaje pytanie o cenę tego zwycięstwa”.

– Myślę, że za taki wyczyn car przyzna jakiś order... – odezwał się kurier. – Trzeba sporządzić raport, zaszyfrować i wysłać do admiralicji...

Skórzewski wzruszył ramionami.

– Order? Na co mi to? Jestem Polakiem – powiedział cicho, patrząc na wzburzone fale.

Tego, że zamiast orderów czeka ich aresztowanie, nie spodziewał się nikt.

Sankt Petersburg, lato 1913

Kończyli już poranną owsiankę. Więzienne śniadanie było wyjątkowo obrzydliwe.

Nieoczekiwanie huknęły rygle. Zgrzytnęły stuletnie zawiasy.

– Z rzeczami – poleciał strażnik.

Na korytarzu stało sześciu konwojentów. Więźniów poprowadzono labiryntem podziemnych korytarzy do niewielkiej sali, w której dawniej odbywały się posiedzenia sądu. Stanęli obok Łesi i Ałmaza. Zaraz też przyproawdzono Stadelmana. Strażnicy ustawili się za ich plecami.

– Nie porozumiewać się – warknął jakiś wyższej rangi oficer.

Dwugłowy orzeł patrzył ze ściany. Aleksander pobladał nieco. Łesia też sprawiała wrażenie przestraszonej.

„Popełniliśmy błąd czy nie?” – dumiał Skórzewski. „Ale przecież nie mogliśmy postąpić inaczej... Paragrafy? Zwierzobójstwo? Diabła tam, na to nie ma mocnych paragrafów. Coś naciągną... Weźmie się dobrego adwokata i mogą się w ucho ugryźć. Tylko czemu nas tu zgonili? Zarzuty przedstawić? Chyba że sąd wojskowy wydał już wyrok in absentia... Jaki wyrok? Katorga czy może tylko zsyłka? Tiurma? A może w zawieszeniu? Nie byliśmy wcześniej karani...”

Wreszcie wkroczył prokurator. Z namaszczeniem wszedł za stół, rozłożył na suknie papiery, ale nawet nie siadał.

– Na mocy aktu ułaskawienia, podpisanego przez Najjaśniejszego Pana, wasza sprawa została oddalona bez konieczności rozpatrzenia – oświadczył. – Jego Wysokość po naradzie z oficerami admiralicji uznał, iż działania wasze doprowadziły wprawdzie do nieodwracalnych strat naukowych i szkód dla obronności kraju, jednak nie wynikały ze złej woli, ale podyktowane zostały błędnym osądem sytuacji. Niniejszym informuję, iż jesteście wolni.

Dwadzieścia minut później więzienne rygle huknęły za ich plecami po raz ostatni – na pożegnanie.

– Zapraszam wszystkich dziś wieczorem do „Jaru” na dobrą kolację – odezwał się Ałmaz.

– Dziękuję, stawimy się – ukłonił się Paweł. – O której godzinie?

– Może o osiemnastej?

– No i widzisz, wuju, wszystko skończyło się dobrze – odezwał się Sandro. – Nie będą nam potrzebne opaski pod kajdany i stoków Uralu też prędko nie zobaczymy.

– Nigdy więcej masz mnie nie wplątywać w takie awantury – przykazał Skórzewski krewniakowi. – Tym razem jakoś się udało wykaraskać. Rób ze swoim życiem, co chcesz, ale mnie się w pudle nie podobało i nie wrócę tu nigdy!

Mylił się.

„Yeti ciągną na zachód”



Ten szyld widziałem co najmniej kilka razy, zanim wzbudził moje zainteresowanie. Gdy chodziłem po giełdzie na warszawskim Kole, zazwyczaj zaczynałem od rundki wokół targowiska, potem odwiedzałem paru zaprzyjaźnionych sprzedawców, a następnie z reguły snułem się przez kwadrans lub dwa, oglądając rozmaite śmieci wyłożone na gazetach przez różnych przypadkowych znalazców i ludzi trudniących się szlachetną profesją dziadów śmietnikowych wyspecjalizowanych w „antykach”. Tak musiało być i tym razem. Nie potrafię przywołać z pamięci chwili, gdy ujrzałem go po raz pierwszy, po raz drugi i kolejne. Ten szyld po prostu był, stanowił jeden z wielu przedmiotów, które co jakiś czas omiatałem wzrokiem. Nie wiem też, co sprawiło, że się w końcu przy nim zatrzymałem...

Szyldy przed wojną robiono staranniej niż obecnie. Dzisiejsze to badziewie, malowane komputerowo na lakierowanej blasze, czasem trawione fotochemicznie w płytach warstwowych lub, w przypadku bardzo finezyjnych „dzieł”, grawerowane laserowo lub wycinane ploterem. W okresie międzywojennym dominowały inne. Tłoczono je w cienkiej żelaznej lub – rzadziej – mosiężnej blasze i dopiero potem malowano. Tańsze wersje miały tłoczone tylko godło...

Ten, który zobaczyłem, był zupełnie typowy. Biały, bo nie wpadli jeszcze na pomysł, by wszystkie urzędy zaopatrzyć w czerwone tabliczki. Orzełek na nim dumnie uniósł skrzydła – był starego wzoru. Godło państwowe z lat dwudziestych. Cała tablica była mocno skorodowana, zmatowiały lakier znaczyły purchle i zacieki rdzy. W kilku miejscach korozja wytrawiła dziury na wylot. Najbardziej jednak zdumiał mnie napis: „Państwowy Instytut Kryptozoologii w Warszawie”. Szczerze powiedziawszy, nigdy wcześniej nie słyszałem o takiej instytucji. Zlustrowałem resztę towaru ułożonego byle jak na folii. Jakiś szmelc po Armii Czerwonej, bułgarski medal pamiątkowy z okresu komuny, przedwojenna niemiecka książka o anatomii człowieka, skórzany zuchowy pas i harcerska finka z tandetną plastikową rękojeścią... Dodatkowo stoisko dekorowało kilka gazet z przełomu epok Wojciecha Ślepaka i Bolka Elektrycznego, w tym pierwsze numery „jedynie słusznej”. Sprzedawca wyglądał na jakieś czterdzieści lat i miał minę

znudzonego życiem mopsa. Sprawiał wrażenie drobnego urzędnika, może byłego belfra. Nie miałem pojęcia, gdzie pracuje ani czy w ogóle gdzieś pracuje, ale czułem, że nie należy do środowiska handlarzy. Trafił tu zupełnie przypadkiem. Chodzenie na giełdę stanowiło dla niego chyba namiastkę życia towarzyskiego. Zapewne wczoraj znowu przegrzebał piwnicę i przywlókł kolejne łupy na sprzedaż.

– Ile za to? – zagadnąłem, wskazując szyld.

– Stówkę.

Westchnąłem w duchu. Ile razy już słyszałem ten tekst!? W dodatku wypowiediany zawsze tak samo, z wystudiowaną nonszalancją... Co najmniej połowa drobiazgów, o które pytałem, miała taką właśnie cenę. Wyjątek stanowiły te, które w moim mniemaniu sprzedających były cenniejsze...

– Dam piętnaście – zaproponowałem.

Spojrzał na mnie, jakby chciał wy badać, czy nie żartuję. Zrobiłem minę wskazującą, że tak nie jest. Gość poskrobał się po łysiejacej głowie z widocznym frasunkiem. Dobra nasza... Większość po usłyszeniu takiej propozycji rzuciłaby coś w rodzaju „bujaj się, leszczu”. Skoro nie zostałem natychmiast spławiony, moja wycena była zbliżona do ceny końcowej. Trzeba tylko trochę nacisnąć...

– Od miesiąca próbuje pan to sprzedać – zauważyłem filozoficznie. – Przez tyle czasu się nie udało. Po cholere nosić ciężki kawał zardzewiałej blachy tam i z powrotem. Lepiej się pozbyć i już. Pieniążki w kieszeni.

– Nosić mogę, lekka jest – odparował, chyba trochę wkurzony.

– Ale kanciasta, torby szkoda – perswadowałem.

Celowo nie podbijałem ceny, brałem go na przeczekanie. Problem w tym, że on chyba nie myślał nad nową, niższą stawką, tylko beznamytnie kontemplował tłum kłębiący się wokoło. Milczałem cierpliwie, psując mu widok targowiska i rzucając cień na resztę towaru.

– Na Allegro tabliczki zakładu ubezpieczeń chodzą najmarniej po kilka dych – powiedział wreszcie. – Nawet takie schetane. I przedwojenne reklamy, a nawet ich repliki... – Nie dokończył.

Wkurzający typ.

– Na tamte rzeczy są kolekcjonerzy. Na takie nie ma. Mnie zaciekało, ale to przelotne zaciekawienie, bo ja takich też nie zbieram. Zapytał kiedyś ktoś o to?

– Raz...

Powiał wiatr. Kartki książki zaszeleściły i zatrzasnęła się. Tylko okładka pozostała na ziemi. Serce uderzyło mi odrobinę mocniej. Na stronie tytułowej odbito pieczętkę biblioteczną. Spojrzałem przez dolną ogniskową okularów.

Kumple zajmujący się szlifowaniem soczewek zrobili mi je na zamówienie i strasznie przy tym wydziwiali. Przy wadzie wzroku rzędu minus jeden właściwie nie musiałem nosić szkieł. Ale po pierwsze, wyglądałem w nich poważniej, po drugie,

dzięki dolnej ogniskowej mogłem nieznacznie, a za to dokładnie przyjrzeć się przedmiotom leżącym na niskiej ladzie, stoliku czy nawet na poziomie ziemi. Teraz też z pewnym trudem odczytałem treść pieczętki.

– Dobra. Trzy dychy za szyldzik, piątkę za książkę, a do tego gratis poproszę informację, skąd pochodzą – rzuciłem propozycję końcową i zrobiłem przy tym minę człowieka, który już się znudził rozmową i zaraz odejdzie.

Zafrasował się, ale wreszcie niechętnie skinął głową, akceptując warunki. Włożyłem blachę i wolumin do torby. Odliczyłem kwotę.

– Zatem gdzie pan to dorwał? – nie odpuszczałem.

– To rupiecie po dziadku – wyjaśnił. – Wie pan, jak to jest z ludźmi, którzy przyjechali ze wsi. Gromadził całe życie różne blaszki, druciki, wszystko, co może się przydać, i znosił na działkę. Nie wiem, gdzie to znalazł, ale pewnie gdzieś tu w okolicy.

– Gdyby kiedyś trafiło się coś jeszcze, proszę o mnie pamiętać. – Podałem mu wizytówkę z podłożoną pod spód nowiutką szeleszczącą dychą.

Na ten widok facet wyraźnie poweselał.

– Jak tylko coś się trafi, dam znać – obiecał.

Jechałem tramwajem, klnąc pod nosem. Już tysiąc razy obiecywałem sobie nie kupować żadnych rupieci. A tu wyszedłem z domu na godzinę i już prawie pięć dych w plecy... A nawet więcej, bo jeszcze bilety. W dodatku wiedziałem, że czeka mnie parę godzin forsownego czyszczenia i polerowania blachy, zanim będę mógł zaciągnąć dziury żywicą i pouzupełniać ubytki emalii.

Przejrzałem książkę. Woniała stęchlizną, na szczęście grzyb nie wdarł się nigdzie do środka. Kilka dni wietrzenia suchym powietrzem i może uda się pozbyć zapachu. Pieczętkę odczytałem prawidłowo. Biblioteka Instytutu Kryptozoologii w Warszawie. Numer w katalogu 4578, co świadczyło, że był to całkiem solidny księgozbiór. Przekartkowałem tomik. Przy niektórych rysunkach nabazgrano jakieś notatki ołówkiem.

*

Marta zaszła do mnie w czwartek wieczorem. Na stoliku czekał już sernik, butelka przeschmugłowanego z Ukrainy krymskiego wina Massandra i klaser ze znaczkami. W lichtarzu na parapecie osadziłem świece. Niestety, próby stworzenia nastroju dziewczyna jakoś zignorowała.

– Instytut Kryptozoologii – odczytała tabliczkę wiszącą na drzwiach kuchni. – Zaległy ci się myszy w szafkach czy tylko mole?

– Kryptozoologia zajmuje się poszukiwaniem zwierząt nieznanymi nauce – wyjaśniłem z godnością.

– W kuchni?

– Nie bardzo miałem gdzie powiesić – bąknąłem. – A tu się ładnie prezentuje...

– Mógłbyś coś zdjąć. – Popatrzyła po ścianach.

Tydzień temu pościagałem grafiki Napoleona Ordy i wyeksponowałem dziewiętnastowieczne akcje towarzystw akcyjnych budujących koleje i kopalnie w Etiopii. Murzyni, wielbłądy, parowozy, robaczki amharskiego alfabetu, cyfry straszące ilością zer... Chyba nie zrobiło to na niej większego wrażenia.

– To stara tabliczka? – zapytała.

– Przedwojenna – wyjaśniłem. – Wydaje mi się, że z pierwszej dekady międzywojnia. Nigdy nie słyszałem o takiej instytucji i dlatego mnie to zafascynowało.

– A teraz będziesz rył po książkach i starych gazetach tak długo, aż znajdziesz trop. – Westchnęła.

– Tak właśnie zamierzam zrobić. Będę rył, aż znajdę. Ocalę od zapomnienia kawałek historii. Może napiszę artykuł i sprzedam do jakiejś gazety. Wtedy zwróci się to, co wydałem, i jeszcze zostanie kilka groszy.

– Na kolejny kawałek blachy. Albo ohydne lepkie papierki. – Zahaczyła wzrokiem klaser.

– To kawałek historii – zaprotestowałem. – Wart ocalenia...

– *Lata dwudzieste, lata trzydzieste powrócą kiedyś sukni szelestem* – zanuciła.

Podszedłem go gramofonu, przez chwilę szukałem płyty. Wreszcie znalazłem. Położyłem ją na talerzu i zakręciwszy korbką, opuściłem igłę.

*Ciemna dziś noc,
Świszczą kule po stepie i znów
Za depeszą depeszę przez mrok
Wiatr po drutach przesyła.*

– Dlaczego ta płyta jest taka brązowa? – zaciekawiała się dziewczyna.

„Ech, ci akustycy” – skrzywiłem się w duchu. „Cyfrowa obróbka dźwięku to zajęcie chwalebne, ale żeby do tego stopnia olewać dorobek poprzednich pokoleń kumpli po fachu...”

– Bo to prawdziwa szelakowa – wyjaśniłem cierpliwie. – Zanim upowszechniły się winylowe, używano szelaku.

– Kupowałeś to jakiś czas temu. Taki granulat – przypomniała sobie. – To żywica czy coś...

– Nie do końca... W Indiach żyją owady, które żywią się sokiem drzew. Sok w ich żołądkach ulega przetrawieniu i jest wydalany. Części używają jako powłoki ochronnej dla larw, reszta zastyga na gałązkach. Zbiera się to, rozpuszcza, oddziela resztki owadów i kory i odzyskuje szelak.

– Płyta gramofonowa z odchodów robali!? Umyj ręce, zanim nastawisz wodę na herbatę! I nie waż się mnie dotykać!

– Używało się go także do mebli – wyjaśniłem. – Obecnie przy rekonstrukcji dawnych politur.

– Politur? – Łypnęła podejrzliwie na stolik i odsunęła krzesło.

– Masa starych płyt przepadła, bo za komuny, gdy nie dało się zdobyć szelaku, niektórzy rzemieślnicy przetapiali je...

Ale ona zamiast mnie słuchała szlagieru.

*Wierzę i wiem,
Żeś ty moja i ja jestem twój.
I ta wiara serdeczna nie raz
Była tarczą od kuli. Błogo mi tak,
Choć śmiertelny rozpętał się bój
I z uśmiechem już myślę o dniu,
Gdy mnie znowu przytulisz...*

– Mechanizm nierówno ciągnie. – Skrzywiła się. – Są spowolnienia.

No tak, pani akustyk zamiast napawać się muzyką i treścią piosenki skupiła się na technicznej stronie dźwięku.

– Zębatka przeskakuje. Tryby są bardzo już wytarte, mają ponad sto lat – wyjaśniłem. – Pan Maciek z parteru mógłby mi to poprawić, ale z drugiej strony żal mi. To bardzo stary mechanizm...

– Straszne szумы i trzaski. – Skrzywiła się. – Trzeba to zgrać cyfrowo, a potem wyczyścić na dobrym sprzęcie. A gdybyś zdobył jeszcze dwie identyczne płyty, to ci z tego zrobię nówkę.

– Co proszę? – Teraz mnie zaskoczyła.

– Jak komputerowo wycinam szумы i trzaski, robią się dziury także w samej muzyce – wyłożyła łopatologicznie. – Na trzech płytach uszkodzenia będą w różnych miejscach. Jak nałożę trzy ścieżki, to się zrekonstruuje. Będziesz miał idealny dźwięk bez szumów, trzasków, a do tego kompletny. Stereo ani kwadrofonii nie uzyskamy, ale Ordonka ci zaśpiewa, jakbyś osobiście siedział na widowni w kabarecie...

– To Wiera Gran, a nie Ordonka – mruknąłem. – Przekład znanego przedwojennego rosyjskiego tanga „Ciemna dziś noc”.

– Aha. – Nie wykazała większego zainteresowania.

Zapadło niezręczne milczenie. Nie mogłem jakoś trafić. Nie chce oglądać znaczków, nie interesują jej stare akcje, nie zaciekawiała zagadka sprzed lat. W nastrojowym szlagierze słyszy tylko usterki odtwarzania... Naraz poczułem, że chcę zostać sam. Usiąść w ciemności, poddać się magii przeszłości, słuchać zdartej osiemdziesięcioletniej płyty, pić wino z carskich niegdyś winnic i planować strategię poszukiwań zagadkowego instytutu...

*

Wszedłem do antykwariatu. Półmrok, woń kurzu i starego papieru owinęły mnie jak całun. Stuwatowa żarówka na długim kablu wisiała jak zawsze... Pan Antoni oderwał wzrok od studiowanej właśnie księgi.

– O, pan Storm – powitał mnie. – Czym mogę służyć?

– Szukam czegoś. – Westchnąłem.

– A to ci nowina. – Uśmiechnął się szeroko i zatrzasnął wolumin. – Zawsze czegoś pan szuka. I z reguły jakichś szalonych kuriozów... Sam niech pan pomyśli. Czy było kiedyś tak, by zaszedł pan do mnie ot tak, po przyjacielsku na kawę? A czego tym razem potrzebujemy?

– Czy słyszał pan kiedykolwiek o Instytucie Kryptozoologii? – Postanowiłem wziąć byka za rogi. – Było coś takiego przed wojną w Warszawie. Mieli bibliotekę... Nie trafiły się panu książki z ich pieczętką?

Zamyślił się, a potem pokręcił głową.

– Instytut Zoologii, to owszem, istnieje do dziś. Ale kryptozoologia? Nigdy nie słyszałem. Ciekawe... Bardzo ciekawe. Czego, u diabła, mieliby szukać w Polsce? Nie mamy tu nieznanymi gatunków zwierząt. To nie dżungla nad Amazonką. No, może jakieś nieznanne wcześniej robale albo ja wiem... malutkie myszki czy coś takiego...

– Parokrotnie obserwowano w Puszczy Kampinoskiej węża, który nie przypominał żadnego z istniejących gatunków, ale nie udało się go złapać ani pozyskać żadnych namacalnych śladów jego istnienia – powiedziałem. – Choć jest teoria, że mógł to być nietypowo ubarwiony wąż Eskulapa.

– A ja słyszałem o obserwacjach *Tatzelwurm* przed wojną na Śląsku...

Pokazałem mu wolumin i pieczętkę. Studiował ją dłuższą chwilę, używając potężnej lupy.

– Wygląda na autentyczną – powiedział wreszcie. – Krój liter typowy dla dwudziestolecia. Technika wykonania, tusz też jest solidnie utleniony, a do tego pomarszczyła się wraz z papierem. Poza tym...

– Jaki byłby sens tworzenia pieczęci nieistniejącej instytucji – domyśliłem się.

– No właśnie. Naprawdę ciekawe. Miałem książki z dziesiątków nieistniejących dziś bibliotek. Nigdy nie trafiły mi się tak ostemplowane dzieła. Może ta instytucja przestała istnieć podczas wojny? Trzeba sprawdzić w listach strat kultury polskiej... Jeśli na przykład spalono ich bibliotekę, po wojnie działały komisje szacujące takie zniszczenia. Może w ich papierach coś się trafi.

– Archiwum akt nowych...

– Owszem. A ja popytam najstarszych klientów. Niestety, coraz większy z tym problem. – Westchnął. – Od zakończenia wojny upłynęło już siedemdziesiąt lat, więc dziś, aby pogadać sobie z człowiekiem, który pamięta, jak to było za sanacji, trzeba

szukać niemal stulatków. I to już ostatnia okazja – bo całe pokolenie odchodzi. Jedni na wieczną wartość, inni do krainy wiecznego śledztwa... A w tym wieku to i z pamięcią nietęgo. Chyba że... – Naraz spostrzegłem błysk w jego oku.

– Że...? – podchwyciłem.

– Jest jedno wyjaśnienie. – Uśmiechnął się. – Tajna instytucja wojskowa, której biblioteka udostępnia książki jedynie na miejscu i która... – Zawiesił głos.

– Istnieje nadal i dlatego jej księgozbiór nie uległ rozproszeniu! – ucieszyłem się. – Świetne wytłumaczenie, kupuję je! Armia do dziś ukrywa wiele tajemnic swej przeszłości!

Stary antykwariusz roześmiał się w głos i chichotał jeszcze, gdy opuszczałem jego progi... Dopiero na przystanku zrozumiałem, co go tak rozbawiło. No tak, idiota ze mnie. Ależ mnie cwaniak podpuścił... Elegancko mnie załatwił. Na pieczętce stało jak byk: „Państwowy Instytut Kryptozoologii”. Skoro państwowy, to nie wojskowy. Dałem się zrobić w bambuko.

*

Poszukiwania archiwalne nie dały kompletnie nic. Instytut nie figurował w starych książkach teleadresowych. Nie pozostał po nim żaden ślad w wykazach instytucji. W przypiływie rozpaczy przestudiowałem budżety ministerstw i miasta, ale i tam nie odnotowano ani złotówki wydatków na kryptozoologów.

„Faktycznie musiał być tajny – rozważałem, nakrywając do stołu w sobotni wieczór – skoro pieniądze na jego działalność najwyraźniej kamuflowano jako inne wydatki. Tylko... Ta tabliczka. Jeśli instytucja była tajna, to gdzie to wisiało? Przecież nie koło drzwi. Chyba że w Cytadeli. Duży teren, bez przepustki nikt nie wejdzie... Nie, to bzdura! Przecież to państwowy instytut, a nie wojskowy...”

Ktoś zapukał. Marta. Zaparzyłem jej herbatę i postawiłem na stole sernik z czekoladową polewą i miseczki z orzeszkami.

– Ładny kubek – zauważyła, obracając naczynie w dłoni.

Wykonano go w technice czarnofigurowej, tradycyjnymi sposobami i z ogromną dbałością o szczegóły. Gdyby nie metka i oznaczenia wytłoczone w dnie, można by się nabrać.

– Znajomy archeolog przywiózł z Grecji – wyjaśniłem. – Kupił w sklepiku przy muzeum. Popatrz na kobietę grającą na aulosach... Podobna do ciebie.

Naokoło naczynia płąsały nagie dziewczęta i fauny grające na fletniach. Marta krytycznie przyjrzała się muzykantce.

– Wam, facetom, tylko jedno w głowie – prychnęła.

– Muzyka? – Nie zrozumiałem.

Westchnęła tylko, jakby z politowaniem. Nie potrafiłem odgadnąć, o co jej chodzi.

Co facetom w głowie... Futbol odpadał, żadna z postaci nie miała piłki. A jasne, że niby alkohol? Faktycznie, jeden z faunów niósł amforę z winem i kielich. Widać uznała, że za dużo piję! Zabrałem z blatu butelkę z winem i odniosłem do lodówki. Nie chce spróbować, to trudno.

Dziewczyna straciła zainteresowanie kubkiem. Rozejrzała się. Jej wzrok spoczął na porozkładanych książkach. No tak, trochę nabałaganilem... I zapomniałem posprzątać.

– Dalej szukasz tego Instytutu Kryptozoologii? – zdziwiła się. – Po co ci to? Nie będzie z tego pieniędzy ani żadnej użytecznej wiedzy. Liczysz na opuszczony magazyn pełen czaszek yeti?

– Nie wiem, co znajdę na końcu tej drogi. Intryguje mnie temat. Instytut istniał, bo mam tabliczkę i książkę z ich biblioteki. A zarazem nie pozostawił po sobie żadnych innych śladów. To musiało być coś tajnego...

– Albo mieli go zakładać, naszykowali nawet tabliczkę, ale w końcu nie założyli.

– No, nie wiem. Tabliczkę zamawia się chyba na samym końcu, przed otwarciem biura... – rozważałem.

– A nawet jeśli istniał i był ściśle tajny, co cię obchodzą tajemnice sprzed siedemdziesięciu lat? Nie jesteś nawet biologiem!

– Chcę wiedzieć... Po prostu chcę wiedzieć.

– A w necie patrzyłeś?

– Tak. Ale żadnego tropu...

– To sobie odpuść. To, czego nie ma w Internecie, po prostu nie istnieje – mruknęła.

– Ale przecież poważna instytucja państwowa nie mogła wyparować tak zupełnie bez śladu. Musiały pozostać po niej jakieś papiery, dokumenty, inwentarze, legitymacje... Byli ludzie, którzy tam pracowali...

– Ale masz tylko kawałek blachy i książkę. Nie znalazłeś nic innego. To znaczy, że ktoś z kumpli po fachu cię w jajo robi. O, już wiem! Podrzucili ci niewykonalne zadanie, żebyś się tym gryzł przez ćwierć wieku i nie włąził im w drogę!

– Masz nadmiernie podejrzliwy stosunek do ludzi...

– Nie, to ty jesteś wyjątkowo łatwowiernym frajerem. – Westchnęła ciężko. – Daj sobie siana. Ten instytut to podpucha.

Zagryzłem wargi. Przypomniałem sobie rozmowę z antykwariuszem. Jeśli ktoś tam pracował, to ma dziś sto lat... Jeśli instytut działał na początku lat dwudziestych, to być może nie ma już nikogo, kto by o nim chociaż słyszał... Za późno... Uderzyłem pięścią w ścianę.

– To nie podpucha. – Zacisnąłem zęby. – Udowodnię to...

*

We wtorek zbierałem się właśnie, by iść do biblioteki, gdy zadzwoniła komórka.

Odebrałem.

– Halo? Z tej strony Winnicki – zagadkała słuchawka.

Nic mi to nazwisko nie mówiło.

– Robert Storm, czym mogę służyć?

– Pan kupił ode mnie szyldzik i książkę na Kole, chyba znalazłem coś jeszcze do nich. Interesuje to pana jeszcze?

– Jasne. A gdzie i kiedy możemy się spotkać?

– To może na przystanku przy domu towarowym Wola? Za godzinę?

– Stawię się!

Gdy nadszedłem, mężczyzna dreptał już niecierpliwie przy schodach przejścia podziemnego. Przywitałem się. Otworzył nieprawdopodobnie wyszmelcowaną teczkę, wyciągnął brulion owinięty w kawał gazety. Przekartkowałem go spieszenie. Zeszyt intensywnie cuchnął stęchlizną, ale już na pierwszych stronach dostrzegłem naszkicowane ołówkiem mordy jakichś straszliwych małpoludów.

– Ile za to? – zagadnąłem.

– Czterdzieści? – zaproponował. – W tych samych szpejach leżało. Nie jest podpisane, ale coś mi się widzi, że związek z zoologią ma oczywisty.

– Na to wygląda... – Odliczyłem mu cztery banknoty. – Gdyby się jeszcze coś trafiło...

– Się wie. – Zadowolony, schował pieniądze do kieszeni.

Jak to niewiele niektórym trzeba do szczęścia... On zadowolony z czterech portretów Mieszka Pierwszego, ja z zeszytu pełnego portretów małpisonów... Przypomniałem sobie rozmowę z Martą.

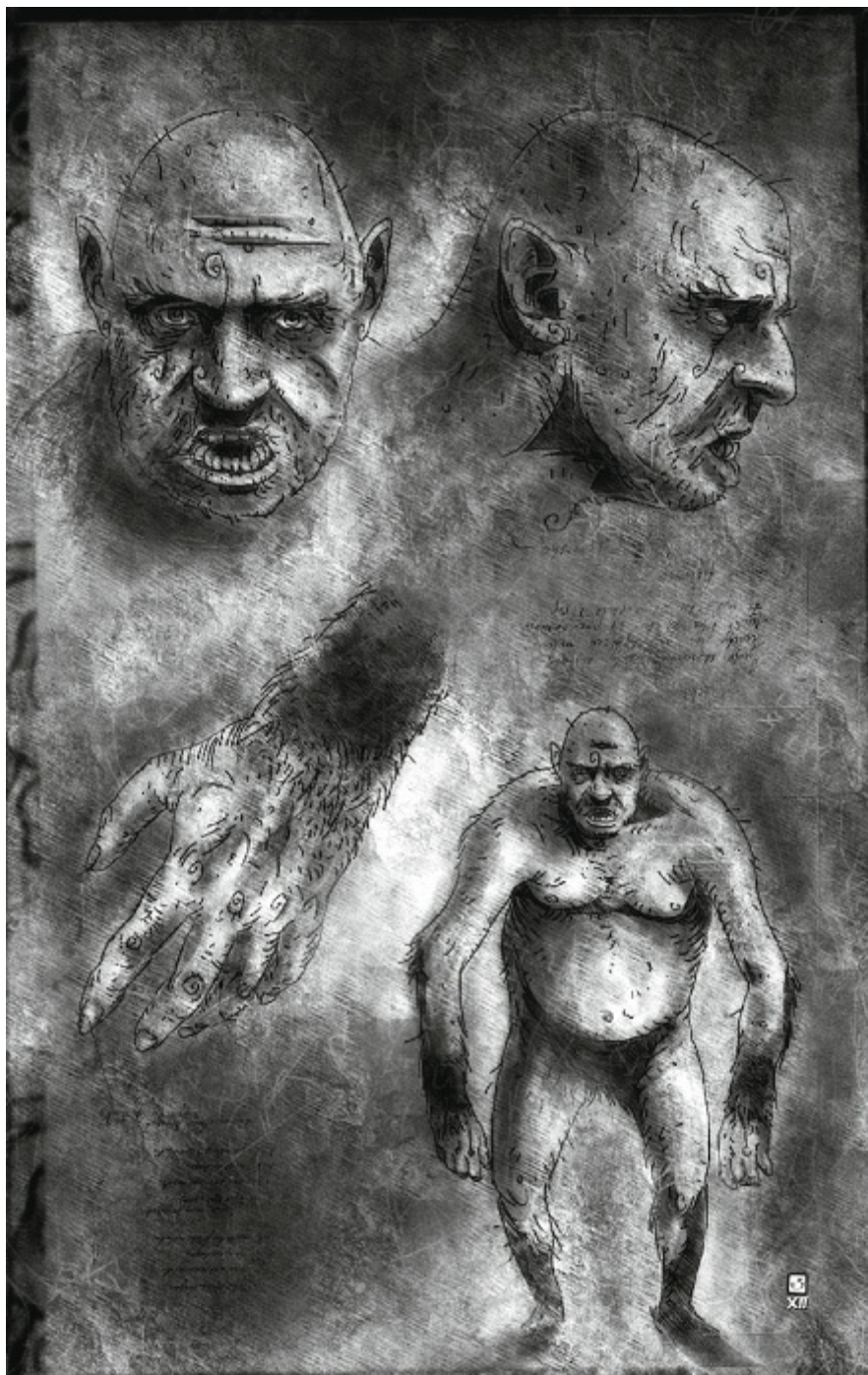
– Podpucha! – parsknąłem. – Sama jesteś podpucha!

Gdy tylko wróciłem do domu, rozłożyłem łup na blacie i zabrałem się za jego studiowanie. Szkicujący nie był szczególnie wybitnym artystą, a ołówek trochę wyblakł, ale rysunki były ciekawe. Mordy ni to ludzkie, ni małpie, rysunki sylwetek, studium dłoni... Ilustracje przedstawiały dwu osobników. *Yeti młodszy* i *Yeti starszy* – głosiły notatki na marginesie.

Z trudem tłumili podniecenie. Dwie kartki skleiły się, między nimi tkwiło coś sztywnego. Rozdzieliłem je ostrożnie. Zdjęcie. Wyblakło nieco, ale długo wgapiłem się w nie zdumiony. Przedstawiało wnętrze kompletnie zdemolowanego pokoju. Pod stołem, tylko częściowo widoczny, leżał małpison. Chyba ten yeti młodszy. Był martwy, a może ciężko ranny? Miał na sobie szorty do kolan, szeroki wojskowy pas z ładownicami do mauzera, a w owłosionej łapie trzymał rewolwer. Czarne plamy na jego piersi były chyba efektem postrzałów.

Na marginesie skreślono ołówkiem dwa słowa. Namordowałem się z lupą, zanim zdołałem odczytać: *Efekt końcowy*. Przypatrzyłem się oknu na fotografii. Kojarzyłem widoczny za nim budynek. Przedwojenny gmach Banku Polskiego.

Zdjęcie było przyklejone na rogach. Klej już puszczął... Ostrożnie oddzieliłem je od papieru. Po drugiej stronie ktoś znajomym mi już charakterem pisma skreślił jedno zdanie: *Yeti ciągną na zachód*. Długo siedziałem jak sparaliżowany.



– Agenci Instytutu Kryptozoologii dopadli i zastrzelili yeti w Warszawie w latach trzydziestych – wyszeptałem wreszcie.

Przekartkowałem brulion do samego końca. Na ostatniej stronie ktoś naskrobał: *Kudyby Maz. 450 kamieniarzowi za nagrobek Pabianickiego*.

Kudyby Mazowieckie... Znałem tę dziurę. No, może nie tyle znałem, ile wiedziałem, gdzie leży. Spojrzałem na zegarek. O tej porze na szosie wylotowej nie powinno być

korca... Godzina, żeby dojechać, powiedzmy półtorej, by wrócić... Nie zastanawiałem się długo. Zgarnąłem ze stołu kluczyki i poszedłem odpalić auto.

*

Cmentarz w Kudybach wyglądał jak dziesiątki innych małych wiejskich nekropoli. Rozłożył się na pagórku, ściślej – wzgórzu morenowym, jakimi usiane jest Mazowsze. Otaczał go niski mur wzniesiony z granitowych otoczków wyoranych z okolicznych pól. Nagrobki były rozmaite. Część kuta w piaskowcu, tak przed wojną grzebano bogatszych gospodarzy. Te z betonu i lastriko nosiły daty powojenne. Najnowsze wykonano „na bogato”, straszyły pstrokacizną barw kamienia i kłuły w oczy złoceniami liter...

Złaziłem się solidnie, ale znalazłem. Szara piaskowcowa płyta znajdowała się na uboczu. Otaczało ją kilka kopczyków i poprzecyłanych ze starości drewnianych i żeliwnych krzyży. Między skromnymi, opuszczonymi grobami wzniesiono już kilka nowych, okazałych.

„Zygfryd Pabianicki 1889–1940, twórca i dyrektor Instytutu Kryptozoologii, na wieczną pamiątkę” – głosił mocno zatarty napis na nagrobku.

Usiadłem na ławeczce przy mogile jakiegoś nuworysza, by chwilę spokojnie pomyśleć. Sentencja „na wieczną pamiątkę” była często używana w przypadku grobów symbolicznych. Przypatrzyłem się nagrobkowi. Nie pochowano tu nikogo więcej. Grób był zapuszczony, ale nie wyglądał na totalnie zapomniany. Wypalony znicz stał zapewne od święta zmarłych. Sztuczne kwiatki? Mogły tu leżeć nie dłużej niż kilka miesięcy. Zatem... Ktoś tu bywa. Czasami. Syn? Wnuk? Dalszy krewny? A może ktoś, kto chce sobie zająć grobowiec i stwarza pozory, że dba o miejsce spoczynku krewnego? Wyjąłem z kieszeni wizytówkę i torebkę foliową z zapęciem strunowym.

Proszę o kontakt – napisałem na kartoniku i wsadziwszy go w torebkę, podłożyłem pod znicz. Gdy ktoś przyjdzie posprzątać albo postawić kolejny, znajdzie ją i zadzwoni... albo i nie. Pierwszy krok wykonany. Pierwsza mocna nić w ręku. Nazwisko...

„Zginął około tysiąc dziewięćset czterdziestego roku” – dumalem, jadąc do domu. „To zapewne oznacza, że wpadł w ręce szkopów. Jeśli kierował instytucją poszukującą neandertalczyków, zapewne zainteresowało się nim Ahnenerbe. Przy całej niemieckiej paranoi na temat czystości krwi musiało ich to zainteresować! A tak się szczęśliwie składa, że od tropienia szkopów mam odpowiedniego fachowca! Trzeba tylko zadzwonić”.

*

Arek powitał mnie w swoim sanktuarium. Mocny zapach świeżo zaparzonej kawy

unosił się wśród regałów.

– Instytut Kryптоzoologii. – Smakował nazwę z miną konesera starych win. – Sporo czytałem o przedwojennej Polsce, ale nigdy o tym nie słyshałem...

„Skoro mówi, że sporo czytał, to znaczy było to około tysiąca woluminów” – pomyślałem.

– Miałem koncepcję. – Westchnąłem. – Taką wstępną. Lata trzydzieste, triumfy eugeniki, plany naukowej hodowli nowego człowieka przy jednoczesnej eliminacji osobników niepasujących do wzorca...

– Program przymusowej sterylizacji w Trzeciej Rzeszy objął około siedemdziesięciu tysięcy ludzi – mruknął. – W Polsce to szaleństwo na szczęście nie rozwinęło się na taką skalę... Myślisz, że ta cała kryптоzoologia miała podłoże eugeniczne?

– Niezupełnie. Sądziłem, że kryптоzoologia to tylko przykrywka. Że najpierw chciano rozbudzić lęk przed, na przykład, neandertalczykami, by potem zająć się ich ściganiem, czyli mówiąc po ludzku, rozpuszczaniem plot o wrogach politycznych, jakoby de facto nie byli homo sapiens... Taka głupia teoria. Jak takie tajne, to musi być bezpieka... Wywiad, może kontrwywiad. Jak bezpieka, to naukowe teorie robią tam tylko za listek figowy, by kogoś bezkarnie zgłanować.

– I dlaczego porzuciłeś tę koncepcję?

– Dostałem nowe materiały. – Westchnąłem. – Zagrożenie było realne – powiedziałem twardo. – I nie dość, że realne, to jeszcze podjęto działania zaradcze, ale utrzymano je w sekrecie...

– Materiały? – podchwycił.

Położyłem przed nim brulion, zdjęcie zastrzelonego yeti i fotkę nagrobku. Badał je może kwadrans, wreszcie podniecony poderwał się na równe nogi.

– Co to za kosmiczna bzdura? – Dreptał po pokoju. – Dziś przecież nie jest pierwszy kwietnia!

– Wiem...

Rzucił stare zdjęcie na skaner.

– No, popatrz tylko na to... – Powiększył je na ekranie monitora. – Za oknem chyba bank, ten przy Solidarności, co go teraz odbudowują... Toż to niemal centrum ówczesnej Warszawy! Skąd tu, u diabła, małpolud, w dodatku w samych szortach!?

– Nie w samych szortach, ma jeszcze na nogach oficerki – zauważyłem.

– No tak. Pomyśl sam, jak niby miałyby się poruszać po mieście? Duży jest, metr osiemdziesiąt jak obszył. Kudłaty. Umieśniony jak Rambo. Morda nie do przyjęcia.

– Wyłaził z kwatery tylko nocami – rozważałem. – Ubrany po ludzku, w kapeluszu i z gębą zasłoniętą szalem miałyby szansę. Byle tylko tych gorylich łap nie pchał do światła... Tylko jak tu przybył i czego, do cholery, szukał!

– A jak niby pokój wynajął!? Myślisz, że umiał gadać po ludzku? Zresztą cholera wie... Yeti ciągną na zachód – to brzmi jak z głupiego dowcipu. Chyba że... – zapalił się

nagle – naziol wysyłali przecież ekspedycje naukowe do Tybetu! Może zaiwanili coś ważnego? Nie wiem, posąg bóstwa małopudów, relikwię plemienną czy coś w tym guście. I ten przybył do Europy, by to odzyskać...

– Przybył od wschodu, czyli przez ZSRR? – parsknąłem. – To niemożliwe.

– Czemu nie? Sowieci wysyłali na zachód całe wagony rozmaitych surowców. Wlazł pod plandekę gdzieś na Syberii czy na Uralu...

– Każdy taki skład był z pewnością sprawdzany! Masa ludzi próbowała wyrwać się z tego piekła. A przed psami enkawudzistów by się nie ukrył. Poza tym jak by przetrzymał kilkanaście, może kilkadziesiąt dni jazdy?! Bez pożywienia, bo niewiele dało się tam ukraść, bez wody...

– Jeśli jechał pociągiem ciągniętym przez parowóz, miał szansę napić się, gdy skład brał wodę dla lokomotywy.

– Kompletna bzdura moim zdaniem.

– Oczywiście, że bzdura. – Wzruszył ramionami. – Bo, jak powszechnie wiadomo, yeti nie istnieją. Tylko... Tylko że to zdjęcie wygląda na prawdziwe. Przedwojenne. Utlenienia typowe, format, papier... A ten leżący to nie jest goryl, który uciekł z zoo, bo w tamtych czasach w Europie praktycznie nie było tych małp w menażeriach. I nie umiały walić z rewolweru.

– Szympany?

– Szympany są za małe. Ten na podłodze to kawał trupa... – Naraz zamarł w pół kroku. – Może i masz rację z tą bezpieką – powiedział wreszcie. – Wiesz, co mi się wydaje?

– Tak?

– Że to jednak człowiek. Wiesz, sto lat temu ludziska mieli inne podejście do problemu, co jest dobrą rozrywką. Organizowano pokazy karłów, kobiet z brodami i tego typu nieszczęśników dotkniętych różnymi deformacjami... Przyjmijmy, że trafił się jeden z czymś w rodzaju hirsutyizmu, w dodatku trochę małopowaty z gęby. To by tłumaczyło, czemu w spodniach chodził i jak nauczył się strzelać...

– Członek trupy, na przykład orznięty na wypłacie, uciekł z cyrku... – rozważałem. – Kto wie? Tylko skąd ta kryptozoologia?

– Pojęcia nie mam. W ogóle się to kupy nie trzyma! A o co właściwie chciałeś zapytać?

– O Ahnenerbe. Skoro dyrektor instytutu zginął w czterdziestym roku...

Arek uśmiechnął się lekko.

– Jak ktoś umrze w czasie wojny, dla ciebie zaraz jest to efekt działań nazioli? Nie przeczę, to prawdopodobne... Ale... Byłeś kiedyś nad Jeziorkiem Czerniakowskim?

– Chyba nigdy...

– Tam jest tablica upamiętniająca chłopaka, który się utopił podczas okupacji. Wyobraź sobie, sześć milionów ludzi wymordowano wokół, a on utonął, próbując

kogoś ratować...

Powyciągał w regału może z piętnaście woluminów i zabraliśmy się za studiowanie indeksów. Bez skutku. Ani Kudybów, ani Pabianickiego. Chłopak wyciągnął teraz opasłe księgi oprawione w szare płótno, z czarnymi swastykami na grzbietach.

– Tablice anatomiczne – wyjaśnił. – Rewelacyjne, antropolodzy do dziś po cichu z nich korzystają. – Puścił do mnie oko.

– Wiem. Tylko na archeologii nie mieliśmy takich ładnych wydań – mruknąłem.

Przekroje czaszek goryli, pitekantropów, neandertalczyków, Żydów i Aryjczyków... Były zdjęcia czaszek gigantopiteków przywiezione z Jawy przez Ralpa von Koenigswalda w latach trzydziestych. Arek studiował opisy wykonane szwabachą.

– Wygląda na to, że wszystkie czachy neandertali mieli zaiwanione z muzeów podbitej Europy – powiedział wreszcie rozczarowany.

– Ten na zdjęciu to chyba nie jest neandertalczyk. Wygląda raczej na jakiegoś pitekantropa! – zaprotestowałem.

W jednej z monografii był nawet rozdział o yeti. Niestety, ponownie – brak było jakichkolwiek odnośników do polskich badań czy Instytutu Kryptozoologii.

– Ukradli odkrycie – rozważałem. – Zależało im zatem, by zataić źródło informacji.

– W tym problem, że nic nie ukradli – mruknął Arek, przebiegając wzrokiem tekst. – Zreferowali tu tylko legendy, domniemania i teorie. Trup yeti to byłby przecież namacalny dowód. Gdyby go przechwycili, na pewno nie omieszkaliby o tym wspomnieć! Od tej strony nie ugryziemy. Trzeba dowiedzieć się coś więcej o tym Pabianickim... – zasugerował.

– Masz rację. W Kudybach jest kościół... A w kancelarii powinni mieć księgi parafialne, w tym księgę zgonów. Pogrzebię tam... – powiedziałem.

*

Proboszcz był szczupłym mężczyzną w średnim wieku. Przyjął mnie w niewielkim biurze zastawionym meblościanką z lat siedemdziesiątych.

– Zygfryd Pabianicki... – powtórzył. – Nie mam wśród parafian nikogo o takim nazwisku.

– Ktoś jednak dba o grób – powiedziałem. – Zatem żyją tu jacyś jego krewni...

– Ach nie. To Oaza.

– Co proszę?

– Co roku przed Świętem Zmarłych młodzież oazowa naszej parafii porządkuje wszystkie opuszczone groby – wyjaśnił. – Wprowadziłem ten zwyczaj, gdy zostałem tu proboszczem. Uczę w ten sposób postawy zarazem chrześcijańskiej, jak i obywatelskiej. Ci, którzy odeszli bezpotomnie, byli członkami lokalnej społeczności... Należy im się pamięć i szacunek. Nie chcę, żeby było tak jak w Szwecji.

Przechyliłem głowę w niemym pytaniu.

– Wie pan, byłem na Gotlandii w zeszłym roku. Jest taka dziura o nazwie Frojel, mają tam śliczny średniowieczny kościółek. Wokół ogromny teren i cmentarz, który zajmuje może dwadzieścia procent terenu. Kilka rzędów nowych grobów. I wie pan, co wypatrzyłem? W kącie pod murem stos nagrobków z lat dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych. Piękne płyty, czasem rzeźbione. Widać, że wykonano je dla ludzi ważnych. Lekarzy, nauczycieli, kupców, rzemieślników... Minęło siedemdziesiąt lat, a już potraktowano je jak śmieci... Naród bez historii, plujący na swoją przeszłość szybko przestanie istnieć.

– Rozumiem problem i doceniam księdza wysiłki. Szkoda tylko, że tym samym zerwała mi się nić...

– Może nie do końca? Sprawdźmy w księgach parafialnych. – Wskazał jedną z szaf.
– Powinno być zapisane, kiedy dokładnie został pogrzebany, a być może też, kto zlecił pochówek...

Trzy godziny później siedzieliśmy przy herbacie. Przekopaliśmy księgi aż do początku lat osiemdziesiątych, nigdzie nie natrafiając na ślad pogrzebu. Nie było też informacji o pochówkach ludzi noszących to nazwisko.

– Nic z tego nie rozumiem – biadał ksiądz. – Przecież to niemożliwe... Krzyż na nagrobku, zatem musiał być chrześcijaninem... A nawet jakby nie był, to przecież pogrzeb musiał zostać odnotowany!

– Może było inaczej – mruknąłem. – Sentencją „na wieczną pamiątkę” oznacza się czasem groby symboliczne. Może ten człowiek wpadł w ręce gestapo lub NKWD. Jacyś jego krewni albo przyjaciele wystawili mu ten grób, a właściwie tylko cenotaf. Być może wiele lat po śmierci.

– Mimo wszystko byłoby zapisane – upierał się.

– Różnie mogło być. Jeśli wpadł w łapy Sowietów, to nawet symboliczne upamiętnienie rodziło problemy. A może... Czy w okolicy jest zakład kamieniarski?

– Był, niestety, po śmierci właściciela został zlikwidowany. Ale mam papiery po nich – ożywił się. – Księga zamówień!

Przestudiowaliśmy wszystkie z tysiąc dziewięćset czterdziestego roku... Bez skutku. Już miałem zasugerować, by sprawdzić kolejne lata, gdy nieoczekiwanie na poprzedniej karcie spostrzegłem znajome nazwisko. Patrzyłem przez kilka sekund jak ogłupiały, a potem wskazałem proboszczowi.

– Nic z tego nie rozumiem – wykrztusił.

Nagrobek zamówiono w marcu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego.

– Może był już śmiertelnie chory i wiedział, że umrze... – szukałem logicznego wyjaśnienia. – Bo jakoś nie chce mi się wierzyć w jasnowidzenie...

Ksiądz bezradnie rozłożył ręce. Przestudiowałem cały wpis i uśmiechnąłem się krzywo. Znów odnalazłem trop!

– Zamówił Igor Winnicki – mruczałem. – Ojciec lub dziadek człowieka, od którego kupiłem szyld... Ale ten koleś nawet nie wiedział, że sprzedaje mi pamiątki rodzinne... Z drugiej strony, jest nazwisko, zatem mam kolejny punkt zaczepienia!

*

W okno bił deszcz. Znowu przyszła jesień? Marta z kwaśną miną siorbała herbatę z filiżanki. Nie wiedziałem, czemu się tak krzywi. A tak, jesteśmy w byłym zaborze rosyjskim, więc...

– Przelej ci do szklanki – zaproponowałem.

Pokręciła głową, chyba o coś innego chodziło.

– Gorzkie? – dociekałem. – Mimo szaleństw kochanej władzuchny stać mnie przecież na cukier! – zagadnąłem. – Łyżeczkę też ci dałem, Norblina z borówkami...

Prychnęła.

– Wolisz irysy Frageta?

Prychnęła ponownie.

– W Filmotece Narodowej akurat poza mną nie było innych interesantów, więc szybko mnie obsłużyli – wróciłem do opowieści. – Wyciągnęli kartę inwentarzową. Po drugiej stronie były notatki sporządzone wiele lat temu. Film miał mieć tytuł *Yeti ciągną na zachód*. Zaczęli kręcić w lipcu trzydziestego dziewiątego. Nigdy nie został ukończony... Zdążyli uporać się z trzema scenami. W siedemdziesiątym dziewiątym były szef zespołu przyniósł do filmoteki fragmenty, które uratował z pożogi wojennej... Na szczęście są już zeskanowane, więc od razu obejrzałem.

– Mówiłam, że to podpucha – marudziła Marta. – Miesiąc gonisz za jedną bzdurą! Masz łeb jak szafa, zacznij to jakoś z pożytkiem wykorzystywać. „Wybiórcza” poszukuje historyka varsavianisty do stołecznego dodatku. Złóż papiery...

Uśmiechnąłem się. Przed oczyma ciągle jeszcze miałem sceny nigdy nieukończonego dzieła. Pościg samochodowy uliczkami warszawskiej Pragi, heroiczny bój agentów instytutu z hordą yeti na dachach Starego Miasta. O czym traktowałyby fabuła? Wyglądało na czarny kryminał. Z drugiej strony, yeti... Pierwszy polski film SF?

– Co tak zęby szczerzysz!? Naćpałeś się? – dziewczyna fukała jak marcowa kotka.

A może... A może gdzieś w jakimś archiwum lub na strychu pokrywa się kurzem scenariusz? Może uda się go odnaleźć? Gdyby jeszcze zebrać grupkę zapaleńców i dokończyć... Znam nawet odpowiednich ludzi.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz!? Pytałam, kiedy znajdziesz sobie normalną robotę, taką od ósmej do szesnastej... – głos Marty wydał mi się równie dokuczliwy, jak brzęczenie namolnej muchy.

Poczułem znajomy dreszcz. Tak. Zdecydowanie. Odnajdę scenariusz. Dokończymy

ten film. Wypełnimy lukę. Skleimy z okruchów kolejny detal przeszłości strzaskanej przez wojnę. Wyzwanie...

Rozległ się tupot, a potem drzwi trzasnęły, aż dom zadrżał. Uśmiechnąłem się do swego odbicia w szybie. Wiedziałem już, czym zajmę się jutro...

Świątynia



Nowiutki saab na szwedzkich numerach wytoczył się z wnętrza promu. Jeden z celników leniwie machnął dłonią, kierując go na parking po lewej stronie. Podszedł do auta wraz z kolegą. Za kierownicą siedział chłopak, może dwudziestoletni, obok na siedzeniu wygodnie rozparł się zasuszony staruszek. Obaj mieli czarne, lekko skośne oczy i ogorzałą skórę.

„Na Cyganów nie wyglądają, Lapończycy pewnie, bo przecież nie Eskimosi” – pomyślał celnik.

– Dzień dobry, służba celna Gdańsk, pojazd został wyznaczony do rutynowej kontroli – odezwał się po angielsku.

– Proszę mówić po polsku – odezwał się chłopak. – Czym możemy służyć?

– Proszę wysiąść i otworzyć bagażnik.

Obaj pasażerowie posłusznie opuścili pojazd.

– Cel panów podróży? – zapytał pro forma ten wyższy.

– Zamierzamy odwiedzić miejsce, gdzie przed tysiącami lat żyli nasi przodkowie – wyjaśnił starzec po angielsku.

Młody otworzył bagażnik.

– O do diabła! – wyrwało się celnikowi na widok zgromadzonych tam gratów. – Co to jest?

– To na przykład bęben magiczny używany przez lapońskich szamanów – wyjaśnił chłopak.

Celnik obracał przedmiot przez kilka minut w dłoniach. Owalna rama z giętego korzenia brzozy, obciągnięta dobrze wyprawioną skórą z cielęcia renifera. Na niej kilkadziesiąt symboli namalowanych czerwonym barwnikiem z przeżutej kory olchowej.

– Zabytkowy?

– Ależ skądże, to zupełnie współczesny wyrób – powiedział stary. – Mój uczeń Lars – wskazał towarzysza – wykonał go tej wiosny.

– Hmm...

Faktycznie, drewno nie zdążyło jeszcze pociemnieć.

Celnik wyjmował po kolei: łuk lekki, refleksyjny, wykonany z korzenia brzozy, ścięgien i poroża jelenia, opleciony miedzianą inkrustacją. Kołczan pełen strzał. Ciężki myśliwski nóż. Groty strzał i klinga zostały wykute z żelaza meteorytowego, ale żeby to stwierdzić, musiałyby wykonać badania laboratoryjne. Rękojeść z ciosów morsa mógł wziąć za kość słoniową, ale na szczęście nie zwrócił uwagi. Dwie skórzane kurtki ozdobione naszytymi paciorkami z czerwonego bajkalskiego bursztynu, kościanymi płytkami i haftami wykonanymi cynową nitką. Walizki zignorował. Odłożył z szacunkiem wszystko na miejsce.

– Po co to panom? – Spojrzał na pasażerów świdrującym wzrokiem.

– Jesteśmy szamanami – wyjaśnił młodszy prawie zgodnie z prawdą.

Aby nim zostać, musiał przejść inicjację, a tego dokonać mógł dopiero, gdy odnajdą świętą grootę.

– Polak szamanem? – zdziwił się celnik.

– Polką była moja babcia, ja jestem Saamem. Myśliwym i pasterzem reniferów. – Chłopak dumnie wypiął pierś.

– O kuźwa... – sapnął niższy celnik i otarł pot z czoła.

– Zamierzają panowie coś zrobić z tym całym sprzętem? – Jego kolega był bardziej zasadniczy.

– Polskie prawo nie zabrania cudzoziemcom odbywania praktyk religijnych – oświadczył chłopak z godnością. – Pan Suongil – wskazał gestem swojego towarzysza – chce porozmawiać z duchami tej krainy. Będziemy siedzieli w lesie lub jaskini, przy ognisku, ubrani w stroje obrzędowe i bębniliby na magicznym bębnie – uściślił.

Celnicy zafrasowali się wyraźnie. I nic dziwnego, pewnie pierwszy raz w karierze zetknęli się z podobnym problemem.

– No cóż... – Ten ważniejszy uśmiechnął się wreszcie krzywo. – Współczesne wyroby ludowe, jak również eee... dewocjonalia służące prywatnemu sprawowaniu kultów wolno wwozić... Skoro to nie na handel, ale do osobistego użytku, to nie ma problemu. Życzymy eeee... wesołych świąt!

Staruszek ukłonił się, a młody zamknął bagażnik.

*

Zdezelowana półciężarówka podskoczyła na kolejnym wertepie. Konstrukcja podwozia zajęczała, obluzowane blachy zadzwoniły. Magister Kawka mocniej zacisnął spoczone dłonie.

– Co za kretyn zaznaczył to jako drogę? – parsknął doktor Olszakowski, patrząc najpierw na GPS, potem na rozłożoną na kolanach sztabówkę.

Niewiele z niej wynikało. Od dwudziestu minut jechali wąwozem. Wokoło szumiała

odwieczna puszcza bukowa. Doktor prowadził jak wariat.

– Mapy robią na podstawie zdjęć lotniczych – mruknął jego towarzysz. – Może myśleli, że to droga... A może czterdzieści lat temu była w lepszym stanie?

W ostatniej chwili Olszakowski ominął cienką brzoźkę, która wyrosła przed maską.

– Znaczą się ze starej sztabówki przerysowali na nową? Kto ich tam wie... Wiochy, która była tu obok, też już nie ma – mruknął doktor. – Zdaje się w czterdziestym siódmym nasza partyzantka z NSZ wdała się tu w spór z batalionem KBW...

– Wielka tam wiocha, cztery domy na krzyż...

Lewe przednie koło wpadło w kolejną dziurę. Styliśki łopaty spoczywających z tyłu pojazdu zaklekotały ponuro. Butelki napojów niezbędnych archeologom do zwiększania wydajności pracy zabrzczały wesoło.

– Jeszcze jakieś pół kilometra – ocenił doktor. – Jeśli ten grat nie rozsypie się wcześniej.

– Jak się rozsypie, to kierownictwo instytutu jaja nam urwie! – przestraszył się współpracownik.

„A dokładniej, zważywszy na to, że ja siedzę za kierownicą, to ja beknę i wyślę mnie na zieloną trawkę, a on wtedy przejmie moje stanowisko” – pomyślał ponuro kierownik i jak na złość, pomylił hamulec z pedałem gazu. Autem zarzuciło, ale zdołał się wyratować...

Droga stawała się coraz bardziej kamienista, wreszcie znaleźli się na przełęczy.

– No i co sądzisz? – zagadnął Olszakowski.

Magister Kawka otaksował spojrzeniem dolinę. Wił się przez nią strumyk, w zagłębieniu powstał nawet mały staw. Drzewa rosły tu niewielkie i powykęcane, skała musiała zalegać płytko. Za stawem widniało niewielkie urwisko. Wzdłuż rzeczki biegła przecinka prowadząca na zachód.

– Tam jest trakt – zauważył. – Zamiast tłuc się po tych wertepach...

– Musielibyśmy objechać z pięćdziesiąt kilometrów – machnął ręką doktor. – Cholernie nie lubię nadkładać drogi. Ale nie martw się, wykorzystamy ją. Do najbliższego miasteczka mamy cztery kilometry, będzie można jeździć po zaopatrzenie. Spirytus dezynfekcyjny i inne takie.

– Mamy spirytus dezynfekcyjny – mruknął Kawka. – Całą litrową butelkę ruskiego royala...

– Na wykopaliskach drobne skaleczenia i otarcia...

– Wiem, wiem. Oraz choroby gardła, które można wypędzić intensywnym płukaniem. I to ma być miejsce, w którym dokonamy wiekopomnych odkryć... – Zadumał się.

– No ba...

– Teren niczego sobie – pochwalił Kawka. – Tylko trochę odludny.

– Na razie odludny – wyjaśnił jego towarzysz. – Wyobraź sobie, ma tu niebawem

stanać spory ośrodek sportów zimowych. Tutejszy wójt, cwane bydlę ponoć, chce budować.

– Za unijne?

– Za własne. To lokalny potentat. W latach dziewięćdziesiątych sprywatyzował sobie okoliczne sklepiki, kamieniołom i tartaki. Potem jeszcze założył firmę budowlaną w Kielcach. Pozatrudnił pociotków do nadzoru. Ze trzysta luda na niego robi. Zgromadził kasy jak lodu i teraz przyszedł czas na inwestycję.

Ryzykując całość zawieszenia, zjechali na dół. Gmina ze swojej strony zapewniła warunki do badań. Nad stawem ustawiono przenośną plastikową toaletę turystyczną i kubek na śmieci...

– Oto pierwsze oznaki cywilizacji. – Kierownik ekspedycji zatarł dłonie.

Zaparkował z fasonem. Otworzył tył pojazdu i zaczął wyciągać brezentowe worki. W ciągu trzech kolejnych godzin baza została w zasadzie urządzona. Obaj naukowcy rozstawili trzy wojskowe namioty. Wbili słupki i naciągnęli linkę, wyznaczając granice obozowiska. Wyłożyli też otoczakami miejsce na ognisko.

– No i dobra. – Olszakowski zatarł dłonie. – Obowiązki odwalone, czyli możemy sobie pozwiedzać.

Przeszli rzekę po kamieniach i stanęli na rozległym plateau, porośniętym lichą trawą i nielicznymi krzakami.

– Tu założymy wykopy.

– Hmm... A reper?

– Na tamtym wzgórzu jest zabetonowany znacznik. Trzeba będzie wyciągnąć sprzęt geodezyjny i domierzyć.

Popatrzył na odbitkę planu doliny i ruszył w stronę urwiska.

– Tu jest jaskinia – wyjaśnił. – Mam do niej nawet klucze.

– Klucze? – Kawka dogonił go i zaraz wszystko zrozumiał.

Wlot do jaskini niedawno zamurowano. W szary żelbet wpuszczono ościeżnicę i stalowe drzwi pomalowane popielatą, antykorozyjną farbą.

„Obiekt zabezpieczono w ramach unijnego projektu ochrony dziedzictwa kulturowego” – głosiła tabliczka, przynitowana do blachy.

Doktor pociągnął za nią, ale siedziała mocno.

– Żebraki. – Pogroził pięścią odległemu urzędowi wojewódzkiemu. – Że niby nie stać było dziadów na kilka cegieł i trochę cementu, musieli się obcych prosić... – Splunął. – A ja im: o!

Wyciągnął z kieszeni marker i wymalował pomiędzy gwiazdkami okazałą trupa czachę.

– Trochę to, panie kolego, niepolitycznie – odezwał się magister. – W końcu nasze badania, także te tutaj, też finansowane są z grantów unijnych.

– To zupełnie inna sytuacja! Przysyłają mi kasę na wykopaliska i co na to poradzę? –

Olszakowski westchnął z udawanym ubolewaniem i rozłożył bezradnie ręce. – Przecież nie oddam pieniędzy na zmarnowanie. Tak czy siak, wszystko gotowe. – Zatarł dłonie. – Jutro dotrze niewolnicza siła robocza i bierzemy się na poważnie do roboty...

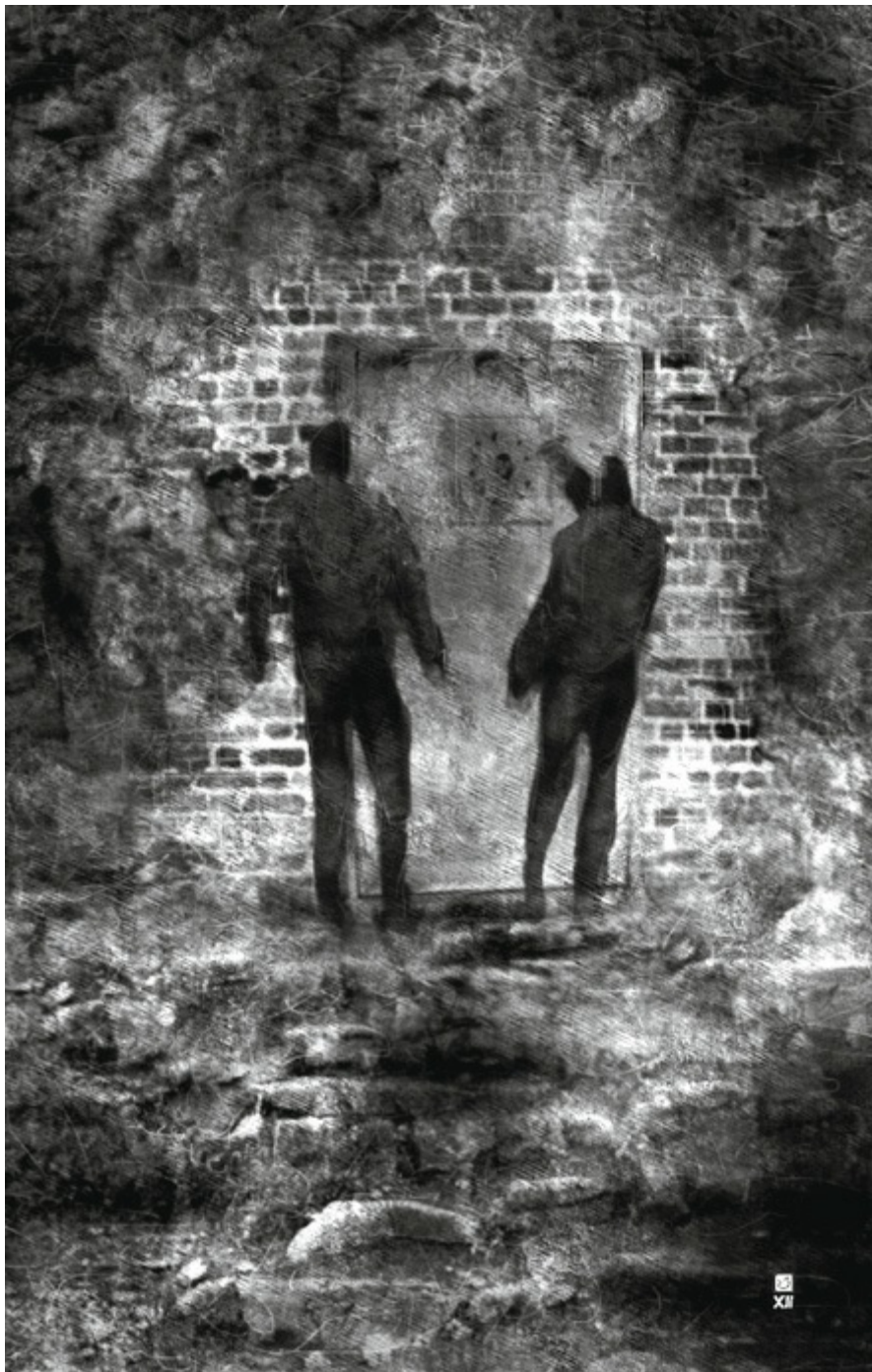
– Jeśli można, miałbym uwagę – mruknął Kawka.

– Tak?

– Myślę, że niezbyt politycznie jest uświadamiać studentom, że są tu niewolniczą siłą roboczą.

– Może i tak – skrzywił się Olszakowski. – Ale już za późno, powiedziałem im poprzednim razem. Zresztą jak zwał, tak zwał...

Uporał się z zamkiem i pchnął drzwi. Z wnętrza jaskini powiało miłym chłodem.



Zagłębili się w wilgotną ciemność. Światło latarki Olszakowskiego tańczyło po ścianach.

– To prawdziwy ewenement – powiedział. – W tej części Europy niewiele jest tak suchych jaskiń. Mamy w Polsce całą masę grot krasowych. Nie dość, że wilgoć pełza po ścianach, to jeszcze proces ich powstawania ciągle trwa. Woda rozpuszcza wapienie, ze stropu odrywają się kawałki... Woda drąży... Tu mamy sytuację niemal idealną...

– Jaskinia w gnejsach... I rudy jakieś tu widzę... – Kawka z zainteresowaniem oglądał szeroki pas błękitnawej skały przecinający skalną ścianę.

– Lazuryt albo jakaś podobna ruda miedzi – poinformował go Olszakowski. – Najciekawsze jest głębiej...

Wkroczyli do sporej komnaty o obłych zarysach. Strop ginął gdzieś w mroku. Dno pokrywało namulisko. Doktor oświetlił powierzchnię skały.

– Proszę spojrzeć! – Wskazał z dumą, jak gdyby to było jego odkrycie. – Jedyne w Polsce zachowane przykłady rytów jaskiniowych...

– Hmm, no tak. – Kawka usiłował być pod wrażeniem.

Szczerze powiedziawszy, rysunkom daleko było do dzieł z Altamiry czy Lascaux. Najlepiej zachowanymi elementami były czaszka i okazały fallus.

– Podobne trochę do lapońskich rytów naskalnych – zauważył. – Wspólne korzenie kultury łowców reniferów... Będziemy to badać? – Tupnął w namulisko. – Kto wie co się tu kryje...

– Kiedyś na pewno ruszą tutaj wszechstronne badania. Ale to nie nasze zadanie – uspokoił go towarzysz. – Na razie zrobili tu sondaż i wyszły jakieś ciekawe wyroby z rogu renifera i krzemienne narzędzia kultury magdaleńskiej.

– Ciekawe – mruknął magister. – Grota, obok coś jakby świątynia... Tradycja przetrwała? To chyba zupełnie nieprawdopodobne. Znaleźli groty i zrozumiawszy, że była wcześniej czymś sanktuarium, założyli obok własne? Ale może tamci ludzie wybierali sobie miejsca kultu, kierując się przesłankami, które są dziś dla nas nieczytelne?

– Coś w tej dolinie zafrapowało i łowców reniferów z paleolitu, i późniejsze o tysiące lat plemiona z epoki brązu... Kto wie... Coś też sprawiło, że Seleźniecki zainteresował się tym miejscem i zrobił sondaż. Opowiadali o nim, że umiał myśleć jak ci pradziejowcy. Znalazł szereg stanowisk, bo ukształtowanie terenu czy szata roślinna wydały mu się obiecujące...

– Idziemy szlakiem wytyczonym przez naszych poprzedników... – mruknął Kawka. – Ale my zajdziemy nim znacznie dalej. – Wyszedł z jaskini.

Olszakowski z trudem stłumił wesołość.

– Wiesz co? – odezwał się. – W tej grocie panuje przyzwoity chłód. Wykorzystajmy ją.

– Jak?

– Po co trzymać piwo w aucie, skoro może sobie spokojnie stać w chłodku?

W ciszy wieczoru z daleka dobiegał szum lasu. Górski strumyk wesoło ciurkał pomiędzy kamieniami.

*

Lars i Suongil jechali długo bocznymi drogami, wreszcie odnaleźli wioskę, w której zaczynał się dawny szlak przez góry. Ugadali chłopa, który za stówkę zobowiązał się przechować auto w stodole. Przebrali się w stroje obrzędowe, wziali tradycyjne obuwie. Na plecy zarzucili worki z wyposażeniem i ruszyli w góry. Początkowo szło gładko. Odnaleźli samotną skałę, wodospad, wzgórze z podwójnym szczytem. Niestety, zaraz potem natrafili na rozległy kamieniołom. Krążyli wokół, usiłując odnaleźć zerwaną nić szlaku, ale bez skutku.

– Dziadek wskazał mi drogę... – westchnął Suongil. – Problem w tym, że kraj bardzo się od tego czasu zmienił... Może gdybym mu wtedy towarzyszył, coś bym rozpoznał, ale tak...

Potrząsnął pękiem drewniek nanizanych na rzemień. Niestety, mapa okazała się prawie bezużyteczna...

– Minęło siedemdziesiąt lat... może osiemdziesiąt nawet, od kiedy jaskinię odwiedził ktoś z naszego ludu – uspokoił go Lars. – Świat się zmienia nawet u nas, w Laponii, a tu na południu rzeczywistość wręcz galopuje... Znikają lasy, góry zmieniają kształt, rzeki bieg, a samotne głazy wyrywane są z ziemi.

– Użycie map białego człowieka byłoby pogwałceniem tradycji. – Szaman schował drewnienka do kieszeni.

– Duchy poprowadzą?

– Słyszę ich głos, ale odległy i słabo... Trafimy... – zapewnił pobratymca. – W każdym razie udajmy się w tę stronę. – Wskazał dłonią kierunek. Dolina i grota nie mogą być daleko.

– Czy niebezpieczeństwo...?

– Tak. Wyczuwam je teraz wyraźnie. Dobrze odczytaliśmy znaki. Nad naszym sanktuarium zawisła groźba całkowitego unicestwienia...

*

Rankiem Olszakowski i Kawka rozłożyli sprzęt geodezyjny. Na solidnym głazie wyznaczyli sobie prowizoryczny reper, domierzyli go starannie za pomocą GPS-u, altimetrem wyliczyli wysokość nad poziomem morza. Potem pociągnęli linki i założyli siatkę, wbijając drewniane słupki co pięć metrów.

– Będzie łatwo domierzać poszczególne wykopy. Kwadraty po ćwierć ara – mrucał Olszakowski.

Kawka wyciągnął odbitkę kserograficzną przedwojennego artykułu i obejrzał załączony planik.

– Mam nadzieję, że szybko zlokalizujemy miejsca wykopów Seleźnieckiego – powiedział. – Swoją drogą, czy to nie fantastyczne? Po osiemdziesięciu latach przybyliśmy, aby dokończyć badania naszego kolegi po fachu...

– I jak znajdziemy pordzewiałe konserwy i puste butelki po przedwojennym piwie, będziemy wiedzieli, że to nie były jakieś śmieci, ale cenny ślad naszych poprzedników – zadumał się Olszakowski. – Nie myślałem wcześniej o tym...

Kawka zgrzytnął zębami. Jakoś nie był w stanie wyczuć, kiedy jego zwierzchnik mówi poważnie, a kiedy robi sobie jaja... Filozoficzną dysputę przerwał warkot silnika.

– Oho, będziemy mieli gości – mruknął doktor. – Inspekcja z gminy ani chybi...

Istotnie. Po chwili opodał zaparkował dżip, a z jego wnętrza wygramolili się trzej goście. Wójt gminy wyglądał na starego, twardego partyjniaka. Morde miał barwy kartofla, łapy jak bochny chleba, a łeb kanciasty jak kowadło. Obok niego stał posterunkowy, też starszy wiekiem, chłop jak dąb o gębie koloru wołowiny, ozdobionej krzaczastymi brwiami, spod których łypały szare ślepia ubeka. Trzecim przedstawicielem władzy był szczurogęby młodzieniec o lizusowatym uśmiechu, co jakiś czas odruchowo zacierający dłonie. Przedstawił się jako radca prawny. Wszyscy trzej wbici byli w garnitury od Armaniego, co w zestawieniu z prostackimi gębami robiło wrażenie nieco komiczne.

Doktor od razu i bez wahania szczerze znienawidził wszystkich trzech.

– Witam przedstawicieli nauki w mojej gminie. – Wójt skrzywił się w parodii uśmiechu.

– Witam przedstawicieli władzy lokalnej na moich wykopaliskach – odgryzł się Olszakowski.

– My tu nie tylko władza, ale też inwestorzy. – Gliniarz dumnie wypiął pierś.

– Yhym... Ośrodek sportów zimowych?

– Pan zobaczy wizualizację. – Młody wyjął z teczki kolorowy wydruk. – Tu stanie mały przytulny hotelik na trzydzieści pokoi dwuosobowych, obok dolna stacja wyciągu narciarskiego, tam górna. – Wskazał pobliski szczyt. – Na tym stoku trzy trasy zjazdowe o różnym stopniu trudności... Do tego sauna fińska, parking. – Machnął ręką w stronę obozowiska archeologów. – A w grocie zrobimy klimatyczną podziemną knajpkę. Tylko trzeba będzie pokać trochę w głąb góry, bo zaplecze spełniające normy ISO...

– Się nie da – wzruszył ramionami Olszakowski. – Ta grota jest zabytkiem klasy zerowej.

– Yyy...? – zdziwił się wójt. – A, to trudno.

– Plany bardzo ambitne – pochwalił Kawka. – Tylko skąd wezmą panowie na to środki?

– Mamy zaoszczędzone, co najwyżej wyposażenie będzie na kredyt. Dziesięć lat zyski z kamieniołomu odkładaliśmy na lokaty. Ale trzeba walczyć z bezrobociem. To moja wieś, moja ziemia, moi ludzie. Ja tu władzę państwową zaprowadzałem. – Wójt dumnie wypiął pierś.

– Jak na osiemdziesięciolatka, świetnie się pan trzyma – pochwalił złośliwie archeolog.

Włodarz gminy wyglądał najwyżej na pięćdziesiątkę.

– Osiemdziesiąty drugi mam na myśli. – Wójt niemal się obraził. – Taka tu rebelia była między lasorobami i wśród roboli w kamieniołomie. Ale wziąłem towarzystwo za mordę, bo jeszcze by do lasu uciekali partyzantkę solidarnościową zakładać, reakcyjna ich mać. Tak żeśmy z panem posterunkowym w try miga porządek zrobili.

– Oj, nie żałowałem służbowej pałki. – Gliniarz wypiął pierś. – Do dziś chodzą jak w zegarku, strajki im nie w głowie... Tylko teraz już nie na państwowym robią, a na naszym.

– A teraz, dzięki naszemu panu wójtowi, gmina ma szansę na poważną inwestycję – dodał prawnik. – Wyciąg narciarski i centrum sportów zimowych, które zbudujemy, zapewnią...

„...niezłe możliwości prania brudnej forsy” – dokończył Olszakowski w myślach.

– ...wspaniałe perspektywy. Tak więc niech pan się zwija z tymi badaniami jak najszybciej, bo najpóźniej we wrześniu chcemy zacząć prace budowlane.

„Aha. Będą murować i tynkować zimą. To znaczy, że to nie będzie pralnia brudnych pieniędzy, tylko raczej zamierzają postawić budynki i czym prędzej opchnąć inwestycję jakimś frajerom” – doktor skorygował swoje teorie.

– Panowie, poważne badania archeologiczne to nie hop-siup – powiedział. – Sam proces badawczy wiąże się z nieodwracalną destrukcją obiektów, co pociąga za sobą konieczność szczególnie starannej dokumentacji...

– Destrukcja! – ucieszył się prawnik. – To znaczy, że badając, wszystko rozwalicie? Będzie można potem od razu wchodzić ze spychaczem?

– Szczególnie cenne znaleziska muszą oczywiście zostać zakonserwowane i najlepiej wyeksponowane in situ. To znaczy w miejscu znalezienia – skrzywił się doktor.

– Tak czy inaczej, proszę się śpieszyć – warknął wójt.

– Tak jeszcze zapytam – odezwał się magister Kawka. – Wedle naszej dokumentacji tam na wzgórzu powinny być ruiny kapliczki.

– Ruiny? – zaniepokoił się włodarz. – Walało się tam kiedyś trochę kamieni, podobno chłopci wyzbierali na utwardzenie drogi. Teren duży, nie sposób wszystkiego upilnować.

A potem zapakowali się do auta i odjechali.

– Uff... – sapnął Kawka. – Niejedno już w życiu widziałem...

– Komuch prowincjonalny, łeb zakuty, konserwowany betonem – mruknął

Olszakowski. – Żelazny elektorat rozmaitych... – Machnął ręką, nie kończąc myśli.

– Komfortu badań to my tu mieć nie będziemy...

– Kto wie... Na wszelki wypadek – wykrzywił się w paskudnym uśmiechu – na okazji rozmów z takimi jak oni mam coś odpowiedniego.

Wyciągnął z kieszeni paczkę po papierosach, a z jej wnętrza cyfrowy dyktafon.

– Fiu... – gwizdnął z podziwu magister. – Zestaw „mały Michnik”?

– Najlepiej mieć wszystko na piśmie. A jak nie na piśmie, to chociaż nagrane. Na wypadek gdyby różni kacykowie zmieniali zdanie czy coś. A zwłaszcza gdyby próbowali wpływać na tempo badań naukowych poprzez stosowanie nacisku werbalnego, pogroźek i tak dalej... – Puszył się jak paw. – A oczywiście najwyższy poziom szczerości uzyskujemy, gdy nagrywany nie wie, że jest nagrywany.

– Zachwyca mnie postęp dzisiejszej techniki – mruknął magister.

*

Studenci dotarli wczesnym popołudniem.

– Niezbyt obfity mamy zapas tej niewolniczej siły roboczej – zakpił Kawka.

– Byli już u mnie na wykopaliskach, znają się na rzeczy. Ta trójka spokojnie odwali robotę za dziewięcioro studenciaków. Każdy z nas dwóch wart jest pięciu zwykłych archeologów, zatem łącznie będzie nas tu jak dwadzieścioro.

– Dziewiętnaścioro? – policzył Kawka.

– To mnie licz za sześciu – mruknął Olszakowski i wyszedł na spotkanie współpracowników.

– Dawnośmy się nie widzieli. – Po kolei ścisnął dłonie przybyłych. – Pozwólcie, to jest magister Kawka, mój zaciekły wróg, dybiący od lat na mój stołek w instytucie, bombardujący dyrekcję ohydnymi donosami o moim dyletanctwie naukowym, alkoholizmie i rozkładzie moralnym...

– Trochę pan przesadza – bąknął podwładny.

Wątków obyczajowych akurat w swoich anonimach nie poruszał.

– Panie magistrze, to są... Anna, nazywałem ją Owcą, ale skubana zmieniła uczesanie... Izaura...

– Irena! – sprostowała studentka.

– Oraz Małpiasty, którego ja zwę bardziej naukowo Neandertalczykiem.

– Piotr, bardzo mi miło. – Student uściśnął dłoń magistra.

Studenci szybko się rozgościli. Rozbili namioty, wypakowali śpiwory. Olszakowski tymczasem nastawił wodę na makaron i otworzył puszki z gulaszem. Zasiedli do obiadu pod brezentowym daszkiem.

– Może nam pan powiedzieć, co konkretnie będziemy kopali? – poprosiła Irena. – W instytucie podali tylko jakieś ogólniki...

– To bardzo ciekawe miejsce – powiedział doktor. – Badano je w latach międzywojennych, niestety zachowały się tylko dwa marnej jakości sprawozdania, opublikowane w czasopismach naukowych. Całą dokumentację i nakopane zabytki diabli, to znaczy szkopy, wzięli.

– Zespół doktora Seleźnieckiego miał badać pozostałości dworu obronnego z szesnastego wieku – uzupełnił Kawka. – Dworu nie znaleziono, może nawet nie szukano, bo nasz uczony kolega, zamiast buszować po tamtej stronie wzgórz, wolał zagrzebać się ze swoim zespołem w tej dolince. Jak wynika z jego relacji, w trakcie badań znaleziono aleję menhirów, ale pozyskał materiał raczej z epoki brązu...

– Menhiry w Górach Świętokrzyskich? – Jedna ze studentek uniosła brwi ze zdumienia.

– Gucio tam, nie menhiry. – Olszakowski wzruszył ramionami. – Ten, co mu dał tytuł doktora, albo był taki głupi jak on, albo padł ofiarą szantażu. Wykonano wykop sondażowy biegnący z północy na południe. Zlokalizowano sześć lub siedem jam ofiarnych. Opodal rzędu kamieni coś w rodzaju studni. W całości wypełniły ją węgle oraz resztki kości i drobnych przedmiotów wrzucanych w ogień jako wota lub ofiary.

– Seleźniecki nie był niestety specjalistą od pradziejów – wszedł mu w słowo magister Kawka. – Jednak, sądząc z opisów, w najwyższej warstwie znajdowały się resztki ceramiki słowiańskiej oraz kilka dirhemów arabskich. W najniższej przy samym dnie kilka miseczek kultury łużyckiej.

Anna spojrzała z zaskoczeniem.

– Czyli to miejsce...

– Powiedzmy, świątynia – przerwał jej doktor. – Tak. Przypuszczamy, że była sporadycznie użytkowana przez kilkaset, może nawet około tysiąc lat. Trzy albo cztery kultury archeologiczne uznały to miejsce za szczególne. Sami rozumiecie, co to oznacza.

– Największe odkrycie w dziejach polskiej archeologii pradziejowej – mruknął Piotrek jakby sam do siebie.

– E, nie przesadzajmy – westchnął Olszakowski. – Ale żeby było jeszcze ciekawiej, rok temu podczas badań powierzchniowych na stoku pobliskiego wzgórza znaleziono tłupek kamienny kultury oryniackiej. A w tej górze – wskazał gestem – jest jaskinia. Jedyna w Polsce ozdobiona pradziejowymi rysunkami naskalnymi.

Obiad nieoczekiwanie przerodził się w kolację. Zapadał ciepły letni wieczór. Rozpalili w kręgu kamieni niewielkie ognisko, pojawiła się butelka wina. Każdy nalał sobie do kubka na palec, ale i tak zrobiło się wesoło.

– To właśnie lubię w wykopaliskach – mruknął Neandertalczyk. – Wieczory przy ogniu, pieczone kiełbaski, atmosfera jak... – urwał, nie umiejąc dokończyć swojej myśli.

– Jak na obozie harcerskim – dokończył doktor. – Tylko im nie wolno pić wina.

– Pan był kiedyś harcerzem? – zdziwił się Kawka.

– Nie, ale jak niedaleko wiochy moich dziadków harcerze obozowali, to co roku próbowałem im zaiwanić sztandar – pochwalił się uczony. – Raz się nawet udało, ale znali mnie z poprzednich prób, przyczaili się koło gospodarstwa dziadków i capnęli, jak wracałem z łupem. A chciałem oddać za okup.

– Okup? – zaciekawiała się Anna.

– Myślałem że zażądam sto pocałunków od ładnych harcerek... Ech, stracona młodość...

– Ja byłem w zuchach – wspominał magister.

– I za co cię wyrzucili?

– Za nic. Przeprowadziliśmy się, a tam, gdzie zamieszkałem, nie było drużyny.

Irena wstała, żeby nabić na patyk nową kiełbasę, ale potknęła się o pień. Kawka w ostatniej chwili złapał ją w objęcia, chroniąc przed upadkiem.

– Przepraszam – mruknął, odsuwając się.

Olszakowski nieznacznie ruchem odłożył aparat i sięgnął po butelkę z piwem. Nikt nie zauważył, że w zamieszaniu strzelił dwie fotki.

– W sumie to ekspedycje archeologiczne powinny mieć swoje sztandary – zauważył Neandertalczyk. – Skoro drużyny straży pożarnej mają... W czym jesteśmy gorsi?

– Wspaniała idea – ziewnęła Irena. – Ty pierwszy zaczynasz haftować. A jakby tubylcy wykradli, ty się z nimi będziesz całował.

– I własne pieśni, coś jak żeglarskie szanty – kontynuował Piotr niezrażony.

Zrobiło się chłodno, na szczęście jakimś cudem nie dokuczały komary. Magister sypnął na żar kilka łopat mokrego, rzeczno-piachu i wszyscy rozeszli się do namiotów.

Olszakowski wydobył laptopa. Otworzył starannie ukryty folder, wprowadził hasło. Otworzył zakładkę *haki na współpracowników*. Zdjęcia magistra z flaszką wina w dłoni wrzucił do podkatalogu *alkoholizm*, scenę ze studentką w jego objęciach do podkatalogu *rozkład moralny*.

– Czekaaj, kanalio – mruknął do siebie. – Tylko spróbujesz wygryźć mnie ze stanowiska! Ruski miesiąc popamiętasz.

A potem popatrzył na zdjęcia i zgrzytnął zębami. Nie wyglądały przekonująco. Były jakieś takie niewinne. Nijak się miały do tytułów, które już sobie w duchu układał. Innych kompromitujących materiałów jak na razie zebrał tyle co kot napłakał.

– Cholerny świętoszek – burknął. – Zabytków nie podkrada, za studentkami nie goni, za studentami zresztą też nie. Nie fałszuje dokumentacji. Nie pali. Nie gubi sprzętu. Cholera, nawet pije niewiele. Siedemdziesiąt publikacji, zna sześć języków obcych. Wygryzie mnie jak nic... Takiego gada na własnej piersi wyhodowałem. Z drugiej strony, może tak i lepiej dla nauki będzie... – Westchnął. – Nowe pokolenie archeologicznych technokratów, wyposażone w najnowsze zdobycze postępu technicznego, za to pozbawione dekadentckiego kolorytu dawnych kadr. Ale żal

dobrych, siermiężnych tradycji zawodu...

*

W sąsiednim namiocie magister Kawka, walcząc z sennością, dumiał nad swoim notesem.

„Jak by się tu gadowi dobrać do skóry...” – myślał. „W tym roku otworzę przewód doktorski. Habilitacja najwcześniej za parę lat. Mam rozgrzebane trzy nowe publikacje i generalnie tak góruję intelektualnie nad tym trollem, że szefostwo katedry należy mi się jak psu buda. Tylko żeby go wysadzić z siodła, jestem jeszcze za cienki. Musiałby się czymś strasznie podłożyć... Wprawdzie jego techniki badawcze są na poziomie nieomal dziewiętnastowiecznym, ale jeszcze mieszczą się w granicach wymogów... Nie stanowią błędu w sztuce. Pije ostatnio mało, pilnuje się dziadyga, bo wcześniej podobno pół litra duszkiem potrafił wydoić. Nie robi propozycji studentkom. No i ma na koncie odkrycia. Dość regularne... Do tego doświadczenie, nosa do znalezisk i fart. W dodatku uczciwy, cholernik, znalazł garnuszek monet, w tym pięć unikatowych rocznikowo dukatów gdańskich, i nic nie zaiwanił... Trudno, pozbieram za kilka lat haki i zobaczymy. To stanowisko będzie moje!”

Ziewnął i wczołgał się do śpiwora. Po chwili już spał.

*

Dziwne, posępne dudnienie niosło się pomiędzy wzgórzami. Doktor wstał pierwszy, jego krzątania obudziła też współpracownika drzemiącego w sąsiednim namiocie.

– Co to, do cholery, jest? – parsknął Olszakowski, drepcząc koło auta. – Dyskoteka w remizie? Czy może jakieś urządzenie przemysłowe?

– Ktoś wbija pale mostowe kafarem? – zasugerował Kawka.

– W środku nocy?

– Może muszą plan wyrobić?

– Ale od dawna nie obchodzi się już święta dwudziestego drugiego lipca, więc jaki, u licha, plan i jaki termin? Zresztą skoro w stolicy linię metra budują z trzyletnim poślizgiem, to sądzisz, że na prowincji przykładają się do terminów bardziej?

– To faktycznie zastanawiające... Idziemy sprawdzić? – zaproponował.

– A jeśli to pułapka? – nastroszył się doktor.

– Na nas?

– No fakt, a komu my potrzebni... Chyba że na narządy do przeszczepów. Mnie wytną nerki, bo dobrze płukałem piwem, panu, panie kolego, wątrobę... A jak nie do przeszczepów, to może na grilla... – błaznował. – Serca mamy czarne jak węgiel i nazbyt rogate, by się do czegoś nadawały...

Ale wyciągnął z namiotu długą afrykańską maczetę i mocną latarkę. Kawka wziął

stylisko od łopaty.

– Zostawimy tak studentów bez opieki? – zapytał magister.

– Pełnoletni są...

– No niby racja.

– A jak ci ludożercy, co tam biją w tam-tamy, będą na tyle zajadli, że pokonają nas, to i Neandertalczyk nie obroni dziewczyn. Zostaną pożarte i zgwałcone... Albo zgwałcone i pożarte raczej... – Udał, że wzdycha marzycielsko.

– Ludożercy?

– Masa studentów z Afryki studiuje w Polsce. Kto wie co robią w wakacje...

„To jest konkretny hak” – ucieszył się Kawka. „Doktor jest rasistą i nawet się z tym nie kryje! Żeby tylko udało się coś takiego nagrać, miałbym go jak na widelcu” – rozmarzył się.

– To co? – Olszakowski dał mu sójkę w bok. – Idziemy tropić kanibali w górach czy odpuszczamy i wracamy spać?

– Chodźmy... Niech pan spojrzy. – Wskazał szczyt jednego z wzgórz. – Coś jakby... ognisko?

– Fakt, jaśniejsza plama... Poblask jakiś. Sprawdzimy.

Ruszyli w stronę, z której dobiegały hałasy. Najpierw dłuższy czas szli przecinką, którą tu przyjechali, potem zakręcili w las. Na szczęście księżyc był już prawie w pełni, potykali się co jakiś czas o korzenie, ale drzewa rosły na tyle rzadko, że coś tam dało się zobaczyć. Latarek nie zapalali. Dźwięk gubił się w lesie, myliło ich echo. Już mieli zrezygnować, gdy dostrzegli daleko słaby poblask jakby ogniska.

Na polance stał szałas ze świerkowych gałęzi. Pomędzy drzewami otwierał się widok na ich dolinę. Poblask sączył się z wnętrza szałasu. Dudnienie też dobiegało ze środka. Olszakowski pokazał dłońmi, że powinni zejść z dwu stron. Rozdzielili się.

Szałas z jednej strony był zupełnie otwarty. Obaj archeolodzy podkradli się cichutko i zajrzeli. Źródłem blasku były dwie pochodnie wetknięte w klepisko. Pośrodku siedział starzec ubrany w dziwną skórzaną kurtkę i równie nedorzecznie odziany chłopak w wieku ich studentów. Starzec stukał w skórę sporego bębna widełkami. Na napiętej, pokrytej znakami membranie podskakiwało masywne miedziane kółko.

Oczy obu mieszkańców szałasu były zupełnie nieobecne, jak gdyby wpatrywali się w inną rzeczywistość. Nie zauważyli archeologów. Doktor dał znak do wycofania się. Po chwili szli już lasem ku przecince.

– W Indian się bawią? – mruknął Kawka.

– Spało się na zajęciach z etnografii? – zakpił Olszakowski. – To lapoński bęben rytualny, widziałem takie w muzeum w Sztokholmie. A ich stroje też przecież nie są indiańskie. Te wyszycia cynowymi nitkami są charakterystyczne dla Saamów.

– Skąd tu Lapończycy!?

– A cholera ich wie. Ze Szwecji pewnie. Bardziej mnie martwi, że płaczą się w

okolicy, w której ja kopię!

– Jest pan, panie kolego, wyjątkowo mało tolerancyjny.

– Po prostu cholernie nie lubię świrów na moich wykopaliskach. Ilekroć się jakiś w pobliżu pojawi, wynikają z tego rozmaite problemy. Nawiedzonych nie brakuje... Raz mi rytualną orgię zrobili w nocy na wykopie, akurat odkopałem cztery głazy i palenisko między nimi. Chyba pomyśleli, że to świątynia jakaś czy co. Przychodzę rano, a tu leżą mi w wykopie kobiece majty i dwie butelki po jabolu... Diabli nadali... A to nie było żadne miejsce kultu, tylko ruiny szesnastowiecznego wiatraka...

– A czemu pan przypuszcza, że to była orgia rytualna?

– Bo pełnia księżycy akurat wypadła, a na piachu była goła rzyć odbita. Znaczący czas odpowiedni, a do tego nie podłożyli nawet koca. Na gołej glebie i seks, i alkohol, żadnych prezerwatyw, zatem zespół śladów typowy dla prymitywnych zachowań parareligijnych. Może nawet chcieli spłodzić dziecko obdarzone jakimiś mocami. Wiesz, świry mają takie pomysły.

– A zamiast tego spłodzili przyszłego młynarza. Wstrząsające – mruknął Kawka.

Ton jego głosu nie podobał się doktorowi. Czyżby podwładny kwestionował interpretację śladów?

– A mi ze dwa razy nasrali do wykopu – rozżalił się magister. – A raz w nocy zakopali nam pluszowego misia akurat pośrodku cmentarzyska. Co za naród, co nauki nie szanuje...

– A tym dwóm trzeba by wygłosić pogadankę na temat ciszy nocnej – gderał kierownik wykopalisk. – Jak tak będą bębnić po nocach, to się nie wyśpię. A niewyspany archeolog to zły archeolog i nie mam tu na myśli braku dokładności badawczej, tylko spadek poziomu siły fizycznej niezbędnej do sprawnego machania łopata...

*

Olszakowski poderwał ekipę o szóstej rano. Nim słońce na dobre wyjrzało zza gór, wszyscy uwijali się już z łopatami na wykopie. Wycięli marniutką darń i teraz zeszli plantem, przygotowując dwa wykopy sondażowe. I tu pojawiły się pierwsze problemy.

– Coś mi się tu cholernie nie zgadza! – burknął doktor, patrząc na rozległą płaszczyznę doczyszczoną przez studentów.

– Żadnych śladów osadnictwa? – odpowiedziała Irena.

– To swoją drogą... – mruknął i zasepił się.

Wbił łopatę w glebę i długo spoglądał w głąb niedużego dołka.

– Co to, cholera, jest? – warknął wreszcie. – Mamy warstwę humusu. – Pokazał cienki ciemny pasek u góry. – Mamy warstwę bielcowania, ale tu powinna być już kolejna warstwa... w miejscu, gdzie woda osadza drobinę organiczną z warstw górnych

– dodał, a potem westchnął ciężko, widząc miny studentów.

– Pan doktor ma na myśli, że gleba ma pasek czarny, poniżej piaseczek wypłukany do czysta, a niżej miejsce, gdzie osiada syf wypłukany z piasku – wyjaśnił Neandertalczyk.

– Dostaniesz plusa za aktywność na lekcji. A teraz wyrąbcie mi tu gdzieś dołek tak z metr głęboko, bo grubiej chyba im się nie kalkulowało piachu wozić.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zdziwił się Kawka.

– To, że nasza ubolska trójka wywaliła tu trzy lub cztery lata temu kilkadziesiąt wywrotek piachu, żeby przykryć wszelkie ślady pradziejowe, coby nam się wydawało, że teren jest dziewiczy. Nawtykali nawet trochę krzaczków i zasiali wszystko ładnie murawą, zapewne podebrali część nasionek przeznaczonych na lokalnego orlika...

– Yyyy... – jęknęła Irena. – Czy to możliwe?

– Od początku coś mi tu zgrzytało – warknął. – Popatrz, w tej dolinie prawie nie ma piachu. Szara gleba, kamienie, skały, tylko tu równa łączka, akurat w miejscu, gdzie planujemy kopać. Skąd się tu wziął?

– Woda naniósła? – zaproponował Piotrek.

– Jaka woda, skoro rzeczka jest znacznie niżej? I skąd. Popatrz na te góry...

– Coś mam – zameldowała Anna.

Przekopła się pierwsza. Pod piachem, na głębokości może trzydziestu centymetrów, widać było szlamowatą masę przegniłych traw...

– Cholerne wilki szuwarowo-bagienne – burknął Olszakowski teraz już naprawdę wkurzony. – Gównu będą mieli, a nie zgodę na budowę. Taki raport wysmażemy, że swoimi planami architektonicznymi będą mogli co najwyżej w sławojce tyłki podetrzeć!

– Jak to? – zdumiał się Małpiasty.

– Jesteśmy archeologami – odparł doktor. – Siłą, która wstrzyma każdą wielomilionową inwestycję! Pamiętacie sprawę tuczarni świń w Paskowie Dolnym?

– Tam, gdzie w miejscu inwestycji odkryto celtycką osadę? – zdziwiła się Irena. – Z tego, co wiem, archeologom, którzy tam kopali, udowodniono fałszerstwo naukowe, podkładanie zabytków, próbę wyrwania łapówki od inwestora...

– Sfalszowali ślady osadnicze, używając zabytków z magazynu swojego instytutu. Paleniska usypali z użyciem autentycznych węgli... tyle że z innego rozkopywanego stanowiska. Traf chciał, że detektyw inwestora narobił im fotek przy robocie – rzekł Neandertalczyk. – Bez tego to by nawet badania C-14 mogły wyjść prawidłowe...

– Hmm... no tak – bąknął Olszakowski. – To może nie jest najlepszy przykład...

– Była kreatywna księgowość, a oni wymyślili kreatywną archeologię. – Kawka uśmiechnął się krzywo.

– Na szczęście my niczego nie musimy aranżować! – huknął doktor. – Bo sensacyjne znaleziska tu są i wymagają ochrony... Tylko trzeba grzebnąć ciut głębiej.

– Wójt ma pewnie w swoim kamieniołomie spychacz – rozmarzył się Kawka.

– I pewnie nie pożyczę. Trudno, doszło nam parę dni głupiej i niepotrzebnej roboty. Ale nic na to nie poradzimy. Grzebiemy dalej. Trzeba zejść do dawnego poziomu gleby – poleciał, mocniej chwytając stylisko łopaty.

Dochodziło południe, gdy na wykopie pojawili się dwaj nieoczekiwani goście. Obaj przybysze wyglądali dziwnie. Odziani byli w spodnie i koszule z jakiegoś samodziału, mieli skórzane, jak gdyby indiańskie, kurtki. Przy szerokich pasach wisały noże z kościanymi rękojeściami, jakieś sakwy... Nogi też obuli w dziwne łapcie. Mimo odmiennego ubioru doktor od razu rozpoznał mieszkańców szałasów. Szczecina na karku zjeżyła mu się jak u dzikiego zwierza.

– Dzień dobry – odezwał się niższy po polsku, ale z akcentem świadczącym, że niekoniecznie jest to jego język ojczysty.

– Jednym dobry, innym zły, a jeszcze innym być może ostatni – Olszakowski warknął, dobywając z gardzieli najmniej sympatyczną z barw głosu.

– Chciałbym uzyskać informację, kiedy jaskinia, którą panowie badacie, będzie udostępniona turystom – odezwał się chłopak.

– Nigdy – padła pełna godności odpowiedź. – To absolutnie unikatowe stanowisko archeologiczne, podlegające bezwzględnej ochronie.

– Aha. A po zakończeniu badań?

– Też nie. Zresztą jest tak cenna, że my sami nie zdecydowaliśmy się jej badać. Tu trzeba milionowych nakładów i światowej klasy specjalistów. My się jej nawet nie dotykamy.

„Tylko piwo się w niej chłodzi” – dodał Kawka w myślach.

Chłopak przetłumaczył słowa naukowca towarzyszowi. Ten stropił się wyraźnie, a potem wzruszył ramionami i wygłosił dłuższą tyradę.

– Ta grota to nasze święte miejsce. Chcieliśmy odprawić w niej obrzędy – wyjaśnił młody. – Unia Europejska gwarantuje nam wolność wyznania i dostęp do miejsc kultu. – Wskazał tablicę informacyjną.

A potem dostrzegł na niej trupa czaszkę nabazgroloną markerem i popadł w zadumę.

– Odbywamy coś w rodzaju wizytacji – odezwał się stary po angielsku. – Oddajemy pokłon duchom tych ziem i ceniom naszych pobratymców. Ożywiamy na chwilę tych, którzy odeszli, by wiedzieli, że o nich pamiętamy.

– Aha. Takie Święto Zmarłych. – Doktor przełożył sobie wywód na prostszy język.

Teraz dla odmiany obaj przybysze zrobili trochę kwaśne miny, ale kiwnęli głowami, jakby potwierdzając jego domysły.

– Ta jaskinia to unikatowy zabytek, mogą ją badać wyłącznie specjaliści. – Olszakowski trochę miękł.

– W Unii Europejskiej obowiązuje tolerancja religijna – bąknął Neandertalczyk.

– Każdy następny, kto powie przy mnie „Unia Europejska”, dostanie w japę – warknął doktor. – Może i sponsorują nasze badania, ale prawdziwy archeolog powinien

być absolutnie nieprzekupny. Zaś co do tolerancji religijnej. – Spojrzał krzywym okiem na przybyszów. – Co zamierzacie tam panowie konkretnie robić?

– Palić zioła, śpiewać, grać na bębnie – wyjaśnił chłopak.

– Zioła? – zaciekawiał się Neandertalczyk.

– Nie takie zioła – zgasił go przybysz. – Będziemy też malować sobie na skórze wzory. O rany, filmów podróżniczych nie oglądaliście!?

– Hmm... – burknął Olszakowski. – Obudzicie złe duchy...

– Raczej zaśpiewamy im, by spały dalej.

– Z punktu widzenia katolickiego fundamentalizmu zmuszony jestem wasze obrzędy surowo potępić. – Doktor zrobił minę na tyle świętoszkowatą, na ile rysy twarzy pozwalały. – Z drugiej strony, usypianie duchów, choć metodami nieautoryzowanymi przez nasz Kościół, może mieć skutek pozytywny... A tolerancja religijna była u nas na długo przed rządami eurofaszystów z Brukseli i będzie trwała, gdy ślad już po nich nie zostanie – warknął w stronę studentów. – Oto klucze. – Wręczył staremu pęk. – A i jeszcze jedno, podłóżcie pod te zioła metalową miskę, żeby nie siać popiołem, bo zakłóci datowanie radiowęglowe. Wolno wam używać metalu?

– Wolno – uspokoił go młody. – Nawet coś odpowiedniego znajdzie się w naszych bagażach. – Klepnął worek.

– To do dzieła. A wy nie stójcie jak kołki! – huknął doktor na studentów. – Oni mają swoją pracę, a wy swoją.

Lapończycy podziękowali i zagłębili się w jaskini.

*

Obaj przybysze weszli do wnętrza groty i zapalili latarki. Ominęli pięć zgrzewek piwa. Suongil wyjął z kieszeni kolejny pęczek drewniaków. Szedł, porównując znaki wyryte na ścianach z tymi widniejącymi na naszyjniku.

– Tu gdzieś powinno być przejście dalej... – mruknął, rozglądając się po największej sali.

Lars powoli i w skupieniu badał namulisko.

– Tutaj – powiedział i z wysiłkiem podniósł kamienną płytę w rogu. Zeszli na dno niskiego chodnika i po kilku minutach znaleźli się w znacznie większej grocie. Jej ściany wręcz kipiały podbarwionymi rytami. Pod ścianami spoczywały nieforemne pakunki. Po tyłu wiekach skóra rozsypywała się w pył, odsłaniając grudki ochry i zniszczone, pożółkłe kości.

– Szamani tego ludu... – szepnął Lars. – Tyle burz przewaliło się przez ten kraj, tyle ludów przyszło w te góry i odeszło, ale nikt nigdy nie zakłócił ich spokoju... A teraz przez kilku chciwych drani...

Na podłodze nadal leżały resztki przegniłej słomianej maty, a pod nią szczątki

szwedzkiej gazety z lat dwudziestych.

– Dziadek nie posprzątał po sobie... – mruknął z naganą stary. – Miejmy nadzieję, że szef archeologów nie zechce zajrzeć, co tu robimy... Lepiej, by nikt nie odszukał tej części podziemi...

– Dlaczego on taki jest? Morda zbója, mina, że bez kija nie podchodź, maniery nomen omen jaskiniowca, ale jednocześnie niemal od razu się zgodził...

– Dobry człowiek, ale gra twardego drania. Zapewne podłożyli mu świnie o jeden raz za dużo – westchnął Suongil. – Teraz wszystkim pokazuje maskę...

– Wezwiemy ich? – chłopak zmienił temat.

– Tak.

Rozłożył dla ucznia skórę renifera. Zapalił wiecheć ziół, które wyrosły w cieniu szczytu Kebnekaise.

Młody położył sobie na kolanach szamański bęben i wprowadził skórę w drgania. Długo myślał, że to na nic, że cienie tych ludzi odeszły zbyt daleko, ale gdy prawie tracił już nadzieję, poczuł ich obecność.

Spojrzał w przyszłość i zmartwiał. Zaczął sprawdzać alternatywne warianty. Wszystkie wyglądały równie paskudnie. Bez interwencji grota ulegnie zniszczeniu... Jej zniszczenie pociągnie za sobą kolejne katastrofy. To będzie jak pierwsza przewrócona kostka domina. Rozhulają się złe duchy... Trzeba działać, ratować, zmieniać...

*

Na lekkim skłonie od strony rzeczki nieoczekiwanie zarysowała się czerwona plama. Gleba usiana była okruchami krwistej barwy, pomiędzy nimi tkwiły gęsto czarne drobiny węgla.

– Cegły czy co? – mruknęła Irena, grzebiąc szpachelką. – Albo może spalona lepianka, bo to raczej wygląda na kawałki glinianej polepy, a nie na cegły...

– Hmm... – Olszakowski obejrzał kawałek gliny. – Dymarka! Ciekawe, proszę eksplorować.

– Dymarka? – zdziwił się Kawka. – Miała być świątynia, a znaleźliśmy piecowisko?

– Jedno drugiego nie wyklucza – dumął na głos kierownik. – Mogła być najpierw świątynia, potem osada produkcyjna. Albo jednocześnie.

– Może robili tu świętą broń? – zamyśliła się Irena.

– Na przykład magiczne miecze bogów do obcinania głów szczególnie zasłużonym wrogom... Albo ja wiem... – Olszakowski wzruszył ramionami.

Studenci szybko odczyścili spory kawałek. Fragmenty przepalonych ścian pieców, resztki węgla, drobiny rdzawych zapieczonych żużli...

– Od razu widać, że to żużel prądziejowy. – Doktor zważył kawałek w dłoniach. – Współczesne są o wiele lżejsze... Doczyście, proszę, na tym poziomie i zróbcie

dokumentację. Koniecznie z niwelacją...

– Góry Świętokrzyskie – mruknął Kawka. – Rudy tu pod dostatkiem, i to wysokiej jakości. Co gorsza, eksploatowały ją wszystkie ludy, które opanowały sekret wytopu żelaza. Jak pan sądzi, z jakiego to okresu?

– Cholera wie – westchnął Olszakowski. – Technologia niewiele zmieniała się przez tysiąc lat. Jak znajdziemy coś z ich wyposażenia, na przykład szklane celtyckie bransolety... – rozmarzył się.

Studenci uwijali się, odsłaniając resztki kolejnych sześciu dymarek...

– No i świetnie. – Kierownik zatarł dłonie. – Siódemka to w wielu kulturach magiczna liczba...

Niestety, chwilę później światło dzienne ujrzał ósmy kloc pradziejowego żuźla i teoria zgasła jak zdmuchnięta świeca...

Poniżej na stoku zarysował się ślad ogromnej jamy o przepalonych glinianych ściankach. Wewnątrz było aż czarno.

– Mielerz do wypalania węgla drzewnego – zinterpretował znalezisko Kawka. – Ciekawe, czemu w tym miejscu.

– Doczyście pod fotografię i na dziś koniec – poleciał Olszakowski. – Kto z was jest najbardziej tolerancyjny religijnie, niech zajrzy do jaskini, co te cudaki tam knują, zapomniałem z tego wszystkiego skontrolować... Może właśnie żłopią nasze piwko...

Ale obaj Lapończycy po chwili sami wychynęli na światło dzienne. Lars oddał doktorowi pęczek kluczy. Piwem od nich nie woniało.

– No, i jak tam wasze obrzędy? – zagadnął doktor. – Duchy uśpione czy mam w pilnym tempie wzywać diecezjalnego egzorcystę, żeby po was posprzątał?

– Śpią – uciął szaman.

– Duch ziemi też? Bo słyszałem od geologów, że między Kielcami a Radomiem anomalie wód geotermalnych wskazują, że powoli budzi się wulkan...

– Nim zacznie wam zagrażać, te ziemie znowu pokryje lodowiec – uspokoił go stary. – Ale jeszcze byśmy skorzystali z groty, jeśli można, za kilka dni...

– Zapraszam, drzwi zawsze otwarte. To znaczy, zawsze zamknięte, ale jakby co, klucze u mnie.

*

Po obiedzie doktor zaczął pakować torbę.

– Idę na mały rekonesans – powiedział – A przy okazji zrobię trochę dokumentacji dla miejscowej delegatury WKZ.

– Dokumentacji? – zaciekał się Neandertalczyk.

– Tam na szczycie była kapliczka – mruknął Olszakowski. – Z tego, co pamiętam, drewniana, na kamiennej podmurówce. W latach siedemdziesiątych „się spaliła”.

Nieznani sprawcy, za cichym przyzwoleniem władz. Co ciekawsze, wyposażenie wyparowało oczywiście grubo wcześniej. Ale fundament powinien być. A jeśli go nie ma, to warto by się przyjrzeć dlaczego...

– Chłoptwo bywa gorsze niż buldożer – zasugerowała Irena.

– Bywa, ale tym razem to mi nie wygląda na robotę wieśniaków. Zwłaszcza że tu ludzie są religijni i raczej nie niszczą miejsc kultu. Szczególnie własnego kultu. Ktoś chce iść ze mną?

Wszyscy chcieli. Ruszyli zatem przyszlą nartostradą pod górę. Olszakowski, sapiąc jak parowóz, wdrapał się na szczyt pagórka.

– No i co chrzanili, że nie ma śladu po kapliczce, skoro widzę czarno na białym, że jest? – parsknął.

Faktycznie, na szczycie wzniesienia wyraźnie rysował się fundament zbudowany z niewielkich skalnych okrzesków.

– Chwila, moment! – odezwał się Kawka. – Nie odnosi pan wrażenia, że to jakby trochę za nowe?

– Za nowe – zasepił się archeolog.

Rzeczywiście, fundament wyglądał niepokojąco świeżo. Zbudowano go wyjątkowo solidnie. Kratownica z szyn od kolejki kopalnianej zalana została betonem. Wpuszczono w niego kilka piaskowcowych płyt. Z kamiennych okrzesków wykonano tylko obramowanie.

– Solidna robota – ocenił doktor. – Nawet wybuch atomowy tego nie ruszy... ale zabytek toto nie jest. Stare są tylko te płyty wbetonowane pośrodku...

– Może było tak, że ktoś zburzył ślady dawnej kapliczki, a kto inny uratował, co się dało, i szykuje się, by stawiać ją na nowo? – podsunęła Irena.

– To niewykluczone, ale podejrzewam raczej, że wójt zaczął już prace nad budową tutaj górnej stacji wyciągu, a resztek kapliczki użył jako surowca budowlanego.

Kawka wziął aparat i zaczął spokojnie strzelać fotki, by udokumentować „aktualny stan zabytku”.

– Możemy jeszcze spojrzeć na wiochę – zaproponował doktor i ruszył ścieżką przez zagajnik.

Dotarli na kolejną górę. W dole widać było paskudną osadę zabudowaną gierkowskimi klockami, a na jej skraju stosy kamieni i ciężki sprzęt używany do robót.

– Dlaczego nie budują ośrodka narciarskiego na skraju wsi? – zdziwiła się Irena.

– Bo najpierw musieliby posprzątać – rzucił hipotezę Neandertalczyk.

– Od tej strony stok jest zbyt skalisty – wyjaśnił Olszakowski. – A i widoki średnio turystyczne...

Rozległy kamieniołom rozciągający się opodal wiochy nawet z daleka sprawiał paskudne wrażenie.

– Zawracamy? – zaproponował Kawka.

– Tak, ale rzucimy jeszcze po drodze okiem na jedno miejsce – odparł kierownik.

Ruszyli, na szczycie kolejnego wzgórza widać było ślady okopów. Czas i erozja zatarły je mocno, jednak nadal wyraźnie rysowały się pozostałości rowów strzeleckich i dwa zakłębienia po schronach polowych.

– Małe refugium – ocenił doktor. – Na kilkudziesięciu ludzi. Jak cesarsko-królewscy przerwali front, to carscy się tu skupili i ostrzeliwując, wiązali siły przeciwnika ciągnące tą doliną na północ.

– Czekali na odsiecz? – zasugerował Neandertalczyk.

– Prawdopodobnie przez kilka dni toczyły się tu walki. Niezła pozycja, ale trudna do utrzymania przez dłuższy czas...

Pośrodku dawnych umocnień stał niewielki brzoźowy krzyż. Część pnia ściosano na płask.

„Nieznanymi żołnierze rosyjscy † 1914” – głosił napis wykonany bezpośrednio na drewnie wodoodpornym markerem.

– Kto to postawił? – zdziwiła się Irena.

– Poszukiwacze skarbów, którzy przyleźli tu z wykrywaczami metali i szukając militariów, trafili przy okazji na ludzkie kości – mruknął doktor. – Różni się wśród nich trafiają. I zwykle parszywe hieny i tacy, którzy coś sobą reprezentują... Tu widać byli ci, którzy starają się utrzymać pewien poziom. Pogrzebali znalezione szkielety, krzyż postawili, nawet doły po sobie zasypali. Ale dobrze, że nam w stanowisko nie wjechali...

– Myślałem, że my, archeolodzy, mamy ich programowo zwalczać jak wroga klasowego – zaczął Neandertalczyk.

– Z tymi co bardziej cywilizowanymi da się jakoś współpracować – wzruszył ramionami Olszakowski. – Często świetnie znają okolicę, bywa, że nawet zgłaszają miejsca, gdzie coś wychodzi... Ja tam im łusek czy manierek nie żałuję, byle trupów nie obrabiali i bydła nie robili.

Gdzieś z daleka wiatr przyniósł dudnienie bębna.

– Ci to mają... zdrowie – westchnęła Anna. – Naprawdę są potomkami tych, którzy wykonali malowidła w jaskini?

– Lapończycy to paleoeuropeidzi. Potomkowie pierwotnej ludności Europy – wyjaśnił magister. – Kolejne fale osadników spychały ich coraz dalej na północ. Ale wiązanie ich z kulturą magdaleńską, z łowcami reniferów sprzed dwunastu tysięcy lat to raczej gruba przesada...

*

Następnego dnia trafili wreszcie na to, co Seleźniecki uznał za pozostałości świątyni. Odślonili jeden duży głaz, opodal spod piachu wyłoniły się czubki czterech kolejnych.

Tworzyły ewidentnie linię prostą. Olszakowski rozdał studentom stalowe szpile. Ostrożnie nakłuwając ziemię, oznaczyli miejsca, gdzie kryły się kolejne. Powtykali tam kije. W odległości trzech metrów znaleźli linię równoległą. Wreszcie wszystko zaczęło zgadzać się z przedwojennym opisem. Zapewne gdy do doliny dotarł doktor Seleźniecki, głazy były jeszcze widoczne ponad powierzchnią ziemi...

Doktor długo stał, kontemplując znalezione ślady.

– To urwisko ewidentnie było ważne – mruknął. – Podwójna linia menhirów... no dobra, wiem że to nie ta epoka. – Skrzywił się demonstracyjnie. – Te dwa rzędy głazów to coś jak aleja prowadząca w jego stronę. Do tego zapewne paleniska i doły, a w nich rozmaite zwęglone dobra ofiarne...

– Kopiemy sondaż w poprzek alei? – zasugerował Kawka.

– Dobry pomysł.

Warstwa kulturowa, jak się okazało, zalegała bardzo płytko. Na całej niemal wyznaczonej powierzchni studenci szybko odsłoniли warstwę czarnej gleby przesyconej drobkami węgla drzewnych.

– Świątynia? – zapytał Neandertalczyk. – Czy może raczej miejsce ofiarne?

– Zależy, jak definiować – skrzywił się doktor. – Ale sprawowano tu kultury przez dziesięciolecia, może stulecia nawet... – Podniósł z sita jaskrawozieloną grudkę.

Poskrobał palcem, usuwając część piachu zlepionego związkami miedzi.

– Nadtopiona fibula – zauważyła jedna ze studentek. – Okres wpływów rzymskich, sądząc po kształcie.

– Więcej niż kilkadziesiąt lat – mruknął. – Może nawet i kilkaset. Seleźniecki sądził, że tradycja była żywa od paleolitu do epoki żelaza, ale to raczej mało prawdopodobne. Ściągać to grackami, pomalutku, warstwa na powiedzmy dwa centymetry – polecił. – Całą glebę przez drobne sito i miejcie oczy szeroko otwarte.

– Będziemy potrzebować więcej ludzi – zauważył Kawka. – Co najmniej kilkunastu. I roboty tu na jakieś dwa miesiące... Bo z uwagi na nieprzyjazne otoczenie chyba trzeba będzie skończyć od jednego kopa, nie zostawiać nic na przyszły sezon.

– Yhym – Olszakowski zgodził się z argumentacją.

*

Zapadał wieczór. Studenci, nieludzko umęczeni, rozsiedli się wokół ogniska. Kawka wyskoczył po południu do miasta po zaopatrzenie, więc teraz na ruszcie skwierczały kawały soczystej karkówki. Doktor sięgnął do swoich zapasów płynów rozweselających. Ekipa zdążyła się dwa razy ciut pokrzepić, gdy chrzęst kamieni zapowiedział gości.

– Co za czasy parszywe nastaly, że wykopaliska, zamiast w gablotach leżeć, żywych nachodzą... – Olszakowski twórczo przerobił zdanie wyczytane kiedyś w książce

skonfiskowanej studentom. – Siadajcie! – Wskazał szamanom miejsce przy ognisku.

Usiedli na kawałkach karimaty.

– Samogonu? – zaproponował.

Skinęli uprzejmię głowami.

– Izaura, skocz no do magazynu po kubki – poleciał Irenie.

Studentka pobiegła i po chwili przyniosła dwa aluminiowe naczynia. Olszakowski polał hojnie i wręczył przybyszom.

– Mięsko niebawem się upiecze.

– Jakaś szczególna okazja? – zaciekawiał się Lars.

– Znaleźliśmy ślady pradziejowej świątyni – pochwalił się magister.

– Te góry były święte, jeszcze zanim przybyli tu Celtowie, by palić nasze lasy na węgiel i wydzierać ziemi żelazo. Zanim dotarli tu Słowianie, by zbudować swoją legendarną Chrobację, zanim w średniowieczu Walonowie wgrzyźli się w skały, szukając miedzi i złota. Gdy król Kazimierz nakazał wznosić tu zamki, pamięć po nas od dawna była już martwa... Tylko duchy trwają zaklęte... – odezwał się stary szaman.

– Yhym – burknął Olszakowski.

– Pan nam nie wierzy – westchnął chłopak. – Dlaczego?

– Pewnie dlatego, że nie lubię świrów. – Doktor uprzejmię polał jeszcze samogonu do kubków gości.

– Co mogłoby pana przekonać?

– Nie ma takiej opcji. Ale wypijmy za przyjaźń... eeee... za pokojową koegzystencję między naszymi narodami. – Uniósł kubek.

– Może jednak? – naciskał młody.

– No dobra – mruknął doktor. – Jest jeden drobiazg. Detal... Dymarki.

– Co z dymarkami?

– Nie działają. Pakujemy do środka węgiel, rudę żelaza, topniki. Ruda jest stąd. Wapień jest stąd. Węgiel drzewny mamy najlepszy, bukowy. I co? I nic. Czasem wytopi się łupa kilogram lub półtora, syf totalny wymieszany z węglkami i żużlem.

– Za niska temperatura wytopu?

– Prawdopodobnie. Bo jak po cichu dodałem magnezu i tlenku żelaza zmieszanego z aluminiowym pyłem, to znacznie lepiej się udało... Zresztą z tymi dymarkami generalnie mało komu wychodzi – burknął. – Spece od archeologii eksperymentalnej też przecież od lat próbują i też gucio im z tego. To znaczy trochę żelaza wytopią, ale jakoś pod zdechłym Azorkiem, a jak zrobi się przyzwoite, to za to ilość... szkoda gadać. – Machnął ręką. – Rozwikłacie mi tę tajemnicę, to... hmmm... nie wiem, jak mógłbym się zrewanżować.

Młody spojrział na dziadka. Ten zawahał się na chwilę.

– Trzeba pomóc – głos był jak szelest starej gazety. – To dobry człowiek, tylko udaje sukinsyna i zgryźliwego abnegata. Ale skoro chce wiedzieć, zapytam duchów –

powiedział poważnie po angielsku.

Kawka poczuł dreszcze. Jakim cudem stary rozumiał, o czym mówią? Telepatia albo coś jeszcze gorszego...

– Wasze duchy zajmowały się co najwyżej obróbką krzemienia na groty dzid do polowania na renifery! – skrzywił się kierownik wykopalisk.

– Ale były tu, gdy do doliny przyszły kolejne ludy. Widziały, co robią...

Sięgnął po swój bęben. Zaczął miarowo uderzać w skórę rozwidloną pałeczką z poroża młodego renifera. Bęben zawibrował, dziwny dźwięk poniósł się wkoło ogniska. Olszakowski poczuł, jak włosy stają mu na karku. I nagle szaman odłożył urządzenie.

– Hutnia – powiedział z powagą.

– Co proszę?

– Potrzebna jest wyższa temperatura wypału.

– To i ja wiem... ale na korze brzozonej nie uzyskam tyle, co używając koksu. A koksu nie mogę, bo to nienaukowe – parsknął rozeźlony.

– Zastosuj dwie dymarki. Sprzężone.

– Co!?

– Hutnia. Niżej budujesz dymarkę i wypełniasz tylko węglem drzewnym i korą brzożową. Z niej glinianą rurą wyprowadzasz gorące gazy do drugiej dymarki. Deficyt tlenu, bardzo wysoka temperatura zapłonu... Atmosfera silnie redukcyjna sprzyjająca rozpadowi tlenku żelaza i wytopowi porządnego metalu...

Olszakowski stał, jakby weń piorun strzelił.

– Pasuje do tego, co znaleźliśmy – odezwała się Anna. – Wielki piec z resztkami węgla poniżej i osiem dymarek wyżej na stoku.

– Były też kawałki jakichś glinianych rurek, sądziłam, że dysze do miechów, ale całkiem przepalone, jak gdyby od wysokiej temperatury – zauważyła Irena.

– To faktycznie może działać – szepnął doktor. – Choć oczywiście wsad powietrzny do górnych dymarek i tak jakiś musieli dawać...

– Sprawdź. – Szaman sięgnął po kubek.

Kawka nalał mu usłużnie jeszcze trochę samogonu. Szaszłyki już się dopiekały.

– Może coś zaśpiewamy? – zaproponował doktor. – Szant archeologicznych pan magister jeszcze wprawdzie nie ułożył, ale...

*

Doktor Olszakowski musiał wstać bardzo wcześnie i pracowicie spędził ranek. Na brzegu rzeki ulepił dwie duże gliniane beczki. Jedna znajdowała się niżej, druga wyżej. Łączyła je gliniana rura.

– Widzę, że rozwija się nam tutaj archeologia eksperymentalna – zaczął Kawka.

– Sprawdzam – mruknął Olszakowski. – Po prostu...

– Chce pan zobaczyć, czy da się wytopić żelazo tą metodą, którą podpowiedzieli?
– Właśnie. Gryzł mnie ten mielerz, tak blisko reszty dymarek... To może mieć sens...
– Powiedział pan, że nie lubi świrów.
– Oj tam, wszyscy jesteśmy odrobinę świrami. – Olszakowski wzruszył ramionami. – Poza tym... Oni mogą mieć rację...

Dolepił kolejną glinianą taśmę i uznał, że robota skończona.

– Teraz trzeba poczekać może nawet kilka dni, aż glina wyschnie – powiedział z zadowoleniem. – W tym czasie wyprażymy rudę w ognisku.

– Skąd pan weźmie węgiel drzewny? Tu trzeba z metr sześcienny...

– Z supermarketu w Kielcach. Na pewno jakiś mają. Supermarket, nie węgiel. A jeśli nie, to na stacji benzynowej.

Prace na wykopie tego dnia przyniosły kolejne ciekawe znaleziska. W „alei procesyjnej” Irena nieoczekiwanie natrafiła na piękny sztylet. Klinga wprawdzie kompletnie zardzewiała, ale rzeźbiona rękojeść wykonana z rogu zachowała się niemal idealnie. Zaraz potem Neandertalczyk odsłonił pierwszy dół, do którego po zakończonych ceremoniach zmiatano resztki ofiarnych stosów.

– No i to jest konkret! – Olszakowski cieszył się jak dziecko. – Podobna dziura, którą rozkopał Seleźniecki, miała dwa i pół metra głębokości.

– Co tu możemy znaleźć? – zaciekała się Anna.

– Wszystko. Przepalone kości zwierząt ofiarnych, resztki biżuterii, naczyń, wszystko, co tym dzikusom przyszło do głowy wsadzić do świętego ogniska i zhajcować ku czci swoich bogów!

– Dziewczęta, zaczynajcie eksplorację! – polecił. – Ty – wskazał Piotrka – pomożesz. Każdą garść gleby na sito. Każdą grudę węgla sprawdzasz tym. – Sięgnął do raportówki i podał mu ręczny wykrywacz metali. – Czasem wyroby metalowe tak się spieką z popiołem, że na pierwszy rzut oka wyglądają jak kamień...

– Tak jest! – Małpiasty zasalutował.

Zabrali się ochoczo do pracy. Było już koło czternastej, gdy trzech przedstawiciele władzy pojawili się ponownie w dolinie. Wysiedli z auta i przyczłapali na wykop.

– No i co tam ciekawego? – zagadnął prawnik.

– Panowie pozwolą, że oprowadzę... – zaofiarował się Kawka.

Przez kwadrans pokazywał znaleziska i tłumaczył, dlaczego są tak ważne. Cała trójka dreptała po wykopach wyraźnie znudzona. Wójt obejrzał odsłonięte artefakty i skrzywił się demonstracyjnie.

– Gówniana ta świątynia – podsumował swoje spostrzeżenia. – Nasza religia, choć to opium dla mas, buduje lepsze.

– A z wielkiego pieca to dopiero wychodzą żuźle – rozmarzył się posterunkowy. – Nie pojedyncze bryły, tylko od razu całe wagony surowca do utwardzania dróg.

– A to niby co? – Prawnikiem zajrzał do kuwety kryjącej najcenniejsze znaleziska tego

poranka. – Szydła jakieś porzewiałe i agrafki?

– Szpile i fibule do upięcia szat – wyjaśnił doktor. – Piękne egzemplarze godne gablot każdego muzeum.

Wszyscy trzej wizytatorzy znowu skrzywili się jak na komendę.

– Tak czułem, że tu nie będzie nic ciekawego – mruknął wódarz gminy. – A to co, sztylet jakiś?

– Miecz.

– To niezła bitka była, skoro taki pogięty – zarechotał posterunkowy.

– Gięto je rytualnie przed włożeniem do grobu – tłumaczył cierpliwie magister Kawka. – Wierzyli, że dzięki temu zmarły nie będzie wracał, by tym mieczem im szkodzić...

– Cóż za prymitywne dzikusy. – Prawnik pokręcił głową z potępieniem. – A ta miska z kolcem to do czego?

– Pewnie tym ostrym wtykali w piach, żeby się zupa nie wylała – błysnął teorią jego szef.

– To umbo tarczy – wyjaśnił Olszakowski. – A tak w ogóle to kiedy zaczęły się przygotowania do budowy tutaj ośrodka narciarskiego? – zagadnął nieoczekiwanie.

– Jeszcze się nie zaczęły – bąknął wójt. – Na razie przygotowujemy dokumentację niezbędną do wszczęcia procesu inwestycyjnego. A dlaczego pan pyta?

– Bo ktoś tu nawiózł kilkanaście wywrotek piasku i splantował teren – warknął archeolog. – Tak ze dwa albo trzy lata temu.

– Coś podobnego? – zdumiał się nieszczercze wódarz gminy. – Może spływ błotny ze stoku?

– W tej dolinie nie ma takiego piasku. Tylko tu, gdzie kopieemy, jest pokład.

– Oj, z takimi pytaniami to do geologa trzeba raczej – wykręcił się wójt.

Doktor zgrzytnął zębami. Czuł, że za chwilę eksploduje. Na szczęście wycieczka już się zbierała do odejścia. Do końca dnia roboczego udało się wszystko ładnie doczyścić i zadokumentować. Kawka wykonał serię zdjęć, takich – jak to określił – „bardziej artystycznych”, i wdrapawszy się z laptopem na wzgórze, posłał je przez sieć znajomym dziennikarzom.

Przez kolejnych kilka dni działo się niewiele. Odsłonięto następne jamy ofiarne. Pudła na znaleziska zapełniły się przyjemnie. Wreszcie w piątek po obiedzie przysłała pora i na inne przyjemności. Doktor powiódł wszystkich nad rzekę. Dymarki były gotowe. Glina wyschła na kamień. Pozostało je tylko napełnić. Czterdzieści worków węgla drzewnego... wielki stos wyprażonej w ogniu rudy... Dolną „beczkę” wypełnili chrustem i węglem. W górną sypali na przemian warstwy węgla i rudy. Wreszcie wszystko było gotowe do eksperymentu.

– Studenci, oto wybiła epokowa chwila. Za chwilę wydrzemy naszym przodkom kolejną tajemnicę, zdawałoby się na zawsze pogrzebaną w ziemi... – zaczął przemowę

Olszakowski.

– Jak to!? Znowu? – jęknął Neandertalczyk.

– Za chwilę będziecie świadkami wiekopomnego... A diabła tam! – postanowił darować sobie resztę. – Podkładajcie ogień!

Kawka usłużnie podpalił zwitek trzciny sterczący z otworu u podstawy dolnej dymarki. Płomień powoli zaczął przegryzać warstwy drewna i węgla drzewnego. Nad górną dymarką powoli ukazał się lekki dymek – piece złapały ciąg.

– Co dalej? – zapytała Irena. – Będziemy tu siedzieć i czekać, aż się wytopi?

– Posiedzieć możemy. – Doktor uśmiechnął się nieoczekiwanie. – Jak się dobrze rozgrzeje, to sobie kielbasek upieczemy. Ale wytop skończy się za jakieś trzydzieści godzin...

Zapadał wieczór.

Gdzieś z daleka wiatr przyniósł miarowy warkot szamańskiego bębna.

– A ci nic, tylko gadają z duchami gór – zadumała się Anna.

– Tyle tego, że sobie pogadają. Niech im będzie na zdrowie – wzruszył ramionami doktor.

*

Szaman długo patrzył w metalowy pierścień wędrujący w gąszczu znaków pokrywających skórę. Lars śledził wędrowkę miedzianego kółka. Też czytał znaki. Wreszcie stary odłożył widełki z rogu renifera.

– Pokaż, co zapamiętałeś z moich nauk – polecił. – Co zrozumiałeś z tego, co mówił bęben...

– Duchy powiedziały, że nad doliną wisi niebezpieczeństwo. Trzej źli i chciwi ludzie wystąpią przeciw temu, który czyta w ziemi... Jest w nich destrukcja. Zniszczą wszelkie ślady przeszłości.

– Brawo. Twoja kolej. – Podał mu bęben. – Szukaj rozwiązania. Szukaj wyjścia z sytuacji...

Młody usiadł. Rzucił na skórę swój pierścień. Ujął widełki i zaczął delikatnymi ruchami wybijać rytm. Miarowe uderzenia wyczarowały dźwięk... Miedziana obrączka zawibrowała i zaczęła przesuwać się po powierzchni. Symbol muzyki, symbol lasu... A potem zatańczyła na znaku zarezerwowanym dla miejsc, gdzie siły żywiołów pozostają w symbiozie.

– Chyba już wiem, co należy zrobić – szepnął, wychodząc z transu. – Ale tego jeszcze nie potrafię...

– Pomogę ci – westchnął stary. – Czytaj, kiedy to się stanie. Kiedy musimy być gotowi...

*

Ziemia krok po kroku odsłaniała swoje tajemnice. Istotnie można było domniemywać, że w przeszłości było to ważne miejsce jakiegoś kultu. Dwa rzędy niedużych głazów biegły do ściany skalnej. W miejscu, gdzie się z nią stykały, znajdowała się niewielka naturalna nisza.

– Może stawał tu kapłan, może ustawiano posąg jakiegoś bóstwa – dumął na głos Neandertalczyk.

– Ładna koncepcja – pochwalił doktor. – I mnie coś podobnego się nasuwa.

Obok głazów rysowały się dziesiątki niewielkich plamek i przebarwień od węgla.

– Tu wtykali pochodnie – rozważał na głos Kawka. – Zatem swoje obrzędy ci ludzie odprawiali nocami... Na zachód od linii głazów krąg wypalanej na cegłę gliny wyznaczał miejsce, w którym znajdowało się wielkie palenisko ofiarne.

– Seleźniecki trafił na jeden dół, do którego zgarniano popioły pozostałe po obrzędach ciałopalenia – mruknął Olszakowski. – A my mamy już sześć...

Do tego podczas plantowania obok głazów zarysowały się podłużne jamy, zapewne grobowe...

Południe minęło jak z bicza strzelił. Doczyszczanie, dokumentacja fotograficzna, niwelacja, dokumentacja rysunkowa...

Wreszcie dzień pracy się skończył. Przyszła pora, by zbadać efekty wytopu. Obie dymarki stały okopcone, trochę popękane. Gliniana pokrywa na tej dolnej uległa przepaleniu, połamała się i wpadła do wnętrza. Kawka wyjął aparat cyfrowy i strzelał raz za razem zdjęcia, dokumentując wynik eksperymentu. Olszakowski zajrzał do wnętrza beczki.

– W zasadzie wszystko spaliło się niemal całkowicie na popiół – zameldował. – Trochę niedopalonych węgli zostało tylko na dnie. Zaraz zobaczymy, jak górna...

Druga dymarka pełna była popiołu i spieczonych węgielków. Gdy ją przewrócono, ukazał się piękny, krzaczasty kloc żuźla, a na nim ładna foremna łupa – placek wytopionego żelaza.

– Przez miesiąc nie powiem nic złego o Lapończykach – zdeklarował się ucieszony Olszakowski.

– Ale i przedtem nic złego pan o nich nie mówił – zauważyła Irena. – Tylko nazwał ich pan świrami, ale bez motywacji rasistowskiej, bo wszystkich pan uważa za świrów...

– Hmm... No tak. Ale przez ten miesiąc będę miał to niemówienie umotywowane antyrasistowsko. Zresztą jaki znowu rasizm, skoro też są biali – parsknął. – Skocz do wozu po agregat i szlifierkę kątową – poleciał podwładnemu.

– Chce pan to przeciąpać? – zdziwił się Neandertalczyk.

– Zobaczymy, co ma w środku. Strukturę – wyjaśniał cierpliwie uczoney. – Zobaczymy po kolorze, ile jest węgla, a kawałek spróbujemy potem przekuć...

Szlifierka nieoczekiwanie natrafiła na poważny opór. Łupa nie poddawała się łatwo nawet tarczy z węglików spiekanych. Doktor ciął, magister, by schłodzić tarczę, polewał placek wodą z wiadra. Wreszcie udało się wyciąć klinowatą próbkę – jak kawałek tortu.

Podawali ją sobie z rąk do rąk.

– To ja rozumiem! – cieszył się Olszakowski. – Posłuchajcie tylko tego dźwięku! – Stuknął w nią nożem.

– Żelazo? – niepewnie uśmiechnął się Piotrek.

– Stal, i to dobrej jakości. Ci z Pruszkowa zzielenieją z zazdrości, jak to zobaczą. W dodatku mają przy muzeum małą kuźnię i niezłego kowala amatora, który robi im repliki dawnej broni. Prawdziwy fachura, choć samouk. Damy im połowę łupy, niech spróbują ją poobrać. Zobaczymy, jak nasza próbka zachowuje się podczas kucia. Trzeba to będzie jeszcze pokazać fachowcom od metalurgii, żeby oznaczyli nam zawartość węgla, ale wydaje mi się, że to naprawdę uczciwy produkt... A niech mnie, nasi lapońscy konsultanci! – Pomachał dłonią szamanom schodzącym w dolinę. – Trzeba to uczcić. Izauro – zwrócił się do studentki – tu są klucze od auta i żółtego kontenerka, weź tego tam Leoncja – wskazał Kawkę – do pomocy i nakryjcie szybko do stołu.

Nim goście zeszli na dno doliny, wszystko było gotowe. Haftowany ukraiński obrus łopotał na wietrze, w kieliszkach czerwieniło się gruzińskie wino, pierniczki leżały w miseczkach, a paczkowane ciasto ładnie pokrojone zdobiło paterę.

– Jakies święto? – zdziwił się stary na widok tak zastawionego stołu.

– Szósty lipca, światowy dzień pocałunku. – Piotrek tęsknie spojrzął w kierunku kolegów.

– To było tydzień temu – prychnęła Anna.

– Wytop powiódł się. – Doktor z ukłonem wręczył próbkę szamanowi.

Ten obejrzał ją z zainteresowaniem i podał do obejrzenia Larsowi.

– Moje gratulacje.

– To dzięki pana wskazówkom. Zapraszam do stołu...

W tym momencie od strony drogi dobiegł znajomy warkot silnika.

– A ci znów się pchają między wódkę a zakąskę – parsknął Olszakowski i ruszył na spotkanie niechcianych gości. Dotarli na wykop równo z nimi. Trzej przedstawiciele władzy oglądali odkopane głazy demonstracyjnie skrzywieni.

– No i jak tam, kończycie te badania wreszcie? – Wójt wyglądał na poirytowanego.

– Ależ wręcz przeciwnie. – Kierownik wykopalisk uśmiechnął się kpiąco. – Jak na razie, mamy ślady ośrodka kultowego, obok domniemujemy istnienie osady, pojawiły się też ślady rozległego cmentarzyska... Piętnaście do dwudziestu lat, tyle trzeba poświęcić na badania tej doliny.

– Panie mecenasie? – Włodarz gminy spojrzął na adwokata.

– Furda. – Doradca wzruszył ramionami. – Za zniszczenie stanowiska archeologicznego grozi tylko grzywna. Nawet jak nam wlepią kilka tysięcy, to wobec budżetu inwestycji nie ma to większego znaczenia.

– Co proszę!?! – wykrztusił Olszakowski.

– Co pan słyszał – skrzywił się gliniarz. – Wejdziemy z ciężkim sprzętem, wyrównamy i przed zimą jeszcze zaczynamy łać fundamenty. A wiosną tu już będzie budowa na całego!

– Nie macie prawa...

– Prawa może nie mamy, ale poważnych sankcji też nie poniesiemy.

– Bez zgody wojewódzkiego konserwatora zabytków to będzie samowola budowlana!

– Którą nam przyjaciele w powiecie od ręki zalegalizują – zarechotał wójt. – A wy możecie co najwyżej pozbierać łopatki i won do innej piaskownicy...

– Wy ścierwa. – Pięści Olszakowskiego zacisnęły się odruchowo. – Od dziś swoje plany inwestycyjne będziecie omawiać z psychologiem, lekarzem, dentystą lub grabarzem...

– Niech pan da spokój – odezwał się Lars. – Po co się kłócić? Nasz szaman zaśpiewa i będziecie mogli się pogodzić...

– Zaśpiewa? – zakpił wójt.

– W moim słowniku nie ma słowa pogodzić się! A jakby było, nie tworzy związków frazeologicznych z epitetami pasującymi do tych tutaj! – z gardła Olszakowskiego dobiegło głucho warczenie.

– Muzyka łagodzi obyczaje – upierał się Szwed.

– Już ja im zaraz złagodzę...

Olszakowski ujął grabowe stylisko łopaty.

I w tym momencie stary otworzył usta. Sięgnął umysłem w głąb ziemi, ku krystalicznym podstawom starych gór, ku bąblom magmy leniwie drzemiącym u ich korzeni. Na jego wołanie odpowiedziały wody, zarówno te podziemne, jak i strumienie. W porównaniu z Laponią ten kraj był wyjątkowo suchy, ale wystarczyło. Problem był z trzecim składnikiem. Las był po prostu zbyt mały. Przetrzebiona, okaleczona puszcza, którą przez wiele lat wycinano całymi kilometrami kwadratowymi... Suongil sięgnął zatem dalej i dalej. Na południe przez Beskidy do Tatr. Na wschód po łuku Karpat, aż na skraj węgierskiej Puszczy. Nadal był to zaledwie cień potęgi syberyjskiej tajgi, nadal nijak nie mogło to dorównać szwedzkim i norweskim lasom. Ale wystarczyło.

Pozwolił, by siła puszczy przeniknęła ciało i umysł na wskroś. Wreszcie zaśpiewał. To nie była odpowiednia moc. Nie taka jak trzeba. Nie wypiętrzyłby nią nawet jednej góry. Ale na tych trzech pachołków wystarczyło. Zamarli zasłuchani. Szaman sprawił, by ujrzeni się jak w lustrze. By spojrzeli do wewnątrz swych plugawych dusz. By ujrzeni całe zło, jakie kiedykolwiek uczynili.

Były ubek załamał się pierwszy – wyjął pistolet i wsadził sobie lufę w usta. Wójt padł na kolana i płacząc, rzewnie modlił się do Boga, którego wyznawców całymi latami pomagał szykanować. Młody prawnik był jak zwierzę, przerażony pokładami zła i podłości, które odkrył we własnym umyśle. Stary zamknął usta. Góry zasnęły pierwsze. Fale na strumyku uspokoiły się. Drzewa przestały poruszać konarami.

Moc ulatywała niczym dym, przygasała jak żar dopalającego się ogniska. Szaman spojrzął kacykowi i jego przydupasom w oczy.

– Szansę wam daję win odkupienia – szepnął po szwedzku.

– O w mordę jeża – sapnął Olszakowski i potrząsnął głową. Jego też zahaczyło.

Pierwszy oprzytomniał wójt. Popatrzył uważnie dookoła i uśmiechnął się.

– Panowie, przecież nie ma się o co kłócić – powiedział spokojnym, rzeczowym, przyjaznym tonem. – Badania są niezwykle ważne, z drugiej strony, ośrodek sportowy to szansa dla naszej gminy i całego regionu, ale przecież jedno drugiemu nie musi przeszkadzać. Kapliczkę na wzgórzu zrekonstruujemy, są przecież przedwojenne zdjęcia, obok dobudujemy kawiarenkę i stację wyciągu, będzie się można pomodlić przed zjazdem na nartach w dół.

– Znajomość ludzkiej psychologii i spraw wiary podpowiada mi, że zwłaszcza początkujący narciarze z pewnością zechcą skorzystać z pociechy religijnej – dodał rzeczowo ubek.

– To, co panowie odsłonili, jest wyjątkowo ciekawe – ciągnął jego szef. – Pański zespół niech to doczyści, zakonserwuje i zabezpieczy. Obudujemy to murkami, da się podświetlenie tych głazów i urn. Każdy, kto wejdzie do holu hoteliku, będzie mógł przez przeszkloną podłogę podziwiać rezultaty wykopalisk.

– Świątynia sportu wzniesiona na gruzach świątyni ducha. – Ubek zrobił natchnioną minę. – A nad tymi dymarkami zrobimy sklepik, też z przeszkloną podłogą, panowie pomogą wyszukać informacje, nasz kowal wykuje nożyki na wzór tych pradziejowych, w takim miejscu będą się sprzedawać jak ciepłe bułeczki! A drobne zabytki wyeksponuje się w gablotach, naścianach, wraz z tablicami poglądowymi, to bardzo podniesie atrakcyjność naszego hotelu – dodał.

– No i ta jaskinia z unikatowymi rytami naskalnymi, przeszkoli się kogoś i będzie wycieczki oprowadzał – dorzucił wójt.

– Osobiście dopilnuję natychmiastowego naniesienia odpowiednich poprawek na plany architektoniczne – zapewnił gorliwie prawnik. – W umowach są klauzule na wypadek zmian wymuszonych okolicznościami zewnętrznymi.

– Liczymy na długą i owocną współpracę. Gmina dołoży wszelkich starań, by pańskie przełomowe odkrycia odpowiednio wyeksponować i zagospodarować. – Wójt kordialnie uściśnął prawicę doktora, a potem goście wsiedli do auta i odjechali.

Studenci poprawiali opadnięte szczęki. Olszakowski raz jeszcze potrząsnął głową.

– Co to było? – wychrypiał. – Pieśń tajgi?

– Nazywamy to inaczej, ale idea jest mniej więcej ta sama – mruknął Lars. – Pierwotna moc duchów przyrody, pozwalająca na chwilę zerwać z serca pleśń, którą niesie chciwość, nienawiść i cała ta degenerująca się cywilizacja...

– Czy efekt będzie trwały?

– Teoretycznie tak. U wyjątkowych drani czasem dochodzi do stopniowej recydywy. Zależy od stopnia wyprania mózgów. Jeśli ktoś głuszy sumienie, ale jakoś tam zdaje sobie sprawę, że jest bydlęciem, to efekt jest murowany. Gorzej, gdy ktoś jest przekonany, że łajdactwa, które robi, są dobre... Na szwedzkich urzędasów od opieki społecznej działało znacznie słabiej.

– Ale mi dało w dekiel. – Doktor tarł skronie.

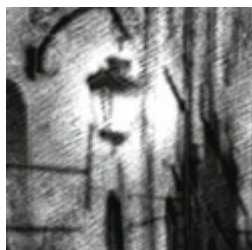
Stary spojrzął mu w oczy.

– Nie jesteś nawet w jednej dziesiątej takim sukinsynem, za jakiego próbujesz uchodzić – mruknął po angielsku. – By wzbudzić szacunek, nie musisz zastraszać wszystkich wokoło. I przestań bawić się w zbieranie haków na całe otoczenie. A na twój etat nikt nie dybie, to tylko obsesja... Wracajmy do stołu, zanim ptaki wydziobią ciasto, a wiewiórki wychłopcą wino.

– Obsesja? – Olszakowski łypnął okiem na Kawkę. – A byłem przekonany, że...

– Oczywiście, że obsesja – zapewnił go żarliwie podwładny.

Szewc z Lichtenrade



Miałem może dziesięć lat, gdy na boisku znalazłem dziwny szarobrazowy połyskujący kamień. Schyliłem się. Był podłużny, przypominał kształtem batonik, jedną z krótszych krawędzi miał dziwnie sierpowatą. Ująłem go w dłoń i niespodziewanie poczułem, jakby układał mi się w palcach. Podniosłem go do oczu i w mojej chłopięcej głowie błysnęło zrozumienie. Wiedziałem, że trzymam krzemienne narzędzie, wykonane przez naszych przodków. Byłem praworęczny, ale on pasował mi jakoś do lewej. Wiedziałem, że jakimś cudem chwyciłem przedmiot prawidłowo. Że wypukła krawędź służy do cięcia i została naostrzona – załuskana drobnymi uderzeniami innego kamienia. Rodzina mnie wyśmiała, ale kilka lat później w mojej szkole praktyki pedagogiczne odbywał student archeologii. Pokazałem mu znalezisko i potwierdził moje przypuszczenia.

Jak się okazało, wśród współczesnych śmieci, piachu i gruzu znalazłem neolityczny przecinak do skór... Niewielki, dopasowany do dłoni drobnej kobiety lub dziecka. Całymi latami spoczywał potem w szufladzie, wśród rozmaitych gratów, które złożyły się z czasem na kolekcję antycznych kuriozów. Za każdym razem, gdy grzebiąc w zwalach rupieci, natrafiałem na pudełko z kamieniem, przypominałem sobie tamten dzień i to niezwykle uczucie, jakiego doznałem: jakby narzędzie samo wskazało mi, do czego go używać... Aż pewnego dnia do moich drzwi zapukał szewc i zrozumiałem resztę...

*

Jesienne popołudnie było ciepłe i świetliste. Drzewa za oknem gubiły liście.

– Klient niedługo będzie, ale może zanim przyjdzie, obejrzymy sobie znaczki – zaproponowałem Marcie. – Wyobraź sobie, upolowałem ostatnio carski z ukraińskim nadrukiem, ale czerwonego koloru.

Westchnęła ciężko.

– Znaczki niewątpliwie są interesujące, ale... Nie mógłbyś być czasem bardziej

romantyczny?

– Znaczy poczekamy do wieczora i obejrzymy znaczki przy blasku świec? – Nie zrozumiałem.

Sądząc po jej minie, nie trafiłem. O co jej zatem, u diabła, chodziło? Na szczęście rozległ się dzwonek do drzwi. Poszedłem otworzyć.

– Pan Robert Storm? To ja telefonowałem...

Na podeście stał starszy mężczyzna z niewielką walizką w ręce.

– Proszę, niech pan wejdzie – zaprosiłem gościa do wnętrza. – To moja współpracownica, Marta.

– Marcin – przedstawił się.

– Bardzo mi miło.

Weszliśmy do gabinetu. Kiszkiwały pokój miał dwie dłuższe ściany zastawione regałami pełnymi książek. Pośrodku stało jeszcze biurko z laptopem. Gość przycupnął na wskazanym krześle, a ja ulokowałem się za biurkiem. Wnętrze specjalnie tak urządziłem do przyjmowania interesantów. Otaksowaliśmy się zaciekawionymi spojrzeniami. Przybysz wyglądał mi na rzemieślnika. Mógł wbić się w garnitur, ale nie zdołał ukryć rąk. Spracowanych, z brudem wżartym w spękaną skórę, pokrytych drobnymi bliznami po niezliczonych skaleczeniach. Szklarz? Stolarz? Szczerze powiedziawszy, wyglądał mi raczej na szewca.

– Mam dla pana zlecenie – powiedział mężczyzna. – Słyszałem, że szukasz pan różnych rzeczy...

– Owszem – przyznałem powściągliwie.

– Podobno też jesteś pan w tym najlepszy...

– Ludzie gadają różne bzdury. – Wzruszyłem ramionami. – Parę razy miałem trochę szczęścia i poszła fama.

Nie byłem w stanie zliczyć, ile razy po tygodniach badań, ustaleń, rycia w archiwach stawałem na progu wiejskiej chałupy tylko po to, by dowiedzieć się, że obrazy wyszabrowane z dworu zostały dawno sprzedane, książki wyrzucono na makulaturę, meble porąbane na szczapy poszły do pieca, a zabytkową lokomobilę wywieziono na złom...

– A co konkretnie jest panu potrzebne? – zagadnąłem.

Chyba za szybko przeszedłem do rzeczy, facet wyraźnie się spłoszył.

– Trzeba odnaleźć narzędzia szewskie mojego pradziadka. Wycinak do dziurek i szydło – wykrztusił wreszcie.

– Rozumiem.

– Bierzesz mnie pan za wariata? – Gość się nastroszył.

– Nie ma w tym zleceniu nic szczególnie niezwykłego. Jest przedmiot i mam go odnaleźć... Widzę tylko jeden problem. Koszta. To mogą być tygodnie poszukiwań, zakończone totalną porażką, a co za tym idzie...

– To pańska praca, zatem rozumiem, że musi zostać opłacona. Znam też w przybliżeniu pańskie stawki.

– OK. Jesteśmy dogadani.

Przeniósł spojrzenie na Martę. Moja narzeczona rozłożyła bezradnie ręce, jakby tym gestem chciała dać do zrozumienia, że w firmie rządzą ja.

– Wariackie zlecenie... – sumitował się jakby. – To będą najdroższe narzędzia w historii mojego rzemiosła... – Spojrzał spode łba, jakby chciał wy badać, czy nie żartuję.

– Przywykłem. Często szukam rzeczy ważnych, a niepozornych. Wartość pamiątek rodzinnych jest zazwyczaj niewymierna. – Wzruszyłem ramionami. – Swego czasu poświęciłem miesiąc, by pewnemu biznesmenowi odnaleźć i dostarczyć sierp jego pradziadka. Skoro jest pan gotów tyle zapłacić, to znaczy, że są dla pana warte jeszcze więcej. Mogę poprosić o szczegóły?

– Jestem szewcem.

Czyli zgadłem. Miałem na końcu języka, że to żaden powód do wstydu, ale wolałem zachować tę uwagę dla siebie.

– Nie fabrycznym wyrobnikiem, nie jednym z tych niedouczonej partaczy, którzy zajmują się wyłącznie podklejaniem zelówek, ale takim prawdziwym, który nie zapomniał jeszcze, jak się robi porządne buty. – Wypiął dumnie wątlą pierś.

Kiwnąłem głową z aprobatą. Wymierający gatunek fachowców. Marta też się uśmiechnęła.

– Pan tego nie wiesz. Każdy but jest jak odcisk palca – powiedział z natchnioną miną. – Na swój sposób niepowtarzalny, ale...

– Jeśli ma się w ręce but, można zidentyfikować szewca, który go zrobił? – domyśliłem się.

– Z dużym prawdopodobieństwem. Dobrzy rzemieślnicy wypracowywali własne rozwiązania. Przekazywali je potem swoim synom i czeladnikom. Jeden wolał okrągłe kołki, drugi klinowate. Jeden łożkowate dziurki, inny czworokątne. Ściegi, którymi szyli skórę, też są różne. Jeden skórę na podeszwy gotował w wosku, inny w oleju. Jeden woskował dratwę, inny nasączał ją dziegciem. Jest kilkadziesiąt elementów wykończenia, kilkadziesiąt cech. Ich układy są jak kod DNA...

– Chce pan powiedzieć, że na styl robienia butów wpływa wiele zmiennych, co nadaje butom indywidualność i niepowtarzalność – podpowiedziała Marta.

– To coś jakby charakter pisma...

– Rozumiem. Chce pan kawy albo herbaty? – zaproponowałem.

Wyglądało, że zanoszą się na dłuższą opowieść. Poprosił o kawę. Uruchomiłem ekspres.

– Te dwa buty...

Wyjął z torby parę straszliwie schetanych oficerek i postawił przede mną na biurku.

Milczał, ja też się nie odzywałem. Poczulem, że chce mnie jakoś sprawdzić, nim

przejdzie do dalszych szczegółów. Wyjąłem z szuflady lupe. Badałem buciory długo i w skupieniu. W jednym były porządne bukowe prawidła, drugi wypchano zwiniętymi gazetami z przełomu epok Olka Opoja i Lecha Prawego.

– Jest w zasadzie jedna cecha wspólna... nie... zaraz... trzy – rozważałem na głos. – Dziurki pod dratwę wybito czymś w kształcie gwiazdki. Czyli zapewne wybijakiem, który mam odnaleźć. Dratwa też nie jest normalna, ale pleciona w warkoczyk z trzech cieńszych nitek. I ścieg też jest taki sam... Inne detale są odmienne. Te buty pochodzą z dwu różnych warsztatów, ale szył je ten sam człowiek?

– Nie – z gardła szewca rozległo się niemal warknięcie. – Ten pierwszy but wykonał mój pradziadek. A ten drugi łajdak, który go zabił.

– Uczeń zamordował swego mistrza? – zapytała Marta.

– To trudne... – powiedział szewc, krzywiąc się. – Wiesz pan, każdy zawód posiada swoje rytuały, legendy, przesady nawet. Rzeczy, o których nie rozmawia się z obcymi, których nie wolno zapisać na papierze, ale przekazuje się wyłącznie ustnie i tylko nielicznym wybranym uczniom lub następcom.

– Tajemnice cechu... – mruknąłem. – Pański przodek wyszkolił człowieka, który go potem zabił, by przejąć technikę wykonania...

– Niezupełnie. Kiedy można się spodziewać pierwszych wyników? – zmienił temat.

– Potrzebuję...

– Trochę więcej szczegółów. Oczywiście. Trudno mi o tym gadać, więc tu ponotowałem, co wiem. Jakby nasunęły się panu jakieś dalsze pytania, na dole jest mój numer telefonu.

Ująłem podany mi plik kartek. Klient dopił duszkiem niemal wrzącą kawę i wstał, zbierając się do odejścia.

*

Przejrzałem papiery w ciągu kwadransa. Nie było w nich wiele. Dziadek pana Marcina był przed wojną jednym z najbardziej znanych szewców w Warszawie. Robił buty dla posłów, ministrów i generałów. Jego roboty obuwie założono do trumny marszałkowi Piłsudskiemu. Ten wybitny fachowiec został zamordowany w swoim warsztacie przy ulicy Żelaznej w listopadzie tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego.

Z tego, co zanotował zleceniodawca, jakiś Niemiec z SS zamówił nowe oficerki. Dał nawet zaliczkę. Parokrotnie przychodził, jakby chciał skontrolować postępy prac. Za którymś razem, wykorzystując, że rzemieślnik zajęty był wybijaniem otworów w skórze, wyciągnął lugera i niemal z przyłożenia strzelił mu w głowę. Wedle współpracowników ofiary zabrał kilka drobnych narzędzi i znikł.

Zszokowana rodzina pobiegła natychmiast na posterunek kripo. Przyjechało też gestapo i niemiecka żandarmeria. Wszystkie trzy służby próbowały sprawę wyjaśnić,

jednak szło im to bardzo niemrawo. Nazwiska mordercy nikt nie znał, a z wyglądu był na tyle niepozorny, że nawet gdyby Niemcy chcieli swego pobratymca ukarać, nie mieli możliwości go odnaleźć... Ustalono tylko, iż nie był to napad rabunkowy, gdyż w kasie pozostała niebagatelna kwota siedmuset złotych, a na przegubie nieboszczyka złoty zegarek Omega.

– Jak niby chcesz ugryźć tę sprawę? – zirytowała się Marta. – To kompletny idiotyzm... Po co w ogóle brałeś to zlecenie!?

– A dlaczego nie? – zdziwiłem się. – Jest klient, jest sprawa, a że trudna, tym lepiej. To wyzwanie! Jeśli mi się uda, moja kariera...

– To będzie gwóźdź do trumny tej twojej kariery – sarkąła. – Chcesz rozwiązać sprawę mordu sprzed ponad siedemdziesięciu lat... Sprawę, której nie rozwiązano w tamtej epoce!

– A jak niby mieli to zrobić? – zirytowałem się. – Niemcy przeciw Niemcowi? W podbitym kraju? Nie żartuj.

Popatrzyła na mnie, chytrze mrużąc oczy. Wreszcie uśmiechnęła się krzywo.

– Masz jakąś koncepcję! – odgadła.

– Mam. To był wielokrotny morderca. To, co zrobił, jest kompletnie bez sensu, czyli ewidentnie miał jakąś idée fixe. Praktycznie tylko takich nie interesuje kasa i niemal wyłącznie tacy zabierają sobie coś bezwartościowego na pamiątkę. Do tego sędzę, że zabójca był szewcem. Z jakiegoś powodu zainteresowały go narzędzia Polaka.

– Były zrobione z platyny? – zakpiła.

– Raczej z irydu, jest twardy. Ale sędzę raczej, że Niemiec schizofrenik doznał fascynacji jakąś cechą, którą widział tylko on. Szydło w dłoni Polaka zabłysło nieziemskim blaskiem. Albo głos z nieba nakazał mu je zdobyć.

– Hmm... – zadumała się.

– A to może oznaczać, że zabijał także innych szewców.

– Trochę kruche podstawy ma ta twoja teoria... O ile w ogóle można to nazwać podstawami!

– Możliwe. Na razie to tylko mniemanologia stosowana. Ale znam kogoś, kto nam pomoże to ugryźć...

– Skąd ty w ogóle bierzesz tych wszystkich świrów, którzy ci pomagają?

– Przybłąkują się – mruknąłem. – Zresztą ty też mi kiedyś pomogłaś... A pamiętasz dlaczego?

– Bo poprosiłeś, a do tego pokazałeś mi coś, co było prawdziwym wyzwaniem nawet dla dyplomowanego akustyka.

– No i widzisz. Ludzie lubią błysnąć wiedzą. Pokazać, że są ode mnie mądrzejsi. Spełniają się w ten sposób, przy obopólnych korzyściach. Zresztą mądrego zawsze warto posłuchać.

*

Arka poznałem kiedyś na targach książki historycznej. Zafascynował mnie młody człowiek o wyglądzie zahukanego licealisty, który po książce wybrał się z ręcznym dwukołowym wózkiem. Zakupił wtedy około setki woluminów. Pomogłem mu stoczyć to ze schodów, a dowiedziawszy się, że chce drałować pieszo na drugi koniec miasta, zaofiarowałem się podrzucić go samochodem. Potem wtarabaniliśmy ten stos po trzeszczących schodach na drugie piętro kamienicy... I tak zawarliśmy znajomość.

Jak się okazało, posiadając nadzianych rodziców, każdy możliwy grosz wydawał na książki o drugiej wojnie światowej. Pisywał też hobbystycznie artykuły o życiu w Warszawie podczas okupacji i niektóre nawet udało mu się sprzedać do gazet... Za honoraria oczywiście kupił więcej książek...

W każdym razie następnego dnia po wizycie szewca, późnym wieczorem, udaliśmy się do jego sanktuarium...

– To jest Marta – przedstawiłem dziewczynę.

– Bardzo mi miło. – Ukłonił się. – Zapraszam.

Gabinet do pracy urządził sobie w największym pokoju. Na potężnym przedwojennym biurku piętrzyły się papierzyska. Trzy ściany zajmował gargantuiczny regał. Od podłogi do sufitu miał osiemnaście półek. Stare budownictwo: mieszkania były kiedyś naprawdę wysokie...

– Dyplom North–West Pacific University. – Marta przyjrzała się dokumentowi oprawionemu w ramkę. – W tym wieku jesteś doktorem historii!? – Spojrzała zdumiona.

Wiedziałem, że pasjonat ma dwadzieścia jeden lat, ale wyglądał na jakieś siedemnaście...

– Matka strasznie marudziła, żebym poszedł na jakieś studia i zdobył dyplom – wyjaśnił. – Nie chciałem jej robić przykrości, ale nie mam czasu studiować! Czytam po dwanaście, czternaście godzin na dobę. No to kupiłem dyplom przez Internet. Mogłem magistra za dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów, ale tytuł doktora był tylko sto dolców droższy, a i kurs wymiany mieliśmy wtedy korzystniejszy, więc od razu skoczyłem wyżej...

– Kurs? – Potrząsnęła głową.

Pełen sens wypowiedzi dotarł do niej może po trzydziestu sekundach.

– Chcesz powiedzieć, że kupiłeś w sieci podrobiony dyplom!? – zdumiała się.

– Tak dokładnie, od strony prawnej rzecz ujmując, to nie jest fałszywy, bo nie da się podrobić papierów uczelni, która nie istnieje – bąknął.

– Aha – mruknęła nieco skonfundowana. – I co na to mama? Uwierzyła?

– Było trochę kwasów – przyznał. – No, ale skoro sama kazała, żebym zdobył dyplom...

– A to po przodkach? – Wzrok dziewczyny spoczął na karabelce wiszącej ponad dyplomem.

– Szabla jest poniekąd historyczna, a przynajmniej naznaczona historią. – Uśmiechnął się lekko. – To dzieło mojego dziadka. Gdy po wojnie służył w wojsku na Mazurach, trafiła mu się okazja odwiedzić Wilczy Szaniec. No wiesz, kwaterę Hitlera. Zanim jeszcze to rozminowali i udostępniili turystom. Wiecie, jak wygląda to miejsce?

Przytaknąłem.

– Ja nie wiem – pokręciła głową Marta.

– Potężne żelbetowe bunkry w lesie, wysadzone pod koniec wojny w powietrze – wyjaśniłem. – Gigantyczne złomy betonu sprawiają wrażenie wręcz formacji geologicznej...

– A na przełomach sterczą pręty zbrojeń. Mają po jakieś trzy centymetry średnicy. Mój dziadunio jeden taki wypiłował na pamiątkę, a potem jak odsłużył swoje i wrócił do domu, z pradziadkiem kowalem wykuli z niego karabelkę jako ostateczny symbol naszego zwycięstwa nad nazizmem.

– Kuriozalny pomysł – mruknęła. – A ta akwarela?

– A to ciocia malowała. Powiesiłem, żeby wśród ponurych tajemnic przeszłości był choć jeden optymistyczny akcent...

– Myślałam, że to Hitlera może... – bąknęła zaczerwieniona.

Uśmiechnął się tylko lekko.

– Z historycznych pamiątek mam jeszcze to biurko i fotel. Biurko podobno należało do Juliana Machlejda, a fotel rzekomo był własnością samego Leo Belmonta.

Sądząc po minie Marty, nigdy nie słyszała ani o wybitnym protestanckim teologu, dyrektorze browaru i liceum, ani o genialnym żydowskim satyryku Leopoldzie Blumentalu.

– Rzekomo? – podchwyciła, gładząc poręcz.

– Po wojnie jego dawne mieszkanie przy ulicy Elektorальной dostała aktywistka partyjna. Komuszek, który odziedziczył mieszkanie po staruszce, znalazł mebel w jej boksie piwnicznym – wyjaśniłem. – Chciał dziesięć tysięcy, pazerne bydło, ale stanęło w końcu na trzech setkach.

– Robert umie się targować – skomplementował mnie gospodarz. – Gdyby nie on, ja bym tę dychę wysupłał... A co się z kumplem tapicerem namordowałem, by uratować jak najwięcej oryginalnych detali. Prawie wszystko było do wymiany, sprężyny przerdzewiały, połamały się, pokrycie z trawy morskiej zgniło, obicie też... Autentyczny jest dębowy szkielet, jedna trzecia sprężyn i część podściółki z końskiego włosia. Z całego skórzanego obicia zdołaliśmy uratować tyle, że starczyło na podłokietniki. No, ale nie wpadliście przecież, by podziwiać przypadkowy zbiór historycznych gratów...

– Dostałem nietypowe zlecenie – wyjaśniłem.

– Eeee... Chcesz przez to powiedzieć, że poprzednie sprawy, przy których ci

pomagałem, były typowe!?! – Na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

– No dobra, zagalopowałem się. Dostałem zlecenie równie typowe, jak poprzednie. I pomyślałem, że poszukamy tropu w tych książkach... – Wskazałem szerokim gestem księgozbiór.

– Jak mawia profesor Samsonowicz, największe odkrycia w naukach humanistycznych wynikają z naszej niewiedzy. – Arek uniósł wzrok ku sufitowi.

– Niewiedzy? – podchwyciła Marta.

– Wiele tajemnic przeszłości odkryto, opisano, po czym o nich zapomniano, skutecznie i na lata. Mam dziewięć tysięcy książek poświęconych tylko okupacji, gettom i obozom koncentracyjnym. Nikt nie jest w stanie zapamiętać treści. A już szczegóły kompletnie się gubią. W wielu nie ma indeksów nazwisk, nie wspominając już o indeksach tematycznych... Samo skatalogowanie już dostępnej wiedzy zajmie mi jeszcze wiele lat.

Wskazał gestem pierwszy regał. Stojące na nim książki najeżone były kolorowymi zakładkami.

– Czy wiecie, że do dziś nikt nie sporządził centralnego rejestru ofiar hitlerowskiego ludobójstwa ani nawet centralnego katalogu katów? Nawet Centrum Wiesenthala jakoś sprawę zaniedbało.

Znowu wpadał w słowotok.

– Powiedz, zetknąłeś się kiedyś z takim opisem, żeby Niemiec zabijał szewców? – zapytałem.

– Niemcy zabijali ludzi wszelkich możliwych profesji. – Wzruszył ramionami.

– Szukam takiego, który był szczególnie cięty na tę grupę. I który zabijał ich nie ot tak, ale przy pracy. Który w dodatku kradł narzędzia zabitych.

Arek zadumał się.

– Kurczę, było coś takiego... Jakiś świr, strażnik w getcie? Tylko w naszym warszawskim czy może w Łodzi? Czytałem o tym w jakichś wspomnieniach. Zabił szewca, ale szewc robił buty dla esesmanów i głupi szkop dostał za to strasznie po uszach... To znaczy dostał, jak na ówczesne stosunki. Za chwilę poszukam. Ale najpierw zrobię wam herbaty... – Zreflektował się.

Wrócił z kuchni po kilku minutach.

– Dla pani – skłonił się przed moją towarzyszką – filiżanka wytwórni Świt z Ćmielowa, jedyna, która ocalała z serwisu babci po tym, jak nasz dom trafiła bomba. Dla ciebie – postawił naczynko przede mną – prawie identyczna, ale też pamiętająca to i owo, wygrzebana z wykopu pod kable na Nowolipkach... Moją zaś wygrzebałem w fortach twierdzy Modlin, pewnie mieli takie w kasynie oficerskim. A imbryk nieciekawym, zastawa zamówiona jeszcze za cara dla hotelu Bristol.

Ująłem kruchą czarękę w dłoń. Przeleżała dziesięciolecia w ziemi. Malunki zblakły, biała pierwotnie porcelana w kilku miejscach zabarwiła się trwale na żółto, zapewne

obok leżał kawał jakiegoś żelastwa. Tylko na samym spodzie miała drobniutki, ledwo widoczny odprysk. Na łyżeczkach wybito napis „smok” – najpewniej pochodziły ze słynnej przedwojennej knajpy przy ulicy Smoczej.

– To nasze zwycięstwo nad tymi łajdakami – powiedział mój kumpel z patosem. – Żyjemy i mówimy po polsku, a herbatę pijemy z naczyń, które przetrwały pożogę... Dopiję i zaraz znajdę.

To „zaraz” zajęło prawie trzy godziny bezowocnych poszukiwań. Arek to grzebał na półkach przy podłodze, to znów z małą zręcznością piął się po drabinie pod sufit. Wertując opasłe tomiszcza, próbował przypomnieć sobie jakieś szczegóły... Bezskutecznie.

Nie mogłem mu w żaden sposób pomóc. Siedziałem więc w fotelu, który być może należał kiedyś do Leo Belmonta, piłem herbatę z filiżanki wykopanej w gruzach getta, mieszałem łyżeczką, która też niejedno widziała i patrzyłem to na szablę z pręta pozyskanego w kwaterze Hitlera, to na piętrzące się wokoło regały.

Setki książek, książek i broszur. Od pierwszych cieniutkich wspomnień wydanych tuż po wojnie po grube tomiszcza opracowań Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich i IPN-u. Tysiące zanotowanych na papierze ludzkich losów... Wśród nich ukryte informacje, które być może doprowadzą mnie do celu...

– Mam! – wykrzyknął wreszcie ze szczytu drabinki Arek. – Wiedziałem, że to gdzieś tu jest... – Zbiegł na dół, piastując w objęciach opasłe tomiszcze.

– Relację spisano w latach sześćdziesiątych – wyjaśnił. – Autor w czasie wojny miał zaledwie czternaście lat, ale zdołał zatrudnić się jako pomocnik szewca w szopie na terenie małego getta. To uchroniło go przed wywózką do Treblinki.

– Małego getta? – podchwyciła Marta.

– Po częściowym wywiezieniu mieszkańców warszawskiego getta do obozu zagłady getto podzielono na dwie części. Duże na Muranowie i małe – czyli kilka zakładów przemysłowych, gdzie pracowali Żydzi – wyjaśnił Arek.

Podał mi otwarty wolumin. Czuję podniecenie. Byliśmy na tropie. Wprawdzie nic mogła się w każdej chwili zerwać nam w rękę, ale... Moje przeczucie się potwierdziło. Faktycznie mieliśmy do czynienia z seryjnym mordercą, ogarniętym jakąś zabójczą obsesją! Doczytałem relację.

– Esesman Helmut Müller – zreferowałem. – To może być nasz człowiek... W każdym razie nadzorował produkcję butów. Zastrzelił podczas pracy czterech Żydów szewców... Chłopak był świadkiem dwu morderstw. Według niego Müller zabił ich bez powodu... Najpierw długo oglądał ich wyroby. Po paru dniach przychodził do warsztatu i zniemacka strzelał upatrzonej ofierze w kark.

Marta wzdrygnęła się.

– Może to przypadek – mruknęła. – Zabierał ich narzędzia?

– Świadek nic o tym nie pisze, ale zwrócił uwagę na jeden element pasujący do tej

łamięłowski. Müller zabił czterech najlepszych majstrów. Mistrzów. Fachowców. Gdyby chciał zastraszyć resztę pracowników, na logikę zabiłby najgorszych.

– Trzecia Rzesza nie była państwem działającym logicznie – mruknął mój przyjaciel. – I głównie dlatego przegrali wojnę. Ot, taki przykład. Niemcy zdychali z zimna pod Stalingradem, a tu bezmyślnie wykańczano tysiące krawców, którzy mogliby szyć dla nich płaszcze i czapki. Na froncie wschodnim każda lokomotywa zdolna dowozić zaopatrzenie była na wagę złota, a tymczasem w Polsce, na Węgrzech i Bałkanach setki składów były używane tylko do tego, by wozić ludzi przez pół Europy do obozów zagłady... Do tego zadarli z Polakami i musieli oddelegować z milion żołnierzy, by pilnowali każdego rozjazdu kolejowego i ganiali po lasach partyzantów.

– Nasz esesman miał pecha, bo ostatni z zastrzelonych siedział wprawdzie w tym samym warsztacie, ale nie robił masówki, tylko oficerki na obstalunek dla wyższych oficerów SS, kripo i gestapo... – Przebiegłem wzrokiem tekst. – I strasznie się wkurzyli. Przenieśli Müllera karnie na stanowisko wachmana do obozu w Płaszowie...

– Świadek miał czternaście lat, powiedzmy, w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim – mruknęła Marta. – Czyli rocznik mniej więcej tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy. Jest szansa, że jeszcze żyje. Może gdyby go odnaleźć, dałoby się wyciągnąć jakieś dodatkowe szczegóły?

– Sprawdzimy. – Zanotowałem.

– Szukam dalej – zapalił się nasz towarzysz, ponownie włączając na drabinkę.

– A my tymczasem przepatrzmy indeksy – zasugerowała Marta. – Nazwisko to już konkretny trop.

Miała rację. Kolejne godziny mijały na wertowaniu grubych ksiąg. Niestety, bez skutku. Tymczasem mój kumpel wyciągnął z półek kilka książek ze wspomnieniami więźniów getta w Krakowie i obozu w Płaszowie. Miał też opublikowane po niemiecku akta powojennych procesów załogi obozu. Niestety, choć zeszło nam do północy, nasze poszukiwania okazały się bezowocne, a i on niczego nie znalazł.

– Szukanie igły w stogu siana – westchnął wreszcie.

– Może trzeba sięgnąć do niepublikowanych relacji więźniów. Są w jakichś archiwach? – zapytałem. – Napisać do Ludwigsburga? Do centrum badania zbrodni hitlerowskich?

– To nie zawadzi. Do tego instytut Yad Vashem w Jerozolimie. Ale tym lepiej ja się zajmę, kiedyś trochę im pomogłem w jednej sprawie, może jeszcze pamiętają.

Obudziłem Martę, drzemającą w fotelu, i opuściliśmy gościnne progi.

*

Kolejny tydzień spędziłem na bezowocnym grzebaniu w różnych publikacjach i bezskutecznej wymianie mejli z archiwami. Arek zadzwonił tylko raz. Udało mu się

potwierdzić, że esesman o nazwisku Müller był po wojnie poszukiwany. Nie natrafił na żadne informacje, żeby go dopadli... Wreszcie w piątek rano spisałem wszystkie ustalenia i podreptałem na Pragę. Pchnąłem drzwi. Skrzydło uderzyło w mały mosiężny dzwoneczek. Nie widziałem tego patentu od lat... Wnętrze zakładu szewskiego powitało mnie wonią wyprawionej skóry i kleju. Rozejrzałem się, szukając w półmroku mojego zleceniodawcy.

Siedział w głębi przy potężnym stalowym kopycie szewskim i nabijał podeszwę buta gwoździakami. Usiadłem na zydelku i cierpliwie czekałem, aż skończy.

– Witam. – Uścisnął mi dłoń. – Przepraszam, ale...

– Wiem. Nie przerywa się zaczętej pracy.

– To sporo pan wiesz...

– Taki mam zawód, że muszę znać rozmaite zwyczaje i przestawać z ludźmi różnych profesji. Każde rzemiosło ma swoje obyczaje, tradycje, legendy. Młynarzom nie wolno obrabiać drewna piłą, kowale nie trafiają do piekła, piwowar dla sprawdzenia jakości polewa ławę piwem i siada na niej w skórzanych portkach. I tak dalej...

– Napijesz się pan herbaty? Czyżby coś udało się ustalić? Bo chyba nie przychodzisz pan z wieścią o klęsce? – Popatrzył pytająco.

– Generalnie nie idzie mi – wyjaśniłem. – Zdołałem wygrzebać naprawdę niewiele...

Wręczyłem mu raport. Przekartkował niecierpliwie, jego wzrok pospiesznie przebiegł wszystkie trzy strony.

– To jest niewiele? – zdumiał się. – W kilka dni ustaliłeś pan więcej, niż mogłem się spodziewać! Rewelacja. Po prostu rewelacja... Pan złapałeś trop. Teraz trzeba tylko tego Müllera dopaść jak lisa w norze!

– Na razie to tylko trop. – Westchnąłem. – I nic może nam się w każdej chwili urwać!

– Życzysz pan sobie zadatek na dalsze poszukiwania?

– Tego, co dostałem, jeszcze nie odpracowałem. – Wzruszyłem ramionami.

– Pańska renoma...

– Będą jakieś efekty, zgłoszę się po wypłatę – uciałem. – Na razie chciałem tylko pokazać, że się nie objam.

*

Siedziałem z Martą nad klaserem ze znaczkami, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Poszedłem otworzyć. Ku swemu zdumieniu spostrzegłem na progu Arka.

– Telefon mi padł, dlatego bez uprzedzenia – sumitował się. – Ale pomyślałem, że to nie powinno czekać.

– Wejdz, proszę...

Wmaszerował do salonu. Na widok Marty trochę się stropił.

– Popsułem randkę? Przepraszam.
– Żadna tam randka. – Uśmiechnęła się. – Znaczki sobie oglądaliśmy.
– Znaczki? Ekstra! – ożywił się. – Legendy krążą o tej kolekcji. Będę mógł rzucić potem okiem?

– Jasne.

Wydobył z aktówki plik papierów.

– Dostałem mejlem z instytutu Yad Vashem – pochwalił się. – Zeznania człowieka z Krakowa, który był zatrudniony w getcie na Podgórzu. Pracował w fabryczce butów produkującej na potrzeby Wehrmachtu i tam zetknął się z Müllerem.

– Pokaż – poprosiłem.

Podał mi kartki pokryte robaczkami żydowskiego alfabetu. Siadłem i zacząłem mozolnie brnąć przez relację.

– Znasz hebrajski? – zdziwiła się Marta.

– To akurat jidysz – wyjaśniłem. – Jak się opanowało pismo i dobrze zna polski, niemiecki oraz rosyjski można sporo zrozumieć... Wykułem alfabet. Przydaje się do grzebania w starych gazetach. Trochę brak mi jeszcze wprawy, ale pół roku...

– Po drugiej stronie masz przekład na angielski. – Arek wyszczerzył zęby.

Sukinkot, mógł wcześniej powiedzieć... Odwróciłem kartkę. Przeleciałem tekst wzrokiem.

– Zgonili kilkunastu szewców do starych warsztatów kolejowych, tam urządzili małą fabryczkę. Jeden Niemiec został kierownikiem. W porównaniu z resztą współziomków nawet źle nie mieli, praca dla szkopów chroniła ich przed wywózką do obozu. Niestety, znowu pojawił się esesman o nazwisku Müller. Znowu strzelał do szewców w warsztacie... Wytypował najlepszych i zniemacka kula w kark... – mruknąłem. – Trzech zabił w odstępie kilku dni, nim się kierownik fabryczki wkurzył, zameldował u naczalstwa, że mu świr robotę psuje, i pogonili mordercy kota.

– Zdaje się, w czterdziestym trzecim ciężko już było o nowych pracowników – westchnął Arek. – Większość Żydów wymordowano, nie było jak uzupełniać kadr. Pewnie gdyby wojna potrwała parę lat dłużej, zabraliby się na poważnie za likwidację Polaków, a tak...

– Mieliśmy trochę szczęścia w nieszczęściu – podsumowała dziewczyna.

Wzdrygnąłem się. Parszywe czasy, parszywa okupacja. Byle gnida praktycznie bezkarnie mogła z zimną krwią zabijać ludzi wedle swego widzimisię...

Chłopak siadł na fotelu i z nabożeństwem zaczął przeglądać klaser.

– Modus operandi identyczny. Bez dwu zdań to ten, którego szukamy... – mruknęła Marta. – Tylko jak znaleźć tego konkretnego? W Niemczech ludzi noszących to imię i nazwisko było z pewnością na pęczki... Czemu masz taką minę? – zapytała.

– Coś mi w tej całej historii kompletnie nie pasuje – mruknąłem.

– Co znowu? – zdumiała się. – Wymyśliłeś, że to seryjny morderca i okazuje się, że

miałeś rację. Wydedukowałeś, że miał hopla, i faktycznie chorobę umysłową widać jak na dłoni!

– Wydaje mi się, że nasz zleceniodawca pozwolił sobie pominąć pewne szczegóły...
– mruknąłem bardziej do siebie niż do nich.

– A niech mnie! Nadruki Wolnej Białorusi generała Bułak-Bałachowicza! Myślałem, że to tylko filatelistyczna legenda! – zapiął z zachwytu mój gość. – Przepraszam, mówiłeś coś? – Ocknął się.

– Nic ważnego, tyle że muszę szczerze pogadać z pewnym szewcem – wyjaśniłem. – Zobacz, co mam na kolejnej stronie.

– Wiedeńska emisja znaczków dla Zachodniej Ukrainy? To autentyk!?! Przecież wszystkie wydrukowane arkusze spłonęły podobno w rozbitym samolocie!

– Wiesz, jak to jest z chłopami. Wszystko może się przydać. Gdy w czasie wojny spada samolot, cała wieś ma uciechę. Szyby tnie się na grzebienie. Aluminium z kadłuba topi na łyżki. Brezent ze skrzydeł jest idealny, aby portki do roboty uszyć. Pilotom przed pogrzebem można sprawdzić kieszenie, odpiąć zegarek albo nawet ściągnąć kurtkę...

– I powiadasz, że gdzieś na strychu słowackiej chaty znalazłeś...

Ale ja byłem myślami już gdzie indziej.

*

Nad warszawską Pragą zapadał zmierzch. Normalnie nie pchałbym się o tej porze w te zasyfione zaułki, ale wolałem nie odkładać sprawy do jutra. Maszerowałem spokojnie. Z bram popatrywały na mnie zamglonym spojrzeniem mordy jak z koszmaru sennego. Tu nic się nie zmieniło od czasów Władysława Siermiężnego i Edwarda Szczodrego. Kapitalizm objawił się na szybach pobłyskiem kolorowych telewizorów, widokiem zagranicznych aut poparkowanych byle gdzie, kilku reklam i nadpalonego billboardu. Reszta pozostała bez zmian. Tynki elewacji sypały się tak samo jak przez ostatnie pół wieku. Z bram śmierdziało moczem, stęchlizną i gotowaną kapustą. Chodnik był krzywo położony, a połamane płyty nie udawały nawet, że trzymają jakiś poziom. Po kocich łbach przejechało pordzewiałe auto pełne przypakowanych kolesiów w dresikach.



Zakład szewski był mimo późnej pory nadal otwarty. Wszedłem. Stary majster siedział, szyjąc ręcznie cholewkę. Zakończył ścieg, przypalił koniec nitki i dopiero uniósł głowę.

– Udało się ustalić coś nowego? – Na mój widok wyraźnie się ożywił.

– Prawie...

– To znaczy masz pan nowy trop?

– Trafiają mi się różni klienci. Z reguły część nie mówi całej prawdy... A w każdym razie nie przy pierwszym spotkaniu – zacząłem od odrobiny dyplomacji.

Spojrzał spode łba i zachmurzył się, najwyraźniej z miejsca odgadł, do czego zmierzam.

– Człowiek, którego szukam, nie był zwykłym mordercą. Nie zabijał z pobudek antysemitycznych. Nie mordował z powodu jakiejś urojonej zemsty – powiedziałem. – Przypuszczam, że też był szewcem. Ale nie eliminował konkurencji. Nie był też chory psychicznie. Działał konsekwentnie. Miał swój własny, parszywy cel.

– To bez znaczenia. – Rzemieślnik wzruszył ramionami.

– Rozpoznał pan buty, które wyszły spod jego ręki. Kupił je pan na niemieckim bazarze. Pan go szukał na własną rękę. Kształt dziurek widać dopiero pod lupą. Zatem zdradził go ścieg charakterystyczny dla pańskich krewnych i ich uczniów. Nie sądzę, by poświęcił godziny na podpatrywanie, jak operujecie igłą.

Milczał.

– Wszystkich zabił podczas pracy – dodałem. – To nie była jego fanaberia, tylko albo idée fixe, albo ma to jeszcze inne wytłumaczenie. Dedukuję, że w tym było coś więcej. To jakiś rytuał... Opowie mi pan o tym?

Zaklął pod nosem w jidysz.

– Jesteś pan bardzo mądrym człowiekiem, panie Robercie. – Westchnął. – Nie przewidziałem tego, gdy pana wynajmowałem, choć ostrzegali, że myślisz pan i szybko, i niestandardowo. To, co powiem, zabrzmi... dziwnie.

– Mnie niełatwo zdziwić – powiedziałem. – Potrafię też zachować dyskrecję. Dowie się tylko moja współpracowniczka. Ale to, można powiedzieć, zostanie w rodzinie.

– Jest taka zasada. Nie wszyscy jej przestrzegają, a wielu leszczy od podklejania zelówek, którzy mieniają się szwecami, nawet o niej nie słyszało. – Wydał pogardliwie wargi. – A brzmi ona: prawdziwy szewc nigdy nie przerywa raz zaczętej pracy – powiedział twardo. – Nigdy. W żadnych okolicznościach. Nawet w chwili zagrożenia życia. Nawet z lufą przytkniętą już do potylicy.

Zagiął jeden palec.

– A druga zasada? – zapytałem.

– Starzy majstrowie, od których uczyłem się fachu, przekazali mi legendę cechu. Oni w nią wierzyli, ja w nią wierzę, najwyraźniej znał ją także ten parszywy morderca. Gdy szewc zginie przy pracy, jego umiejętności zostają zaklęte lub może wypalone w narzędziach, które wtedy trzymał w dłoni.

Wzdrygnąłem się mimowolnie.

– Takie narzędzie, użyte potem nawet przez byle partacza, daje mu umiejętności zamordowanego – zakończył. – Wiem, jak to brzmi... – Westchnął. – Ale masz pan minę... Czy pan naprawdę się nigdy niczemu nie dziwisz? – Wycelował we mnie oskarżycielsko palec.

– Dziwię się. Czasami gdy telewizor włączę i zobaczę gęby naszych polityków...

Uśmiechnął się mimowolnie.

– Pan musisz zrozumieć...

– A co tu do rozumienia? – Rozłożyłem ręce. – Są narzędzia, które trzeba odnaleźć.

Jest morderca. Jeśli jeszcze żyje, zidentyfikujemy go i zawlecziemy przed sąd. Pobudki, które nim kierowały... Mogę w nie wierzyć albo nie wierzyć. To nic nie zmienia. Jeśli żyje, zostanie ukarany. Jeśli uda się odzyskać narzędzia, dostarczę je panu.

– Pan odgadłeś, bo pan w to wierzysz. – Uśmiechnął się.

– Albo uwierzyłem po tym, jak odgadłem. – Wzruszyłem ramionami. – Ważne, że szkop w to wierzył. Choć gdyby nie wierzył, byłoby lepiej. Mniej ludzi by zginęło.

– I nadal się pan nie dziwisz... Pan coś już podobnego przeżyłeś. Coś, co zachwiało rozumem...

Przypomniałem sobie ludzki kod DNA wyizolowany z ości kości i parę podobnych przypadków...

– Przeżyłem w życiu rzeczy tak dziwne, że mój światopogląd nie jest już tak trzeźwy jak kiedyś... – Westchnąłem. – Ani nawet tak racjonalny, jakbym chciał!

– Opowiesz pan o tym?

– Skoro chce pan posłuchać, skoro opowiedział mi pan o sekretach cechu... Jeśli oczywiście nie zanudzę.

– Zrobię herbaty. Na dziś i tak już fajrant.

Siedziałem, gadaliśmy, zeszło do drugiej w nocy.

*

Było ciepłe sobotnie popołudnie. Marta dała się zaprosić. Siedzieliśmy u mnie. Wypiliśmy herbatę, miałem ochotę pokazać jej kilka ciekawych znaczków, ale się wymówiła, więc przystąpiliśmy do konsumpcji ciasta. Chciałem pogadać o czymś wzniosłym, może o aspektach fizycznych lotu z szybkością podświetlną, rozmowa jednak szybko zeszła na nasze aktualne zlecenie...

– Co robi człowiek na wojnie? – rozważałem. – Taki normalny, który musiał z dnia na dzień rzucić normalną robotę i wziąć do ręki karabin...

– Siedzi w okopie, nie wystawia głowy i próbuje przeżyć. – Marta wzruszyła ramionami.

– A taki mniej normalny? Cwaniaczek, bandziorek... Rozkwita w większego cwaniaka i większego bandziora. Zaczyna kombinować, jak się na wojnie dorobić. Obszukuje trupy, wyciąga srebrne papierośnice z kieszeni, zdejmuje obrączki ze sztywniejących palców, wrywa złote zęby poległym wrogom albo i własnym kolegom... Ale sama wojna to jeszcze nic.

– Nie rozumiem? – Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Wojna to wojna. Nasi strzelają, tamci strzelają. Ale najbardziej demoralizuje okupacja. Możliwość bezkarnego rabowania. Szansa solidnych zarobków na rozmaitych lewych interesach. Budowanie układów i układzików z najgorszymi ścierwami spośród podbitych tubylców... I w drugą stronę. Nieznośne warunki życia, ale i okazja

dorabiania się kosztem rodaków i kręcenia lodów z okupantem. Dla jednostek najbardziej zdegenerowanych to też okazja do gwałcenia i mordowania. I z drugiej strony, podbici też się degenerują, jedni pod wpływem nędzy i strachu, a inni dlatego, że ta nienormalna sytuacja premiuje cechy patologiczne...

– U nas w miasteczku był taki niemiecki zarządca. – Uśmiechnęła się krzywo. – Ten dla odmiany był za dobry. Jak gestapo kogoś zwinęło, szło się do niego. Dobry obiad, dużo wódki, czasem parę groszy i stawał na uszach, by Polaków wyciągać z aresztu. Tylko że lubił wódkę trochę za bardzo. A na taki cel nikt mu samogonu nie żałował. Uciekł wraz z wycofującymi się pobratymcami. Ale długo to już chyba nie pożył. Wątroba mu gardłem wyskoczyła...

– Szewc, zapewne partacz, któremu robota generalnie szła kiepsko, dostał dwie szanse – wróciłem do tematu. – Po pierwsze, nakraść ile wlezie, by po wojnie otworzyć własny warsztat. Po drugie, zdobyć narzędzia, które zapewnią mu przewagę nad konkurencją. Narzędzia niezwykle...

– Brrr... – Wzdrygnęła się. – Czy to w ogóle możliwe? Szewska legenda...

– Wszystkie zawody mają podobne opowieści. Nieliczne zanotowano, większość jest już zapomniana. W każdym razie on w to wierzył na tyle mocno, by mordować z zimną krwią.

– Ale żeby zabijać kolegów po fachu dla jakichś zabobonów... – Miała zde gustowaną minę.

– Nie jest szczególnie ważne, czy sposób działa, czy też to tylko zabobon. To, w co wierzył, kierowało jego zbrodniczymi poczynaniami. Niemiec. Nazista. Morderca szewców... Być może z Berlina... – rozważałem.

– Utkwił ci w głowie ten Berlin.

– To jedyny nikły punkt zaczepienia. – Westchnąłem. – Ale masz rację. Te buty na flomarku mogły przywędrować z daleka. Jeśli jednak wyszły spod ręki mordercy, to wiemy chociaż tyle, że przeżył wojnę, nie wpadł w ręce ruskich, zataił okupacyjną przeszłość i wrócił do zawodu. Nie ugryziemy tego od tej strony – mruknąłem. – Namierzenie konkretnego Müllera to jak szukanie igły w stogu siana. Pierońsko popularne nazwisko. Jest ich w Niemczech jak u nas Kowalskich czy Nowaków.

– A od drugiej strony? – podsunęła Marta. – Wyszukać niemieckich szewców, a wśród nich naszego ptaszka?

– Zgromadził narzędzia co najmniej ośmiu, może dziesięciu zabitych. Skoro je zbierał to po to, żeby używać. Chyba każdy lubi pracować na swoim. Zakładam zatem, że otworzył własny warsztat. Chyba że miał już przed wojną.

– O ile nie utknął w tej części miasta, która przypadła Sowietom. W NRD pewnie zagoniono rzemieślników do spółdzielni pracy...

– Wykluczyć tego nie możemy – przyznałem niechętnie. – Ciekawe, kiedy w Berlinie uruchomiono po wojnie sieć telefoniczną.

– Książka teleadresowa? – Spojrzała na mnie.

Ach, jak lubiłem ten błysk w jej oku...

– No właśnie... O ile faktycznie chodzi o to miasto. Bo masz rację – jedynym śladem jest stary bucior kupiony na berlińskim bazarze... To i straszne, i głupie... – rozważałem.
– Rozumiałbym mordowanie z chciwości dla zdobycia złota, klejnotów, ale zabijać, by zostać lepszym szewcem? To chore...

– Chore – przyznała. – Ale na wojnie ludzkie życie jest tanie... A i w dzisiejszych czasach przecież co i rusz się słyszy o jakichś zbrodniach popełnianych dla absolutnych groszy lub zgoła bez powodu...

Zadzwoił telefon. Nieoceniony Arek. Przełączyłem na zestaw głośnomówiący.

– Mam coś dla ciebie. Tylko nie wiem... Może to kompletny przypadek, a może i konkretny trop...

– Co znalazłeś? – zainteresowałem się.

– Jednozdaniową wzmiankę w niemieckiej *Księdze pamięci*. Słuchaj: *Szewca Izzaka z Lichtenrade zastrzelił w warsztacie jego niemiecki sąsiad, też zresztą szewc* – przeczytał. – Nie ma tu, niestety, nazwiska mordercy. Ale za to jest nazwa miejscowości.

– Lichtenrade – powtórzyłem w zadumie.

Palce Marty z niebywałą szybkością zatańczyły na klawiaturze laptopa.

– To obecnie dzielnica Berlina, na południowym obrzeżu aglomeracji – zameldowała.

– Helmut Müller z Lichtenrade. – Smakowałem każde słowo. – Jeśli to faktycznie on... To pierwszy konkretny krok...

– Komu go wystawimy? – zapytał Arek. – Instytut Pamięci Narodowej? Centrum Wiesenthala? Czy może Mossad? Zakładając, że po wojnie nie uciekł do Argentyny.

– Pierwszeństwo ma zleceniodawca. Możliwie, że w odwecie za dziadka zechce esesmana popukać szewskim młotkiem po głowie. O ile nasz ptaszek jeszcze żyje, w co wątpię – mruknąłem. – Żeby się załapać do SS, musiał mieć w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym co najmniej osiemnaście lat.

– Powiedzmy, rocznik tysiąc dziewięćset dwudziesty, albo i wcześniejszy – zasepiła się Marta.

– I o ile nie zmienił po wojnie nazwiska... – dodał Arek. – Dajcie znać, jak wam poszło.

Rozłączył się.

– Czeka nas zatem wycieczka do Berlina? – zamyśliła się Marta. – Hmmm... Pasuje ci przyszły wtorek?

Ucieszyło mnie to „nas”.

Lichtenrade... Miasteczko pod Berlinem pierwotnie rozciągało się pomiędzy stawem a średniowiecznym kościołkiem. W XIX wieku opodal przeprowadzono linię kolejową... Wytyczono nowe ulice. Zbudowano kamienice, młyny, browar, magazyny. Centrum osady przeniosło się na zachód. Część wokół kościoła nazwano Altelichtenrade. Eklektyczne wille wyparły wcześniejszą zabudowę. W czasie wojny gdzieś na tym terenie był mały obóz koncentracyjny, przeznaczony głównie dla jeńców pochwyconych na froncie wschodnim. Po wojnie Lichtenrade pozostało pod administracją amerykańską, jednak mur berliński otoczył osiedle z trzech stron.

– Swoją drogą, to granda – mruknąłem, gdy wysiedliśmy z kolejki podmiejskiej.

– Granda? – zdziwiła się Marta.

– Mój dziadek z kolegami zdobyli to miasto w czterdziestym piątym. Jestem tu zatem poniekąd na swoim. Dlaczego muszę płacić za bilet? I to jeszcze tak drogo.

– Bo taki jest ogólnoswiatowy zwyczaj – mitygowała mnie. – W Warszawie też musisz płacić.

– W Warszawie płacę swojakom. Choć patrząc na to, kto jest we władzach miasta... Hmm... Od dziś jeżdżę na gapę!

– Marudzisz, bo się nie wyspałeś!

Chyba nawet miała rację. Ziewnąłem i rozejrzałem się wokoło. W dwie godziny złączyliśmy to całe Lichtenrade wzdłuż i wszerz. Bez skutku. Nigdzie nie wypatrzyliśmy zakładu szewskiego, a zagadywani tubylcy wytrzeszczali tylko oczy.

– To na nic – mruknęła Marta. – Kompletnie nie ta epoka...

– Co masz na myśli?

– Porównuję... W Warszawie w nowych dzielnicach nie ma zakładów szewskich. Na Pradze bywają, czasem w zaułkach Woli czy Ochoty przetrwał mały zakładzik, w którym możesz zamówić buty. Warsztatik w suterenie, często istniejący od stu lat pod tym samym adresem. Na Ursynowie czy Żoliborzu znajdziesz co najwyżej punkty usługowe, gdzie podkleją plastikową zelówkę, rozciągną but o pół numeru czy wbiją w obcas nowy fleczek. Tu nawet tego nie ma. Nikt się już w to nie bawi. Buty się psują albo mają niemodny już fason, to się je wyrzuca i kupuje nowe. Przemysł kompletnie wyparł rzemiosło. I to zapewne wiele dziesięcioleci temu.

– Masz rację. – Westchnąłem. – A jednak... Czuję, że jesteśmy na tropie.

– Weź jeszcze jedną rzecz pod uwagę. Nasz nazista mógł zostać w końcu rozszyfrowany, rozpoznany przez którąś z ofiar i zapuszkowany albo nawet osądzony i powieszony.

Zatoczyliśmy duże koło po dzielnicy i znowu byliśmy obok przystanku kolejowego.

– Tak tego nie ugryziemy – powiedziała twardo.

– Co zatem proponujesz?

– Wyspę Muzeów i galerię sztuki starożytnej. Nie rób takiej miny. Skoro już tłuśliśmy się taki kawał świata, trzeba zobaczyć to, co mają najlepszego... Widziałeś

kiedyś na własne oczy Ołtarz Pergamoński? Albo popiersie Nefretete?

– Nie widziałem.

– A mają jeszcze mozaiki z ulicy procesyjnej i Bramy Isztar z Babilonu... – kusiła. – I masę innych pięknych rzeczy. Taki miłośnik starych gratów z pewnością znajdzie tam coś dla siebie.

– Za wcześnie na odwrót! – Pokręciłem głową. – Czuję, że to tu gdzieś jest. To właściwy trop.

– Co radzisz?

– Dokumenty życia społecznego w dobrej bibliotece i książka telefoniczna Berlina z lat czterdziestych.

– O ile Lichtenrade było już częścią aglomeracji. Ale żeby to zdobyć, musielibyśmy wrócić do centrum miasta.

– Może uda się prościej – rozważałem. – Trzeba znaleźć kogoś naprawdę starego. Kogoś, kto może coś pamiętać.

– Sprawdźmy, o której w kościółku jest wieczorna msza, i wypytamy moherowe babcie – powiedziała to na wpół żartobliwie, ale idea była dobra.

– Protestanckie staruszki zapewne nie noszą moherowych beretów, ale poza tym, czemu nie. Pomysł jest bardzo dobry. Ale zaczniemy jeszcze prościej.

Rozejrzałem się i przeszedłem na drugą stronę ulicy. Sprzedawczyni w pobliskim sklepiku spożywczym na pytanie o kogoś, kto pamięta dawne czasy, wyraźnie się ożywiła.

– Pani Berta – zasugerowała. – Była nauczycielką przez czterdzieści lat. Znała tu każdego i chętnie rozmawia z dziennikarzami...

*

Pani Berta siedziała w ogródku przed willą opodal kościoła. Wyglądała tak, że można się było jej przestraszyć. Dziarska starowinka, prosta, jakby połknęła kij od miotły, wbita w czarną sukienkę, żywcem przeniesiona w czasie z dziewiętnastowiecznej pruskiej szkoły... Nie zdążyliśmy się przywitać ani przedstawić.

– Kogo państwo szukacie? – zapytała konkretnie.

– Szukamy? – udałem zdziwienie.

Zaprosiła nas stanowczym gestem do ogródka. Pchnąłem furtkę. Gdy podeszliśmy do stolika, już jej tam nie było, po chwili zeszła z werandy, niosąc czajnik i dwa kubki.

– Kawy czy herbaty? – zapytała surowo.

– Poproszę herbaty – bąknęła Marta.

Starowinka stanowczym gestem wskazała nam krzesła. Wrzuciła dwa szczury do kubków i zalała wrzątkiem.

– Krążycie po Lichtenrade od paru godzin. – Uśmiechnęła się. – Przechodziliście tu

już dwa razy. Przyglądacie się budynkom, ale nikogo o nic nie pytacie. Liczycie na łut szczęścia, ale nie macie konkretnego adresu... Nie jesteście turystami, bo tu nie ma wielu obiektów godnych obejrzenia. Jesteście cudzoziemcami, więc zapewne chodzi o jakieś sprawy z zamierzchłej przeszłości.

– Zastanawiamy się, gdzie był warsztat szewski Helmuta Müllera. – Nie widziałem specjalnie powodu, by kłamać.

– Ach. Jesteście z Mossadu? – Uśmiechnęła się krzywo. – Nie koń do wozu, to wóz do konia. Nie przyjechał stawić się przed sądem, to czeka go likwidacja z dostawą do domu?

– Skąd to przypuszczenie? – zdumiała się Marta.

– Bo kogo innego może interesować stary nazista? W dodatku nie wyglądacie na Żydów. I słusznie, bo prawdziwi agenci powinni dobrze wtapiać się w tłum.

Uśmiechnąłem się mimo woli.

– Jesteśmy z Polski – wyjaśniłem. – I to raczej prywatna sprawa... Choć faktycznie trąca o czasy okupacji.

– Spóźniliście się jakieś dwadzieścia lat. – Upiła herbaty. – On już nie żyje.

– Proszę opowiedzieć – zachęciłem.

– Wy pierwsi – zabrzmiało to jak rozkaz.

– Pani ziomek był szewcem. Trafił w czasie wojny do Polski jako okupant. Zabijał innych szewców w Warszawie i Krakowie i kradł ich narzędzia. Mam zlecenie, by je odnaleźć – wyjaśniłem.

Nie wiem, co ją bardziej zdziwiło. Czy kuriozalność naszego zlecenia, czy może moja szczerłość.

– Faktycznie, był szewcem. Musiał sporo złotych zębów powyrywać, bo przed wojną był dziad, a gdy wrócił, otworzył własny zakład i generalnie przez jakiś czas dobrze mu się wiodło. Sprzedawał buty naprawdę dobre i pierońsko drogo. Ale po kilku latach coś się zepsuło. Zaczął pić na umór. Tam u was w Polsce mówi się, zdaje się, pijany jak szewc?

– O skacowanych robotnikach mówimy, że mają szewski poniedziałek – sprostowała Marta.

– Pił strasznie. Dzień w dzień zalewał się do nieprzytomności. Najpierw w knajpie niedaleko dworca, potem u siebie w domu. I co ciekawe, przestał robić buty.

– No cóż, alkohol degeneruje... – zauważyłem. – Ręce się trzęsą, wzrok słabnie. Ciężko obudzić się rano, znika motywacja do roboty, zapomina się o terminach...

– Częstujcie się ciasteczkami. – Podsunęła paterę. – Nie. Było odwrotnie. On je przestał robić nagle. Miał sporo zamówień. Niespodziewanie zamknął warsztat. Powiedział, że te buty są... żydowskie. I dopiero wtedy zaczął chlać.

– Co proszę!? – zdumiałem się.

– Ciekawe, nieprawdaż? Były członek SS, który nagle stwierdza, że robi żydowskie

buty. Jakby się czymś różniły od aryjskich. W każdym razie pracy już nie miał, a pił dalej. Żebrał, grzebał po śmietnikach, czasem magistrat go zagonił do zamykania ulic za kilka marek zasiłku. Ze trzydzieści lat tak przeżył.

– Nikt się nie czepiał jego przeszłości? – zapytałem. – Skoro wiadano, że był w SS...

– Wielu było. – Wzruszyła ramionami. – A zarazem... My, Niemcy, jak się okazało po wojnie, byliśmy narodem kolejarzy, muzyków i kucharzy. Kogo byście nie zapytali, to przez tamte sześć lat pracował na kolei, a jeśli przypadkiem był na froncie, to jako sanitariusz albo grał w wojskowej orkiestrze, ewentualnie pracował w kuchni polowej i pilnował magazynów. Tylko wyjątkowi pechowcy mieli problemy z legendą, bo pod ramieniem wytatuowano im grupę krwi i runy SS. No i taki, jeśli oczywiście uniknął wpadnięcia w łapy Sowietów, do końca życia nie zdejmował koszuli. Wiem, dla was, Polaków, każdy, kto otarł się o tę formację, powinien zostać po wojnie powieszony. Rozumiem... Nikt go jednak nigdy o nic nie oskarżył. A co zrobił? – zaciekała się. – Mówiliście, że zabijał?

– Był strażnikiem w gettach i w obozie koncentracyjnym. Zamordował co najmniej dziewięciu ludzi – powiedziałem. – O tylu wiemy. Zapewne lista ofiar jest znacznie dłuższa.

– Niech was pocieszy, że koniec miał po prostu straszny. Od chlania dostał cukrzycy, amputowali mu nogę. Kuśtykał po miasteczku, brudny i śmierdzący, twierdził, że słyszy głosy. Mówił, że jego ręce nie należą już do niego. Wreszcie trafił do szpitala dla obłąkanych, ale długo nie pociągnął. Wysiadała mu wątroba... Męczył się straszliwie przez wiele miesięcy. Na pogrzeb podobno nikt nie przyszedł.

– Co się stało z jego warsztatem? – dociekałem.

– Przepił go w kilka lat. To tam, koło dworca, gdzie jest teraz sklep mięsny.

– A narzędzia?

– Albo poszły na złom, albo może je ze sobą zabrał? Nie mam pojęcia. A może chcecie jego adres domowy? Tylko że tam... Jak by to powiedzieć... – Strzeliła palcami. – Przy tej uliczce mieszkają Niemcy, których kolor skóry nijak się ma do dziedzictwa krwi aryjskich przodków, a codzienne obyczaje i stosunek do porządku drastycznie odbiegają od tradycji naszego miasteczka. W dodatku to straszni rasiści. Potrafią dać w łeb każdemu, kto jest nazbyt biały... – Zachichotała. – Ale wy, Słowianie, może się z nimi dogadacie. Zapiszę wam na kartce.

Pożegnaliśmy się i poszliśmy. Miła babcia, tylko trochę miała nierówno pod sufitem.

– Żeby były esesman mógł sobie spokojnie mieszkać wśród ludzi. – Marcie nie mieściło się to w głowie.

– Denazyfikacja przeprowadzona była bardzo powierzchownie – wyjaśniłem. – Wielu wysokiej rangi funkcjonariuszy NSDAP pracowało po wojnie nawet we władzach RFN. W NRD też ich się sporo uchowało. Nawet w Polsce mówiło się, że

jeden przydupas Edwarda Szczodrego w randze wiceministra to były esesman, i to bardzo wysokiej rangi. Na dwudziestą rocznicę wojny Bundestag przygotował ustawę o przedawnieniu się wszystkich zbrodni nazistowskich. Na szczęście ambasador ZSRR odwiedził kanclerza i zdrowo go postraszył trzecią wojną światową... Ale takich szeregowych, jeśli nie mieli konkretnych zarzutów, nikt nie szukał... Czasem jakiś obozowy wachman miał pecha, bo go rozpoznał na ulicy były więzień, ale to raczej nieczęste przypadki. A procesy strażników obozowych, na przykład z Auschwitz, to już w ogóle żenada. Udało się złapać kilkunastu. Ci, którzy byli sądzeni w ZSRR, praktycznie wszyscy zostali powieszani. Z tych sądzonych w Polsce część stracono, a resztę zapuszkowano na długie lata. Ale na Zachodzie skończyło na wyrokach po kilka, czasem kilkanaście lat...

Zadumałem się. Kilkaset metrów od muru i już zupełnie inny świat... Ciekawe, jak żyło się tym ludziom ze świadomością, że stanowią enklawę wolnego świata, rzuconą w głąb strefy kontrolowanej przez Sowietów.

Nie przerywając marszu, wyjąłem z kieszeni plan miasta. Rozejrzałem się, sprawdzając nazwę ulicy.

– Pójdiesz tam? – zapytała.

– Tak. W końcu po to przyjechaliśmy. A ty zaczekasz na mnie w kawiarni koło dworca. Na wszelki wypadek. Nie chcę cię tam ciągnąć. Może być naprawdę różnie.

– Hmm...

– Mam doświadczenie w łażeniu po zaszyfionych dziurach – uciałem. – W końcu całe lata mieszkałem na Szmulkach.

*

Ostatni adres szewca-naziola... Szedłem spokojnie. Okolica ewidentnie podupadała. Trochę starych domów, zapuszczonych straszliwie, których z jakichś przyczyn nie wyremontowano. Obok parcele zarośnięte chwastem. Minąłem koczowisko, kilkanaście przyczep kempingowych, pomiędzy którymi kręcili się smagłolicy młodzieńcy. Zapewne pilnowali suszącego się na sznurach prania. W porównaniu z dresiarzami bytującymi na warszawskiej Pradze wyglądali wręcz sympatycznie. Na ławeczce migdalili się rosły Murzyn i blondwłosa nastolatka w zaawansowanej ciąży.

„Adolf Hitler przewraca się w grobie” – pomyślałem wesoło. „I dobrze tak bydlakowi”.

Z pewnością mieszkańcy obserwowali mnie przez okna. Wieloletnie buszowanie po najbardziej zakazanych zaułkach Warszawy i Łodzi dało mi pewne doświadczenie. W takich miejscach nie należy ani okazywać strachu, ani grać przesadnego chojraka. Jeśli nie da się wtopić w krajobraz, najlepiej wywołać u tubylców stan delikatnej niepewności. W garniturze i z aktówką pod pachą wyglądać mogłem na pracownika

opieki społecznej.

Wreszcie stanąłem przed dziewiętnastowieczną kamieniczką. Tynk trochę się sypał. Okna były brudne jak diabli. Ale wewnątrz ktoś mieszkał. Nielegalnie mieszkał, co do tego nie miałem wątpliwości. Gdy się zbliżałem, z podwórka albo przyległego placu dobiegały wrzaski dzieci. Teraz zapadła cisza.

Wszedłem do klatki, popychając rozklekotane drzwi. Woń gotowanej kapusty zakręciła mnie w nosie. Ku własnemu niejakiemu zdumieniu spostrzegłem tablicę z listą lokatorów. Była mocno zakurzona, papier pożółkł, a literki, napisane chyba czarnym flamastrem, z biegiem czasu stały się czerwone.

– Müller, mieszanie numer cztery – mruknąłem. – No cóż. Zobaczymy, panie Helmut, kto tam teraz u pana mieszka, a jak nikt nie mieszka, to oczywiście też zobaczymy...

Stałem przed odrapanymi drzwiami. Wcisnąłem guzik dzwonka, a potem zapukałem. Skrzypnęły zawiasy i z trzech sąsiednich mieszkań wyłonili się mieszkańcy. Wyglądali jak sklonowani. Niewysocy, krępi, dość smagli, ale raczej Słowianie. Odziali się wygodnie w powyciągane, niemodne już dresy. Uśmiechnąłem się do nich promiennie i zapukałem raz jeszcze. W następnej kolejności miałem w planach użycie wytrychu, ale na szczęście to nie było konieczne. Facet, który otworzył drzwi, wyglądał jak z ruskiego dowcipu. Był w nieokreślonym wieku. Na bose stopy wzuł znoszone mokasyny z chwościkami, workowate spodnie stanowiły w zamierzchłej przeszłości część munduru, owłosiony tors przyozdabiała pasiasta pseudomarynarska *gimnastiorka*... Nie golił się od kilku dni. I chyba też nie mył. Za to trenował z zacięciem, mięśnie rysujące się pod skórą budziły pewien respekt.

– *Guten Tag* – zagadnąłem.

– Ja słabo mófić niemiecka... – wyrecytował.

Zdradził go akcent.

– *Pa russki?*

Twarz rozpląnęła się w uśmiechu. Jak tu trafił? Jako jeden z tak zwanych rusodojczów – potomków Niemców sprowadzonych nad Wołgę przez Katarzynę II, a w latach pięćdziesiątych repatriowany do kraju przodków? E, chyba lepiej by się posługiwał językiem dawnej ojczyzny. Zatem raczej *gastarbeiter*, i to krótko przebywający w RFN.

Wyłożyłem, po co przychodzę.

– Helmut Müller? – Rosjanin wyszczerzył klawiaturę popsutych zębów. Tylko jeden klawisz w paszczęce wyglądał w miarę po ludzku, to znaczy był odlany w złocie.

– Szewc.

– Ja nie wiem. Trzy lata tu mieszkam. Wcześniej puste stało. Szkoda, żeby się dobre mieszkanie marnowało, no nie? Tośmy się wprowadzili. Może kiedyś tu żył, bo tam na dole jeszcze stara tablica z nazwiskami jest...

– Szukam narzędzi po nim. Wiecie... – omal nie powiedziałem „towarzyszu”. – Kopyto szewskie, młotki, szydła... – Nie wiedziałem, jak po rosyjsku brzmią nazwy innych narzędzi.

– No powiedzmy, że może w szopce przypadkiem walają się podobne rzeczy. Może nawet sporo. Ale co ja będę z tego miał? – Złoty ząb zabłysnął w uśmiechu.

Stłumiłem podniecenie.

– W ramach odwiecznej przyjaźni między naszymi narodami gotów jestem udzielić skromnej dotacji na dalszą slawizację faszystowskiego miasta. – Wykonałem palcami gest liczenia pieniędzy.

– Jak skromnej? – żywo się zainteresował.

– Skromnej – uciałem. – I najpierw muszę zobaczyć.

– Chwileczkę...

Zanurkował do środka mieszkania. Czekałem w progu. Zakapiorzy, widząc, że nie są potrzebni, znikli w swoich norach. Z dołu znów dobiegły wrzaski dzieciarni. Przekrzykiwała się w jakimś gastarbeiterskim esperanto, mieszając słowa różnych krajów i ludów. Najczęściej słyszałem koszmarki złożone z niemieckich rdzeni opatrzonych rosyjskimi i ukraińskimi końcówkami lub rosyjskich słów wymawianych z niemiecka...

„Groza wojny” – dumałem. „Moje pokolenie jeszcze pamięta. Nasi dziadkowie walczyli na froncie, cierpieli głód podczas okupacji, zmagali się z różnymi kanałiami, byli rabowani dostawami kontyngentowymi. Sam pamiętam jeszcze ludzi z numerami obozowymi wytatuowanymi na ręce... Dla tych dzieciaków to będzie już tylko martwa historia. Jak który dociekliwy, to poczyta książki albo film obejrzy, ale nie pozna relacji z pierwszej ręki. Nie usłyszy opowieści o tym, jak jego dziadkowi obozowy kapo wylał zupę...”

Ruski wyłonił się, podzwaniając kluczami. Miał ich cały pęk. Puściłem go przodem, jakoś wolałem mieć pusto za plecami...

Szopa była niewielka i zawalona śmieciami prawie po dach. Puste butelki, rozpadający się materac, resztki regałów z płyty pilśniowej. Druciana klatka, w której kiedyś trzymano króliki... Rozejrzałem się po wnętrzu. Ruski stał w drzwiach i drapał się po szczecinie. Najwyraźniej nie chciało mu się nawet włączyć do środka. Ale w kącie spostrzegłem szewskie kowadełko.

– Kiepsko to wygląda – mruknąłem.

– Dasz *grazdanin* trzydzieści euro i grzeb do woli, a co wygrzebiesz, twoje – zaproponował konkretnie.

– Dwadzieścia?

– Toż jak za darmo.

– Dwadzieścia dwa?

– Trochę mało.

– Ciemno tu. Nie wiem, czy to tyle warte.

– Polacy znani są z tego, że mają pański gest i nie targują się o byle co. Czy ty przypadkiem nie jesteś *jewrejem*? – zirytował się.

Nie było sensu przeciągać sprawy.

– Przypadkiem nie.

– To dwadzieścia pięć.

Westchnąłem i wyliczyłem mu na brudną rękę żadaną sumę. Ruski wyraźnie poweselał. Zostałem sam. Na stosie leżała całkiem niebrzydka walizka obita wołową skórą. Ciut napoczęły ją myszy, ale szkielet był jeszcze w miarę w porządku. Wywaliłem ze środka pocięte gazety, pamiętające sam schyłek epoki zimnej wojny. Oparłem się o stos szmat. Drewniana rękojeść młotka niemal sama wcisnęła mi się do ręki. Uzbrowiwszy się w kawał zagiętego drutu, zabrałem się za rycie w śmieciach.

W ciągu godziny ufajdałem się od stóp do głów, ale przetrząsałem dosłownie każdy kąt. Znalazłem dobrze ponad setkę różnych narzędzi. Część namacałem w ciemnych kątach. Inne jakby instynktownie wyciągnąłem spod skrzynek. Czułem nieprzyjemne mrowienie na karku. Zbyt łatwo mi szło. Za szybko. Za lekko. Jakby chciały być odnalezione... Zgromadziłem wreszcie cały stos zapaskudzonych, zakurzonych, czasem pordzewiałych przyborów. Z wyjątkiem dwu kluczy francuskich, które odłożyłem na bok, wszystkie wyglądały jak przyniesione prosto z szewskiego warsztatu. Był nawet wycinak do dziurek z gwiazdkowatą końcówką. Zlecniodawca się ucieszy...

Wrócił ruski, stanął w drzwiach i ćmiąc skręta z machorki, patrzył, jak pakuję łupy. Miał wyjątkowo zde gustowaną minę, najwyraźniej nie mógł zrozumieć, po co mi ten cały złom. Zamknąłem walizę i ponieważ oba zamki były rozwalone, ściągnąłem ją starym wojskowym pasem, żeby się nie otwierała.

– I co? – Wyszczrzył zębiska w kpiącym uśmiechu. – Kalkulowało się? Skarbów żadnych tam nie było, wiem, bo już parę razy grzebałem. Ale minę macie zadowoloną jak kot, co wyłowi rybkę z akwarium. Znaczy się i tobie, i mnie się opłaciło?

– Każdemu, co jego. Jednym koza daje mleko, innym koziołki fika. – Wzruszyłem ramionami. – Coś dla siebie wygrzebałem. Dokładam piątała za walizkę.

– No, teraz dopiero wierzę, żeś prawdziwy Polak. – Chuchnął na szczęście i z szerokim zębatym uśmiechem wpuścił monetę w kieszeń. – Odprowadzę do stacji, bo różni tu mieszkają. Lepiej nie łązić samemu.

Faktycznie odeskortował mnie do samego końca parszywej uliczki. Może nie było to konieczne, ale na pewno nie zaszkodziło. Zapadał zmierzch i liczba snujących się bez celu smagłolicych młodzieńców wyraźnie się zwiększyła. Gdy stanąłem w drzwiach restauracji, Marta wydała westchnienie ulgi. I zaraz na mnie wsiadła.

– Coś ty ze sobą zrobił!? Wyglądasz, jakbyś w węglu rył!

– Węgla akurat było tam najmniej...

W sklepiku naprzeciwko kupiliśmy dwie paczki nasączanych chusteczek, rolkę

ręcznika papierowego i pastę do butów. Siedliśmy na peronie. Otrzeptałem, na ile mogłem, ubranie, wytarłem, na ile się dało, ręce i twarz. Potem przeczyściłem narzędzia i zawinałem każde w kawałek ręcznika papierowego.

– W domu nad tym popracujemy na poważnie – wyjaśniłem.

Wypastowałem szybko walizkę, a potem kawałkiem ręcznika podpolerowałem boki, aż zabłyśły szlachetną głęboką barwą ciemnego brązu. Zdążyłem skończyć, gdy nadjechała kolejka. Byłem w tak dobrym humorze, że tym razem skasowałem bilet bez wygłaszania rozważań natury historycznej.

– Jesteś dziwnie podekscytowany – zauważyła Marta, gdy siedliśmy wygodnie w wagonie.

– Yhym.

– Bardziej podekscytowany, niżby to wynikało z faktu, że wykonałeś zadanie – sprecyzowała. – Zatem...

– Miałem, nazwijmy to, dodatkowe korzyści. Rewindykowałem coś naszego – wyjaśniłem. – Popatrz, czym spiąłem walizę. To polski przedwojenny pas oficerski. Walał się wśród rupieci. Nic szczególnie ciekawego, gdyby nie kłamra.

– Hmm? – zainteresowała się.

– Wzór z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego. Orzeł w wieńcu z liści dębu. Zamówiono je w zakładach Grabowskiego w Łodzi. Przed wrześniem tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego zdążył je wyfasować tylko jeden pułk, stacjonujący w Rembertowie. Naprawdę rzadka rzecz.

– To zapewne oznacza, że zapaleńcy tacy jak ty dadzą się za każdy egzemplarz pokroić – odgadła.

– Mają swoją wymierną wartość. Tak materialną, bo lepszy grosz za to oferują, jak i pamiątkową. W dodatku wszystkie sprzączki, jakie widziałem kiedykolwiek, były luzem, to znaczy bez pasów... – uzupełniłem. – Ciekawe, swoją drogą, z kogo szkop to zdarł... Ale tego się, niestety, nigdy nie dowiemy.

– A klasera pełnego starych lepkich papierków przypadkiem tam nie było? – droczyła się.

– Był, ale wszystkie znaczki z Hitlerem, to nie wziąłem – odgryzłem się.

– Szesnasta jest. Idziemy zwiedzać muzea?

– Późno już trochę. Poszukajmy hotelu. Prześpimy się, rano nacieszymy oczy zabytkami i po południu do domu – zadysponowałem. – Może nawet wypijemy do kolacji po lampce reńskiego wina. *Ich trinke Moselwein mit dir* – zacytowałem wierszyk z okładki książeczki wojskowej Wehrmachtu.

*

W domu przetrarłem oliwą wszystkie znalezione narzędzia. Brud z szopy puścił.

Wytarłem starannie rdzawe plamki, ale nie usuwałem patyny dziesięcioleci. Drewniane detale napuściłem specjalnym olejem. Wreszcie rozłożyłem na blacie kawał lnianego płótna, by ładnie wyeksponować łup. Skoro już klient wybulił jak za zboże, niech przynajmniej dostanie towar z odpowiednimi fajerkami...

Siedziałem, pracując sobie spokojnie i metodycznie. Narzędzia brałem przez grube rękawice.

Pan Marcin przybył o umówionej porze. W eleganckim, szarym płaszczu wyglądał raczej na adwokata niż rzemieślnika. Zaprosiłem go do gabinetu.

– Wezwałeś mnie pan, czyżby coś jeszcze udało się ustalić? – zapytał i nagle stanął jak wryty.

Oślupiały, poblady, wpatrywał się w moją ekspozycję. Wreszcie odzyskał zdolność ruchu.

– No nie wierzę! – krzyknął. – Jakim cudem?!

Podbiegł i z nabożeństwem dotykał kolejnych przedmiotów opuszkami palców. Opanował się powoli.

– Fiu, fiu, rozłożone jak w muzeum. – Uśmiechnął się ciut krzywo.

– Są to swego rodzaju zabytki – odparłem. – Mają swoje lata, swoją historię. Pewien szacunek im się należy.

– A zatem udało się. – Zamilkł i patrzył na rzędy szydeł, wycinaków, noży, młotków, drewnianych szablonów do kształtowania wierzchów. – Skąd...

– Zdobyłem w Berlinie – wyjaśniłem. – Jak ustaliłem, morderca pańskiego dziadka nie żyje od ponad dwudziestu lat. Można powiedzieć, że sam wymierzył sobie sprawiedliwość. Zachlał się na śmierć, dręczony wyrzutami sumienia. Ale wyposażenie warsztatu szczęśliwie ocalało. Pordzewiałe, utyłane, zapomniane... Ale znalazłem.

– A niech mnie! Prawdę o panu gadali!

– Postaram się sporządzić raport, w którym opiszę poszukiwania, żeby nie miał pan wątpliwości...

– Nie mam żadnych – uciął. – Ale przeczytam chętnie. To, czego pan dokonałeś, jest nieprawdopodobne!

Ujął w dłoń to dziwne szydło z gwiazdką na końcu. Ucałował bukowy trzonek.

– W dodatku jest tego znacznie więcej, niż zamówiłem. – Ocknął się z zadumy.

– Dawali, to wziąłem – mruknąłem. – Po co miały tam leżeć? Gdyby zostały, prędzej czy później poszłyby na zmarnowanie. Zadanie wykonałem zatem z pewnym naddatkiem, ale oczywiście nie musi pan nic dopłacać.

– Każdy nóż, wycinak, szydło to ludzki los. Może i pięćdziesięciu doskonałych szewców poszło do piachu, by ten łajdak mógł zebrać taki zestaw – podsumował.

– Nie wszystkie jego zbrodnie zdołaliśmy odkryć – odezwała się Marta, stając w drzwiach. – Ale mordował jak ogarnięty gorączką... Mówi pan pięćdziesięciu?

– Albo i lepiej. To ogromny zbiór... – szepnęła. – A człowiek ma wszak tylko dwie

dłonie.

Miał dziwnie rozmarzoną minę.

– Zadanie wykonane, towar dostarczony. I co zamierza pan teraz z tym zrobić? – zapytałem trochę kwaśno. – Zostać najlepszym szewcem w Europie?

Ocknął się z transu.

– Zostawię sobie te po przodku. Pozostałe pogrzebię w jakimś spokojnym miejscu, gdzie nigdy nie zostaną odnalezione – wyjaśnił. – Są naznaczone śmiercią... Nikt nie powinien ich używać.

– Rozumiem. To chyba najlepsza decyzja.

Podsunałem mu walizkę i zaczął spokojnie i metodycznie układać w niej narzędzia.

– Do tego jeszcze wiszę panu, panie Robercie, resztę honorarium i zwrot za bilety... – sumitował się. – Dwa tysiące wystarczą czy może trzeba więcej? Proszę wymienić kwotę.

– Furda. – Machnąłem ręką. – Z zaliczki jeszcze coś tam zostało. Szukając narzędzi, znalazłem przy okazji jeszcze coś dla siebie, a do tego połąziłem po berlińskich muzeach, bo wcześniej nie było okazji. Ergo: jesteśmy kwita.

– Mówili mi już, że dziwny z pana facet. Zatem może zamiast reszty pieniędzy chciałby pan parę butów?

Spojrzałem na ciągle otwartą walizkę i wzdrygnąłem się mimowolnie.

– Ech nie. – Pokręciłem głową.

– Toż nie tym zestawem będę je robił – obruszył się stary rzemieślnik.

– Więc chcę. Potraktuję je jako premię ekstra. To była naprawdę prosta robota.

Wyszedł, dźwigając walizę. Siedzieliśmy długo w milczeniu. Zapadał zmierzch. Pokój pograżył się w mroku. Wstałem wreszcie, zapaliłem świecę i w jej blasku sięgnąłem do szuflady.

– Co robisz? – zapytała Marta.

– Chcę tylko coś sprawdzić...

Wydobyłem małe drewniane pudełko. Nie zaglądałem do środka od lat, ale krzemienny przecinak był na swoim miejscu. Włożyłem rękę na oślep. Chwyciłem od razu prawidłowo. Wręcz wślizgnął się do mojej dłoni. Zacisnąłem palce, poprawiając chwyt. Rzuciłem na blat roboczy kawałek wołowej skóry. Pięć minut później patrzyliśmy zdumieni na dwie idealnie kształtne podeszwy. Kompletnie nie przypominały naszych, ale wiedziałem, że ten kształt jest prawidłowy i że wycięte na oko i tak będą idealnie pasować do rozmiaru moich stóp.

– Pozdrowienia od leworęcznego rzemieślnika z neolitu – mruknąłem, trąc palce.

Kamień nagle wydał mi się lepki od krwi. Opuszki mnie mrowiły. Miałem przykre wrażenie, jakby ktoś na chwilę przejął władzę nad częścią mojego ciała. Czy to właśnie czuł Müller, pracując narzędziami pomordowanych? Nic dziwnego, że zwariował. A jednocześnie... Czułem pokusę. Przez moje dłonie przepłynęła moc.

– Więc i oni mieli szewców – szepnęła Marta, gdy odkładałem narzędzie na miejsce.
– I może nawet ich zabijali. Zresztą kto wie, może zaatakowało go jakieś zwierzę...

Milcząc, stanąłem obok komody i wsunąłem pudełko między inne na dnie szuflady. Wszystko, co chciałem powiedzieć, wydało mi się nagle kompletnie nieważne.

*

Obiecane buty dostałem po niespełna miesiącu. Eleganckie brązowe oficerki w przedwojennym stylu na grubej, podkutej, skórzanej podeszwie. Stoją na pawlaczu, z wolna pokrywając się kurzem. Buty są wykonane perfekcyjnie. Powiem wprost: zbyt perfekcyjnie. Starego chyba jednak skusił zestaw z walizki. Są naprawdę piękne, ale nie mam jakoś odwagi ich założyć.





© fot. Fabryka Słów

Andrzej Pilipiuk – rocznik 1974, z wykształcenia archeolog. Największym sukcesem jego prac wykopaliskowych w obojściach wsi pod Chełmem okazał się Wędrowycz, skamielina niebywale żywa. Wstrząśnięty odkryciem Pilipiuk porzucił zawód wyuczony. Został literatem, publicystą, niezależnym historykiem i kronikarzem dziejów usposobionego filozoficznie degenerata.

Od roku 2001 wyprodukował z Fabryką Słów 26 książek. Pierwszą były *Kroniki Jakuba Wędrowycza*, które otwierają cykl opowieści o wiejskim egzorcystie i bimbrowniku kontynuowany w tomach: *Czarownik Iwanow*, *Weźmiesz czarno kure...*, *Zagadka Kuby Rozpruwacza*, *Wieszać każdy może* oraz *Homo bimbrownikus*. Za ten ostatni otrzymał nagrodę „Bestseller EMPiK-u”. Autor *Wampira z M-3*, trzypięciotomowego *Norweskiego dziennika*, trylogii: *Kuzynki*, *Księżniczka*, *Dziedziczki* oraz antologii: *2586 kroków*, *Czerwona gorączka*, *Rzeźnik drzew* (który w 2009 roku został wyróżniony w konkursie „Najpiękniejsza książka wydana na papierze ECCO-BOOK”), *Aparatus* i *Szewc z Lichtenrade*. W 2008 r. rozpoczął prace nad 6-tomowym cyklem powieści – *Oko Jelenia*. W 2011 r. współtworzył pierwszy w historii wydawnictwa Fabryka Słów komiks pt. *Dobić dziada*.

COPYRIGHT © by Andrzej Pilipiuk
COPYRIGHT © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2012

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-884-0

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE © Harry Hart / ImageBroker / FotoChannels

PROJEKT OKŁADKI black gear

ILUSTRACJE Dismas

REDAKCJA Lidia Stanisława Dębska

KOREKTA Piotr Pawlik, Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD Dariusz Nowakowski

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku **JamaNiamy**



- 1 Gornitzweg
- 2 Marienfelder Chaussee
- 3 Frankfurter Allee
- 4 Ringstraße
- 5 Gornitzweg
- 6 Kaputtweg
- 7 Borkenweg
- 8 Grenzstraße

Lichtenrade

Kleinziethener

BLANKENFELDE MAHLOW

Waldblick

Kleinziethener
Bau

A. PILIPIUK

SZEWICZ Z LICHTENRADE

Andrzej Pilipiuk kolejny raz otwiera przed nami wachlarz opowieści z różnych miejsc, czasów i rzeczywistości alternatywnych. Kolejny raz bohaterowie zmierzają się z nienazwanym...

W przededniu I wojny światowej doktor Skórzewski zostaje wplątany w kuriozalną aferę szpiegowsko-ornitologiczną.



Antykwarium Roberta Stora otrzymuje dziwaczne zlecenie odnalezienia narzędzi zrabowanych w czasie okupacji przez szwajca-nazistę.

A archeolog Tomasz Olszowski, uderzając się z nieuczciwymi inwestorami, przyjdzie pomóc łopiędźkich szlachcianom.

...

W zbiorze nie zabraknie też rozważań, co by było gdyby. Wyobraźcie sobie świat, gdzie Hitler i Goering, zamiast niszczyć narody Europy, zmagają się z wysokością



czyngiza i administratorom przytulku, a diler morfiny doktora Mengela tropi konkurencja - żydowską mafią.

...

fabrykaslow.com.pl



Wydawca
dyskrybutor



kawerna.pl

WIADOMOŚCI 24.pl

StacjaKultura.pl

gavran